

KATE GOLDEN

ŚWIĘTE  
ONYKSY

ŚWIĘTE KAMIEŃ, KSIĘGA 1



**KATE GOLDEN**

# **ŚWIT ONYKSU**

**ŚWIĘTE KAMIENIE #1**

**TŁUMACZENIE**

**MALWINA STOPYRA**

**OŚWIĘCIM 2023**

Copyright © 2023

Kate Golden

Wydawnictwo Nowe Strony

All right reserved

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

**Redakcja:**

Alicja Chybińska

**Korekta:**

Sandra Pętecka

Joanna Boguszevska

Katarzyna Olchowy

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8362-050-3

# Spis treści

PIERWSZY

DRUGI

TRZECI

CZWARTY

PIĄTY

SZÓSTY

SIÓDMY

ÓSMY

DZIEWIĄTY

DZIESIĄTY

JEDENASTY

DWUNASTY

TRZYNASTY

CZTERNASTY

PIĘTNASTY

SZESNASTY

SIEDEMNAŚTY

OSIEMNAŚTY

DZIEWIĘTNASTY

DWUDZIEŚTY

DWUDZIEŚTY PIERWSZY

DWUDZIEŚTY DRUGI

DWUDZIEŚTY TRZECI

DWUDZIEŚTY CZWARTY

DWUDZIEŚTY PIĄTY

DWUDZIEŚTY SZÓSTY

DWUDZIESTY SIÓDMY

DWUDZIESTY ÓSMY

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

TRZYDZIESTY

TRZYDZIESTY PIERWSZY

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE

Dla Jacka

*Dziękuję, że jesteś moim MMC w prawdziwym życiu.  
Nauczyłeś mnie, jak wygląda najprawdziwsza miłość.*

# PIERWSZY

Ryder i Halden prawdopodobnie nie żyli.

Nie wiedziałam, co wywoływało we mnie większe mdłości – przyznanie w końcu tej prawdy przed samą sobą czy może obolałe, palące płuca. Cierpienie tego drugiego rodzaju co prawda spowodowałam sama – ta część mojego porannego biegu była zawsze najbardziej brutalna – ale dzisiaj minął rok, odkąd listy przestały przychodzić, i chociaż przysięgłam sobie nie myśleć o najgorszym bez wyraźnego powodu, cisza z ich strony była trudna do zignorowania.

Moje serce załomotało przepełnione żalem.

Starając się wepchnąć nieprzyjemne myśli pod podłogę własnego umysłu, skupiałam się na dotarciu do brzegu polany oraz na tym, żeby nie zwymiotować w trakcie biegu. Przebierałam nogami, machałam ramionami i czułam, że mój warkocz rytmicznie uderzał w miejsce między łopatkami, wywołując przywodzący na myśl dźwięk wydobywający się z bębna. Jeszcze tylko kilka kroków.

Dotarwszy w końcu do rozciągającej się niemal po horyzont chłodnej trawy, zatrzymałam się, oparłam dłonie na kolanach i wzięłam głęboki wdech. Polana pachniała jak Królestwo Bursztynu – poranna rosa, drewno z pobliskich wrzosowisk i orzeźwiająca, ziemista woń powoli rozkładających się liści.

Ale głębokie wdechy nie wystarczyły, żeby powstrzymać rozmywanie się wzroku. Padłam na plecy, ciężar mojego ciała zmiażdżył liście z satysfakcjonującym chrzęstem. Polana była nimi zasłana – ostatnie pozostałości po zimie.

Rok temu – w noc przed tym, jak wszyscy mężczyźni z naszego miasteczka zostali powołani, by walczyć za nasze królestwo – moja rodzina zgromadziła się na trawiastym pagórku za domem. Wszyscy razem oglądaliśmy przypominający siniec zabarwiony na różowo zachód słońca tuż za Abbington, naszym miasteczkiem, ten ostatni raz. Potem ja i Halden wymknęliśmy się na tę polanę i udawaliśmy, że on i mój brat, Ryder, wcale nie musieli odejść.

Że pewnego dnia wrócą.

Dzwony zadźwięczały na rynku, odległe, ale na tyle wyraźne, by wyrwać mnie z melancholijnych wspomnień. Podniosłam się do siadu, w moich poplątanych włosach pełno było teraz liści i gałązek. Spóźnię się. Znowu.

*Przekłete Kamienie.*

Cholera. Skrzywiłam się i wstałam. Starłam się mniej przeklinać dziewięć Świętych Klejnotów tworzących rdzeń kontynentu. Nie przejmowałam się za bardzo potępieniem boskości stworzenia Evendell, ale nienawidziłam siły przyzwyczajenia, która wzięła się z dorastania w Bursztynie, Królestwie wielbiącym Kamienie z największą bogobojnością i wiarą.

Pobiegłam z powrotem przez polanę w dół ścieżką przy naszej chatce i w stronę właśnie budzącego się miasta. Spiesząc przez alejki, które ledwo mieściły dwie osoby idące w przeciwnych kierunkach, pojawiła się we mnie przygnębiająca myśl.

*Abbington naprawdę miało kiedyś więcej uroku.*

Przynajmniej było urocze w moich wspomnieniach. Brukowane ulice, kiedyś czysto zamiecione i pełne ulicznych muzykantów i radosnych kupców, teraz pokrywały śmieci i wiało na nich pustką. Źle dopasowane ceglane budynki, pokryte bluszczem i ogrzewane błyszczącymi latarniami teraz wyglądały jak walące się ruiny – opuszczone, spalone albo zawałone, powoli stawały się coraz mniej żywe, aż któregoś dnia po prostu znikną.

Zadrżałam, zarówno z powodu tych myśli, jak i pogody. Miałam nadzieję, że chłodne powietrze osuszyło choć trochę wilgoci z mojego czoła; Nora nie lubiła spoconych praktykantów. Otworzyłam skrzypiące drzwi, a w moje nozdrza uderzyła woń etanolu i ostrej mięty. To był mój ulubiony zapach.

– Arwen, to ty? – zawołała Nora, jej głos niósł się echem szpitalnym korytarzem.  
– Spóźniłaś się. Gangrena pana Doyle’a jest coraz bardziej zaawansowana. Może stracić palec.

– Że co mogę stracić? – zaskrzeczał ktoś męskim głosem za zasłoną.

Posłałam Norze miażdżące spojrzenie i wśliznęłam się do prowizorycznego pokoju, oddzielonego bawełnianymi prześcieradłami.

*Przeklęte Kamienie.*

Pan Doyle – starszy, łysy mężczyzna, który wyglądał, jakby miał tylko czoło i uszy – leżał w łóżku, przyciskając do piersi uszkodzoną dłoń, jakby była skradzionym deserem, który ktoś zamierzał mu odebrać.

– Nora tylko żartuje – powiedziałam, przysuwając sobie krzesło. – To jej zabawne i bardzo profesjonalne poczucie humoru. Upewnię się, że wszystkie palce pozostaną na swoim miejscu, obiecuję.

Ze sceptycznym prychnięciem pan Doyle puścił swoją dłoń, a ja musiałam postępować bardzo ostrożnie, zdejmując warstwy gnijącej skóry.

Mój dar mrowił w opuszki palców, chętny do pomocy. Nie byłam pewna, czy dzisiaj go potrzebowałam, lubiłam dokładną pracę, a gangrena to rutynowe postępowanie.



Ale nigdy nie wybaczyłabym sobie, gdybym złamała obietnicę wobec zrzędlivego pana Doyle'a.

Nakryłam jedną dłoń drugą, jakbym nie chciała, żeby widział, jak makabryczne były jego obrażenia – stałam się naprawdę dobra w przemyśleniu moich mocy w leczeniu pacjentów. Pan Doyle zamknął oczy i odchylił głowę, a ja pozwoliłam, by iskra czystego światła popłynęła z moich palców, jakbym wyciskała sok z cytryny.

Gnijące ciało ogrzało się i zaróżowiło raz jeszcze, zdrowiejąc na moich oczach.

Byłam dobrą uzdrowicielką. Nawet świetną. Miałam pewną rękę, potrafiłam zachować spokój pod presją i nigdy nie mdliło mnie na widok czyichś wnętrzności. Ale potrafiłam też leczyć na sposoby, których nie da się nauczyć. Moja moc była pulsującym, nieregularnym światłem, które wypływało z dłoni i wsączało się w innych, przechodząc przez ich żyły i tętnice. Potrafiłam zespoić złamaną kość, przywrócić kolory zniszczonej grypą twarzy i zasklepić ranę, nie zakładając szwów.

Tak, nie były to powszechne czary. Nie miałam w rodzinie żadnych czarownic ani czarodziejów, a nawet gdybym miała, kiedy używałam mojej mocy, nie wypowiadałam żadnego zaklęcia, po którym następował podmuch wiatru i nastawała cisza. Mój dar po prostu wypływał z mojego ciała, za każdym razem wysączając ze mnie energię i rozum. Czarownice mogły używać magii bezustannie z odpowiednią księgą zaklęć i kuratelą. Moje umiejętności miały swój limit, a jeśli pracowałam zbyt ciężko, mogły mnie wyczerpać. Czasami trzeba było kilku dni, żeby moc zregenerowała się całkowicie.

Za pierwszym razem wyczerpałam się przy ofercie wyjątkowo brutalnego poparzenia, myślałam wtedy, że straciłam dar na dobre – ogarnęła mnie wtedy niewytłumaczalna mieszanka ulgi i przerażenia. Kiedy wreszcie magia wróciła, powiedziałam sobie, że byłam wdzięczna. Wdzięczna za to, że kiedy dorastałam, pokryta siniakami albo z kończynami powyginanymi pod dziwnym kątem, mogłam się wyleczyć, zanim moja matka albo rodzeństwo dostrzegli, co robił mi ojczym. Wdzięczna, że mogłam pomóc tym wokół mnie, którzy cierpieli. I wdzięczna, że mogłam zarobić przyzwoicie w tych trudnych czasach, jakie obecnie mieliśmy.

– W porządku, panie Doyle, dłoń jest jak nowa.

Staruszek posłał mi bezzębny uśmiech.

– Dziękuję. – Pochylił się do mnie konspiracyjnie. – Nie sądziłem, że zdołasz ją uratować.

– Pański brak wiary we mnie rani – zażartowałam.

Ostrożnie wyszedł z pokoju, a ja poszłam za nim do korytarza. Kiedy opuścił szpital, Nora pokręciła głową, patrząc na mnie uważnie.

– Co?

– Zbyt radośnie – powiedziała, ale jej usta uniosły się w uśmiechu.

– To ulga mieć pacjenta, który nie stoi u wrót śmierci. – Skrzywiłam się. Pan Doyle był w zasadzie dość stary.

Nora tylko prychnęła i ponownie skupiła się na gazie w swojej dłoni. Ja poprawiłam łóżka i zajęłam się dezynfekowaniem narzędzi chirurgicznych. Powinnam się cieszyć tym, jak niewielu pacjentów dzisiaj mieliśmy, ale od ciszy skręcał mi się żołądek.

Uzdrowianie odciągało moje myśli od brata i Haldena. Pomagało poradzić sobie z bólem ściskającym moje serce z powodu ich nieobecności. Zupełnie jak bieganie, uzdrawianie miało w sobie właściwości medytacyjne, które kołysały mój rozszalały mózg.

Cisza działała odwrotnie.

A jednak nie spodziewałabym się, że będę podekscytowana przypadkiem gangreny; wydawało się, że wszystkie dolegliwości nie oznaczające pewnej śmierci, okazywały się zwycięstwem dnia. Oczywiście większość pacjentów to żołnierze – zakrwawieni, posiniaczeni i połamani po walce – albo sąsiedzi, których znałam przez całe życie, cierpiący z powodu pasożytów w kiepskim jedzeniu, które udało im się zdobyć. To przynajmniej był lepszy los niż śmierć głodowa. Pasożytów można było się pozbyć w szpitalu. Niekończącego się głodu już nie.

I mimo całego tego bólu i cierpienia, utraty ukochanych osób, zniszczonych domów nadal pozostawało tajemnicą, dlaczego Królestwo Onyksu w ogóle rozpoczęło z nami wojnę. Nasz Król Gareth nie był kimś, kto zostanie opisany w historycznych księgach, ziemie Bursztynu nie były znane z niczego poza rolnictwem. Zaś ziemie królestwa takiego jak Granat obfitowały w monety i klejnoty. Góry Perłowe miały antyczne zwoje i najbardziej poszukiwanych na kontynencie uczonych. Nawet Terytoria Opalu z ich destylarniami i nietkniętą glebą albo Prowincje Perydotu, z ich mieniącymi się jaskiniami, wypełnionymi ukrytymi skarbami, byłyby lepszym miejscem, by zacząć stopniowe wspinanie się po szczeblach władzy nad całym Evendell. Ale jak dotąd wszystkie pozostałe królestwa pozostały nienaruszone i tylko Bursztyn starał się przetrwać.

A jednak żadne inne królestwo nie walczyło u naszego boku.

Jednocześnie Onyks opływał w bogactwa, klejnoty i złoto. Mieli najwięcej ziem, najwspanialsze miasta – a przynajmniej tak słyszałam – i największą armię. A jednak nawet to im nie wystarczało. Król Onyksu, Kane Ravenwood, był zarówno imperialistyczny, jak i nienasycony. Ale co najgorsze, okazał się bezbrzeżnie okrutny. Naszych generałów często znajdowano z pozawiązwanymi na supeł kończynami, czasami obdartych ze skóry albo ukrzyżowanych. Brał i brał, i brał, aż nasze ubogie

królestwo nie miało już zbyt wiele do zaoferowania, więc zaczął zadawać ból dla rozrywki. Niszczył nas dla zabawy.

Jedynym wyjściem pozostawało patrzenie na jasną stronę. Nawet jeśli była mglistą, niewyraźną jasną stroną, a przejście na nią wymagało przekupstwa lub układów. Jak twierdziła Nora, właśnie dlatego trzymała mnie blisko.

*Masz do tego dryg, jesteś niepoprawną optymistką, a twoje cycki przyciągają lokalnych chłopców do oddawania krwi.*

*Dziękuję ci, Noro. Jesteś wspaniała.*

Zerknęłam na nią, odkładając koszyk pełen bandaży i maści.

Nie była najmilszą osobą, ale Nora to jedna z najbliższych przyjaciółek mojej matki i pomimo jej ostrej powierzchowności, była na tyle troskliwa, żeby dać mi tę pracę i dzięki temu pozwoliła mi zaopiekować się rodziną po odejściu Rydera. Pomagała nawet przy mojej siostrze, Leigh, kiedy matka była zbyt chora, żeby zabrać ją na lekcje.

Mój uśmiech wywołany uprzejmością Nory zbladł na myśl o matce – dziś rano czuła się zbyt słaba, żeby chociaż otworzyć oczy. Nie umknęła mi ironia tego, że choć byłam uzdrowicielką, moja matka powoli umierała z powodu dolegliwości, której nikt z nas nie mógł zidentyfikować.

Co gorsze – i może jeszcze bardziej ironiczne – moja umiejętność nigdy na nią nie działała. Nawet gdyby chodziło tylko o zacięcie papierem. Kolejny znak, że moja moc nie przypominała takiej należącej do zwykłej czarownicy, a była czymś o wiele dziwniejszym.

Moja matka chorowała, odkąd byłam na tyle duża, żeby mówić, ale pogorszyło jej się w ciągu ostatnich kilku lat. Jedynym, co pomagało, okazały się lekarstwa, które Nora i ja przygotowywałyśmy razem – mikstury zrobione z paciorecznika i rodanów – narodowych kwiatów Bursztynu, zmieszanych z olejkami ravenalara i drzewem sandałowym. Ale ulga zawsze przychodziła na krótko, a jej ból wzrastał się z każdym dniem.

Potrząsnęłam głową, żeby odgonić nieprzyjemne myśli.

Nie mogłam się teraz na tym skupiać. Jedyne, co się liczyło, to zaopiekowanie się nią i moją siostrą tak dobrze, jak potrafiłam teraz, kiedy Rydera nie było.

A możliwe, że on już nigdy nie wróci.

\*\*\*

– Nie, źle mnie usłyszałaś! Nie powiedziałam, że był „śliczny”, tylko „bystry”. W sensie mądry i światowy – oświadczyła Leigh, wrzucając kawałek drewna do paleniska.

Przygryzłam wargę, żeby ukryć uśmiech i wyjęłam trzy małe miseczki z szafki.

– Mhm, jasne. Po prostu myślę, że trochę się zabujałaś, to wszystko.

Leigh wywróciła bladoniebieskimi oczami, krzątając się po naszej maleńkiej kuchni, żeby przygotować sztuce i kubki. Nasz dom był ciasny, chwiejny i nie wszystko działało w nim jak trzeba, ale kochałam go całym sercem. Pachniał tabaką Rydera, wanilią, której używaliśmy do pieczenia, i aromatyczną białą lilią. Szkice Leigh wisiały na prawie każdej ścianie.

Za każdym razem, kiedy wchodziłam do środka, na moich ustach pojawiał się uśmiech.

Umiejscowiony na małym wzgórzu, z którego rozciągał się widok na prawie całe Abbington i z trzema dobrze ogrzewanymi pokojami, był jednym z ładniejszych domów w wiosce. Mój ojczym, Powell, wybudował go dla mojej matki i dla mnie, zanim urodziło się moje rodzeństwo. Kuchnia to moje ulubione miejsce do siedzenia, z drewnianym stołem, zrobionym przez Powella i Rydera pewnego lata, kiedy wszyscy byliśmy młodszy, a matka zdrowsza.

Niesamowite, jak ciepłe wspomnienia uczepliły się struktury naszego domu, w przeciwieństwie do tego, co wirowało w mojej głowie i żołądku, kiedy myślałam o surowej twarzy i zaciśniętych szczękach Powella. Bliznach na moich plecach od jego pasa.

Zadrżałam.

Leigh wcisnęła się obok mnie, wrywając z pajęczyny wspomnień, i podała mi garść korzeni i ziół do lekarstwa matki.

– Proszę. Nie mamy już więcej rozmarynu.

Zerknęłam w dół, na jej blond głowę i zakiełkowało we mnie ciepło – zawsze była promienna, nawet przy rozpaczynie niesionej przez otaczającą nas wojnę. Radosna, zabawna, śmiała.

– Co? – zapytała, patrząc na mnie zmrużonymi oczami.

– Nic – odparłam, przygryzając wargę.

Właśnie zaczęła postrzegać samą siebie jako dorosłą i nie tolerowała już traktowania jak dziecko. Pełne miłości spojrzenia, wyrażające uwielbienie ze strony starszej siostry widocznie nie były już dozwolone. Nawet mniej jej się podobało, kiedy próbowałam ją chronić.

Przełknęłam z trudem ślinę, wrzucając zioła do bulgocącego nad paleniskiem kociołka.

Ostatnio w tawernach, szkołach i na targach krążyły pogłoski. Mężczyzn już nie ma – Ryder i Halden najprawdopodobniej oddali życie – a my nadal przegrywaliśmy z okrutnym królestwem na północy.

Kobiety będą następne.

Nie chodziło o to, że nie potrafiłyśmy tego, co mężczyźni. Słyszałam, że armia Królestwa Onyksu była pełna silnych, bezwzględnych kobiet, które walczyły ramieniem z mężczyznami. *Ja* po prostu tak nie potrafiłam. Nie mogłabym odebrać komuś życia za moje królestwo, nie umiałabym nawet walczyć za siebie. Na samą myśl o opuszczeniu Abbington, włoski na karku stawały mi dęba.

Ale najbardziej martwiłam się o Leigh. Była zbyt nieustraszona.

Młodość pozwalała jej myśleć, że jest niepokonana, a głód uwagi sprawiał, że stawała się głośna, ryzykowna i odważna do granic lekkomyślności. Na samą myśl o jej złotych lokach podskakujących na linii frontu, skręcało mnie w żołądku.

Gdyby tego było mało, jeśli obie zostałybyśmy powołane do walki przeciwko Onyksowi, nasza matka zostałaby sama. Zbyt stara i krucha, żeby walczyć, mogłaby uniknąć poboru, ale nie potrafiłaby się sobą zająć. Bez trójki dzieci nie przeżyłaby tygodnia.

W takim razie, jak miałam ich ochronić?

– Nie mogłabyś bardziej mylić się w kwestii Jace’a – powiedziała Leigh, wskazując na mnie widelcem, usiłując wcisnąć mi fałszywe zapewnienia. – Nigdy w życiu się w nikim nie bujałam. A na pewno nie w nim.

– W porządku – odpowiedziałam, szukając w szafce marchewek. Zastanawiałam się, czy Leigh rozpraszała mnie celowo, czy wiedziała, że się martwiłam. Zwykle tak było, więc by się nie pomyliła.

– Szczerze mówiąc – ciągnęła, siadając przy kuchennym stole i podwijając nogi pod siebie – nie obchodzi mnie, co myślisz. Jaki ty masz gust! Kochasz się w Haldenie Brownfieldzie. – Zrobiła zde gustowaną minę.

Puls podskoczył mi na wspomnienie jego imienia, przypomniałam sobie datę i moje lęki z dzisiejszego ranka. Pokręciłam głową, słysząc oskarżenia Leigh.

– Nie kocham się w nim. Lubię go. Jako osobę. W zasadzie jesteście tylko przyjaciółmi.

– Mhm, jasne – mruknęła, wyśmiewając moje wcześniejsze insynuacje wobec niej i Jace’a.

Pokroiłam marchewki na kolację do oddzielnego garnka, stojącego obok lekarstwa matki. Wielozadaniowość stała się jedną z moich mocnych stron od czasu wyjazdu Rydera. Otworzyłam okno nad paleniskiem, pozwalając, by część gorącego powietrza z obu kociołków uleciała na zewnątrz. Chłodna, wieczorna bryza owionęła moją lepką od potu twarz.

– A tak w ogóle, co jest nie w porządku z Haldenem? – zapytałam, bo dopadła mnie ciekawość.

– Nic, naprawdę. Po prostu był nudny. I zrzędlivy. I ani trochę nie potrafił się wygłupiać.

– Przestań mówić „był” – burknęłam, z większą zgryźliwością, niż zamierzałam. – Nic mu nie jest. Im obu.

To nie kłamstwo. Tylko ta sama jasna strona myślenia, która czasem ocierała się o wyparcie. Leigh wstała, żeby nakryć do stołu, zbierając niepasujące do siebie kubki, i nalać cydru.

– A Halden potrafi się wygłupiać i jest interesujący... no i zrzędlivy – przyznałam. – To muszę ci oddać. Jest trochę spięty.

Leigh uśmiechnęła się, wiedząc, że tu mnie ma.

Przyjrzałam się siostrze. Tak bardzo dorosła w tak krótkim czasie, że nie byłam już pewna, przed jakimi informacjami ją chroniłam.

– W porządku – zgodziłam się, mieszając w obu kociołkach jednocześnie. – Spotykamy się.

Leigh sugestywnie uniosła brwi.

– Ale naprawdę nie było żadnego „zakochania”, o którym można by mówić. Na Kamienie.

– Dlaczego nie? Bo wiedziałaś, że będzie musiał odejść?

Mój wzrok spoczął na palenisku, patrzyłam, jak niewielkie płomienie podskakiwały i zastanawiałam się nad szczerą odpowiedzią.

To płytkie, ale pierwsze, co przyszło mi do głowy, kiedy usłyszałam jego imię, to włosy. Czasami, zwłaszcza w świetle księżyca, jego blond loki wyglądały na tak blade, że prawie świeciły. W zasadzie to było pierwsze, co mnie do niego przyciągnęło – to jedyny chłopak o jasnych włosach w naszej wiosce. Bursztyń wydawał na świat głównie czekoladowych brunetów, jak ja, albo ciemnych blondynów, jak Leigh i Ryder.

Zadurzyłam się w tych lodowato blond włosach już w wieku siedmiu lat. On i Ryder mniej więcej wtedy stali się nierozłączni. Pewna, że wyjdę za niego za mąż, nie zadawałam sobie trudu, żeby śledzić każdą ich przygodę i rozważać wszystkie zabawy, po których wracali z podrapanymi kolanami. Uśmiech Haldena sprawiał, że czułam się bezpiecznie. Poszłabym za nim wszędzie. Tego dnia, kiedy komisja poborowa zawitała do Abbington, to był pierwszy raz, kiedy widziałam, że jego uśmiech zbladł.

Wtedy oraz kiedy zobaczył moje blizny.

Ale skoro byłam zakochana w Haldenie od dzieciństwa, dlaczego nie miałam wrażenia, że to miłość, kiedy pierwszy raz zobaczył we mnie to, co ja widziałam w nim od dawna?

Nie miałam na to dobrej odpowiedzi, a na pewno nie takiej, która byłaby odpowiednia dla dziesięciolatki. Czy to dlatego nie darzyłam go miłością, ponieważ nigdy nie widziałam, żeby komukolwiek układało się w związku, zwłaszcza mojej matce? Albo dlatego, że czasami pytałam go, co sądził o ekspansji już i tak rozległych ziem Onyksu, a jego lekceważące odpowiedzi sprawiały, że czułam się rozdrażniona z powodów, których do końca nie rozumiałam? Może odpowiedź była dużo gorsza. Taka, która jak miałam nadzieję, nie była prawdziwa, ale bałam się jej najbardziej – że nie potrafiłam wykrzesać z siebie takiego uczucia.

Nie było nikogo, kto zasługiwałby na to bardziej niż Halden. Nie było nikogo, z kim moją przyszłość widzieliby matka, Ryder i Powell. Oczywiście poza Haldenem.

– Nie wiem, Leigh. – Taka była prawda.

Skupiłam uwagę z powrotem na przygotowaniu kolacji i kroiłam warzywa w ciszy. Leigh wyczuła, że skończyłam już ten temat przesłuchania. Kiedy lekarstwo matki skończyło się gotować, przeniosłam je na blat, żeby wystygło. Napełnię nową fiolkę w sakiewce przy szafce, jak zawsze.

Może zdołałabym to zrobić – zaopiekować się nimi sama.

Słonawy aromat duszonych warzyw zmieszany z medyczną wonią lekarstwa matki poniósł się po domu. Był to znajomy zapach. Komfortowy. Bursztyn otaczały góry, co oznaczało, że w dolince, gdzie mieszkaliśmy, zawsze porankami panował chłód, dni były rześkie, a noce zimne. Każde drzewo miało brązowe liście przez cały rok. Na kolację zawsze była kukurydza, kabaczek, dynia i marchew. Nawet najgorętsze zimy przynosiły tylko deszcz i gołe gałęzie, a w najgorętsze lata, jakie pamiętałam, mieliśmy zaledwie dwa zielone drzewa. Przez większość czasu, każdego dnia roku było tu buro i wietrznie.

A po dwudziestu latach miałam takie dni, kiedy czułam, że zjadłam już dość kukurydzy i kabaczka do końca życia. Starłam się wyobrazić sobie moje dni wypełnione innymi smakami, krajobrazami, ludźmi... Ale widziałam tak niewiele, fantazje się rozmywały i stawały niewyraźne jak chaotyczny zbiór książek, które przeczytałam, i historii, które usłyszałam przez te lata.

– Pachnie niebiańsko.

Odnalazłam wzrokiem matkę, która wkroczyła chwiejnie do środka. Była dzisiaj lekko wstawiona, wilgotne włosy splecione w warkocz przerzuciła przez ramię. Miała tylko czterdzieści lat, ale chude ciało i zapadnięte policzki ją postarzały.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedziałam, podchodząc do niej.

Leigh zeskoczyła ze stołu, pozostawiając jedną niezapaloną świecę, i stanęła u jej drugiego boku.

– W porządku, naprawdę – powiedziała do nas, ale zignorowałyśmy ją.

Na tym etapie to stało się dobrze wyreżyserowanym tańcem.

– Róże i ciernie? – zapytała, kiedy posadziłyśmy ją przy stole.

Moja słodka matka, która pomimo chronicznego zmęczenia, bólu i cierpienia, zawsze szczerze interesowała się tym, co przydarzyło nam się w ciągu dnia. Której miłość do kwiatów wpasowała się w naszą wieczorną rutynę.

Matka przyjechała ze mną do Abbington, kiedy miałam niecały rok. Nigdy nie poznałam ojca, ale Powell był chętny, żeby się z nią ożenić i przyjąć mnie jak swoje dziecko. Ryder urodził się niecały rok później, a Leigh siedem lat potem. W naszym tradycyjnym mieście kobieta z trójką dzieci była rzadkością, w tym jedno z innym ojcem niż pozostałe. Ale ona nigdy nie pozwoliła, żeby nieuprzejme słowa przyćmiły blask, którym promieniowała każdego dnia. Pracowała niestrudzenie przez całe życie, żeby dać nam dach nad głową, pełne brzuchy i więcej śmiechu oraz miłości każdego dnia, niż większość dzieci miało przez całe życie.

– Moja róża uratowała palce pana Doyle’a przed amputacją – zaczęłam.

Leigh wydała z siebie dźwięk, jakby wymiotowała. Odpuściłam sobie cierń. Jeśli jeszcze sobie tego nie uświadomiły, nie zamierzałam być tą, która podzieli się z nimi informacją, że mijał rok, odkąd Ryder ostatnio napisał.

– Moja, to kiedy Jace powiedział mi...

– Jace to chłopak, którego Leigh uważa za uroczonego – przerwałam i posłałam matce konspiracyjne spojrzenie.

Mrugnęła do mnie teatralnie, a Leigh zmrużyła oczy, patrząc na nas obie.

– Jego kuzyn jest posłańcem w armii, dostarcza plany bezpośrednio od króla Garetha do jego generałów tam, gdzie nawet kruki nie mogą dotrzeć – powiedziała Leigh. – Ten kuzyn powiedział mu, że w stolicy Onyksu widział mężczyznę ze skrzydłami. – Jej oczy zrobiły się duże i niebieskie jak morze.

Spojrzałam na matkę, słysząc ten absurd, ale ona tylko skinęła uprzejmie Leigh. Starłam się zrobić to samo. Nie powinnyśmy się tak z niej naśmiewać.

– Bardzo ciekawe. Wierzysz mu? – zapytała mama, w zamyśleniu podpierając głowę dłonią.

Leigh rozważała to, podczas gdy ja skubałam gulasz.

– Nie, nie wierzę – oznajmiła po zastanowieniu. – Przypuszczam, że spotkanie żywego Fae jest możliwe, ale podejrzewam, że to raczej jakaś magia. Prawda?

– Zgadza się – przytaknęłam, chociaż wiedziałam lepiej. Fae zostali całkowicie zniszczeni lata temu. O ile w ogóle kiedykolwiek istnieli. Ale nie chciałam zniszczyć jej wymyślonej bańki.

– Widzę, czemu jesteś taka zakochana w Jasie. Jest w posiadaniu wszystkich dobrych informacji. – Uśmiechnęłam się do Leigh.



Moja matka przygryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć. To by było na tyle w kwestii nieśmiania się. Siła przyzwyczajenia.

Leigh zmarszczyła brwi i zaczęła tyradę o tym, jak *oczywiście* nie ma żadnych romantycznych uczuć wobec tego chłopca. Uśmiechnęłam się szeroko, aż za dobrze znając tę śpiewkę.

Historyjki takie jak kuzyna Jace'a ciągle krążyły wśród ludzi. Zwłaszcza w odniesieniu do Willowridge, owianej tajemnicą stolicy Onyksu. W wieczór przed odejściem Halden powiedział mi, że według pogłosek pełno tam było różnych potwornych stworzeń. Smoków, goblinów, ogrów – widziałam, że próbował mnie nastraszyć w nadziei, że skryję się w jego bezpiecznych ramionach i pozwolę mu chronić się przed wszystkim, co znajdowało się poza granicami naszego królestwa.

Ale to mnie w ogóle nie przeraziło. Wiedziałam, jak brzmiały te opowieści. Mężczyźni, z historii na historię coraz bardziej rozwinięci i utalentowani, zmieniani przez klątwę w jakieś przerażające bestie dzierżące nieznaną moc i zdolne do niewypowiedzianych tortur. W rzeczywistości byli tylko... mężczyznami. Podłymi, głodnymi władzy, skorumpowanymi, zdeprawowanymi *mężczyznami*. Niczym więcej, niczym mniej i w niczym nie gorszymi od tego, który mieszkał w moim własnym domu. Mój ojczym był bardziej podły i okrutny niż jakikolwiek potwór z opowieści.

Nie wiedziałam, czy ta prawda przyniosłaby Haldenowi więcej, czy mniej strachu tego dnia, kiedy on i Ryder zostali wysłani na wojnę. Mnie na pewno by nie pomogło, gdyby zmuszono mnie i Leigh do walki w następnej kolejności.

Prawda była taka, że nasz król Gareth robił, co w jego mocy, ale Onyks miał dużo potężniejszą armię, lepszą broń, silniejszych sojuszników i z pewnością wiele innych zalet, o których nie miałam pojęcia. Mogłabym przysiąc, że Onyks nie wygrywał tej wojny tylko z powodu jakiegoś wielkiego złego stwora, który czał się w ciemności.

Westchnienie mojej matki odciągnęło moje myśli od podłych, skrzydlatych kreatur i skierowałam je z powrotem na naszą ciepłą drewnianą kuchnię. Ostatnie promienie światła słonecznego wsączały się do pomieszczenia, sprawiając, że tańczące na palenisku płomienie rzucały cienie na jej bladą twarz.

– Moją różą jest ten gulasz i dwie piękne dziewczyny siedzące przede mną. Moja uprzejma i odpowiedzialna Arwen – szepnęła i odwróciła się do mojej siostry. – Moja śmiała, odważna Leigh.

Przełknęła. Moimi żyłami popłynął lód. Wiedziałam, co miało teraz nastąpić.

– A cierniem jest mój syn, za którym tak bardzo, bardzo tęsknię. Ale minął rok, odkąd mieliśmy od niego wieści. Myślę... – Westchnęła. – Myślę, że czas zaakceptować, że on...

– Ma się dobrze – przerwałam jej. – Ryderowi nic nie jest. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak trudno musi być przemyścić list w warunkach, w jakich zapewne się znajduje.

– Arwen – zaczęła matka, jej głos był ciepły i pocieszający, sprawiał, że skóra mrowiła mnie od jego delikatności.

Ja jednak paplałam wbrew niej.

– Możesz sobie wyobrazić wysłanie listu do takiego małego miasteczka jak nasze ze środka dżungli? Albo... z lasu? Ze środka oceanu? Kto wie, gdzie on jest? – Zaczynałam brzmieć histerycznie.

– Mnie też sprawia to ogromny smutek, Arwen. – Słaby głosik Leigh był nawet trudniejszy do zniesienia. – Ale myślę, że matka może mieć rację.

– Zdrowo jest o tym rozmawiać – powiedziała mama, ujmując moją dłoń w swoją. – O tym, jak bardzo za nim tęsknimy, jak trudno będzie żyć dalej bez niego.

Przygryzam wargę, ich poważne twarze rozdzierały mnie na pół. Wiedziałam, że miały rację. Ale powiedzenie tego na głos...

Choć jej dotyk był kojący, odsunęłam dłoń i odwróciłam twarz do okna, pozwalając, by wieczorna bryza szeptała tuż przy mojej twarzy, i zamknęłam oczy, żeby uspokoić doznania.

Moje płuca wypełniło wieczorne powietrze.

Nie mogłam być tą, która wszystko im utrudni.

Objęłam dłońmi miskę, żeby opanować ich drzenie, odwróciłam się twarzą do mojej jedynej, pozostałej rodziny.

– Macie rację. Jest mało prawdopodobne, że on...

Ogłuszający dźwięk otwierania naszych drzwi frontowych sprawił, że miska wypadła mi z rąk i roztrzaskała się na podłodze. Pomarańczowa ciecz rozchlapała się wszędzie jak świeża krew. Odwróciłam się i zobaczyłam, że twarz mojej matki rozciąga się w szoku.

Przed nami, dysząc ciężko, z zakrwawioną twarzą, opierając się o framugę drzwi, żeby wesprzeć wykręconą rękę, stał mój brat, Ryder.

## DRUGI

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Potem drgnęliśmy wszyscy naraz.

Skoczyłam na równe nogi, z sercem w gardle, puls łomotał mi w uszach. Widziałam wyraźnie malujący się na twarzy Rydera ból. Matka rzuciła się na niego, łzy wypełniły jej oczy, Leigh zamknęła za nami drzwi, a ja pomogłam im obojgu usiąść przy stole.

Przepłynęła przeze mnie fala ulgi, przemożna i obezwładniająca. Ledwo mogłam stać przez natłok emocji.

On żył.

Powstrzymałam głośnie westchnienie i przyjrzałam się bratu. Na jego ścięte na języka, piaskowe włosy, jasnoniebieskie oczy jak gwiazdy, żylastą, tyczkową sylwetkę. Wyglądał teraz tak obco w naszym małym domku – za brudny i zbyt chudy.

Leigh odepchnęła miski ze stołu na bok, wspięła się na górę i usiadła dokładnie naprzeciwko niego. Oczy Rydera były przepełnione radością, ale błyszczało w nich też coś innego. Coś mroczniejszego.

Czekałam, aż szok opadnie, ale moje serce wciąż biło tak szybko, że odnosiłam wrażenie, jakby moja klatka piersiowa wibrowała.

– Ależ ty urosłaś! – zawołał Ryder do Leigh, dłoń jednej ręki nadal przyciskał do ramienia drugiej.

Bandaże. Potrzebował bandaży.

Zaczęłam przetrząsać szuflady, aż jakieś znalazłam, po czym przyniosłam mu też koc i wodę.

– Proszę – powiedziałam, owinęłam go kocem i pocałowałam w czubek głowy, uważając, by omijać ramię.

– Co się stało? Dlaczego wróciłeś wcześniej? – zapytała Leigh gorączkowo. – Arwen, co mu jest? Co się dzieje? Matko?

Nasza mama milczała, a łzy spływały jej po policzkach. Ryder ujął jej dłoń.

Ale Leigh miała rację. Choć wspaniale było mieć go tu z powrotem, coś było nie tak. To, że wrócił do domu tak wcześnie, bez batalionu, bez pochodu...

Nie wspominając już o otwartych ranach.

Musiał zdezerterować.

– Uspokój się – wychrypiał. – I ścisz głos.

– Leigh ma rację – wykrztusiłam. – Jakim cudem wróciłeś? Co ci się stało?

Oderwałam kawałek poplamionego krwią materiału z jego tuniki i użyłam go jako opaski uciskowej na ranę na ramieniu. Było to głębokie, poszarpane rozcięcie, z którego szarłat sączył się strumyczkami. Kiedy tylko moje dłonie dotknęły jego skóry, poczułam znajome mrowienie i zaczęłam zasklepiać poszarpane ciało.

Zamknięcie rany pomogło nam obojgu, uspokoiło nas i spowolniło puls. Po tym, jak ciasno owinęłam jego ramię bandażem, zabrałam się do pracy, starając się umieścić jego staw barkowy z powrotem w panewce, z której wyskoczył.

Ryder zamknął oczy i się skrzywił.

– Wszystko w porządku. Teraz jestem znowu z moją rodziną. Tylko to się liczy.

Pochylił się, żeby pocałować Leigh i matkę w czoło. Leigh udając niechęć, wytarła się po pocałunku.

Matka trzymała w dłoniach jego zdrową rękę, ale knykcie zbieleły jej od siły nacisku.

– Ry – zapytała, tracąc cierpliwość. – Nie tylko to się liczy. Gdzie są pozostali żołnierze? I dlaczego krwawisz?

Ryder przełknął z trudem i spojrzał mi w oczy.

– Kilka tygodni temu – powiedział cicho. – Nasz konwój natknął się na batalion Onyksu na ziemiach Bursztynu. Słyszeliśmy, że stracili sporo ludzi, więc myśleliśmy, że to będzie łatwa walka. Podeszliśmy do ich obozu powoli, ale i tak... – Zawahał się, jego głos brzmiał szorstko. – To była zasadzka. Wiedzieli, że nadchodzimy. Wszyscy moi przyjaciele zostali zabici, a ja ledwo uszedłem z życiem.

Coś przerażającego pojawiło się w mojej głowie i poczułam mdłości, że tak długo zajęło mi dojście do tej myśli.

– Halden? – zapytałam, mój głos okazał się ledwo słyszalny, a żołądek zamienił się w ołów.

– Nie! Nie, Arwen. – Jego oczy przepełniał ból. – Nie był w naszym konwoju. Ja... szczerze mówiąc, nie widziałem go i nie miałem od niego wiadomości od miesięcy. – Ryder spuścił wzrok i zmarszczył brwi. – Nie sądziłem, że uda mi się wydostać... – Ostatnie kliknięcie i nastawiłam mu bark.

– Ach! Cholera! – Stęknął, łapiąc się za ramię.

– Język – powiedziała matka z przyzwyczajenia, chociaż nadal była zbyt zszokowana, żeby naprawdę się złościć.

Ryder ostrożnie poruszył ramieniem, żeby je wyczuć. Ciesząc się ponownie sprawnym barkiem, wstał, a gdy zaczął przed nami chodzić, we mnie znów uderzyło, jaki był szczupły i wysoki. Opadłam osłabiona na krzesło i posłałam matce zmartwione spojrzenie.

– Schowałem się za dębem. Myślałem, że to ostatnie chwile mojego życia, że w każdej sekundzie mogą wpaść na mnie i wyrwać mi kończyny. Straciłem moich ludzi, byłem ranny. Wszystko się skończyło... i wtedy uświadomiłem sobie, wyśpiewując łabędią pieśń, że cały batalion Onyksu odszedł. Nie zauważyli mnie.

Przyglądałam mu się uważnie. W jego oczach błyszczało zbyt wiele zadowolenia. Nie tylko radości z powodu powrotu do domu, ale czegoś jeszcze. Nieprzyjemne uczucie pojawiło się w moim żołądku.

– Więc zacząłem się powoli wycofywać i dosłownie potknąłem się o sakiewkę z monetami większą od mojej głowy. Monetami Onyksu. – Przerwał, żeby na nas spojrzeć, ale nie sądziłam, żeby ktokolwiek w ogóle oddychał. Mój brawurowy, lekkomyślny brat.

Modliłam się, żeby nie zrobił tego, czego się obawiałam.

– Musieli je zgubić w trakcie walki. Więc zabrałem je i przybiegłem aż tutaj. Biegłem przez ostatnie półtora dnia.

*Przeklęte Kamienie.*

– Ryder, nie zrobiłeś tego – wydyszałam.

Płomienie w palenisku ledwo się tliły spowijając pokój tańczącymi cieniami.

– Król każe cię zabić – wyszeptała moja matka. – Za porzucenie batalionu.

– Cóż, to nie ma znaczenia.

– Dlaczego nie? – Ledwo mogłam wydusić z siebie słowa.

Westchnął.

– Dotarłem do miejsca oddalonego zaledwie kilka godzin od Abbington, kiedy zauważyłem kolejny batalion ludzi Onyksu. Musieli zauważyć barwy Onyksu albo uznali mnie za podejrzanego czy coś, ale poszli za mną. I...

– Doprowadziłeś ich do nas? – wtrąciła Leigh, jej głos podskoczył o oktawę.

– Ćśś – wyszeptał. – Nie mów tak głośno, dobrze? Nie znajdą nas, jeśli zrobicie to, o co proszę, i to szybko.

Odwróciłam się, żeby wyjrzeć przez okno. Nie byłam nawet pewna, kogo – albo czego – szukałam.

– Czemu mieliby nas nie odszukać? – zapytałam. – Gdzie mielibyśmy się znaleźć?

Oczy Rydera rozbłysły.

– W Królestwie Granatu.

Osunęłam się niżej na krześle. Czułam, że zaczynało mnie mdlić.

Ryder musiał zauważyć przerażenie na naszych twarzach, bo usiadł z powrotem i spróbował jeszcze raz, bardziej poważnie.

– Widziałem, co tam się dzieje. Jest gorzej, niż sądziliśmy. Nasze królestwo rozpada się w tej bitwie. Nie wygramy. – Mięśnie jego szczęki zadrgały, kiedy

westchnął. – Pogłoski są prawdziwe, mają ogromną przewagę liczebną. Kobiety zostaną powołane następne i to wkrótce. Arwen... ty i Leigh... nie zdołacie uciec. – Odwrócił się do naszej matki i ponownie ujął jej dłoń. – A ty, mamó, zostaniesz tutaj. Nie chcę nawet myśleć, jak Abbington będzie wtedy wyglądać. Z wszechobecnymi buntownikami i twoim zdrowiem... – Umilkł, patrząc na mnie.

Wiedziałam, co sugerował, starałam się powstrzymać ucisk w żołądku.

– Granat jest na tyle daleko, żeby uniknąć walk i na tyle blisko, żebyśmy dotarli do niego łodzią. Możemy tam zacząć nowe życie. – Spojrzał znacząco na matkę, potem na Leigh i na mnie. – Razem, z daleka od wojny, która stanie się tylko gorsza.

– Ale nie mamy łodzi. – Niepewny ton matki mnie zaskoczył.

Ja powiedziałabym na to: „Chyba postradałeś rozum”.

– Mam tu wystarczająco dużo monet Onyksu, żeby zapewnić naszej czwórce bezpieczną przeprawę dziś wieczorem. Musimy wyruszyć już teraz i udać się do portu. Dotrzemy do Granatu w zaledwie kilka dni. Ale, mamó, musimy działać szybko.

– Dlaczego? – wyszeptała Leigh.

– Bo ludzie Onyksu nie są daleko za mną. Już nie jesteśmy tu bezpieczni.

Po tych słowach w pokoju zapadła cisza, przerywana tylko odgłosami wiatru hulającego w gałęziach drzew, słyszanych przez otwarte za mną okno. Nie mogłam patrzeć ani na matkę, ani na Leigh, gdy moje myśli wirowały zupełnie jak zawartość żołądka.

Możliwości były dość jasne: zostać i patrzeć, jak Ryder zostanie pobity i zamordowany w moim własnym domu przez rozsierdzonych żołnierzy, którzy potem zapewne zabiliby również nas, albo spakować wszystko, co posiadamy, i popłynąć przez morze do nieznanych ziem i zacząć od nowa. W żadnym wypadku nie było gwarancji bezpieczeństwa i przetrwania.

Ale nadzieja jest podstępna.

Nawet załątek myśli, że nasze życie mogłoby być czymś więcej niż to, co mieliśmy w Abbington – że Leigh i ja mogłybyśmy uniknąć poboru i dalej opiekować się matką, może nawet zdobyć dla niej większą pomoc, lepsze leki – to wystarczyło, żeby podnieść mnie na nogi.

Nie chciałam opuszczać Abbington. Świat poza naszym miastem był nieznanym – przepastnym.

Ale nie mogłam im pokazać, jak bardzo czułam się przerażona.

To wszystko, do czego dążyłam – żeby się nimi zaopiekować. Być na tyle silna, żeby ich ochronić. To była moja szansa.

– Musimy iść.

Leigh, Ryder i matka spojrzeli na mnie z takim samym zaskoczonym wyrazem twarzy, jakby to przecwicyli.

– Dziękuję, Arwen. – Brat odezwał się pierwszy, potem odwrócił się do matki i Leigh. – Ona ma rację, musimy ruszać teraz.

– Jesteś pewny? – zapytała matka, jej głos był ledwo słyszalnym szeptem.

– Tak – powiedziałam za niego, chociaż sama nie byłam. Ani trochę.

To wystarczyło, żeby ona i Leigh zaczęły wrzucać tuniki i książki na chybił trafił do walizek za małych o dwa rozmiary. Ryder dołączył do nich, jego obolałe ramię ledwo powstrzymywało go przed braniem wszystkiego, co mógł unieść w rękach.

*To luksus*, powiedziałam sobie. *Błogosławieństwo*.

Gdyby ktokolwiek z Abbington mógł pozwolić sobie na taką podróż albo miał dokąd pójść, odeszliby wiele lat temu.

Wybiegłam na zewnątrz, żeby zebrać trochę jedzenia z ogrodu na podróż i pożegnać się ze zwierzętami. Leigh już tam była, szlochając przy naszej krowie, Bells i koniu Hoovesie, obojgu nadała imiona gdy była mała. Miała niezwykłą więź z naszymi zwierzętami, karmiła je każdego ranka i wieczora. Zwłaszcza Bells miała z dziewczyną relację, której nie wyobrażaliśmy sobie zerwać, nawet z powodu desperackiego głodu.

Szlochy Leigh niosły się po podwórku, a serce zaczęło mnie naprawdę boleć. Poczułam nawet zaskakujący ciężar w piersi, kiedy sama podeszłam do zwierząt. Ich kochane pyszczki były stałym elementem mojego życia, a bez ich codziennego widoku nie wyobrażałam sobie budzić się rano. Pogłaskałam oba, przyciskając policzek do ich pysków i poczułam ciepłe oddechy na twarzy, tak kontrastujące z chłodem nocy.

Pogłaskałam Leigh po plecach.

– Musimy iść. Idź po sakiewkę z lekami matki. Uwiążę zwierzęta. Nora się nimi zajmie, obiecuję.

Leigh przytaknęła i wytarła nos bawełnianym rękawem.

Pomyślałam o Norze. Czy będzie mnie potrzebowała w szpitalu? Była twardą kobietą, ale będę za nią tęsknić. W pewnym sensie to moja jedyna przyjaciółka.

Łzy zakłuły mnie w oczy z powodu zwierząt, mojej pracy i skromnego życia, które wiodłam tu, w Abbington, oraz przez wszystkie nieprzychylne myśli o nowym doświadczeniu, które naszyły mnie właśnie teraz, kiedy miałam szansę na coś więcej. Byłam naprawdę przerażona.

Uświadomiłam sobie, z kolejnym ukłuciem smutku, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczę też Haldena. Nawet jeśli wróci bezpiecznie, na co nadal miałam nadzieję, nie zdoła odnaleźć nas w Królestwie Granatu.

Nie mogłam zostawić mu wiadomości, bo żołnierze Onyksu mogliby ją odnaleźć.

Nie dowiem się już, co mogło między nami zajść i czy nauczyłabym się go kochać. Ta myśl sprawiła, że moje serce pękło ponownie. Byłam taka wdzięczna, że Ryder wrócił do domu, ale nigdy bym nie pomyślała, że przez to czekać mnie będzie tyle pożegnań.

Nie chciałam wyjeżdżać. Nic nie mogłam na to poradzić – to zbyt wiele zmian.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, zerknęłam na nasz dom po raz ostatni. Wyglądał niesamowicie pusto. Jak dziwnie było myśleć, że zaledwie dwie godziny temu jadłyśmy gulasz na kolację, jak każdego wieczoru, a teraz uciekaliśmy do obcego królestwa.

Zamknęłam za sobą drzwi, a Leigh pomogła matce zejść piaszczystą ścieżką. Doki znajdowały się w sąsiednim miasteczku i będzie to dla niej daleka droga. Szłam obok wciąż utykającego Rydera, który – oczywiście – nie pozwoliłby sobie pomóc.

– Nie wierzę w to – wyszeptałam.

– Wiem – odpowiedział i spojrzął za nas. Odwróciłam się, serce łomotało mi w piersi, ale nikogo tam nie było.

Szliśmy w ciszy.

Słońce pięknie zachodziło za górami, różowe i fioletowe niebo zasnuwały chmury.

– To znaczy – ciągnęłam – poszedłeś na wojnę, zostawiłeś nas na rok. Naprawdę myślałam, że nie żyjesz. Potem wracasz do domu, wyglądając jak połamana lalka, ze skradzionym majątkiem, który wystarczy na rozpoczęcie nowego życia w innym królestwie. Kim jesteś? Bohaterem z opowieści?

– Arwen – zatrzymał się i odwrócił do mnie – wiem, że się boisz.

Spróbowałam słabo zaprotestować, ale on mówił dalej:

– Ja też. Ale zobaczyłem okazję i skorzystałem z niej. Nie chcę spędzić reszty życia, walcząc o Królestwo Bursztynu, bardziej niż ty nie chcesz spędzić reszty życia, mieszkając w nim. To może zmienić nasze losy, a dla mamy to szansa na wyzdrowienie. Leigh może mieć lepsze dzieciństwo. Tak trzeba zrobić. – Ujął moją dłoń i ścisnął. – Jestem tu, żeby się wami zaopiekować. Nie musisz się już martwić.

Przytaknęłam, mimo że uświadomiłam sobie, jak niewiele brat o mnie wiedział. Z radością spędziłabym tutaj resztę życia. Może „z radością” nie było jednak odpowiednim określeniem, ale przynajmniej bym żyła.

Szliśmy dalej, zachodzące słońce znikało za górami i zalewało wszystko wokół niebieską poświatą. Cienie rozciągały się na ścieżce, a ja wzdrygałam się i odwracałam przy każdym odgłosie, każdym szeleście za plecami, chociaż nikogo tam nie było.



Zaglądałam pomiędzy jakieś krzaki, szukając źródła czegoś, co mogłabym przysiąc, że brzmiało jak kroki, kiedy Leigh zeszytniała i odwróciła się do nas zaalarmowana.

– Co się dzieje? – wydyszałam, osłaniając ją własnym ciałem.

– Nie... sakiewka... – wyszeptała, przeszukując mały, płócienny worek.

– Co? – zapytałam, a moje serce całkiem przestało bić.

Spojrzała na naszą matkę.

– Fiolki są puste. – Jej oczy wypełniły się łzami, kiedy ruszyła z powrotem do naszego domu. – Jej lekarstwa. Musimy wrócić.

Przeszedł mnie gwałtowny dreszcz.

Nie nalałam lekarstwa do fiolek w sakwie. Zostawiłam je do schłodzenia i zaczęłam gotować kolację. Ryder wrócił do domu...

W całym tym zamieszaniu powiedziałam Leigh, żeby zabrała sakiewkę, ale jej nie uzupełniłam.

Nagle moje serce zaczęło bić tak szybko, że je słyszałam.

– To moja wina – wydyszałam. – Muszę po nie wrócić. Pobiegnę szybko.

– Nie. – Głos matki był ostrzejszy niż kiedykolwiek. – Nie bądź śmieszna. I tak już dużo ryzykujemy. Kto wie, jak długo podążali za twoim bratem? Nic mi nie będzie.

– Nie, mamo, potrzebujesz ich. Arwen jest szybka. – Ryder odwrócił się do mnie. – Biegnij prędko, bo inaczej spóźnisz się na łódź.

Wiem, co sugerował – mogłam natknąć się na żołnierzy, którzy siedzieli mu na ogonie. Leigh płakała, ale starała się stłumić szloch.

– Zaraz wrócę i spotkamy się w doku. Obiecuję. – Rzuciłam się pędem, nie czekając na ich protesty.

Nie mogłam uwierzyć we własną głupotę.

Po całej tej presji, jaką na sobie wywierałam, żeby zająć się rodziną i wejść w rolę Rydera i żeby tak bardzo się nie bać.

Popędziłam ścieżką, mijając domy pełne rodzin szykujących się do snu i gaszących paleniska. Księżyc wznosił się teraz na niebie, blade, wieczorne światło powoli zastępował błękit północy.

Sprint do naszego domu dał mi tak potrzebą chwilę wytchnienia. Uczucie spokoju owionęło mój złęczony umysł. Puls stał się rytmiczny. Kroki również. Łup, łup, łup. Zanim dobiegłam do naszego domu, już czułam się lepiej.

Na chwilę schowałam się za jabłonką, ale nie dostrzegłam żadnych żołnierzy, żadnych koni czy powozów nigdzie w pobliżu naszego obejścia. Żadnych odgłosów czy świateł ze środka.

Bells i Hooves byli spokojni, oboje leniwie skubali siano.

Wypuściłam powietrze, a pot po szaleńczym biegu chłodził mi twarz.

Może Ryder się mylił i w ogóle za nim nie podążali? Albo, co bardziej prawdopodobne, odpuścili sobie ściganie jednego samotnego złodzieja.

Teraz widziałam, że wszystko będzie dobrze.

Dopóki byliśmy razem, mogliśmy stawić czoła tej podróży. Ja mogłam.

Otworzyłam drzwi z cichym skrzyknięciem i stanęłam twarzą w twarz z jedenastoma żołnierzami, skąpanymi w cieniach, siedzącymi przy naszym kuchennym stole.

## TRZECI

– Ktoś tu opuszczał dom w pośpiechu.

Szorstki głos wydobył się z gardła groźnie wyglądającego mężczyzny rozwalonego na krześle tuż przede mną i wywołał wrażenie, jakby ktoś przesuwiał tępy nożem po moich plecach. Nieznajomy oparł ubłocone buciory o stół, który Ryder tak skrupulatnie polerował przez wiele lat.

Ogarnęło mnie przerażenie tak miażdżące, że ledwo byłam w stanie myśleć. Miałam zbyt sucho w ustach, żeby zmusić się do przełknięcia. Nie traciłam czasu, żeby oceniać resztę rozgrywającej się przede mną sceny – odwróciłam się na pięcie i przygotowałam do ucieczki, by ratować życie. Ale młody żołnierz z twarzą usianą śladami po ospie z łatwością szarpnął mnie w tył za włosy.

Skóra głowy zaboląła, aż jęknęłam.

Drzwi się zatrzasnęły, a żołnierz wciągnął mnie do środka. Metaliczna woń krwi uderzyła w moje nozdrza. Przesuwałam spojrzeniem po domu – w rogu, krwawiąc na naszą podłogę, leżał łysy żołnierz w źle dobranym mundurze Onyksu, wyraźnie za małym na jego ogromne ciało. Miał otwartą ranę, praktycznie przepoławiającą jego tors, a dwaj żołnierze obok niego wpychali w nią szmaty, lecz nie przynosiło to oczekiwanych rezultatów. Wielki żołnierz jęknął w agonii, a moc w moich palcach zamrowiła w potrzebie pomocy, pomimo jego poglądów i barw.

Starałam się nie zastanawiać, jaki konwój prawie traci człowieka, a i tak włamuje się do domów i szarpie młodą dziewczynę za włosy, jakby to nie było nic takiego.

Każdy z żołnierzy miał na sobie czarną, skórzaną zbroję, niektóre wysadzone srebrnymi ozdobami. Kilku z nich miało ciemne hełmy przypominające wydrążone czaszki, błyszczące w nadal kurczącym się świetle świecy w mojej kuchni. Inni nie mieli żadnych hełmów, co wydawało się jeszcze bardziej przerażające, gdy patrzyłam w zakrwawione, zimne twarze.

Żaden z żołnierzy nie wydawał się przejęty okropną sceną rozgrywającą się w rogu. W niczym nie przypominali naszych mężczyzn z Bursztynu, przy nich nasi zbrojni wyglądali jak mali chłopcy – którymi, prawdę mówiąc, byli. Zebrani w małej przestrzeni mojego rodzinnego domu to groźni, brutalni wojownicy, których nigdy nie zmuszano do walki, a raczej trenowano przez całe życie, jak zabijać i tylko zabijać.

Co jeszcze nas czeka? Nikczemny król Onyksu był znany ze swojego okrucieństwa, a jego armia została stworzona na jego podobieństwo.

– Jak się nazywasz, dziewczyno? – zapytał ten sam żołnierz, który odezwał się jako pierwszy. Był jednym z tych, których skórzana zbroja była przetykana srebrnymi ćwiekami. Nie nosił hełmu, miał kwadratową twarz, małe oczy i ani jednej zmarszczki wywołanej uśmiechem.

Od razu rozpoznałam tego typu człowieka.

Nie z wyglądu, ale bardziej przez jego warknięcie, zimną pewność siebie i gniew, który wзираł z jego oczu.

Dorastałam z kimś takim.

Wyrwało mi się drżące westchnienie.

– Arwen Valondale. A ty?

Mężczyźni zaśmiali się, złośliwość pomieszana z okrucieństwem i podszyta odrobiną litości wypływała z nich falami. Skurczyłam się w sobie, choć wcale tego nie chciałam.

– Możesz do mnie mówić „porucznik Bert” – powiedział, wyginając wargi. – Jak się miewasz?

Zaśmiali się teraz głośniej, zachęceni przez swojego przywódcę.

Przygryzłam język. Było w nich coś, czego nie umiałam ubrać w słowa. Moc wydawała się z nich wrywać. Zadrżałam, moje kolana uderzyły o siebie w niezgodnym rytmie. To żadne zaskoczenie, że te potwory zabiły konwój Rydera z taką łatwością. W myślach podziękowałam Kamieniom, że jakoś udało mu się ująć z życiem.

– Załatwię to z tobą szybko, a to więcej niż zaoferowałiby ci moi kamraci. Śledziliśmy młodego mężczyznę aż do tego domu. Ukradł nam pokaźną ilość monet i chcielibyśmy je odzyskać. Powiesz nam, gdzie jest, a my zabijemy cię szybko? Może być?

Z całej siły złączyłam nogi i zakrztusiłam się powietrzem.

– Nie znam mężczyzny, który tu mieszka. – Przełknęłam z trudem, przeszukując myśli w poszukiwaniu jakichkolwiek dowodów w domu, które mogłyby połączyć mnie z Ryderem. – Przyszłam tylko pożyczyć trochę mleka. Widziałam, że mają krowę.

Usta Berta zacisnęły się w wąską linię. Mijały sekundy, gdy rozważał swój kolejny ruch. Wiedziałam, że wyczuł moje kłamstwo. Kompletnie nie potrafiłam mijać się z prawdą. Serce waliło mi w piersi jak młotem.

Posłał mi uśmiech i zerknął na mnie pustymi oczami, a potem skinął na mężczyznę z bliznami na twarzy, który nadal trzymał mój warkocz owinięty

wokół dłoni.

– W takim razie zabij ją. Nie przyda nam się.

Żołnierz za mną zawahał się przez chwilę, ale zaczął ciągnąć mnie do drzwi frontowych.

– Czeka! – poprosiłam.

Żołnierz zatrzymał się i spojrzał na mnie. W jego ciemnobrązowych oczach nie znalazłam nic, poza żądzą rozlewu krwi.

Musiałam myśleć bardzo, bardzo szybko.

– Wasz człowiek, ten tam w rogu – wykrztusiłam, patrząc bezpośrednio na Berta – umrze w ciągu kilku minut, jeśli nie otrzyma pomocy.

Bert zarechotał.

– Skąd taki pomysł? Może podpowiedziały ci to jego zwisające flaki?

– Jestem uzdrowicielką – odparłam z fałszywą odwagą. – Źle uciskają mu ranę. Dostanie posocznicy. – To była prawda. Mężczyzna miał konwulsje, strumienie czerwieni wypływały z jego brzucha i wsączyły się w drewnianą podłogę mojego domu.

Bert pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby mógł zostać ocalony nawet przez kogoś takiego jak ty.

Ale mylił się.

– Pozwól mi go wyleczyć w zamian za moje życie.

Bert przygryzł wewnątrz policzka. Modliłam się do wszystkich Kamieni, żeby ten wielki, blady, umierający mężczyzna był wartościowy.

Mijały minuty.

Całe wieki.

– Wszyscy wyjść – warknął wreszcie Bert do reszty mężczyzn.

Wypuściłam długi, powolny oddech, a uścisk na moich włosach znikł. Potarłam tył głowy, skóra wydawała się wrażliwa, wręcz posiniaczona. To akurat najmniejsze z moich zmartwień.

Żołnierze wyszli jeden po drugim. Nawet dwaj, którzy próbowali ratować rannego, podnieśli się bez dyskusji i wyszli przez drzwi. Pozostawili mnie, Berta i pacjenta na podłodze samych, a na ich twarzach nie malował się żaden wyraz. Pułkownik zdjął nogi ze stołu i podniósł się z westchnieniem. Strzelił karkiem, wyraźnie zmęczony tym, jak potoczył się wieczór, a potem skinieniem kazał mi podejść do umierającego.

Moje nogi poruszały się jak ołów w wodzie, aż klęknęłam obok rannego, a Bert zawisł za mną.

– I tak byłoby naprawdę szkoda – powiedział Bert, znajdując się bliżej mojej twarzy, niżbym mogła sobie tego życzyć. – Taka słodka, delikatna dziewczyna. Martwa w tak młodym wieku. Zanim ktokolwiek dobrze ją wykorzystał.

Czuć było od niego piwem. Wzdrygnęłam się, a to jeszcze bardziej ucieszyło Berta.

– Wylecz go i zobaczymy, jak hojny zamierzam wtedy się stać.

Odwróciłam się do rannego mężczyzny, jego twarz przypominała przerażoną maskę.

Mogłam się z tym utożsamić.

– Wszystko dobrze, sir.

Dwa z jego żeber były potrzaskane pod dziwnym kątem, a klatka piersiowa rozdarta i częściowo zamieniona w papkę, jakby coś go rozerwało. Nie była to rana ani od miecza, ani od strzały, nie widziałam też poparzeń sugerujących strzał lub eksplozję.

– Co się stało? – wydyszałam bez zastanowienia.

Wielki Mężczyzna próbował coś powiedzieć, wydał z siebie ohydny skrzek, ale Bert mu przerwał.

– Istnieją bardziej przerażające rzeczy niż ja, dziewczyno. Takie, których nie potrafisz sobie nawet wyobrazić.

Nie znosiłam jego głosu – przypominał grzechotanie pustej butelki po ginie – ani sposobu, w jaki jego oczy przesuwają się po moim ciele, oglądając moje piersi bez najmniejszego skrępowania.

– Potrzebuję alkoholu i czystych tkanin. Mogę przejść się po domu? Zobaczyć, co znajdę?

Bert pokręcił głową z błyskiem w oku.

– Masz mnie za głupca? – Wyjął flaszeczkę z buta i mi ją podał. – Tu masz alkohol, a jako bandaże możesz użyć swojej tuniki. Na moje oko wygląda na czystą.

Z fałszywym spokojem wzięłam butelkę z jego dłoni, knykcie miał oblepione brudem, i przeniosłam wzrok na rannego żołnierza.

Przez całe życie ukrywałam swoją moc. Nigdy nie pozwalałam nikomu zobaczyć, do czego dokładnie byłam zdolna. Matka powiedziała mi wiele lat temu, że zawsze znajdą się ludzie, którzy spróbują wykorzystać mój dar, a to było jeszcze przed wojną. Teraz wszyscy nieustannie cierpieli, a moja umiejętność stała się jeszcze cenniejsza.

Nie było mowy, żeby wyleczyć tego mężczyznę bez wykorzystania moich zdolności. Padłby martwy w ciągu godziny, jeśli nie szybciej, ale nie mogłam użyć swojej mocy tak, żeby Bert tego nie widział. Nawet gdybym wymyśliła jakieś zaklęcie,

moja moc nie wyglądała jak magia wiedźmy. Nie towarzyszył jej wiatr ani ogłuszająca cisza, po prostu magia sączyła się z moich palców.

Nawet jeśli nie miałabym za plecami czujnie obserwującego mnie porucznika, to gdyby ten barczysty żołnierz wstał i wyszedł z domu po odniesieniu takiej rany, nie zdołałabym zrzucić tego na karb swoich znakomitych zdolności chirurgicznych.

Na myśl o wyborze, którego musiałam dokonać, gwałtowny dreszcz przeszedł mi wzdłuż kręgosłupa.

Ale to w zasadzie w ogóle nie był wybór – nie mogłam pozwolić, żeby ten człowiek umarł ani żeby oni mnie zabili.

Przygotowałam się.

– To zaboli – powiedziałam do Wielkiego Mężczyzny.

Przytaknął ze stoickim spokojem, a ja wylałam alkohol na jego zakrwawioną ranę i swoje dłonie. Jęknął w agonii, ale się nie poruszył.

Wtedy uniosłam ręce nad jego pierś i odetchnęłam głęboko.

Mruczałam, a moje zmysły przechodziły przez żołnierza falami, czułam, że jego organy spajały się z powrotem, krew płynęła wolniej, puls się uspokajał. Jego skóra zaczęła się zrastać, świeże, nowe ciało rozkwitało pod moimi dłońmi.

Mój puls również zwolnił. Adrenalina chłodziła żyły, a supeł, w który zwinął się mój żołądek, poluzował się powoli. Rozchyliłam powieki i spojrzałam na Wielkiego Mężczyznę. Wyglądał na zdumionego, gdy patrzył, jak jego ciało łączyło się z powrotem, jakby ktoś naprawiał zepsutą zabawkę. Oddech mężczyzny nabrał spokojniejszego rytmu, a rana stała się brzydką, postrzępioną, różową blizną, ciągnącą się przez cały brzuch.

Westchnęłam i zamknęłam oczy tylko na chwilę, żeby zebrać odwagę. Jedyne, czego teraz potrzebował, to bandaż, a ja nie zamierzałam pozwolić, żeby ordynarny pułkownik mnie poniżał. Jednym, płynnym ruchem zdjęłam tunikę przez głowę i pozostałam w cienkim biustonoszu bez ramiączek. Starłam się ignorować palące spojrzenie Berta, spoczywające na moich piersiach.

Owinęłam bluzkę wokół rany żołnierza i zawiązałam ciasno jej końce.

Bert wstał za mną i zaczął w zamyśleniu krążyć po kuchni. Decydował właśnie o moim losie.

Ledwo mogłam oddychać. Nigdy nie czułam takiego strachu. Strachu, który wstrząsał moimi dłońmi, powodował, że szczękałam zębami i drżałam na całym ciele aż do kości.

– Dziękuję, pułkowniku – wychrypiał Wielki Mężczyzna, ale Bert nadal był pogrążony w myślach. Bezimienny spojrzał na mnie z widocznym w oczach osłabieniem.

– I dziękuję tobie, dziewczyno.

Ledwo zauważalnie skinęłam głową.

– Jak to zrobiłaś? Jesteś wiedźmą?

Pokręciłam głową.

– Jak się czujesz? – Moje słowa były tak ciche, że nie byłam pewna, czy w ogóle się odezwałam.

– Dużo mniej bliski śmierci.

– W porządku – rzucił Bert. – Chodźmy znaleźć dzieciaka. Dziewczynę zabierzemy ze sobą.

*Nie, nie, nie, nie...*

Nie byłam w stanie ani mówić, ani oddychać – przepływało przeze mnie zbyt wiele strachu, serce łomotało mi tak szybko, że mogłam w każdej chwili zwymiotować na leżącego przede mną żołnierza.

Nie mogłam im pozwolić znaleźć mojej rodziny. Bert nie miał prawa dostać się w pobliże Leigh. Posłałam błagalne spojrzenie Wielkiemu Mężczyźnie, który miał w sobie na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na bardziej zbolełego niż wtedy, gdy umierał.

Dobiegły mnie kroki dwójki żołnierzy – wracali, żeby pomóc wynieść go na zewnątrz.

Rozejrzałam się po kuchni. Bert wyszedł.

Jeśli zamierzałam uciec, to prawdopodobnie była moja jedyna szansa.

Puls łomotał mi w uszach, gdy poderwałam się i popędziłam w stronę sypialni. Lepiej byłoby mi wymknąć się przez okno niż frontowymi drzwiami, przy wszystkich tych uzbrojonych mężczyznach czekających na zewnątrz. Dwaj żołnierze krzyknęli, żebym się zatrzymała, ich głosy dudniły donośnie, czułam to aż w kościach i zębach – ale biegłam dalej, unikając jednej wyciągniętej ręki za drugą, wokół paleniska, obok stołu kuchennego aż otworzyłam drzwi do sypialni matki.

Znajdowało się w niej okno.

Tuż nad łóżkiem, gdzie nadal leżała zmięta pościel i koce. Pachniały nią – szałwią, potem i imbirem.

Byłam tak blisko.

*Tak blisko...*

Ale byłam też taka zmęczona. Po wyleczeniu pana Doyle'a, ramienia Rydera i całego brzucha Wielkiego Mężczyzny, miałam zawroty głowy, czułam się wyczerpana, moje kończyny stały się wiotkie, a oddech nierówny. Odepchnęłam się nogami tak mocno, jak mogłam, wzrok mi się rozmazywał, a moje palce w końcu, w końcu prawie dotknęły kraciatej zasłony okalającej okno...



Nagle szorstka ręka zacisnęła się na moim ramieniu i pociągnęła w tył z niezmierną siłą, aż uderzyłam w jego pierś.

Nie. *Nie*.

– Szybka jest, co? – powiedział do dyszącego żołnierza, któremu uciekłam wokół paleniska.

– Tak, na Kamienie – wydyszał pułkownik, opierając dłonie na kolanach.

Z mojego gardła wyrwał się wrzask – wściekły, dziki i ociekający strachem.

– Dość tego – warknął żołnierz, zasłaniając mi usta i nos brudną dłonią.

Nie mogłam *oddychać*.

Dziko młóciłam rękami, a on zabrał rękę z mojej twarzy, żeby przytrzymać mi oba ramiona.

– Nie prowokuj mnie, żebym cię znokautował, dziewczyno. Nie chcę tego, ale zrobię co trzeba, żebyś się zamknęła.

Przygryzłam język na tyle mocno, żeby zabolęło.

Musiałam wziąć się w garść. Musiałam...

Dwaj żołnierze wyprowadzili mnie na zewnątrz, gdzie reszta mężczyzn Onyksu zebrała się wraz z końmi. *Przekłęte Kamienie*, nawet ich konie były przerażające. Kruczoczarne, z dzikimi, potarganymi grzywami i oczami tak czarnymi, że wydały się pozbawione źrenic.

Nie mogłam się zmusić, żeby spojrzeć w miejsce, gdzie trzymaliśmy Bells i Hoovesa. Nie chciałam wiedzieć, czy ci okrutni mężczyźni zachowali je przy życiu. Pomyślałam o Leigh i mojej matce. Co mogłyby zobaczyć, gdyby po mnie wróciły. Krew na podłodze...

Wiłam się w uścisku żołnierza, kopiąc i dysząc.

– Daj spokój, dziewczyno. Już się pobawiłaś, wystarczy. – Żołnierz przycisnął mnie do siebie, aż znieruchomiałam.

Taka wyczerpana, taka zmarznięta...

Po prostu nie mogłam im pozwolić, żeby ruszyli za Ryderem, moją matką, Leigh...

Odwróciłam twarz i zawołałam do Berta, który siedział na grzbiecie czarnego jak noc konia.

– Zostawcie moją rodzinę, a pójde z wami z własnej woli.

Bert zaśmiał się, a ten odrażający odgłos poniósł się przez noc.

– Czy ja wyglądam, jakbym się ciebie bał? Poczekaj tylko, aż król cię zobaczy. – Jego potworny uśmiech zaśnił w świetle księżyca, które przedzierało się przez drzewa, ukazując wszystkie jego żółte zęby. – Poza tym sądziłem, że nie znasz tego dzieciaka.

Byłam bliska wyrzucenia zawartości żołądka na ziemię przed sobą.

– To mój brat. Ale ty masz mnóstwo monet, a ilu uzdrowicieli? „Z własnej woli” oznacza, że wam pomogę. Ulecę cię i twoich ludzi. Czy twoje skradzione monety to potrafią?

Bert nie odpowiedział, a żołnierze wyczekująco odwrócili się w jego stronę. Jego milczenie podkreśliło moją odwagę.

– Jeśli za nimi pojedziesz, nigdy nie będę dla ciebie pracować. Możesz mnie torturować, zabić... Nie zrobię nic, jeśli spotka ich krzywda.

Nie byłam pewna czy to błąd, czy nie.

– W porządku. – Powiedział tylko tyle.

Następne wydarzenia potoczyły się tak gwałtownie, że prawie zapomniałam odczuć ulgę. Zanim uświadomiłam sobie, co robił żołnierz trzymający mnie w uścisku, mężczyzna zdążył związać mi nadgarstki. Sznur był szorstki i drapał moją skórę, a ja zaczęłam wciągać powietrze dziwnymi pospieszonymi haustami.

Nie podobało mi się uczucie uwięzienia.

Serce mi łomotało, w głowie wirowało, byłam w takim szoku, że nie mogłam nawet płakać. Opuszczałam Abbington. Ale nie jechałam do Granatu z moją rodziną.

Nie, miałam udać się do Onyksu.

*Sama.*

To najniebezpieczniejsze królestwo na naszym kontynencie. Ze zgrają najbardziej śmiertelnych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam.

Zastanowiłam się bezmyślnie, czy król w ogóle zauważy tę garstkę straconych monet. Wydawało się wątpliwe. To wydawało się raczej osobistą misją, zaaranżowaną przez chciwego pułkownika, który teraz wróci z nową uzdrowicielką i będzie chełpił się swoim znaleziskiem.

Poczułam, że żółć podchodzi mi do gardła.

Żołnierz pociągnął mnie za sobą, gdy nasza śmiertelna karawana podążyła w noc, niektórzy na końskich grzbietach, inni pieszo. Jedyne, czego mogłam się trzymać, to myśl, że moja rodzina pozostanie bezpieczna. Mieli teraz dość monet, żeby zbudować sobie piękne, bezpieczne nowe życie, a przecież właśnie tego dla nich chciałam. Zasługiwali na to.

Zadrżałam ponownie przez ogrom tego, czemu się poddałam. Horror, do którego nawiązywał Bert. Zapewne będę gwałcona, torturowana, może nawet zostanie zabita, a najpewniej przydarzą mi się wszystkie te rzeczy naraz.

*Co ja zrobiłam, na Kamienie?*

\*\*\*

Chłodne, wieczorne powietrze owionęło moje ciało, a przez to przypomniałam sobie, jak niewiele miałam ubrań. Moja twarz spłonęła rumieńcem, ale ze związanymi rękami nie mogłam się zakryć.

Szliśmy w ciszy przez wiele godzin. Na każdy usłyszany oddech albo zbłąkany komentarz wśród mężczyzn, mój żołądek się zaciskał – byłam pewna, że jednak postanowili mnie zabić. Raz na jakiś czas jeden z żołnierzy powiedział coś do drugiego, czego nie mogłam dokładnie usłyszeć, ale ci mężczyźni byli jak dobrze wytrenowane bestie.

Przestałam cokolwiek rozpoznawać, wszystkie drzewa i gałęzie zaczęły wyglądać tak samo. Przestałam również się zastanawiać, czy ci mężczyźni zamierzali w ogóle rozbijać na noc obóz. Widziałam w życiu trochę map – zwłaszcza podczas lekcji, kiedy byłam młodsza – i na bazie tej wiedzy oraz dzięki własnej pamięci, uświadomiłam sobie, że Onyks znajdował się wyjątkowo daleko. Nie dało się zejść dalej w kontynent bez przekraczania Morza Mineralnego. Mogłam sobie wyobrazić, że będziemy podróżować miesiącami, a moje stopy zaprotestowały na tę myśl.

Jednak żaden z tych mężczyzn nie wydawał się zmęczony. Naprawdę byli inną rasą.

Ale jedna rzecz nie miała sensu. Nie mieli żadnego sprzętu, namiotów czy bagaży. Jak zamierzali przetrwać? A ja?

Żołnierz, który mnie związał, ciągnął mnie za sobą, a zmęczenie zaczęło mi coraz bardziej doskwierać. Czułam się wyczerpana mentalnie, fizycznie miało to nastąpić wkrótce.

Kiedy potknęłam się o kilka suchych gałęzi, spojrział na mnie wzrokiem, który wyrażał litość albo odrazę. Trudno było stwierdzić przez ten hełm zrobiony ze stali i kości.

– Wkrótce. – Tylko tyle mi zdradził, a przez to poczułam się jeszcze gorzej.

Kiedy nabrałam pewności, że moje ciało dzieliły zaledwie minuty od poddania się, dotarliśmy do polany. Musiało już być grubo po północy. Połacie ziemi i siana zacięła poświata nocy i musiałam wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć, dokąd zmierzałam. Moje stopy, kostki i łydki protestowały przy każdym kroku, tak obolałe, że nawet stanie stawało się nieznośne. Mężczyźni zatrzymali się i rozejrzeli po sobie w oczekiwaniu, zanim to usłyszałam.

Noc przeszył grzmiący odgłos, przypominający uderzenia ogromnego bębna albo rozbijające się fale wściekłego morza. Wzdrygnęłam się i rozejrzałam po polanie, w poszukiwaniu potwora, który wydał z siebie ten ryk, ale nie zobaczyłam nic wśród otaczających drzew. Dudnienie stawało się coraz głośniejsze, ogłuszające, pulsowało w mojej czaszce jak bęben wojenny.

Wiatr wirował wokół nas, wypełniając pyłem moje włosy i oczy. Ze związanymi rękami, mogłam tylko zacisnąć powieki i nasłuchiwać z niepohamowanym strachem, gdy odgłos stawał się jeszcze donośniejszy. Prawie cieszyłam się z faktu, że otaczali mnie ci mężczyźni, którzy bardziej przypominali broń niż ludzi. Nie żeby któremukolwiek przyszło do głowy ratować najpierw mnie, ale miałam większe szanse na przeżycie tego, cokolwiek nadchodziło, w ich otoczeniu.

Usłyszałam donośne łupnięcie, kiedy stwór wylądował na trawie przed nami, wzbijając wokół nas chmurę kurzu. Zakaszlałam, a drżenie ziemi zatrzęsło moimi osłabionymi kolanami i kostkami. W moje nozdrza uderzyła mieszanka aromatów dymu i drzewa cedrowego. Kiedy kurz opadł, otworzyłam oczy.

Przede mną stało najbardziej przerażające zwierzę, jakie w życiu widziałam.

Nie zwierzę, a bestia. Potwór...

Ogromny, kruczoczarny smok, pokryty ostrymi, lśniącoymi łuskami. Bardziej przerażający, starożytny i potężny niż cokolwiek, co mogłam znaleźć w książkach lub historiach dla dzieci. Rozprostował swoje ogromne, przypominające nietoperze skrzydła, zakończone srebrnymi pazurami i ukazał przy tym mieniące się srebrne podbrzusze. Kolczasty, czarny ogon omiatał ziemię w tę i z powrotem.

Pułkownik podszedł do bestii bez śladu strachu i, ku mojemu zaskoczeniu, wydawało się, że *mówił* coś do tego kolosalnego stworzenia.

Wytrzeszczyłam oczy.

To nie potwór, tylko... pupil. W Królestwie Onyksu miało się smoki jako zwierzątka?

Przyjrzałam się pozostałym mężczyznom, ale żaden nie wydawał się przestraszony czy nawet zaskoczony. Wspięli się na grzbiet stwora, który był na tyle długi, że mógł pomieścić dwa razy tak dużą grupę, gdyby to było konieczne.

Kiedy żołnierz pociągnął mnie do przodu, wyrwał mi się cichy jęk i zaparłam się stopami. Nawet nie byłam świadoma, że to robiłam – chciałam być odważną dziewczyną, która bez lęku wskoczy na grzbiet smoka, ale wydarzenia tego wieczoru najwidoczniej pozbawiły mnie resztek odwagi. Mężczyzna przyciągnął mnie bliżej pomimo moich protestów, aż znalazłam się obok rozłożystej prawej łapy smoczyska. Cztery ostre pazury były poplamione rdzawą czerwienią. Zamierzałam udawać, że to wcale nie była krew, starałam się patrzeć gdziekolwiek indziej.

– Wszystko w porządku. Bestia nie zrobi ci krzywdy – zapewnił Wielki Mężczyzna, zajmujący leżącą pozycję na grzbiecie stwora, jedną dłoń przyciskał do rany.

Przytaknęłam, ale w ustach czułam posmak kwasu.

Żołnierz w końcu rozwiązał mi nadgarstki, żebym mogła podciągnąć się na górę.

– Nie próbuj niczego, dziewczyno.

Byłam zbyt wykończona, żeby spróbować im umknąć.

– Nie mam za bardzo dokąd uciec.

Łuski smoka okazały się chłodne i gładkie pod moimi dłońmi, gdy wciągnęłam się na górę, przyglądając się uważniej jego gadziemu oku – lśniący pomarańcz otoczony szarością. Wzrok smoka przesunął się na mnie i wydawał się niepostrzeżenie łagodnieć. Stwór mrugnął raz i przechylił lekko głowę. Ten prosty gest był tak nieszkodliwy, tak rozbijający, że lekko się rozluźniłam.

Kiedy się rozsiadłam, potarłam obolałe nadgarstki, podrażnione i zakrwawione w miejscach, gdzie otarł mnie sznur. Mój wzrok spoczął na grzbiecie bestii, przesunęłam spojrzenie w stronę ogona, gdzie zwisało coś owiniętego w jutowy worek, pokryty czerwonymi plamami. Ze środka wystawał jeden but armii Onyksu.

Niepokój zacisnął mi pętlę na żołądku.

Na bestii, razem z nami, znajdowało się czyjeś ciało.

Ponownie spojrzałam na faceta, którego uleczyłam. Tej nocy musiało wydarzyć się coś okropnego. Gdzieś pomiędzy raną Wielkiego Mężczyzny, krwią na łuskach smoka i zwłokami, była historia, której nie chciałam złożyć w całość.

Starłam się czuć wdzięczność, że przynajmniej nic nie przebiło mojej piersi. Jeszcze.

Kiedy wszyscy żołnierze zajęli miejsca, ledwo miałam chwilę, by spojrzeć za siebie na moje miasteczko – całe moje życie – zanim bestia wystrzeliła w niebo. Oddech uciekł mi z płuc, gdy wzbijaliśmy się coraz wyżej. Powietrze było rzadkie i lodowate, a moje oczy wypełniły się łzami, gdy zimny wiatr zaczął chłostać moją twarz. Złapałam się łusek stworzenia, bojąc się o swoje życie i miałam nadzieję, że mój chwyt go nie bolał.

Powiewy wiatru kłuły mnie w oczy, więc odwróciłam wzrok od nieba, z powrotem na żołnierzy. Wydawali się rozluźnieni, niektórzy opierali się o rozłożone skrzydła smoka, inni swobodnie obejmowali ramieniem kolec. Przeniosłam wzrok na Berta i stwierdziłam, że patrzył na mnie intensywnie. Nie tylko w sensie seksualnym, choć w jego oczach dało się dostrzec lubieżność. Ale czułam się bardziej, jakby próbował wwiercić się w moją duszę. Jakby był oszołomiony. Dreszcz wywołany wściekłością przebiegł mi po plecach – widział moje moce. Przez to byłam jeszcze bardziej odsłonięta, niż będąc w samym biustonoszu.

Skurczyłam się w sobie i starałam się nie patrzeć na jego okrutną twarz.

Lecieliśmy wyżej i wyżej aż ponad chmury. Z tej wysokości mój świat wydawał się jeszcze mniejszy, niż sądziłam, że jest to możliwe. Na pewno tym sposobem żołnierze Onyksu przemieszczali się po kontynencie z taką łatwością.

Zastanawiałam się, dlaczego nie złapali mojego brata szybciej. Na myśl o nim i reszcie mojej rodziny serce mi się ścisnęło.

Nigdy więcej ich nie zobaczę.

Zacisnęłam szczęki, aż zaboląły mnie zęby – nie mogłam się teraz załamać.

Musiałam wziąć się w garść i wytrzymać do chwili, gdy dostanę szansę na ucieczkę, a potem pozwolę sobie całkiem się rozpaść.

Teraz byłby wspaniały moment na optymizm, o którym mówiono, że miałam go w nadmiarze.

Obawiałam się, że nie istniała żadna pozytywna strona tego, że leciałam na ogromnym, kolczastym smoku na terytorium wroga jako więzień. Spojrzałam w dół, na okryte ciemnością ziemię pod mną i patrzyłam, jak jedyne znane mi dotąd życie zniknęło mi z oczu.

## CZWARTY

Pasek na moich plecach pękł, ale szybko zastąpiłam go swoimi dłońmi; w mojej piersi ziała głęboka krwawiąca rana. Pomarańczowe oko zerknęło na mnie – przesywało moją duszę. Moc, której nie umiałam opisać, zamrowiła w opuszkach palców, w kościach, na obrzeżach mojej pamięci...

Przebudziłam się gwałtownie.

Ciemność wokół była dezorientująca. Prawie mogłam rozróżnić kształty liści, pni i winorośli, ale wszystko pokrywały niebieskie i czarne cienie, ledwo oświetlone światłem księżyca. Ciała poruszyły się wokół, stłoczone jedno przy drugim, i nagle przypomniałam sobie, gdzie byłam i co się stało. Dezorientacja zmieniła się w falę rosnącego przerażenia. Strach zawiązał mi pętlę na wnętrznościach i sprawił, że zacisnęłam szczęki. W kościach...

Wielki mężczyzna, który teraz poruszał się w nierównym, powolnym tempie, ku zdumieniu kompanów, pchnął mnie do przodu, więc zsunęłam się z bestii, a moje kończyny podjęły pracę, jeszcze zanim umysł wydał im instrukcje.

Bezwiednie dotknęłam długiej szyi stworzenia, stabilizując się na drżących nogach. Spojrzenie jego osobliwego oka znowu skupiło się na mnie, a ja uśmiechnęłam się słabo.

*Nie zjedz mnie*, tylko to przyszło mi do głowy. Naszła mnie odległa, niewyraźna myśl, że mogłam być w szoku.

Dopiero wtedy zauważyłam nieznośny chłód. Tu, na północy, było dużo zimniej, więc całe moje ciało pokryła gęsia skórka, a usta i nos zaczęły drętwieć.

Pozostali żołnierze ruszyli przodem w ciemność, niezainteresowani nowo schwytaną dziewczyną. Może to niewielka oznaka łaski. Wielki Mężczyzna ponownie owinał sznur wokół moich nadgarstków, a gdy zraniona skóra ponownie zetknęła się z jego szorstkością, skrzywiłam się z bólu.

Odgłos przypominający uderzenie błyskawicy wystraszył mnie i odwróciłam się w jego kierunku, by zobaczyć stwora wzbijającego się w niebo, kurz wpadł mi prosto do oczu. Zanim udało mi się otworzyć je ponownie, nie dostrzegałam już smoka w ciemności nad nami. Zniknął tak szybko, jak się pojawił, jakby stanowił tylko wytwór mojej wyobraźni.

Tyle że nigdy w życiu nie wymyśliłabym czegoś takiego.

Patrzyłam za bestią w ciemność nocy, lasu i drzew.

Moja jedyna możliwość powrotu do domu przepadła.

Wielki Mężczyzna pociągnął mnie do przodu, a moje nadgarstki zawyły w odpowiedzi. Ale ruszyłam do przodu, noga za nogą. Bert i Wielki Mężczyzna szli przede mną, a dwaj żołnierze, niosący ciało w jutowym worku za mną.

Jedynie, co mogłam wypatrzyć w świetle księżyca, to sękate drzewa i bujna zieleń sięgająca mi do goleni, gdy się przez nią przedzierałam.

Wyraźnie nie znajdowaliśmy się w Willowridge, stolicy Królestwa Onyksu. Nie było tu żadnego miasta, życia, żadnych hałasów. Tylko gdzie okiem sięgnąć jakiś las. Zapach wilgotnego mchu, bzu i kwitnącej nocą gardenii wypełnił moje nozdrza. Pachniał inaczej niż jakikolwiek las, w którym byłam – żadnych słodkich przypraw, dyni ani znajomego aromatu gnijących liści. Zawsze bywałam tylko w bezkresie brązowych i złocistych puszczech albo całkowicie pozbawionych liści. Ta wilgotna, mglista enklawa już nie przypominała niczego, co kiedykolwiek czułam lub widziałam. Same dęby i sosny, zimne, kwieciste i orzeźwiające. Przez jeden bezsensowny moment prawie udało mi się zapomnieć, gdzie byłam i jak się tu znalazłam.

Mój wzrok powoli przyzwyczajają się do ciemności. Okrążyliśmy wielką, sękatą wierzbę, a w oddali majaczył ogromny, kamienny zamek otoczony setkami oświetlonych namiotów. Były kakofonią barw wojennych jak garść niepasujących do siebie klejnotów. Każdy innej wielkości i kształtu, ustawione w rzędach jeden przy drugim jak koce piknikowe w letni dzień, przypadkowe i nakładające się na siebie.

*Co... co to było?*

Kiedy szliśmy dalej, w końcu usłyszałam coś innego niż chrzęst naszych stóp na piasku – odgłosy rozmów ludzi i muzyki, a także mieczy podczas ćwiczeń.

Uderzyła we mnie fala przerażenia.

To było coś więcej niż tylko zamek czy forteca, raczej cała warownia. Prawie jak otoczona murem wioska.

Wszędzie wokół na granicy znajdował się las, który właśnie pokonaliśmy – nie dało się tu dostać, nie mijając tych potwornych drzew, chaszczy i korzeni. Żadnego śladu życia w którymkolwiek kierunku poza lasem. W myślach przeklełam samą siebie, że zasnęłam podczas lotu. Widok z lotu ptaka mógłby okazać się pomocny. Ale rezultat mieszanki zastrzyku adrenaliny i strachu, a do tego zmęczenie związane z wykorzystaniem mocy na Rydera i rannego żołnierza, okazał się środkiem usypiającym, z którym nie mogłam walczyć.

Ogromna, żelazna brama pojawiła się między drzewami i otworzyła się dla nas ze zgrzytem. Pozwoliłam, by Wielki Mężczyzna pociągnął mnie za sobą. Nie spuszczałam wzroku z roztaczających się ziemi i zamku przede mną.



– Witaj w Shadowhold, dziewczyno – powiedział Bert, zanim ruszył na czoło drużyny.

Zadrżałam.

Gdy szliśmy drogą rozdzielającą morze namiotów za bramami zamku, olśniło mnie – to musiała być siedziba armii Onyksu, na co wskazywały stoły kowalskie, miejsca do gotowania i zbroje rozwieszane w różnych miejscach obozowiska. Kiedy podeszliśmy, zauważyłam kilka małych domków i chatki po lewej i stajnie po prawej.

Większość ludzi musiała spać, ale kilku żołnierzy piło przy trzaskającym ogniu, jeden z nich grał na lutni. Niektórzy podnieśli wzrok na ciało niesione za nami, albo na moje w połowie ubrane, ale wszyscy pilnowali, by nie patrzeć na swojego pułkownika.

Zadrżałam przez zimno nocy. Próbowałam objąć się ramionami, zanim przypomniałam sobie, że miałam związane ręce.

Tęsknota za rodziną wywoływała większy ból, niż kiedykolwiek czułam, dużo większy niż którykolwiek wywołany pobiciem przez Powella. Narastał wewnątrz, grożąc powaleniem mnie na kolana w każdej chwili.

Co by wtedy zrobili? Ciągnęliby mnie szlochającą po ziemi?

Tak. Dokładnie do tego by doszło.

Prawie zakrztusiłam się narastającą w gardle desperacją – chciałam znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj. Gdziekolwiek.

Szurałam stopami po żwirze i ziemi, kurz stworzył ciekawą warstwę na kostkach, a Wielki Mężczyzna dalej ciągnął mnie za sobą. Spojrzenie moich oczu ciągle uciekało do zamku przede mną.

Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego.

To była najbardziej przerażająca, pokręcona, w pewnym stopniu wywołująca zdumienie forteca, jaką mogłam sobie wyobrazić.

Kamienna warownia była osiągnięciem gotyckiej architektury z wieżyczkami i mocnymi, kamiennymi filarami. Poplamione, szklane okna błyszcząły w ciemności, upiorny obraz wojny i okrucieństwa stał w dziwnym kontraście do ciepła promieniującego z wnętrza. Wydostające się przez ramy okien światło rzucało cienie poruszające się jak zjawy. Otoczenie tego upiornego budynku usiane wielkimi, czarnymi latarniami i kilkoma flagami z herbem Onyksu, tylko upewniło mnie w przekonaniu, że to baza armii tegoż królestwa.

Dotarliśmy do masywnych drewnianych drzwi, a ja zacisnęłam zęby i starałam się uspokoić. Wielki Mężczyzna pociągnął mnie jeszcze raz, a moje nadgarstki zadrgały w agonii, gdy z ust wyrwał się dziwny jęk.

Bert przyjrzał mi się z pokręconym, zadowolonym z siebie błyskiem w oku.

– Chodź, dziewczyno, możesz zostać ze mną tej nocy.

Przerażenie rozmyło mi wzrok.

Nie mogłam wymyślić niczego, co mogłoby mnie uratować.

– Poruczniku, wydaje mi się, że komandor Griffin chciał nas widzieć po powrocie. Może na razie wrzucę dziewczynę do lochów? – zaoferował Wielki Mężczyzna.

Bert przyjrzał się swojemu żołnierzowi, a potem, zirytowany, skinął szorstko głową.

Wyrwało mi się ciche westchnienie ulgi. Nie wiedziałam, czy mój były pacjent próbował mi pomóc, czy może miałam tylko głupie szczęście, ale czułam się bardziej wdzięczna niż przez cały dzień, kiedy Bert odszedł w stronę zamku. Wielki Mężczyzna odciągnął mnie od drzwi, minęliśmy grupę strażników i przeszliśmy przez bramę prowadzącą do spiralnych, brukowanych schodów.

Strach zacisnął się metalową obręczą na piersi, a w ustach całkiem zaschło.

– Nie, nie... – błagałam, odsuwając się od ciemnej piwnicy, ale Wielki Mężczyzna wydawał się nie słyszeć.

Zapewne też go to nie obchodziło.

W lochach było ciemno, a w powietrzu dało się wyczuć stęchliznę, odór słonej wody i ludzki brud. Nieprzerwane, powolne kapanie niosło się echem po klatce schodowej. Pochodnie oświetlały korytarz wypełniony żelaznymi celami, a na ten widok serce podskoczyło mi do gardła.

– Nie, czekaj – poprosiłam ponownie. – Nie mogę tam pójść.

Wielki Mężczyzna posłał mi zaciekawione spojrzenie.

– Nie zrobię ci krzywdy. To tylko miejsce, w którym będziesz mogła na chwilę się położyć, zanim pułkownik zdecyduje, co z tobą zrobić.

Starłam się uspokoić oddech.

– Po prostu nie mogę być zamknięta. Proszę. Gdzie przebywają uzdrowiciele?

Nieznajomy prychnął i popchnął mnie w dół tych wywołujących zawroty głowy schodów. Miałam wrażenie, że moje płuca za chwilę się zapadną i zanim dotarliśmy na dół, ledwo mogłam oddychać.

Pociągnął mnie za sobą wzdłuż labiryntu cel. Wycie i ordynarne krzyki więźniów zgrywały się z biciem mojego serca, wyraźnie słyszałam puls w uszach, wszystko to stało się wulgarną symfonią. Ponownie i na próżno próbowałam się zakryć.

Wielki Mężczyzna otworzył drzwi celi i wepchnął mnie do środka, po czym zerwał moje więzy. Przewróciłam się i oparłam ręce o ostre, brudne kamienie pod sobą. W środku było nawet mniej miejsca, niż na to wyglądało. Odwróciłam się i popędziłam z powrotem do żelaznych krat.

– Czekaj! – krzyknęłam, ale on był już w połowie korytarza, a cela okazała się zamknięta.

Powstrzymałam szloch i cofnęłam się do rogu, osunęłam się na podłogę i podciągnęłam kolana do piersi. Kręciło mi się w głowie, mój oddech stał się nieregularny, wręcz spazmatyczny. Starłam się przypomnieć sobie, czego matka nauczyła mnie wiele lat temu, kiedy spanikowałam, ale umysł nie współpracował.

Może to właśnie teraz nastąpił ten wspomniany wcześniej czas, żeby się załamać.

Jak doszło do tego wszystkiego? Starłam się odtworzyć w głowie wydarzenia wieczoru, ale to tylko bardziej zabolowało. W końcu pozwoliłam sobie na wstrzymywane przez całą noc łzy. Wyrwały się ze mnie i popłynęły strumieniami po policzkach, kapiąc na podłogę. Moje zawroty głowy były donośne i zduszone jak u dziecka.

Żałowałam, że nie byłam bardziej jak Ryder. Nie widziałam, żeby płakał więcej niż dwa razy w życiu. Raz, kiedy miał piętnaście lat, spadł z dachu i złamał kolano. I ponownie, gdy jego ojciec, Powell, zmarł siedem lat temu.

Mój ojczym zmarł z powodu udaru. Kiedy matka nam to powiedziała, Ryder szlochał przez kilka dni. Ojciec był jego najlepszym przyjacielem pod wieloma względami, a Powell uwielbiał jedyne syna. Jednak ojczym i ja nigdy nie mieliśmy takiej relacji. Nie wiedziałam, czy jego nienawiść do mnie wynikała z faktu, że nie byłam jego, czy z tego, że nie byłam tak silna jak Ryder, ale tak czy inaczej, nosił w sobie odrazę wobec mnie, której – ku mojemu zdziwieniu – nikt nie dostrzegął.

W przeciwieństwie do Rydera ja płakałam przez cały czas. Płakałam, kiedy Leigh za bardzo mnie rozśmieszyła. Płakałam, gdy widziałam cierpiącą matkę. Płakałam na koniec wspaniałej książki albo przy słuchaniu pięknej muzyki. Płakałam, gdy straciłam pacjenta w szpitalu. Płakałam, kiedy czułam się przytłoczona. To była najmniej odważna cecha – bycie wrażliwym, bojaźliwym i skłonny do płaczu.

Teraz pozwoliłam łzom płynąć swobodnie.

Szlochałam z powodu mojej rodziny, z którą nigdy już się nie spotkam. Przez moją głupią gwałtowną decyzję, żeby prehandlować swoje życie za ich los. Nie żałowałam tego, ale nienawidziłam faktu, że to musiało się stać. Że nie udało mi się wymyślić niczego mądrzejszego. Płakałam nad swoją przyszłością tutaj, która z pewnością będzie co najmniej bolesna. Co gorsza, może też być krótka. Starłam się przygotować na różne cierpienia, przez co moje myśli wariowały jeszcze bardziej. Co, jeśli po prostu nigdy nie pozwolą mi opuścić tej celi i utknęłam tu na wieki?

Niemożliwy do pomylenia krzyk mężczyzny cierpiącego potworne katusze poniósł się echem wśród ścian lochów. Rozejrzałam się po celach, obok których mnie przeciągnięto. Ale prawie wszyscy pozostali więźniowie spali.

Wołanie o pomoc – o to by pomógł *ktokolwiek* – rozległo się ponownie. Nieopodal musiało znajdować się jakieś pomieszczenie do tortur.

Przycisnęłam dłonie do uszu, ale nie mogłam zagłuszyć jego szlochów i błagania. Brzmiało to tak, jakby rozrywali go na pół.

Przełknęłam i zachłysnęłam się powietrzem, panika uderzyła we mnie z pełną siłą.

Dusiłam się.

Może umierałam. W moim umyśle zakotłowało się z przerażenia i szaleństwa z wściekłości, myśli uciekały od jednej do drugiej, nie miałam czasu, żeby którąkolwiek uchwycić. Kręciło mi się w głowie i dyszałam, objęłam się ciasno, siedząc na zatęchłej podłodze.

Zdecydowanie umierałam.

Musiałam się stąd wydostać. *W tej chwili.*

Co matka kazała mi robić? Czemu nie mogłam sobie przypomnieć? Czy chodziło o...

*Trzy Rzeczy.*

Tak właśnie to nazwała. Znajdź i skup się na trzech rzeczach, które potrafisz nazwać – to mogłam zrobić.

*Pierwsza:* Pajęczyny. Podążałam wzrokiem za pajęczynami i plamami pleśni na niskim suficie mojej celi. Powietrze było przesycone zapachem pleśni i wilgoci.

Nabrałam je głęboko w płuca.

*Druga:* Latarnie. Kilka słabych, migających latarni zwisało na zewnątrz mojej celi. Nie czułam ciepła płomieni, ale przyćmione światło rzucało cienie na ciemną, moką podłogę.

*Trzecia...* Rozejrzałam się po niewielkiej przestrzeni i zobaczyłam dwa wiadra, jedno puste, drugie wypełnione wodą. *Trzecia:* Wiadra. Wątpiłam, żeby którekolwiek było czyste, ale podpełzłam tam i ochlapałam twarz. Lodowato zimna woda wydarła mi powietrze z płuc, ale szok pomógł mojemu organizmowi. Przysiadłam na piętach i oddychałam nieco łatwiej.

– *Przekłete Kamienie.* – Wsadziłam głowę między kolana.

– Masz niewyparzoną buźkę.

Głos, jednocześnie jak grzmot i pieszczota, popłynął przez żelazne kraty obok mnie.

Poderwałam głowę. W przerażeniu spowodowanym wtrąceniem do celi nie zauważyłam, że w tej obok mojej znajdował się inny więzień, dzieliły nas tylko pordzewiałe, metalowe kraty.

Zarumieniłam się. Miałam widownię przy najokropniejszej chwili mojego życia. A zważywszy na ciągłe krzyki torturowanego człowieka w innym skrzydle tego lochu, zapewne była też jedną z ostatnich.

– Przepraszam – wymamrotałam.

– To chyba... trochę zbyt dramatyczne, nie sądzisz? – rozległ się mroczny głos.

Poczułam gęsią skórkę.

Zmrużyłam oczy, wpatrując się w cienie, ale nie widziałam nic więcej poza zarysem postaci siedzącej pod ścianą.

– Powiedziałam „przepraszam”, czego jeszcze chcesz? – Nadal starałam się uspokoić urywany oddech.

Od razu pożałowałam ostrego tonu. Nie mogłam zrobić sobie wroga w człowieku, obok którego miałam być uwięziona przez nie wiadomo jak długi czas. Zapewne był złodziejem. Albo mordercą.

Lub czymś o wiele, wiele gorszym.

Ale więzień tylko się zaśmiał, ten dźwięk przypominał odgłos towarzyszący kamieniom zsuwającym się po zboczu i rezonował w mojej piersi.

– Trochę ciszy i spokoju od tych szlochów byłoby miłe.

Spodziewałam się tego, ale i tak – co za palant.

Tym razem nawet nie starałam się ukryć wściekłego spojrzenia. Nie wiedziałam, czy w ogóle mógł mnie dostrzec w ciemności.

– Już skończyłam – przyznałam, biorąc głęboki wdech. – Niecodziennie człowiek zostaje uwięziony. Cóż... może ty tak, ale ja nie.

*Proszę, zostaw mnie w spokoju, proszę, zostaw mnie w spokoju.*

– Mówię tylko, że niektórzy z nas próbują się tu trochę przespać. Twoje teatralne gesty i falujący biust nie zmienią sytuacji. – Przerwał. – Chociaż to drugie stanowi przyjemny widok.

Żołądek skręcił mi się na te słowa.

Powiedziałam „palant”? Myślałam o gnoju. Nikczemny gnój.

Nie miałam powodu, żeby z nim walczyć i nie powinnam go złościć – mój instynkt samozachowawczy miał się całkiem dobrze w tej kwestii. Ale tej nocy przeszłam zbyt wiele.

Nie miałam w sobie już ani odrobiny cierpliwości.

– Jesteś odrażający – wydyszałam.

– Ktoś tu czuje się odważny dzięki dzielącym nas kratom.

– Nie bardzo – przyznałam. – Jestem tylko szczera.

Rozmowa była dziwną, choć mile widzianą odskocznią od oddawania się w objęcia strachu. Przebywanie sam na sam z własnymi myślami to wizja gorsza niż...

praktycznie wszystko.

Zawodzenie torturowanego mężczyzny w końcu przeszło w ciche skomlenie. Ze względu na niego miałam nadzieję, że szybko zemdleje. Teraz słyszałam tylko szelest, kiedy postać obok mnie wstała i się przeciągnęła.

Sam jego cień był imponujący – przynajmniej trzydzieści centymetrów wyższy ode mnie, ale przyćmione światło ukryło resztę jego sylwetki. Podszedł do dzielących nas krat. Walczyłam z instynktem, który kazał mi cofnąć się z dala od niego, ale próbowałam sobie przypomnieć, że tutaj nie mógł mnie dosięgnąć. Musiałam mieć jakiś kręgosłup. Zwłaszcza jeśli tak miała wyglądać moja przyszłość.

– Próbujesz mnie przestraszyć? – Starłam się brzmieć śmiało, ale wyszło słabo i cicho.

– Coś w tym stylu – wyszeptał przez kraty.

Na te słowa serce podskoczyło mi do gardła, jego głos był miękki, a jednak tak intensywnie niósł obietnicę śmierci, że ze strachu podkurczyłam palce u stóp. Nadal nie mogłam wypatrzeć jego twarzy w cieniu, ale dostrzegłam ostre, białe zęby błyszczące nade mną w słabym świetle latarni.

– Cóż, nie udaje ci się. W sensie... przestraszyć mnie.

Zaśmiał się, ale brzmiało to okrutnie.

– Taka dzielna ptaszyna. Dobrze wiedzieć. Może teraz będę mógł się przespać.

Co?

Ale... moje myśli płynęły teraz spokojnym, równym rytmem w porównaniu z gorączkowym bałaganem, którym były wcześniej.

Panika ustąpiła.

Wzięłam kojący wdech wilgotnego powietrza z lochów i podniosłam wzrok na więźnia obok, skrytego w cieniach. Wiedział, co robił, kiedy mnie prowokował? Zdecydowanie nie, ale to rozproszenie zapobiegło mojemu całkowitemu załamaniu.

Jednak wciąż nie mogłam przestać patrzeć na niego wilkiem.

– Twoje okrucieństwo jest trochę banalne.

Westchnął głośno, choć brzmiało to podejrzenie jak śmiech, i przykucnął. W końcu latarnia przed jego celą oświetliła mu twarz.

Jedyne, co dostrzegłam z początku, to jego oczy. Przeszywające, szaroniebieskie i tak jasne, że wyglądały na srebrne. Błyszczały delikatnie pod gęstymi, wydatnymi brwiami i nieprzyzwoicie długimi rzęsami. Ciemne włosy opadały mu swobodnie na czoło, więc odsunął je wielką, silną dłońią. Idealnie wyrzeźbiona szczęka. Pełne usta. To naprawdę nieprzyzwoite, jaki był zachwycający.

Przepiękny, nieprzyzwoity i śmiercionośny.

Dreszcz przebiegł mi po całym ciele.

Czułam teraz większy strach niż przez cały wieczór, włączając w to przejażdżkę na grzbiecie smoka wysoko w przestworzach. Ale pomimo sygnałów ostrzegawczych w całym moim ciele, nie potrafiłam odwrócić wzroku.

Patrzył, jak się mu przyglądam. W jego oczach dostrzegłam błysk, na który nie mogłam przestać patrzeć. Uśmiechnął się pod nosem, na co się otrząsnęłam, a na moje policzki wystąpił żar.

– Czemu? Bo jestem uwięziony?

– Co? – Staralam się odegnać to, co zaciemniało mi umysł.

– Ten banał, jak powiedziałaś.

– Tak. – Uniosłam podbródek. Przeczytałam wystarczająco dużo książek. – Okrutny, mroczny więzień. Oklepane.

Chwycił się za serce, udając urażonego.

– Czuję się dotknięty. Nie mógłbym powiedzieć tego samego o tobie?

Ściągnęłam wargi, a on uśmiechnął się lekko.

Oczywiście miał rację. Ale nie chciałam dzielić się swoją łzawą historią – ani wchodzić w szczegóły, że nie byłam przestępcą jak on – z tym zapewne niosącym śmierć, przerażającym i nieprzyzwoicie przystojnym nieznajomym.

Kiedy uświadomił sobie, że nie zamierzałam dawać mu wglądu w swoją sytuację, westchnął.

– Musisz wziąć się w garść, ptaszyno. Teraz jesteś w Onyksie. To nie banda farmerów z włosami w kolorze błota i rumianymi policzkami, hodujących kabaczki. Takie skurczybyki jak ja, to twoje najmniejsze zmartwienie.

Jego głos miał w sobie ostrość, która pozbawiała słowa wszelkiej nutki żartobliwości.

Nie mogłam powstrzymać dreszczu przebiegającego mi po plecach.

– Skąd wiesz, że jestem z Bursztynu?

Zmierzył mnie wzrokiem przez kraty. Przez chwilę głupio się zastanawiałam, co o mnie myślał. Tkwiąca w ponurej celi, drżąca, o gołych stopach i pokrytych brudem nogach, z włosami w nieładzie i o sinych ustach. *Uch*. Objęłam się ramionami, kiedy przypomniało mi się, jak niewiele miałam na sobie – cienki biustonosz – i co zimno zrobiło z moimi piersiami.

Jego szczeka lekko zadrgała.

– Co stało się z resztą twojego stroju?

Zaczęłam się wiercić pod jego nieubłaganym spojrzeniem; moja twarz poczerwieniała.

– To długa historia.

Ostatnie, czego potrzebowałam, to żeby ten niebezpieczny palant dowiedział się o moim upokorzeniu z rąk pułkownika Onyksu.

– Musiałam użyć bluzki, żeby komuś pomóc. To wszystko.

Skinął głową sceptycznie, ale intensywność zniknęła z jego oczu. Zadrżałam w niezręcznej konwulsji, spowodowanej zetknięciem z chłodnym powietrzem.

– Zimno ci?

– Tak – przyznałam. – Tobie nie?

– Chyba już przywykłam.

Chciałam zapytać, jak długo tu był i za co tu siedział, ale czułam nieufność wobec tego dziwnego, imponującego mężczyzny. Jego obecność okazała się prawie niemożliwa do zniesienia.

– Proszę. – Zaoferował futrzaną pelerynę, którą zdjął z siebie i podał mi ją przez kraty. – Nie wytrzymam szczekania twoich zębów ani minuty dłużej. Działa mi to na nerwy.

Zawahałam się, ale instynkt samozachowawczy pokonał dumę. Wzięłam od niego okrycie i owinęłam się nim jednym płynnym ruchem. Pachniało cedrem, whisky i jedwabistą skórą. I ciepłem. Było *takie* ciepłe. Prawie zaskomlałam, kiedy gorąco owinęło się wokół moich zmarzniętych rąk i nóg.

– Dziękuję.

Obserwował mnie, gdy opadły mi powieki, uspokojoną i ogrzaną ciężarem jego płaszcza. Nawet wtedy czułam na sobie jego wzrok, a skóra mrowiła mnie od intensywności jego spojrzenia.

Z jakiejś dziwacznej przyczyny nie mogłam znieść tej ciszy.

– Cóż, już nie zamierzam płakać. Postaram się siedzieć cicho.

Ale on nie wrócił do swojego kąta, żeby spać. Wyciągnął przed siebie jedną nogę i przeczesał palcami włosy, odsuwając je z czoła.

– Starasz się mnie pozbyć?

– Tak – przyznałam.

– Wykorzystuje mnie dla mojego futra, a potem wykopuje za drzwi. Kobiety...

Przewróciłam oczami, ale nie dałam się łatwo podejść. Obscenicznie piękny czy nie, ten mężczyzna siedział w lochach warowni Królestwa Onyksu. Musiałam balansować na ostrzu noża, pomiędzy rozgniewaniem go a opuszczeniem gardy.

– Po prostu ćwiczę instynkt samozachowawczy. Możesz być niebezpieczny.

– Prawda – zadrwił. – Mogę być. Jeśli to ważne, nie obchodzi mnie, czy ty jesteś niebezpieczna.

Uniosłam sceptycznie brew i ciaśniej owinęłam się futrem.

– Co to ma znaczyć?



Uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

– Jesteś o wiele za bardzo ponętna. Musiałbym zaryzykować, gdybyś miała mnie zabić – pochylił się nieco. – Cóż, to byłaby dobra śmierć.

Przycisnęłam usta do ramienia, żeby powstrzymać śmiech.

– Myślę, że jesteś bezwstydnym flirciarzem, który siedzi tutaj o wiele za długo. Jak bestia, która lubi bawić się swoją ofiarą.

Pokręcił szybko głową, jakby chciał kategorycznie zaprzeczyć, ale z jego oczu wyzierała wesołość. Świadomość, że mogłam go zirytować, sprawiła, że poczułam chłód do szpiku kości i odsunęłam się od jego ocienionej postaci.

– Jeśli ja jestem bestią, to ty również. – Wskazał swoimi szerokimi dłońmi na cele, w których oboje byliśmy.

Z jakiegoś powodu poczułam, że w oczach stanęły mi łzy. Wystarczyło proste przypomnienie.

*O Kamienie*, byłam taka słaba.

– Jedyne, co możemy mieć ze sobą wspólnego, to nienawiść do nikczemnego króla Onyksu, który nas tu uwięził.

– A co jest nie tak z naszym królem?

Użycie słowa *nasz* odpowiedziało na jedno z moich pytań. Więc pochodził z Onyksu. Może to wyjaśniało otaczającą go aurę mroku.

Starałam się ugryźć w język. Naprawdę. Ale to był bolesny temat.

– Poza zdziesiątkowaniem niewinnego królestwa tylko dla jego dóbr i odebraniem życia tysiącom ludzi? – zapytałam. – Albo trenowaniem swoich żołnierzy, by byli bardziej brutalni, krwiożerczy i gwałtowni niż jakakolwiek inna armia w Evendell? A co z jego osławionym uwielbieniem do radosnego torturowania, zadawania bezsensownych śmierci i bezlitosnego rozlewu krwi?

Wydawało się, że moja cęła nie była najlepszym miejscem na prezentowanie takiego podejścia.

Jego wargi uniosły się w uśmiechu.

– Brzmi to tak, jakbyś się go bała.

– Bo się boję. Ty też powinienes. – Pokręciłam z niedowierzaniem głową. – Bronisz króla, który cię uwięził... Żołnierze króla Ravenwoda zaszlachtowali wszystkich ludzi mojego brata. Miał szczęście, że udało mu się ujść z życiem.

– Tak, ptaszyno. Słyszałem, że takie rzeczy dzieją się na wojnie.

– Nie cwaniakuj.

– Nie bądź naiwna.

Wstrzymałam jęk – kolejny bolesny temat. Zacisnęłam usta, zanim wymknęła mi się obelga. Może nadszedł czas, żeby zakończyć ten śmiertelnie groźny spacer po

linie, jakim była ta rozmowa. Odsunęłam się jeszcze dalej i odwróciłam w stronę pustej celi.

Ale on westchnął za moimi plecami, zrezygnowany.

– Nie powinienem oczekiwać, że zrozumiesz, ptaszyno.

*Przekłęte Kamienie.*

Odwróciłam się, żeby ponownie spojrzeć przez kraty, gotowa zapytać, dlaczego był taki chętny do rozmawiania ze mną przez całą noc, skoro jedyne, czego chciał, to spać, ale zbił mnie z tropu sposób, w jaki jego wzrok wwiercał się we mnie.

Oczy jak bezkresne stawy płynnego srebra błyszcząły czymś dużo bardziej intensywnym, niż się spodziewałam.

– Dlaczego ciągle mnie tak nazywasz?

Nie to planowałam powiedzieć, ale i tak mi się wyrwało.

Po raz pierwszy się zawahał, a intensywność jego spojrzenia zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– W zasadzie nie jestem pewien – powiedział, śmiejąc się sam do siebie. Spojrzał w dół na swoje buty. – Wydaje się pasować. – Spojrzał mi w oczy. – Może ze względu na tę klatkę.

Posłałam mu spojrzenie mówiące „och, racja, to na pewno przez to” i ponownie zamknęłam oczy.

– Cóż, było ekstra, ale jeśli nie masz jakiegoś sposobu, żeby się stąd wydostać, zamierzam spróbować się przespać. Jestem pewna, że będziemy mogli kontynuować naszą pasjonującą konwersację jutro, pojutrze i przez całe wieki potem.

Siliłam się na uszczypliwość, ale wszelka zapalczywość i energia do przekomarzania się, gdzieś umknęły. Rzeczywistość była gorzej niż ponura. Byłam sama, wyczerpana i bardziej przerażona, niż mogłam wytrzymać na dłuższą metę. Nie miałam już w sobie nic więcej. Może jutro uda mi się wymyślić, jak wydostać się z tej warowni, tego królestwa i całego bałaganu, w jakim się znalazłam.

Ale dzisiaj mogłam tylko oprzeć się ponuro o ścianę i pozwolić, by moje powieki opadły. Kiedy odpływałam w sen, wydawało mi się, że usłyszałam, jak nieznajomy szeptał do kogoś ściszonego tonem. Walczyłam, by nie zasnąć i posłuchać, ale mój umysł i ciało były zbyt wyczerpane. Ogarnął mnie sen, łatwo i nieustępliwie, pomimo przytłumionych odgłosów kłótni mężczyzn.

# PIĄTY

Obudziłam się obolała i sztywna, ale ogólnie nietknięta. Kilka promieni światła wlało się przez okno nade mną, ale chwilę później chmura ponownie przysłoniła słońce, a całą spowił mrok. Starłam się wyobrazić sobie ciepło słońca na twarzy.

Wczorajsze wydarzenia wydawały się jakimś chorym, wywołanym gorączką snem – ale obudzenie się wokół wilgotnych kamieni przywróciło mnie do rzeczywistości szybciej niż cios w twarz. Musiałam znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Koniec mazania się. Dość jakichkolwiek łez. Przygotowałam się do nadchodzącego dnia.

Niewątpliwa ciekawość skłoniła mnie do tego, by zajrzeć do celi po lewej. Otworzyłam szeroko oczy i zeszywniałam, gdy stwierdziłam, że była... pusta. Mężczyzna z poprzedniej nocy zniknął.

Jak mogłam nie słyszeć, że go wypuszczali? Nie rozległo się żadne brzęczenie krat ani kroki żołnierzy odprowadzających go do wyjścia.

Czy kłótnia, którą usłyszałam ubiegłej nocy, mogła toczyć się między nieznanym a żołnierzem? Nie słyszałam żadnych zbliżających się do nas osób. Próbowałam wyrzeć dalej przez kraty do celi sąsiadującej z tą nieznanego. Czy był tam ktoś, z kim mógł się kłócić? Nie potrafiłam stwierdzić.

*Uciekł? Albo...*

Krew zmieniła mi się w lód przez tę nową myśl. Egzekucja mogła być cicha. Poczułam ukłucie w sercu na myśl o jego silnym wysokim ciele, wiszącym na stryczku w zamkowej bramie. Albo gorzej – głowie nabitej na pal.

Zaraz potem pojawiła się myśl o mojej głowie obok jego. Jeśli to przydarzyło się jemu, równie dobrze mogło i mnie... Otrząsnęłam się, żeby pozbyć się przerażających obrazów.

Wpatrywałam się w szary, popękany sufit, przygotowując się na dzień siedzenia w zawilgoconej celi, starałam się utrzymać potworne myśli i rosnącą panikę w ryzach.

Odgłos kroków niosących się korytarzem lochów przyciągnął moją uwagę. To Wielki Mężczyzna zmierzał do mojej celi. Zerwałam z siebie futro i drżącymi dłońmi rzuciłam je pod ławkę obok mnie. Kiedy podniosłam wzrok, stał już przy drzwiach mojej celi i je otwierał. Zamek był stary i zardzewiały, więc nieznanemu musiał naprawdę mocno pociągnąć, żeby go odblokować.

– Dzień dobry – rzucił.

Jego twarz nabrała kolorów przez noc. Wyglądał dużo bardziej... żywo niż wtedy, gdy mnie tu przyprowadził.

Cofnęłam się tak daleko pod ścianę, jak mogłam.

– Co się dzieje?

– Wzywają cię.

Pomodliłam się do Kamieni, żeby wzywali mnie do uleczenia kogoś, a nie do pułkownika. Staralam się myśleć pozytywnie – przynajmniej opuszczałam celę.

Podał mi prostą, czarną sukienkę i jakiś aromatyczny, ciemnobrązowy chleb. Na tę woń zaburczało mi w brzuchu. Co zaskakujące, Wielki Mężczyzna odwrócił się, żeby dać mi odrobinę prywatności. Odgryzłam duży kęs chleba, zanim z zawrotną prędkością zdjęłam z siebie ubrania z Bursztynu i wsunęłam czarną sukienkę. Pachniała mydłem z bzu.

– Dziękuję – powiedziałam, kiedy już się ogarnęłam.

Wielki Mężczyzna odwrócił się, w jego wzroku, gdy mi się przyglądał, widziałam uprzejmość. Przełknęłam strach i wskazałam na jego brzuch.

– Jak się czujesz?

– Lepiej, niż myślałam, że to możliwe. Dzięki tobie. – Uśmiechnął się niezręcznie.

– Jestem Barney. I przepraszam za zeszłą noc. Jeśli to coś znaczy, nie chciałem zabierać cię z domu.

Jakimś cudem: „W porządku, nie martw się, Barney. Takie rzeczy się zdarzają”, jakoś nie chciało przejść mi przez gardło.

– Co ci się właściwie stało? – zapytałam zamiast tego.

Pokręcił głową.

– Ty pierwsza. Co to była za magia?

Gdybym tylko wiedziała.

Jednak w oczach Barneya było coś ciepłego. Cień uśmiechu pojawił się na moich ustach.

– Wygląda na to, że oboje zostaniemy przy naszych tajemnicach.

Wyjście z lochów wydawało się dużo krótsze niż wchodzenie do nich ubiegłej nocy. Wyszłam za Barneyem na dziedziniec i natychmiast wciągnęłam haust wspaniałego powietrza pachnącego świeżym porankiem i deszczem.

Było pochmurnie i chłodno, kolejny raz przypomniało mi się, o ile zimniej bywało na północy. Peleryna z lisów, uprzejmy dar od nieznanego z lochów, była dużo cieplejsza niż moja nowa czarna, wełniana sukienka ze skórzanym gorsetem i bufiastymi rękawami. Mroczna świadomość, że nieznanomy zapewne już nie potrzebował futra, sprawiła, że zadrzałam jeszcze mocniej.

Nie minęło zbyt wiele czasu od wschodu słońca i wokół zamku panowała cisza. Zakładałam, że wszyscy wciąż spali, poza strażnikami patrolującymi obrzeża. Przeszłam za Barneyem przez ogromne, kute z żelaza zamkowe drzwi i wewnątrz przywitały mnie dźwięki oraz zapachy budzącej się warowni. Świeży chleb piekł się gdzieś w kuchni, podłogi myto różnymi lawendowymi i waniliowymi mydłami. Jak na wczesny ranek mieszkańcy tego przybytku pracowali wyjątkowo zawzięcie, by wszystkie powierzchnie lśniły a okna błyszcząły.

Zamek powalał mrocznym pięknem. Nigdy wcześniej w żadnym nie byłam, więc nie mogłam powstrzymać zdumienia. Shadowhold nadal mnie przerażało – upiorne jak duchy zamieszkujące każdy ciemny kąt i wyzierające zza drzwi – ale nie można było zaprzeczyć jego majestatyczności. Skomplikowane, rozległe kamienne elementy elewacji kontrastowały z delikatnym światłem przesiąkającym przez wypaczone okna z kolorowymi szybami. Barney musiał zauważyć moje zdumienie, bo wydawał się celowo iść wolniej, żebym mogła wszystkiemu się przyjrzeć.

Zakurzone niebieskie i fioletowe gobeliny, kosztowne jedwabne, zielone zasłony, stoły z ciemnego drewna i krzesła naznaczone latami użytkowania. Ciemne wazony, wypełnione najdziwniejszymi kwiatami, jakie w życiu widziałam, zdobiły ogromny korytarz, przez który właśnie przechodziliśmy. Rośliny wydawały się wiotkie i wyglądały żałośnie. Powykręcane łodygi i ciemne kolory odróżniały je od tych rosnących w Bursztynie. Moja matka byłaby nimi zachwycona.

Jeśli w ogóle jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę, żeby o nich opowiedzieć.

Wspięliśmy się rzeźbionymi, kamiennymi schodami, które okrężyły warownię, tworząc kilka oświetlonych świecami enklaw i zatrzymywały się przed drzwiami na drugim piętrze, naprzeciwko galerii. Wysłużony, drewniany znak głosił: „Apteka i Szpital” i wisiał krzywo przybity do drewna.

Chwilowa ulga sprawiła, że moje serce wróciło z gardła do piersi.

Nie tortury, nie natychmiastowa śmierć. Nie perwersyjny pułkownik.

*To potrafiłam.*

– Tutaj będziesz pracować. Przez cały dzień będę na zewnątrz, żeby mieć cię na oku, więc nie rób nic, co będzie wymagało interwencji pułkownika. – Powiedział to jako ostrzeżenie, ale w jego twarzy zobaczyłam też błaganie. – Zaprowadzę cię z powrotem do lochu na koniec dnia.

Przytaknęłam, chociaż na myśl o zamykających się za mną żelaznych kratkach poczułam dreszcz na plecach.

Musiałam zachować panikę na później.

Barney zastanowił się przez chwilę i dodał:

– Nasz król to sprawiedliwy człowiek. Jeśli nie może ukarać twojego brata za to, co ukradł, wyegzekwuje zapłatę od ciebie. Nie dawaj mu powodów, żeby wziął więcej, niż zaoferowałaś.

– Dziękuję, Barney.

Mężczyzna zamknął za mną drzwi, a ja wciągnęłam głęboko powietrze, rozglądając się po aptece.

W pomieszczeniu była drewniana podłoga, a za blatem ogromne okna wychodzące na przyprawiający o zawrót głowy pas dębów i wiązów otaczających warownię. Smugi światła słonecznego wpadały leniwie, ukazując kurz dryfujący w zastałym powietrzu.

Pachniało marantą, trawą cytrynową i różnymi maściami – mieszanką słodczy, wonnych ziół i leków, które wydały mi się dziwnie pocieszające. Rzędy półek zostały wypełnione różnymi ziołami i specyfikami wypełniającymi całą przestrzeń, dostrzegłam też kilka zakamarków na dziwaczniejsze przedmioty z różnych zakątków kontynentu, wcześniej widziałam bardzo niewiele z nich.

Oczywiście nie planowałam nikomu tego mówić. Będę musiała przetrenować swoje fatalne umiejętności kłamania, jeśli spytają mnie o coś tutaj, w razie gdybym została uznana za bezużyteczną dla zamku. Co wtedy zrobią? Zabiją mnie? Znowu zaczną szukać mojego brata? Wątpiłam, żeby żołnierze Onyksu byli w stanie teraz wytropić moją rodzinę, zwłaszcza jeśli dotarli do Królestwa Granatu. Skrzywiłam się na tę ironię. Jeśli ludzie króla Ravenwooda nie zdołaliby odnaleźć mojej rodziny, ja miałam na to szanse równe zeru.

– Halo? Tutaj! – zawołał ktoś męskim głosem.

Zmarszczyłam brwi i zacisnęłam dłonie w pięści. Podciągnęłam rękawy sukienki, zanim podążyłam za wołaniem wokół blatu i na prawo. W środku znajdował się mniejszy pokój, który musiał być szpitalem. Na wąskiej leżance siedział korpulentny mężczyzna z rudymi węsami podkreconymi do góry. Pomimo spuchniętej sonej nogi, miał na twarzy radosny uśmiech.

– Dzień dobry – powiedział, krzywiąc się. – Wspaniały dzień na uraz, nie sądzisz?

Wyrwało mi się ciche westchnienie ulgi. Spodziewałam się groźnego generała albo żołnierza. Kogoś podobnego do Berta, kogo będę musiała szybko uleczyć albo stracę życie. Ten mężczyzna wyraźnie nie był groźny.

A widok jego spuchniętej nogi był jak balsam na moje pędzące serce i zaciśniętą szczękę. Leczenie, w każdym zakresie, uspokajało mnie. Dziwne, ale dokładnie tego potrzebowałam.

– Co my tutaj mamy? – Pochyliłam się, żeby dokładniej obejrzyć miejsce zaatakowane chorobą. Żyły na dolnej części nogi nabrzmiały wściekle, wystając spod

skóry.

– Wyszedłem pozbierać drewno dla żołnierzy, którzy zajęli stanowiska wewnątrz zamkowych murów. Po porannych chmurach można poznać, że wieczór będzie okropnie mroźny. Wszedłem na coś, co wyglądało jak krzak jeżyn, i zanim się spostrzegłem, moja noga wyglądała jak bakłażan. – Skrzywił się, kiedy uniosłam jego kończynę i oparłam ją sobie na kolanie.

Dobra wiadomość była taka, że to tylko proste zatrucie toksyną z kolców jeżyn. Całkowicie uleczalne i to w dość łatwy sposób. Zła wiadomość to fakt, że wysączenie trucizny potwornie bolało i obawiałam się, że nawet ten krzepki mężczyzna może uznać to za zbyt trudne doświadczenie.

Uśmiechnęłam się do niego spokojnie.

– Mogę panu pomóc, ale muszę ostrzec, że to będzie dość bolesne.

– Mów mi Owen. Jesteś tą nową uzdrowicielką? Ostatnia zginęła na polu bitwy niedaleko stąd. Słyszałem, że dostała strzałę prosto w oko. – Owen posłał mi radosny uśmiech, mówiący, że uważał to za zabawny fakt.

– Tak, cóż – odpowiedziałam, krzywiąc się na obraz pojawiający się w głowie. – Jestem Arwena.

– Piękne imię!

Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

Czułam się zmęczona. W zasadzie skonana. I żaden uroczy, wąsaty mężczyzna nie był w stanie zniszczyć tej góry strachu, która utworzyła się w mojej duszy z powodu pobytu tutaj. Ale nie potrafiłam cofnąć się w czasie. Jedyne, co mogłam, to postarać się zadbać o siebie, a żeby to zrobić, musiałam zająć się Owenem i jego fioletową nogą. Może jeśli sprawdzę się w pracy, ktoś pozwoli mi spać w prawdziwym łóżku.

– W porządku, Owen. Trzymaj się mocno.

– Daj z siebie wszystko – powiedział, a jego policzki zaokrągliły się z uciechy.

Owen był dziwnym jegomościem, ale wydawało się, że poznałam jedyne go porządnego człowieka w całej warowni.

Mężczyzna się położył, a ja zabrałam się do pracy przy użyciu maści i pęsety. Kiedy zamknął oczy z bólu, zaczęłam wyciskać truciznę opuszkami palców i patrzyłam, jak jego żyły stawały się coraz mniej spuchnięte. Jego twarz zrobiła się czerwona, upodabniając się kolorem do wąsów, gdy walczył z dyskomfortem. Pracowałam szybko i skończyłam, jeszcze zanim zdążył mnie poprosić, żebym przestała.

– Lepiej, żebyś oszczędzał ją przez kilka godzin i pił dzisiaj dużo wody.

Owen spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Nie wiedziałem, że truciznę można tak szybko wyciągnąć. Poszczyście się nam, że cię mamy.

Uśmiechnęłam się i pomogłam mu pokuśtykać na zewnątrz, przy okazji pomachałam Barneyowi przez otwarte drzwi.

Gdy znalazłam się z powrotem w środku, zaczęłam oglądać książki, zwoje, mikstury i dziwne zamknięte w słojach stworzenia zdobiące ściany apteki. Chłonełam informacje – tyle sposobów, by naprawiać, uzdrawiać i leczyć, nigdy nie dowiedziałabym się tego wszystkiego od Nory. Może coś podsunie mi pomysł, jak uciec z tego miejsca. Miałam więcej swobody, niż mogłabym się spodziewać jako więzień, a to niosło możliwości, potrzebowałam tylko dnia lub dwóch, żeby zaplanować coś, co miałyby szansę zadziałać.

Ale po kilku godzinach dzień zaczął chylić się ku końcowi. Minuty były jak godziny, a godziny jak całe wieki.

Rzeczywistość mojej sytuacji zaczęła do mnie docierać około trzeciej i zadręczałam się tym do końca mojej zmiany w aptece. Nie znalazłam nic, co mogłoby pomóc mi w ucieczce, a każde okno i drzwi, jakie znalazłam, były albo zamknięte, albo strzeżone. Nie wspominając już o moim cieniu w postaci Barneya. Nie liczyłam, że się go pozbędę w najbliższym czasie.

Ale od wydostania się z zamku jeszcze trudniejsze byłoby przetrwanie w otaczającym go lesie. I nawet gdyby jakimś cudem mi się to udało, nadal nie miałam pojęcia, w jaki sposób przedostać się przez ogrom Onyksu. Nie posiadałam umiejętności, byłam słaba i niewyedukowana w żadnej kwestii związanej z tym królestwem. Kompletnie nieprzygotowana do życia bez bezpieczeństwa, jakie dawała mi rodzina. I gdzie oni byli? Udało im się dotrzeć do Granatu? A jeśli tak, to do jakiego miasta? Jakiej wioski?

Opadłam na krzesło za blatem. Czy był w ogóle sens walczyć z przeznaczeniem?

Ale wtedy pomyślałam o Ryderze. O jego sile.

Był wszystkim, czym ja nie byłam. Kreatywny tam, gdzie ja praktyczna, otwarty tam, gdzie ja nieśmiała. Odważny, charyzmatyczny, popularny i uwielbiany przez wszystkich. Żywiłam przekonanie, że połowa ludzi, z którymi dorastałam, nie odróżniłaby mojej twarzy od twarzy innych dziewczyn z Bursztynu o czekoladowych włosach. Mój brat był słońcem i wszyscy krążyli wokół niego, oczarowani jego światłem. Co znaczyło, że ja pełniłam rolę jakiejś odległej planety, samotnej i odludnej. A może samotnego meteoru, starającego się ze wszystkich sił znaleźć drogę na orbitę.

Ale przede wszystkim Rydera cechowała niewiarygodna odwaga.

A mnie nie. Przez całe życie paraliżował mnie strach.

Choć może mogłabym udawać. Udawać, że posiadałam jego odwagę, heroizm i pewność siebie, by móc zobaczyć, jak daleko mnie to zaprowadzi. Nie byłam tak



skłonna do wyzwania jak Ryder, ale nie byłam też jeszcze gotowa, żeby się położyć i przyznać do porażki.

Wstałam i zaczęłam szukać czegoś przydatnego, co mogłoby mi pomóc w tej długiej i niebezpiecznej podróży – maści i składniki medyczne z szuflad i szafek wokół mnie, ostre nożyce i trochę jadalnych roślin. Wepchnęłam wszystko do kieszeni mojej spódnicy. Potem zaczęłam szukać czegoś, co zapewniłoby mi możliwość zorientowania się, jak i kiedy opuścić to miejsce, nie dając się złapać przez strażników, ale nic nie przyszło mi do głowy.

Gdy słońce zachodziło, posprzątałam po całym dniu i zaczęłam się zastanawiać, jak poprosić Barneya, żeby pozwolił mi przejść się po zamku, abym mogła poszukać mniej uczęszczanych ścieżek, drzwi czy bram. Zatrzymałam się, żeby poprawić przekrzywiony słoik i ledwo zauważyłam burzę ogniste rudy włosów. Ktoś wpadł do środka, wprost na mnie. Serce podskoczyło mi z zaskoczenia i niezdarnie przytrzymałam się półki za sobą, przez co potrąciłam kilka butelek. Na szczęście nieznajoma pomogła mi je złapać, zanim roztrzaskały się na kamiennej podłodze.

– Przepraszam! Przepraszam. Uch, co za dzień – zaczęła gorączkowo.

Burza falujących jasnorudych włosów okalała twarz o delikatnych rysach i piegowaty nos. Nieznajoma pachniała cynamonem i goździkami, było w tym aromacie coś znajomego i ciepłego.

– W porządku, ja... – Zanim zdążyłam dokończyć, dziarska dziewczyna bezceremonialnie rzuciła torbę na podłogę i opadła na jedno z krzeseł pokrytych jagnięcą skórą, stojących na środku pokoju. Spięta niesforne włosy piórem – unikalna umiejętność, o której istnieniu nie wiedziałam – zrzuciła buty i wsunęła stopy pod siebie.

– Mój papa był tu wcześniej i zostawił skarpetkę. Powiedziałam mu, że nie jest z nami tak źle, żebyśmy potrzebowali z powrotem jednej skarpetki, ale wiesz, jacy są ojcowie – oświadczyła.

Patrzyłam na nią niemrawo. W zasadzie to nie wiedziałam.

– Zawsze tylko „nie marnuj”, „nie trwoń” i najlepiej nic nie chciej, więc powiedziałam mu, że wpadnę po nią, wracając z biblioteki. Ale utknęłam tam prawie do zmierzchu. Chyba każda osoba w warowni stwierdziła, że akurat dzisiaj jest dzień, kiedy chce wzbogacić swoją wiedzę, albo po prostu zrujnować mi dzień czy coś, więc oto jestem, kilka godzin później niż planowałam, i przegapię zaraz wystawianie pierwszej wiosennej sztuki przez skarpetkę.

Musiałam wyglądać na zszokowaną, bo otworzyła szeroko oczy, po czym westchnęła lekko i się zaśmiała.

– Wybacz. Jestem Mari. Papa mówi, że moja prędkość wiąże się z tymi rudymi włosami. Może sprawiają, że jestem taka narwana. Ty musisz być Arwena. Mówił, że jesteś naprawdę oszałamiająca. Wyleczyłaś go szybko i z niewielkim bólem. Dziękuję ci za to. – Uśmiechnęła się do mnie uprzejmie.

– Och tak. Oczywiście. Był uroczy. – Przechyliłam się przez blat i wyjęłam rzeczoną skarpetę. – Proszę bardzo. – Spodziewałam się, że Mari wyjdzie, ale ona zabrała tylko część garderoby ojca i rozsiadła się na krześle.

Przestąpiłam niezręcznie z nogi na nogę. Nie wydawała się groźna, ale nadal czułam w sobie lęk. Zerknęłam ponad nią na Barneya, który wyglądał jak granitowy posąg na galerii wychodzącej na dziedziniec.

Jak jakiś ochroniarz.

– Więc, nowa uzdrowicielko – powiedziała Mari. – Jak trafiłaś do Shadowhold?

Jaki ojciec taka córka, ale zarówno Mari, jak i Owen mieli w sobie tę zaraźliwą radość, tyle że Mari cechował ten przyciągający entuzjazm, którego Owenowi brakowało. Wydawała się w moim wieku, szokująco piękna w trochę dziki i zapierający dech w piersi sposób. To dość onieśmielające. Wydawało się, że mogłaby zjadać mężczyzn na śniadanie. Może istnieli tam gdzieś tacy, którym by się to spodobało.

Nie miałam pewności, czy powinnam jej powiedzieć, że byłam więźniem. Czy ktokolwiek zaufa mi w kwestii leczenia, kiedy dowie się, że pochodziłam z wrogiego królestwa? Rozważałam okłamanie jej, ale przypomniałam sobie, jak się to dla mnie ostatnio skończyło. Zacisnęłam dłonie na grubym materiale mojej sukienki i przygotowałam się na półprawdę.

– Przyjechałam wczoraj, żeby zająć wolne stanowisko i nie wiem zbyt wiele o tym miejscu.

Miałam nadzieję, że zapał Mari mógł pomóc w moim trudnym położeniu. Może powie mi odrobinę za dużo i zgromadzę informacje mogące przydać mi się podczas ucieczki. O ile nie zacznie pytać, skąd pochodziłam. Wiedziałam, żeby nie wspominać o Bursztynie, ale mój brak doświadczenia w zmyślaniu bardzo wszystko utrudniał.

– Mogę ci powiedzieć wszystko, co musisz wiedzieć. Większość kolesi tutaj jest dość nudnych i niezbyt wykształconych, jeśli mam być szczerą. Warownia jest domem dla żołnierzy i ich rodzin, dowódców i generałów armii, kilku dygnitarzy i szlachciców oraz ludzi takich jak ja i papa, którzy obsługują to miejsce. Tak czy inaczej – przekręciła się, podciągając kolana pod siebie – mieszkam tu całe życie, byłam w Willowridge tylko raz, na wakacjach, i wspominam to świetnie. Tyle historii i mnóstwo starożytnych ksiąg. Ale Shadowhold jest urocze, jeśli nie wychodzi się

zbyt daleko. Zapewne już wiesz, ale Las Cieni nie jest bezpieczny dla nikogo, nawet dla takich jak ja, którzy znają go na wylot. Jak na mój gust trochę za dużo tu stworów, a jestem całkiem odważna. Nie chcę się chwalić, ale nie jestem też zbyt skromna.

Odwróciła na chwilę wzrok, jakby zastanawiała się, czy rzeczywiście *była* skromna.

– Co to ja mówiłam? Wybacz. To był taki ciężki dzień.

Posłałam jej ciepły uśmiech. Była całkiem czarująca.

– Że mieszkasz tu całe życie?

– Racja. W wielkiej sali serwują co wieczór całkiem przyzwoitą kolację. Gulasz z królika to moje ulubione danie, ale nie pogardzę też mostkiem. Ludzie raczej trzymają się w swoim gronie, ale są mili, jeśli pozna się odpowiednią osobę, jak ja. Trzymałabym się z daleka od dowódców i żołnierzy. Nie byli zbyt mili już przed wojną, a teraz naprawdę są paskudni. Zwłaszcza trzeba uważać na pułkownika Berta. To prawdziwy brutal. Mój papa uważa, że musiało mu się przydarzyć coś okropnego w dzieciństwie, bo jest taki pokrecony. Ale to tylko zwykła trauma. Mam na ten temat sporo książek, jeśli jesteś ciekawa. Ostatnio jest jeszcze gorszy, odkąd przybył król Ravenwood, wszyscy są wyjątkowo spięci.

Nagle poczułam się tak, jakby mój żołądek wypełnił się ołowiem.

Nikczemny król był *tutaj*? W tym samym zamku co ja?

– Wiesz, co on tu robi? – Staralam się, by moje pytanie brzmiało swobodnie. Z pewnością to normalne, że królowie opuszczali stolice i odwiedzali swoje armie, ale bałam się, co to oznaczało dla naszego królestwa.

Mari zmarszczyła brwi.

– Wyobrażam sobie, że pracuje ze swoją armią, żeby zaplanować kolejny atak na Bursztyn. Nasz król jest genialnym generałem. Nie sądzisz? Bursztyn to interesujące królestwo do zdobycia. Bez wątplenia przejście władzy nad tymi ziemiami niesie za sobą korzyści logistyczne. Chciałabym tylko, żeby miał silniejszą dyplomację. Żaden król nie odniesie sukcesu z reputacją sadysty i kobieciarza.

Oczy prawie wyskoczyły mi z orbit – nigdy nie wypowiedziałabym się tak niekorzystnie o moim królu Garcie, nawet jeśli był niezbyt bystrym synem naszego niegdyś wspaniałego króla Tydena, *Niech Kamienie strzegą jego duszę*.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Kiedy Mari posłała mi dziwne spojrzenie, szybko dodałam: – Wiesz, dorastałam w bardzo małym miasteczku. Nie wiem zbyt wiele o polityce.

To w zasadzie była prawda. Rozczarowanie zabłyszczało w ciemnokarmelowych oczach Mari, jakby miała nadzieję, że jej nowa znajoma okaże się bystrzejsza, ale

wydawało się, że przemyślała tę sprawę i uświadomiła sobie, że mogła mnie edukować.

– Cóż, na początek, powiedziałabym, że jest tak jakby dziwką.

Tym razem parsknęłam, a ona wybuchnęła pogodnym śmiechem.

– To prawda! Słyszałam, że spał już z połową królestwa, ale nie planuje nigdy wziąć królowej. Myślę, że po prostu nie chce dzielić się władzą. Co pewnie jest dość mądre, jeśli patrzeć pod kątem politycznym, ale dość oziębłe, jeśli ktoś brałby pod uwagę moje zdanie. Nie stroni też od przemocy, tortur, zdrady... zrobi wszystko, żeby dostać w walce to, czego chce. W historycznych księgach już opisuje się go jako najbardziej surowego władcę, jaki kiedykolwiek rządził na kontynencie. Zmienia pułkowników jak bieliznę. Wydaje się, że nikt nie jest w stanie zachować pozycji w jego armii na długo, no poza komandorem Griffinem. Nigdy nie miał zbyt bliskiej relacji ze szlachtą czy lordami w królestwie. Jest po prostu zimny i bezwzględny, jak mówiłam.

To pasowało do wszystkiego, co przez całe życie słyszałam na temat króla Ravenwooda. Nie byłam na tyle naiwna, by myśleć, że opowieści Bursztynu na temat władcy Onyksu i jego żołnierzy były trochę przekoloryzowane, ale słysząc to od mieszkanki tego królestwa, tylko utwierdziłam się w przekonaniu o ich prawdziwości.

A świadomość, że znajdował się teraz tutaj, w warowni, tylko podsyciła moją potrzebę ucieczki.

Mari wpatrywała się we mnie, wyraźnie zastanawiając się, jak daleko odpłynęłam myślami.

– Wybacz, po prostu... – zawahałam się – ...okropnie jest słuchać złych rzeczy o naszym królu. To wszystko dla mnie nowości! – Skrzywiłam się na dźwięczące w moim głosie zaskoczenie. *Dlaczego byłam w tym taka kiepska?* – Słyszałam, że król Ravenwood ma smoki. Czy to prawda? – Nie chciałam wpaść na kolejnego z *nich*, uciekając stąd.

Ale ona tylko się zaśmiała.

– Tylko tego jednego. Widziałam go krążącego nad warownią raz czy dwa. Upiorny stwór. – Mari zadrżała. – Ale w lesie są najróżniejsze bestie. Chimery, ogry, gobliny.

Wzdrygnęłam się w cichym przerażeniu.

Nigdy nie sądziłam, że takie stworzenia mogły okazać się prawdziwe, nie wierzyłam ani odrobinę w plotki krążące po moim mieście. Raz widziałam kiel bazyliuszka, kiedy podróżny kupiec szukający osobliwości przejeżdżał w okolicy i uznałam, że to jakiś żart.

– To wszystko jest prawdziwe?

– Naprawdę jesteś z małego miasteczka. – Dziewczyna uniosła sceptycznie brew.  
– Zaraz mi powiesz, że salamandry Granatu albo śnieżne zjawy Perły to też mity.

Staralam się powstrzymać szczękę przed opadnięciem na podłogę.

– Już po kolacji. – Mari wyciągnęła do mnie łokieć, żebym wsunęła pod niego ramię. – Może razem obejrzymy chociaż końcówkę tej sztuki?

Pokręciłam szybko głową. Zważywszy na to, jak bardzo bała się króla Ravenwooda, nie sądziłam, żeby chciała zaprzyjaźniać się ze mną, gdyby знаła prawdę: że byłam tu więźniem i musiałam wracać do swojej celi. Do tego nie chciałam zapuszczać się głębiej do zamku – skoro te stworzenia czały się w lesie, co znajdowało się wewnątrz murów?

Spojrzałam na Barneya, który się obudził i stał teraz tuż za drzwiami apteki.

– Wybacz, jestem wykończona po pierwszym dniu i muszę się przespać.

– W porządku. – Mina zrzęła jej tylko odrobinę, ale szybko się opanowała. – Na pewno jeszcze się spotkamy. I tak jutro muszę przyjść zapytać o coś Dagona. Trzymaj się! – I po tych słowach, wyszła.

– Czekaj, kim jest Dagan? – zawołałam za nią, ale szła już korytarzem w stronę ogromnej kamiennej klatki schodowej.

Mój podniesiony głos przyciągnął uwagę żołnierza o szerokich barkach w hełmie z kości i szlachcianki ubranej w ciemną, koronkową suknię z gorsetem i z biżuterią z fioletowych kamieni i hebanu.

Cholera, cholera, *cholera*.

Skrzywiłam się i ukryłam z powrotem w aptece, żeby złapać oddech.

Wszyscy tutaj mnie przerażali. Emanowali gwałtowną, mroczną mocą i okrutnymi intencjami. Jakbym była mięsem, a oni głodowali od miesięcy.

Może poza Owenem. I jego rudowłosą córką. I może jeszcze Barneyem – co do niego nie byłam jeszcze pewna. Ale tak czy inaczej, ludzi z Onyksu należało unikać za wszelką cenę.

Zaczekałam, aż galeria opustoszała, zanim opuściłam aptekę. Barney czekał na zewnątrz, tak samo jak przez cały dzień, i powitał mnie zmęczonym uśmiechem. Podążyłam za nim po schodach w milczeniu. Posępne portrety możliwych Onyksu z bladymi, melancholijnymi twarzami wpatrywały się we mnie w blasku padającym z żelaznych kandelabrow i żyrandoli.

Staralam się unikać groźnych spojrzeń żołnierzy, wchodzących do wielkiej sali i powstrzymywałam się przed tęsknym patrzeniem, jak ich rodziny witały ich po długim dniu, żeby razem zjeść posiłek. Desperacko tęskniłam za Ryderem, Leigh i matką. Zastanawiałam się, gdzie byli i czy martwili się o mnie tak bardzo, jak ja o nich.

W korytarzach robiło się ciemno, gdy noc zapadała nad zamkiem, a ja musiałam znaleźć drogę do wyjścia, która nie prowadziła przez główne drzwi – były silnie strzeżone. Zanim okrążyliśmy skryty w cieniach róg w drodze powrotnej do lochów, przyciszone głosy, dobiegające zza zamkniętych drzwi na końcu korytarza, przyciągnęły moją uwagę.

Dostrzegłam słabą poświatę świecy emanującą spod drewnianych paneli, a niewielka luka w framudze pozwoliła, by dźwięk poniósł się w moją stronę. Drzwi nie były strzeżone – czy to mogła być inna droga na zewnątrz?

Zerknęłam na Barneya.

– Mogę przez chwilę popatrzeć na ten obraz? – zapytałam, wskazując na ten wiszący najbliżej tajemniczych drzwi. Kiedy przyjrzałam mu się uważniej, skrzywiłam się. Przedstawiał dość dobrze wyposażonego, nagiego mężczyznę, ściskającego w dłoniach swoje... wyposażenie.

Barney zbladł z zażenowania.

– Uch... jasne.

Poczułam, że twarz mi pąsowieje, ale nie zamierzałam wybrzydzać. Jego dyskomfort z powodu tego, co uznał za moje seksualne zainteresowanie tym wyolbrzymionym obrazem olejnym, to zapewne jedyne, co powstrzymywało go od odmowy.

Zbliżyłam się do otwartych drzwi, jednocześnie wpatrując się w najmniej interesujący mnie obraz nagiego mężczyzny, jaki kiedykolwiek widziałam, na wypadek gdyby Barney spojrział w moim kierunku. Już miałam spróbować złapać za klamkę, kiedy wydobył się zza nich cichy szorstki głos.

– Z całym szacunkiem, wasza wysokość, tak powiedziałaś ostatnim razem, a teraz tracimy ludzi w alarmującym tempie. Nie jestem w stanie trenować nowych ludzi tak szybko, jak szybko znikają nasi wyszkoleni żołnierze.

„Wasza wysokość”? Czy rozmawiał z...

Wtrącił się kolejny mężczyzna, jego głos był gładki jak jedwab, ociekający żarem.

– Bez żadnego szacunku... będziesz musiał. Nie każ mi zrobić przykładu z kolejnego z twoich pułkowników. Wiesz, jak bardzo to lubię.

Król Ravenwood.

Bez wątpienia.

Wyprostowałam się jak struna, serce łomotało mi w piersi.

– Panie, możesz się wyżyć na kimkolwiek chcesz. To nie pozwoli nam zlokalizować tego, czego potrzebujemy na czas. Po prostu będę musiał znaleźć nowych pułkowników.

– Czy nie za to płacę ci tak szczerze?

– A może trzeba zrobić przerwę w poszukiwaniach chociaż na tydzień, na tyle długo, żeby...

– Nie... znasz treść słów proroka równie dobrze jak ja. Kończy się czas, komandorze. Mamy niecały rok.

Prorok? Co to mogło...

Szorstka dłoń Barneya złapała mnie za ramię, a ja podskoczyłam wysoko na ten nagły kontakt.

– Wystarczy, obraz będzie tutaj też jutro – oznajmił, a na jego twarzy malowała się twardość i chłód

W jego oczach tlił się niepokój, przysłaniając wszystkie inne emocje. Czy on też usłyszał tę potajemną rozmowę? Kiedy mnie odciągał, drugi mężczyzna – ten, którego król nazwał komandorem – westchnął i usłyszałam szuranie krzesła.

– Kiedyś potrafiłeś się lepiej bawić.

Barney i ja wyszliśmy na chłodną noc, z dala od przyciszonej dyskusji. Ostatnie, co usłyszałam, to mroczny śmiech, który poczułam niczym falę, rozbijającą się na mojej piersi.

## SZÓSTY

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że ktoś był już w aptece następnego ranka, zanim Barney mnie tam odeskortował. Przyjrzałam się mężczyźnie czytającemu za kontuarem. Miał siwe włosy, choć gdzieniegdzie przebijały się jeszcze czarne pasma, rzadką brodę i wysokie, smukłe ciało. Podniósł na mnie surowy wzrok, dzięki czemu zauważyłam ciemne worki pod jego oczami.

– Ty musisz być Arwen.

– Dagan? – zapytałam.

Uklonił się uprzejmie, zanim wrócił do swojej książki.

– Też tutaj pracujesz?

Spojrzał na mnie, jakbym mu przeszkadzała. Co zapewne robiłam.

Zalało mnie zawstydzenie, a policzki mi poróżwiały.

– Czasami – wymamrotał, po czym ponownie stracił mną zainteresowanie.

Uroczo. Zajęłam się sortowaniem suszonych ziół i czytaniem nowego tekstu o uzdrawianiu.

Wczorajszej nocy byłam w stanie myśleć jedynie o podsłuchanej dyskusji. Nie mogłam pozbyć się uczucia, że gdybym była mądrzejsza, mogłabym wykorzystać jakąś informację z prywatnej rozmowy króla na swoją korzyść – żeby ulepszyć plan ucieczki. Bardzo słabo skonstruowany, właściwie jeszcze nieistniejący plan ucieczki.

Jedyne, co wyłapałam, to że król wyraźnie czegoś szukał i że kończył mu się na to czas...

Nie wiedziałam, co myśleć o wspomnianym proroku. To kolejna rzecz, którą uważałam tylko za opowieść – moc widzenia przyszłości, ujawniania woli Kamieni nam, marnym śmiertelnikom. To więcej, niż mogłam pojąć.

Przeniosłam wzrok na Dagona. Wyglądał, jakby mieszkał w Onyksie przez całe życie, zważywszy na jego groźny grymas i swobodę za tym kontuarem. Może mogłabym bardzo subtelnie zapytać go...

– Czy ty – przełknęłam niezręcznie – wiesz może...

– Niedługo wrócę – przerwał mi i ruszył w stronę drzwi.

*Och. Świetnie.*

– W porządku – westchnęłam, zdezorientowana. Przypomniałam sobie wczorajszy dzień i dodałam: – Wydaje mi się, że Mari miała nadzieję spotkać się



z tobą dzisiaj. Jeśli przyjdzie podczas twojej nieobecności, mam jej powiedzieć, że wrócisz?

Dagan wyglądał, jakby zabrano mu kilka lat z jego już długiego życia. Miałam przeczucie, że ledwo tolerował chaotyczną energię Mari.

– Nie – rzucił i wyszedł.

Około godziny później zioła leżały już posortowane, nie tylko ze względu na kolor i miejsce pochodzenia, ale też urodę niczym chłopcy – kardamon wyraźnie wygrywał – a nuda zaczęła mi potwornie dokuczać.

Wstałam, splotłam palce i uniosłam rękę wysoko nad głowę, żeby rozprostować plecy po tak długim pochylaniu się nad suchymi liśćmi.

Mój pomruk przyjemności wywołany rozluźnieniem nagromadzonego napięcia, został gwałtownie przerwany przez ochryple chrząknięcie.

– Nie chcę narzekać na widoki, ptaszyno, ale obawiam się, że potrzebuję pomocy.

Miałam wrażenie, jakby mój żołądek spadł z klifu. Znałam ten głos.

Podniosłam gwałtownie głowę.

Przede mną stał mój alarmująco przystojny współwięzień. Jednak nie martwy, ale dużo mu nie brakowało do osiągnięcia tego stanu. Miał na sobie tylko spodnie, rozdarte na łydce i pokryte ziemią. Włosy przykleiły mu się do czoła od potu i brudu, a jedną ręką podtrzymywał się półki.

Okropny moment na takie obserwacje, ale jego klatka piersiowa i brzuch były wspaniale wyrzeźbione. Błyszczały od potu, pokrywała je też odrobina ciemnych włosów. Jego rozcięte ramię napięło się, gdy zazgrzytał zębami i podciągnął się w górę. Pomimo wyraźnego bólu posłał mi pewny siebie uśmiezek, czarujący i denerwujący zarazem. Zdecydowanie przyłapał mnie na gapieniu się na niego.

Staralam się odwrócić wzrok – jak *dama* – kiedy to zauważyłam. Drugą dłoń przyciskał mocno do prawego boku. Lepka krew przesączała się przez jego palce i spływała po klatce piersiowej, w stronę biodra i znikła, wsiąkając w materiał spodni.

Doskoczyłam do jego boku, ale zastanowiłam się, zanim objęłam ramionami jego potężne ciało – nawet ranny wyglądał, jakby mógł zmiażdżyć mnie jedną ręką, gdyby tylko chciał – i zamiast chwycić go pewnie, poprowadziłam go delikatnie do szpitalnego łóżka i zatrzasnęłam za nami drzwi. Pod moimi dłońmi jego ciało przypominało chłodną stal. Martwił mnie brak bijącego od niego ciepła. Okazał się zbyt zimny i lepki.

Stracił dużo krwi.

Nieznajomy zamknął oczy ze zbolałym stęknieniem.

– Co się stało? – zapytałam, napełniając miskę ciepłą wodą z antyseptykiem. Jakim cudem wydostał się z celi i wędrował sobie po zamku? Ze strażnikami na każdym rogu, w każdym zakamarku i korytarzu?

– To tylko draśnięcie. Na pewno wszystko jest w porządku.

Niepokój wspiął się po mojej szyi jak pająki.

– Możesz mi pokazać?

Ostrożnie odsunąłem dłoń od boku, a ja od razu poczułam wdzięczność za serię wojennych koszmarów, których stałam się mimowolnym świadkiem w ciągu ostatnich kilku lat w Abbington – nie tyle ze względu na doświadczenie w medycynie polowej, ale też z racji wiedzy że nie należy wzdychać na głos, by nie przestraszyć pacjenta.

Zachowanie przez niego spokoju było równie ważne, co pozszywanie go w całość.

Ogromny fragment ciała został wyrwany pomiędzy jego żeber. Prawie widziałam kość pomiędzy mięśniami.

– To najgorsze, co widziałas, ptaszyno?

– Nawet nie w połowie. Jak powiedziałeś, to tylko draśnięcie. Poskładałam cię w mgnieniu oka. – Staralam się mówić lekkim tonem, gdy obserwowałam, jak gromadziłam zapasy.

Cofnąłem się odrobinę, kiedy ściereczka po raz pierwszy dotknęła rany. Z dziesiątek ran na jego ramionach i torsie wnioskowałam, że to nie pierwsze jego *draśnięcie*. A jednak kiedy skrzywił się ponownie, poczułam potrzebę, żeby go rozproszyć, jak on zrobił ze mną tej pierwszej nocy w lochach.

– Jak się wydostałeś? – zapytałam, oczyszczając ranę. – Myślałam, że może coś się stało...

– Och, ptaszyno. Martwiłaś się o mnie? Bałaś się, że znajdziesz moją głowę nabitą na pał?

Usta mi zadrgały, ale nie mogłam wystarczająco szybko wymyślić żadnej mądrej riposty. Naprawdę martwiłam się o niego, a właściwie o to, co jego los oznaczał dla mnie. Mężczyzna wygiął brwi w łuki i szybko odwrócił wzrok. Ale zaskoczył mnie przebłysk niedowierzania, który w nim zauważyłam.

Mimo to uniknął mojego pytania, wyraźnie niezainteresowany podzieleniem się swoim planem ucieczki.

Samolubny palant.

– Wiedzą, że wydostałeś się z zamku... albo że do niego wróciłeś? Dlaczego w ogóle wciąż tu jesteś? – zapytałam.

– Kiedy nabawiłem się tego paskudztwa, nie miałem za bardzo dokąd pójść. – Skrzywił się, kiedy zdrapałam brud z jednej wyjątkowo zanieczyszczonej części jego

boku.

– Więc wróciłeś do warowni, z której właśnie uciekłeś? Uznałam, że ktoś taki jak ty po prostu biegłby dalej.

– Czyli ktoś bardzo głupi?

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

Zmarszczył brwi.

Nie potrafiłam przestać zerkać na drzwi szpitala. Czy Barney, Bert albo inny żołnierz mogli wpaść tu w każdej chwili i go zabić? Albo mnie za pomaganie zbiegłemu więźniowi?

Musiałam pracować bardzo, bardzo szybko.

– Gdybyś nie zauważyła, ptaszyno, w promieniu wielu kilometrów nie ma żadnych miast ani wiosek. Jakie dawałabyś mi szanse, gdybym biegł dalej z taką raną?

– Nie martwisz się, że złapią cię, skoro wróciłeś?

Skrzywił się i wzruszył lewym ramieniem.

– Nie jestem priorytetem dla żołnierzy. Jesteśmy w trakcie wojny, wiesz.

Przełknęłam z trudem ślinę, w nadziei, że miał rację.

Uniósł brew z zaciekawieniem.

– Nie musisz się martwić. Nie ukażą cię za pozszywanie mnie.

– Nie wiesz tego – syknęłam, a mój wzrok ponownie uciekł w stronę drzwi.

– Więc w takim razie dlaczego mi pomagasz? Skoro sądzisz, że to może oznaczać dla ciebie otrzymanie wyroku śmierci?

Spłonęłam rumieńcem. Miał rację. To był okropny pomysł.

– Ponieważ jesteś ranny. A ja jestem uzdrowicielką.

Przesunął wzrokiem po mojej twarzy.

– Masz w sobie wiele moralności, ptaszyno. Co ktoś taki jak ty robi w lochach Onyksu?

Z wahaniem przygryzłam dolną wargę. Temu mężczyźnie udało się uciec z celi, a ja szukałam drogi ucieczki i oto miałam ją przed sobą. Może zamieni sekret za sekret. To wydawało się odpowiednią walutą dla królestwa takiego jak to.

– Mój brat ukradł coś królowi i zawarłam układ, żeby uratować mu życie – powiedziałam, nie odrywając wzroku od jego rany.

Po zbyt długiej chwili ciszy zerknęłam w górę, by zobaczyć, że twarz mężczyzny stężała.

– Dlaczego?

Poczułam, że muszę się bronić.

– Jak to „dlaczego”? To mój brat. Nie mogłam pozwolić, by zginął z rąk tych szumowin z Onyksu.

Jego oczy wwiercały się w moje, widziałam w nich mieszaninę chłodu i ciekawości.

– Dlaczego uznałaś, że twoje życie jest mniej warte niż jego?

Takich słów w ogóle się nie spodziewałam.

– Ja... wcale nie... To nie tak. – Z jakiegoś powodu moją twarz oblał rumieniec.

Dorastając, zawsze zazdrościłam Ryderowi. Mężczyźni chcieli się z nim przyjaźnić, Powell i moja matka go uwielbiali. W ich oczach nie mógł zrobić niczego złego. Z tym przyszło niesamowite uczucie pewności siebie, które sprawiało, że odnosił sukcesy we wszystkim, za co się tylko zabrał.

Może czułam się jak ktoś, kto musiał się poświęcić, lepiej ja niż on. Wstyd pokrył mój język i zadzwonił w uszach. Piekły mnie policzki. Spojrzałam w dół na ranę, którą oczyszczałam. Im szybciej zdołam go stąd wyciągnąć, tym lepiej. Więzień obserwował mnie uważnie, więc schyliłam się mocniej, by skryć się przed tym czujnym spojrzeniem, i dokończyłam moją pracę.

Kiedy rana była czysta i posmarowana maścią, zaczęłam go zszywać. Leżał nieruchomo, ledwo się krzywiąc, gdy wbijałam igłę w jego skórę.

Teraz albo nigdy. Już prawie skończyłam...

Pomyślałam o pułkowniku, o fakcie, że król Ravenwood znajdował się gdzieś w zamku i ostrożnie wyważyłam następne słowa. Miałam tylko jedną szansę.

– Przydałaby mi się twoja pomoc.

Uniósł brwi, ale czekał, co powiem dalej. Przeanalizowałam prawdę w swojej głowie. Nie mogłam ufać temu mężczyźnie, to oczywiste, ale kończył mi się czas. Kiedy tylko zostanie uleczony, odejdzie, a z nim moja jedyna szansa na wolność.

– Udzieliłaś mi sporej pomocy... pozwól, że oddam przysługę.

Przełknęłam palącą w gardle gulę.

– Pomóż mi uciec. Wyraźnie odniosłeś sukces na tym polu. Zabierz mnie ze sobą, proszę.

Ściągnął brwi, ale nic nie powiedział. Dokończyłam ostatni szew i zaczęłam owijać ranę bandażem.

– Nie mogę. Wybacz. Nadal mam tu pewne interesy do załatwienia.

*Interesy?*

– Jesteś zbiegiem – powiedziałam, po czym z mojego gardła wyrwało się krótkie parsknięcie, będące bardziej wyrazem szoku niż wesołości czy czegokolwiek innego.

– Jakie interesy możesz mieć poza wydostaniem się z tego zapomnianego przez Kamienie miejsca żywym?

Może chodziło o polechtanie jego ego – może chciał, żebym błagała go o pomoc, a ja nie byłam ponad to. Zrobię wszystko, co będę musiała.

Uśmiechnął się szeroko i usiadł prosto, wyjął z moich dłoni ostatnie bandaże i sam dokończył zadanie.

– Słuszna uwaga od mądrej kobiety, ale niestety nie mogę powiedzieć ci wiele więcej poza tym, że lasy wokół Shadowhold są okrutne i pełne stworzeń, z którymi nie radziłbym ci mierzyć się w pojedynkę.

– Tak słyszałam. Tak właśnie dorobiłeś się tej rany? Coś cię ugryzło w trakcie ucieczki?

Wyrwał mu się śmiech, na co się skrzywił.

– Nie jesteś daleka od prawdy.

Przerzucił nogi przez brzeg łóżka i ostrożnie wstał.

– Czekał. – Wskazałam z powrotem na łóżko. – Nie skończyłam. Jeszcze jedna maść.

Zmarszczył brwi, ale wskazał na samego siebie, jakby chciał powiedzieć: „Dobra, ale pośpiesz się”.

Wzięłam maść leczniczą i przeszłam przez pokój, żeby z powrotem stanąć obok niego. Na Kamienie, ależ był wysoki. Górował nade mną. Nawet pokryty potem i blady od utraty krwi, emanował wręcz bolesnym pięknem. Aż pękało serce.

I naprawdę musiał włożyć koszulę. Wzięłam ostrożny wdech i wsunęłam dłonie pod bandaże pod pozorem nałożenia maści. Zaparło mu dech przy moim dotyku, a ja pozwoliłam, by krople mojej mocy wsączyły się w jego skórę i połączyły jego rozerwane ciało, wzmacniając szwy i łagodząc opuchliznę.

– Dlaczego nie chcesz mi pomóc? Nie będę dla ciebie ciężarem. Obiecuję.

Podniosłam na niego wzrok.

Jego spojrzenie było łagodne, ale biło z nich cierpienie. Może po prostu odczuwał tak wielki ból z powodu rany.

– Przykro mi, ptaszyno. Obawiam się, że jesteś tu potrzebna.

Odsunęłam dłonie, a jego wzrok przesunął się po mnie, powolny i rozkoszujący się, wręcz szokująco intymny. Przestrzeń pomiędzy nami zaiskrzyła.

Używanie mocy zawsze trochę mnie męczyło i teraz też czułam, że ogarnia mnie lekkie wyczerpanie. Zmrużył oczy i podszedł jeszcze bliżej, jego urzekający drzewny zapach ogarnął moje zmysły.

– Wszystko w porządku?

– Po prostu jestem zmęczona.

– Mnie też się to zdarza. – Skinął głową.

– Ty... się męczysz? – Zmarszczyłam brwi.

Miałam wrażenie, jakby jego policzki lekko poróżowiały, ale zanim zdołał odpowiedzieć, donośny huk towarzyszący otwieraniu drzwi apteki oderwał jego

wzrok ode mnie. Bez zastanowienia, mężczyzna posłał mi przepaszający uśmiech i wyskoczył przez okno.

– Cholera! – Mój szept przypominał pisk, podbiegłam do parapetu, ale nieznajomy był na zewnątrz, zanim zdążyłam go powstrzymać. Spojrzałam w dół na zakurzoną ziemię poniżej i westchnęłam.

Zniknął.

*Jak?*

Odwróciłam się akurat w chwili, kiedy przystojny mężczyzna o miodowych włosach i jasnozielonych oczach przypominających tafłę morza wpadł do pokoju.

Moja pierś uniosła się gwałtownie, gdy starałam się przypomnieć sobie o oddychaniu. Adrenalina nadal krążyła w moich żyłach.

– Gdzie on jest? – Barczysty mężczyzna był prawie tak wysoki jak więzień i możliwe, że silniejszy. Miał na sobie mundur Onyksu z błyszczącymi ćwiekami ciągnącymi się wzdłuż czarnej, skórzanej upręży. Obrócił się wokół, sprawdzając mały pokój. Potem jego groźny, nikczemny wzrok przesunął się na mnie.

Przełknęłam z trudem ślinę, wiercąc się pod jego nieugiętym spojrzeniem.

– Jestem Arwen, nowa uzdrowicielka. Kogo szukasz?

Rzucił mi miazdzące spojrzenie, przez co niemal stchórzyłam. Bez kolejnego słowa odwrócił się na pięcie i zatrzaskał za sobą drzwi.

## SIÓDMY

Zaledwie jeden dzień po tej niedorzecznej rejteradzie przez okno, stał się cud – znalazłam drogę ucieczki.

Miał na imię Jaem i był synem rzeźnika. Dzisiaj przyszedł do mnie z dwoma zmiądzonymi palcami. Próbując uderzyć tłuczkiem, żeby rozbić kawał wieprzowiny, spojrzał na Lucindę. Ta piękna, młoda kobieta o długich, jasnych włosach i wąskim nosie wyrwała Jaemowi oddech z piersi i z wrażenia uderzył tłuczkiem prosto w swoją dłoń. Biedny dzieciak.

Naprawiając palce, które bardziej przypominały mielone mięso, dowiedziałam się od niego, że miał nadzieję jutro przywieźć coś z miasta dla Lucindy. Raz w tygodniu jeździł do stolicy, żeby sprzedać pozostałe w warowni mięso i skóry, o których nie mówił ojcu, żeby zachować dla siebie dodatkowe pieniądze. Wyjeżdżał co tydzień o północy.

Dziś wieczorem zamierzałam zakraść się do jego wozu.

Już pierwszego ranka tutaj uświadomiłam sobie, że zamek drzwi mojej celi był zardzewiały, ale aż do teraz nie wpadłam na pomysł, jak mogłabym to wykorzystać na swoją korzyść. Kiedy znajdę się już w stolicy Onyksu, mogłabym dostać się do portu i znaleźć bezpieczne miejsce na statku. Miałam przy sobie jeszcze odrobinę monet z tamtej nocy, kiedy opuszczaliśmy Abbington. Ukryłam je w kieszeniach spódnicy i miałam nadzieję, że to wystarczy na podróż z wybrzeży Onyksu do Granatu. O ile zdołam znaleźć drogę w stolicy, wśród wszystkich żyjących tam stworzeń i złoczyńców... Ale mój niepokój związany z przebywaniem w Willowridge to nic w porównaniu ze strachem przed przekroczeniem linii Lasu Cieni. Jeśli mogłam przedostać się przez niego bezpiecznie w wozie Jaema, to mogłam poradzić sobie ze wszystkim, co znajdowało się w mieście.

Strach, że Barney czy Bert albo – Kamienie brońce – sam Król mogli uświadomić sobie, że pomogłam w ucieczce więźniowi, ciągle kołatał się w mojej głowie. Każdego dnia pojawiała się nowa, bardziej paląca przyczyna, dla której im szybciej wydostanę się z warowni, tym lepiej.

A jednak odkryłam, że odtwarzałam w głowie rozmowę z nieznanym więcej niż tysiąc razy. Dlaczego został w Shadowhold po tym, jak znalazł wyjście z celi? Dlaczego zniknął, zanim uderzył o ziemię? Moje oczy z pewnością wywinęły mi jakiś numer.

To oraz podsłuchana rozmowa króla z jakimś mężczyzną, wirowało w mojej głowie bez przerwy każdej nocy, kiedy siedziałam zamknięta w celi – to wszystko rozpraszało mnie przed poddaniem się ogarniającemu mnie strachowi.

– Czy liść mirtu powinien być tutaj? – zapytałam Dagona, wracając myślami z powrotem do ziół leżących przede mną.

Całą jego odpowiedź stanowiło powolne skinienie.

Powinłam była się tego spodziewać. Nigdy nie otrzymałam od staruszka niczego więcej. Z jakiegoś powodu wydawał się mną gardzić, a ja na tyle, na ile mogłam, starałam się trzymać buzię na kłódkę, przebywając w jego towarzystwie. Pracowaliśmy w ciszy, gdy ostatnie godziny dnia zmierzały ku końcowi.

Teraz, kiedy wiedziałam, że może będę w stanie opuścić to miejsce o północy, zmierzch nadchodził coraz szybciej.

– Cześć wam! Niezłą macie tu imprezkę.

Radosny sarkazm Mari, która właśnie wpadła przez drzwi apteki, był mile widzianym przerywnikiem tej monotonii.

– Co to? – zapytałam, zamiast powitania, wskazując na oprawioną w skórę książkę w jej rękach.

– Księga czarów wiedźm. Wydaje mi się, że ma ponad sto lat. Przetłumaczyłam tyle, ile zdołałam, ale Daganie, pomyślałam, że mógłbyś pomóc mi z resztą. Mógłbyś?

Mężczyzna prychnął, ale widziałam, że ta prośba go ucieszyła. Może po prostu był tak znudzony jak ja. Na samą myśl zachciało mi się śmiać. Wziął książkę od Mari i poszedł do schowka prawdopodobnie po coś, co mogło pomóc mu z tłumaczeniem.

– Powiedział do mnie dzisiaj może z sześć słów. Niezbyt rozmowny gość. Kim on właściwie jest? – szepnęłam do Mari, kiedy znalazł się poza zasięgiem słuchu.

Dziewczyna w odpowiedzi zachichotała.

– Kiedyś był doradcą, czy kimś takim, króla, zanim nastał Kane Ravenwood, a jeszcze wcześniej chyba służył w armii Onyksu, ale teraz po prostu pracuje w aptece. Niektóre z młodszych dzieciaków uważają, że jest czarnoksiężnikiem i to dlatego król Ravenwood go tu trzyma, ale ja nigdy nie widziałam, żeby używał magii.

– Postukała palcami w drewniany blat, zastanawiając się. – Udaje, że go irytuję, ale potrafię go przejrzeć. Wiem, że uwielbia pomagać mi przy starych tekstach oraz w poszukiwaniach na temat Fae i wiedźm. To po prostu samotny staruszek. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek miał rodzinę lub kogokolwiek bliskiego.

Poczułam ucisk w sercu z powodu Dagona.

– Muszę wracać do biblioteki, ale może zjemy dzisiaj razem kolację? Będzie ten mostek, o którym ci mówiłam.



Nie byłam pewna, czemu czułam się winna, zbywając Mari. Przecież nawet jej zbyt dobrze nie znałam. Minęło dużo czasu, odkąd od kogokolwiek otrzymałam przyjazne zaproszenie, a do tego unikałam wielkiej sali przez cały tydzień pobytu tutaj. Unikałam wszystkiego poza tym pokojem, przyległym szpitalem i moją celą.

Nawet gdybym była odważna i postanowiła zwiedzić resztę wypełnionego cieniami zamku, nie wyobrażałam sobie, żeby Barney zgodził się na kolację z nową koleżanką.

– Jutro? – I tak już mnie tu nie będzie, z pomocą Kamieni.

Jeśli dziś w nocy mi się powiedzie, zapewne nie zobaczę jej już nigdy więcej. Zdziwiła mnie ta ponura myśl. Miałam nadzieję, że dziewczyna nie uzna, że moje zamyślenie i wahanie miały coś wspólnego z nią.

Wyraz jej twarzy powiedział mi, że wiedziała o skrywaniu przeze mnie tajemnicy.

– Co się dzieje?

– Po prostu tęsknię za domem. To wszystko.

Kolejna półprawda.

– W porządku. Zobaczmy, jak będziesz czuła się jutro. – Mari ścisnęła moje ramię, zanim odwróciła się do wyjścia.

Dagan i ja pracowaliśmy dalej tylko przy kilku innych pacjentach, samych żołnierzach przychodzących w ciągu dnia. Pozwolił mi zająć się leczeniem, sprawdzając co jakiś czas, czy nie popełniłam żadnych oczywistych błędów. Starłam się nie brać tego do siebie.

Właśnie sprzątałam w szpitalu po wyjątkowo krwawej ranie kłutej, kiedy usłyszałam ochrypły głos, który sprawił, że mój żołądek skręcił się z niepokojem.

– Dagan, witaj z powrotem – powiedział Bert. – Komandor mówi, że Jade został rozwalony. Szkoda. – Odgłos szurania butów zbliżającego się do mnie pułkownika narastał powoli i nieprzerwanie jak niepokój kotłujący się w mojej piersi. – Gdzie dziewczyna?

*Cholera.* To niemożliwe, żebym była tak bliska wolności i wpadła z powrotem w łapska Berta.

Powoli, ostrożnie, z taką delikatnością, że moje dłonie drżały, zamknęłam drzwi szpitala i przysunęłam łóżko do zamka.

Musiałam się stąd wydostać, zanim Dagan przyprowadzi Berta, żeby mnie zabrał. Ale serce łomotało mi w uszach tak głośno, że nie mogłam myśleć.

Okno.

Skoro nieznajomy mógł to zrobić pomimo swojej rany, to ja też mogłam.

Dotknęłam palcami szyby, zanim w pełni sobie to uświadomiłam, złapałam za zamek i pchałam, pchałam, pchałam.

Zasuwka nie chciała ustąpić. *Zasuwka nie chciała ustąpić*, a ja zostałam tu uwięziona jak mysz w potrzasku.

Czy to okno zostało zabezpieczone po tym, jak więzień uciekł tą drogą? Uderzałam w skobel raz za razem, ból rozlewał się w mięśniach i kościach barku i przedramienia.

Pot skraplał mi się na brwiach i linii włosów.

Oblizawałam wargi i spięłam się z wysiłku, zaciskałam zęby, dzwoniło mi w uszach.

Dalej, dalej, *dalej*.

W końcu rama ustąpiła z kliknięciem.

Dzięki Kamieniom.

Otworzyłam okno, a chłodna bryza owionęła mi twarz. Zmrużyłam oczy, patrząc w dół. Żołnierze przechodzili poniżej. Kowal uderzał młotem niczym kat. Dłonie zaświerzyły mnie na ten widok – nigdy nie uda mi się dotrzeć do stajni. W zasadzie pewnie nigdzie nie uda mi się dotrzeć. Mur był bardziej stromy, niż się spodziewałam, a upadek nawet z drugiego piętra niebezpieczny. Nie miałam pojęcia, jak ten więzień to zrobił.

Klamka w drzwiach zagrzechotała, więc uniosłam się na brzegu okna.

– Arwen? Dlaczego jest zamknięte?

Wciągnęłam ostro powietrze.

To Dagan.

Nasłuchiwałam głosu pułkownika, jedna stopa zwisała mi z okna, wiatr szarpał kostką – ale niczego nie słyszałam.

– Arwen?

Nie usłyszałam ponownie Berta. Łomotanie trwało nadal, więc wypowiedziałam cichą modlitwę do Kamieni, żeby to okazało się właściwą decyzją i wciągnęłam się z powrotem.

Zanim odsunęłam łóżko i otworzyłam drzwi, Dagan poczerwieniał na twarzy.

– Co ty tam robiłaś?

Objęłam posiniaczone ramię.

– Ja... utknęłam.

Dagan pokręcił głową i wrócił do apteki.

Podążyłam za nim, pytając:

– Dobrze słyszałam, że przybył tu pułkownik? – Staralam się brzmieć swobodnie, ale wyszło o dwie oktawy za wysoko.

Dagan burknął z niezadowoleniem.

– Niestety.

– Nie jesteś jego fanem?

– A ktoś jest?

– Jak skłoniłeś go do wyjścia? – Uśmiech zadrgał mi na wargach.

– Nie miałem tego, czego szukał. – Dagan posłał mi znaczące spojrzenie.

Głośne westchnienie wyrwało się z moich płuc. Nie byłam nawet świadoma, że wstrzymywałam oddech.

Zaledwie zmierzchało, ale...

– Dagan... nie czuję się za dobrze. Chyba moja dzisiejsza porcja owsianki nie była zbyt świeża. Nie masz nic przeciwko, żebym wyszła trochę wcześniej? – Złapałam się za brzuch odrobinę zbyt późno, żeby ta historyjka przeszła.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Jeśli musisz.

– Dziękuję. – Prawie powiedziałam „Do zobaczenia jutro”, ale miałam wrażenie, że wyczerpałam już limit kłamstw na całe życie.

Barney odprowadził mnie do celi w niezręcznej ciszy. Wyraźnie coś chodziło mu po głowie, ale nie obchodziło mnie co. Tego wieczoru miałam jedną misję. Planowałam ją przez cały dzień, zszywając i lecząc, a teraz przyszedł czas, by się przekonać, czy nauczyłam się czegokolwiek w ciągu całego życia z Ryderem. To jedyne, co mogłam zrobić, żeby nie załamać się pod ciężarem ogromu czekającego mnie niebezpieczeństwa, jeśli mi się powiedzie.

Dotarliśmy do mojej celi, a Barney zamknął za mną drzwi, wpychając żelazny klucz do dziurki.

– Barney – powiedziałam, chwytając jego dłoń przez kratki.

Skrzywił się lekko, ale nie odwrócił wzroku, czekając, aż będę kontynuować.

– Chciałam tylko powiedzieć, że jestem ci bardzo wdzięczna. Za twoją uprzejmość i odwagę.

Gdy mówiłam, moje serce wywinęło koziołka. Stopą powoli pociągnęłam drzwi celi do środka, centymetr po centymetrze. Na tyle ostrożnie, aby nie zauważył, że zardzewiały zamek zamknie się dobrze tylko, jeśli zostanie mocno dociśnięty, na tyle nieznacznie, że nie zauważyłby rygła, który nie trafił na swoje miejsce. Mój ruch był tak delikatny, że nie do końca miałam pewność, czy w ogóle go wykonałam.

– Jesteś taki troskliwy i sprawiłeś, że poczułam się tu jak w domu. Szczerze mówiąc... – Skromnie spuściłam wzrok i wydawało mi się, że widziałam, jak Barney się rumieni. – Jesteś jedynym... który pozwala mi przetrwać ten trudny czas. Chciałam ci tylko podziękować.

Barney przyjrzał mi się w boleśnie niezręcznym milczeniu i z zaróżowionymi policzkami.

– W porządku. – Pokręcił głową, zdezorientowany, i przekręcił klucz w zamku, zanim odwrócił się i ruszył w stronę spiralnych schodów szybszym krokiem niż kiedykolwiek wcześniej.

Kiedy zniknął, wypuściłam powietrze wstrzymywane przez sto lat albo dłużej. Miałam nadzieję go oczarować, ale sprawienie, że poczuł się potwornie niezręcznie zadziało równie dobrze. Ostrożnie owinęłam palce wokół krat i bardzo powoli ze skrzypnięciem uchyliłam drzwi celi.

Otwarte.

Były otwarte. Nie zamknięte.

Barney przekręcił klucz w zardzewiałym zamku, a rygiel ześliznął się z otworu.

Byłam wolna.

Ale nie mogłam jeszcze świętować.

Wyjęłam jedzenie i zapasy, które podkładałam przez te kilka dni pracy w aptece, wynosząc je w kieszeni spódnicy, i znalazłam kartkę z prostą mapą zewnętrznego dziedzińca, którą ukryłam we wnętrzu jednego z pustych wiader. Miałam wszystko, czego potrzebowałam, w tym małą sakiewkę, którą podebrałam jednej ze snobistycznych szlachcianek, która przyszła do szpitala z bolącym gardłem. Kto wiedział, że taka była ze mnie dobra złodziejka? Pewnie to u nas rodzinne.

Teraz miała nastąpić ta trudniejsza część planu. Siedziałam w otwartej celi, wiedząc że mogłam wyjść w każdej chwili, ale czekałam na północ, na Jaema, na dźwięk dzwonu.

\*\*\*

Z płytkiego snu wyrwał mnie czyjś jęk.

Więzień tak posiniaczony, że wyglądał jak śliwka, był ciągnięty po mokrym bruku do swojej celi z ukrytego aneksu na końcu korytarza lochów. Noc po nocy wkładałam głowę pod lisie futro, żeby ukryć się przed szlochami, rżeniem i zawodzeniem, które mówiły mi dokładnie, co tam się działo.

U jego dłoni ubyło trzech palców i miał ziejącą ranę w miejscu, gdzie kiedyś było ucho. Wyrwało mi się okropne westchnienie.

Całe jego ciało pokrywała krew, wyglądał jak szkielet i ledwo znajdował w sobie siły, by zrobić trzy kroki w przód. W końcu żołnierze dotarli do jego celi i wrzucili go do środka z okropnym łupnięciem ciała o kamień. Jego cela leżała oddalona o dwie od mojej, dokładnie obok tej, w której siedział przystojny nieznajomy. Teraz byłam pewna, że ten zmasakrowany to dokładnie ten, z którym nieznajomy kłócił się tamtej pierwszej nocy.

Zmierzch przeszedł w noc, a moje myśli nie przestały pędzić. Po wymyśleniu jednego wyjątkowo nieprzyjemnego scenariusza, w którym wyszłam tylko kilka kroków z celi, zanim żołnierz mnie nakrył i przeciął na pół za zdradę, przekręciłam się na bok i jęknęłam głośno w pelerynę.

– Ciężki dzień?

Głos tego człowieka robił z moim sercem coś, nad czym zdecydowanie nie chciałam się zbyt długo zastanawiać. Pojawiała się w nim zadziwiająca mieszanka ulgi, ekscytacji i szczerego strachu. Kiedy się odwróciłam, nieznajomy stał naprzeciwko mojej celi, opierając się o chłodny, oświetlony latarnią kamień lochów, jego twarz była skąpana w niebieskim świetle. Jedną stopę opierał o ścianę za sobą, a ramiona skrzyżował na piersi – istny obraz relaksu.

Objęłam kolana rękami, żeby powstrzymać je od drżenia.

– Co ty tutaj robisz? – powiedziałam, mój głos brzmiał cicho, przypominał chrząknięcie. W celi bezpośrednio obok mojej nie było żadnych więźniów, ale kilku dalej mogło nas usłyszeć.

– Ależ masz uroczą celę. Dużo ładniejszą niż moja. Ławka, wiadro. Jak nakłoniłaś tego wielkiego gamonia, żeby ulokował cię w tak miłym miejscu? – Posłał mi leniwy uśmiech i pochylił się mocniej. – Przekupiłaś go tymi ślicznymi, wydatnymi ustami?

Nawet nie próbowałam ukryć mojego zde gustowania.

– Powstrzymaj te myśli prosto z rynsztoka. To miły żołnierz. Jak się wydaje jeden z niewielu tutaj.

Jego oczy załśniły, kiedy podszedł do mojej celi i spojrzał na mnie.

Moje instynkty wyraźnie nie myliły się co do niego – żeby wchodzić i wychodzić z zamku z taką łatwością i niezachwianym spokojem, musiał być bardziej przebiegły i niebezpieczny, niż sądziłam.

Po prostu mu nie ufałam.

I wyraźnie to uczucie zostało odwzajemnione. Nie wykazywał zainteresowania, żeby powiedzieć mi cokolwiek o swojej ucieczce. Irytacja wywołana jego postawą aż drażniła mi skórę. Ten nieznajomy nie mógł mi pomóc, ale miał dostatecznie dużo czasu, żeby wędrować sobie po lochach i mi przeszkadzać?

– Twoje umiejętności uzdrowicielskie są pierwszorzędne, ptaszyno – zamruczał. – Czuję się, jakbym znowu był w jednym kawałku. – Uniósł bluzkę, ukazując mi fragment oszałamiająco wyrzeźbionego, złotobrazowego torsu z pojedynczą linią szycia biegnącą w poprzek.

Skrzywiłam się.

– Chyba prędko ci do śmierci. Dlaczego znowu tu jesteś?

Przypomniałam sobie, że moja cela była otwarta, więc podpełzłam do drzwi, aż mogłam przycisnąć do nich stopy, by przytrzymać je zamknięte. Ogarnęło mnie niepokojące uczucie na myśl o tym, że znajdował się tak blisko i nic nas nie dzieliło. Dzisiaj wydawał się dużo groźniejszy niż w szpitalu. Zastanawiałam się, czy to przez błąd lepkiej skóry spowodowaną ziejącą w jego torsie raną, wydawał się wtedy mniej drapieżny. To i wyraz jego twarzy, kiedy bał się o swoje życie.

– Mówiłem ci, że mam tu kilka spraw do załatwienia. Niektóre z nich dotyczą właśnie tych lochów. – Oderwał ode mnie wzrok i spojrzał w ciemny korytarz. – Nie martw się – ciągnął, znowu zerkając na mnie z błyskiem w oku. – Nie wciągnę cię w tarapaty.

Dzwon na wieży zegarowej zabił, wskazując, że zostały dwie godziny do momentu, kiedy Jaem wyjedzie do Willowridge, więc będę musiała wydostać się z celi.

– Jasne – powiedziałam, ale już nie słuchałam. Strach i zwątpienie wsączały się we mnie jak zawsze. Nie mogłam tego zrobić. Nie uda mi się wyjść z tego żywej. Ja...

– Co się dzieje? – Jego głos stracił ten żartobliwy pomruk.

– Co? Nic.

Zadrżałam, wyczekiwanie i niepokój dosłownie wstrząsnęły moim ciałem. Kośćmi. Słońce zachodziło, a ja nie miałam żadnego realnego planu na minięcie strażników lochów na szczycie schodów. Co ja sobie myślałam, w ogóle chcąc chociaż spróbować? Może też spieszyło mi się do śmierci.

– Hej – szepnął, przykucnął i wsunął wielką dłoń pomiędzy kraty, żeby złapać mnie za ramię. – Rozmawiaj ze mną.

Skrzywiłam się, czując uścisk na przedramieniu. Nie uleczyłam się, chcąc zachować całą moc, całą energię na dzisiejszą noc. Puścił mnie natychmiast, a jego twarz wyrażała przerażenie.

– Jesteś ranna. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– To nic, tylko siniak.

W jego oczach pojawił się gniew.

– Kto ci to zrobił?

– Głupio sama to sobie zrobiłam, próbowałam... – Co? Co próbowałam zrobić? Nie zamierzałam mu powiedzieć, że chciałam wyskoczyć przez okno jak on.

Czekał, aż zacznę mówić dalej.

– To bez znaczenia. Dlaczego jesteś tutaj i ze mną rozmawiasz? Zamierzasz powiedzieć mi coś o sobie i o tym, jak uciekłeś? Czy może dalej będziesz mnie irytował w nieodpowiednich momentach?

– A kiedy byłby dla ciebie bardziej odpowiedni ku temu czas? – zapytał, unosząc brew żartobliwie. – Może w środku nocy? Kiedy jesteś tu całkiem sama i myślisz

o mnie?

Pokręciłam głową ze złością, a on zaśmiał się cicho.

– Prawdę mówiąc, ptaszyno, twoja cela jest ostatnim miejscem, w którym powinienem być, ale... – Westchnął. – Wydaje się, że nie mogę trzymać się od ciebie z daleka.

Dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie.

– Cóż... – Próbowałam znaleźć właściwe słowa. – Miło jest nie czuć się całkowicie samotną.

Uniósł lekko brwi.

– Nie wyobrażam sobie, żeby taka kobieta jak ty często czuła się samotna.

Obrzuciłam go spojrzeniem.

– Wypraszam sobie!

– Źle to zabrzmiało – powiedział, przeciągając dłonią po twarzy, żeby ukryć uśmiech.

Musiałam zmusić się do spuszczenia wzroku. Jego dołeczki mnie zabijały.

– Chciałem tylko powiedzieć, że jesteś ciepła, zabawna i bardzo przyjemnie się z tobą przebywa. Zakładałbym, że rzadko zostawiano cię samą i to dotyczy się zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Jego słowa były jak bochenek chleba rosnący w mojej piersi. Ciepłe, ckiwe i łagodne.

Ale szybko się popsuły.

– Zakładałbyś błędnie. Nie miałam w życiu zbyt wielu przyjaciół. Zwłaszcza nie mężczyzn. Moje miasteczko jest małe i przed laty mieszkało w nim bardzo niewiele dzieciaków w moim wieku. Wszystkim było bliżej wiekiem do mojego brata, a ja tak jakby... włączyłam się za nimi.

– Więc wszyscy byli półgłówkami. Wydaje się, że opuszczenie tego miejsca okazało się dla ciebie błogosławieństwem.

– Może. Czasami... Nie wiem.

– Powiedz mi. Czasami co?

Dlaczego czułam, że słowa same ze mnie wypływały? Słowa, które tak głęboko w sobie ukrywałam od tak dawna, że prawie udało mi się zapomnieć o ich istnieniu. Zmusiałam się do powolnego wdechu.

– Czasami chciałam więcej.

Jego oczy zabłyszczały, czekał na to, co powiem jako następne.

– Dorastając... nie uczyłam się zbyt dużo, nie spotykałam wielu ludzi i nie próbowałam wielu rzeczy. To naprawdę wstyd, jak niewiele wiem o świecie. – Pomyślałam o Mari. O tym, jak wiele widziała, nauczyła się i doświadczyła w swoim

dwudziestoletnim życiu. Mogłam się założyć, że nawet dobrze obeznała się z tajemniczymi najdalszymi krańcami kontynentu, królestwami, o których ja nie wiedziałam nic, jak Jadeit czy Cytryn. Pokręciłam głową. – W ciągu zaledwie kilku dni tutaj poznałam ludzi, którzy widzieli i robili o wiele więcej niż ja. Przez to czuję się, jakbym zaledwie egzystowała.

– Czemu nie odeszłaś?

Strach. Bezustanny, przesączający się przeze mnie strach, który każdego dnia spływał mi po szyi jak gęsty syrop.

– Miałam dużo obowiązków. Nie mogłam – odpowiedziałam zamiast tego.

– Jak dla mnie brzmi to jak kompletna bzdura.

Zesztywniałam.

– Jesteś grubiański.

– Jestem szczery.

Ścisnęłam palcami nasadę nosa. Co tam grubiański – ten mężczyzna doprowadzał mnie do szału.

– Nieważne, idę spać.

Chciałam wpełznąć z powrotem do mojego kąta, ale sięgnął pomiędzy kratami i owinął silną rękę wokół mojej gołej kostki. Jego dotyk był na tyle pewny, że zatrzymał mnie w miejscu, ale przy tym delikatny, że nie uraził wrażliwej skóry. Dreszcz przeszedł wzdłuż mojej łydki i zatrzymał się między nogami. Zadygotałam.

– Dalej, ptaszyno. Nie masz powodu mnie okłamywać. Dlaczego zostałaś?

– Puść mnie.

Zrobił to od razu i bez chwili wahania.

– Mówiłam ci. Moja matka była chora. Moja siostra młoda. Nawet zanim mój brat został wysłany, by walczyć w wojnie waszego króla, ktoś musiał pomagać w opiece nad nimi.

Pokręcił głową, a pomiędzy nami zapadła niezręczna cisza, ciągnąc się jak długie i niekończące się morze.

– Miałam tam też kogoś, na kim mi zależało.

Pełne brwi nieznajomego uniosły się z zainteresowaniem.

– Chyba mówiłaś, że nie było żadnych mężczyzn.

Halden nie był *mężczyzną*. Był... Haldenem. To było...

Nie musiałam niczego tłumaczyć temu nieznajomemu. Otworzyłam usta, żeby dokładnie to powiedzieć.

Ale on pokręcił głową.

– Nie-e.

– Co chcesz powiedzieć przez „nie-e”? – Skrzyżowałam ręce.



– Nie znaczył dla ciebie wiele. – Wzruszył ramionami.

– Co?

– Nie rozpromieniasz się, kiedy o nim mówisz. Wyraźnie nigdy o nim nie myślisz.

Spróbuj jeszcze raz.

– Jesteś taki lekceważący. Skąd możesz to wiedzieć?

– Zaufaj mi, wiem takie rzeczy. – Wbił we mnie wzrok. – Dlaczego zostałeś?

*Uch.* Dość już. Jakie to w ogóle miało znaczenie?

– Bałam się.

– Czego?

– Wszystkiego! – Machnęłam dziko w stronę otaczających mnie krat, gdzie trzymano mnie wbrew woli w najbardziej zdradzieckim królestwie w całym Evendell.

– Zobacz, co się dzieje, kiedy wykraczasz choć o jeden krok poza swoje maleńkie, dusząco bezpieczne życie!

Dlaczego czułam się taka winna, mówiąc to na głos?

– Słuszna uwaga, ptaszyno. Więzienie nie jest może idealnym wynikiem ruszenia na poszukiwanie przygody, to muszę ci oddać.

Zaśmiałam się głośno – wycieńczona, sfrustrowana i tak potwornie zmęczona. Usłyszałam chrząknięcie z bardziej oddalonej celi i uciszyłam się natychmiast.

– Dobra, może zamieniłam jedno więzienie na drugie. Muszę przyznać, że przynajmniej ciągle się tu uczę. W aptece są zioła i leki, o których nigdy nawet nie słyszałam, nie mówiąc już o zobaczeniu ich na żywo.

– Twoje pozytywne nastawienie mnie zaskakuje.

Uniosłam pytająco brew.

– To, jak patrzysz na różne rzeczy. To po prostu... – Jego dłonie zniknęły w ciemnych puklach. – Odświeżające.

Przyjrzałam mu się uważnie. Był taki... idealny, ciemne włosy kręciły mu się nad czołem i na karku, delikatny zarost porastał perfekcyjnie wyciosaną szczękę, a pod grubymi brwiami błyszczały te jasne, bystre oczy. Serce łomotało mi w piersi.

– Co? – Powiedział to z szelmowskim uśmieszkiem.

Nie. Tylko nie te zęby. Pełny uśmiech był uderzający. To zadziwiające, widzieć kogoś tak zachwycającego, tak wyraźnie potężnego, tak niebezpiecznego, kto dzieli z tobą coś tak intymnego jak uśmiech. Wiedząc, że wszelkie próby kłamstwa spełzyłyby na niczym, starałam się ukryć za szczerością.

– Po prostu próbuję cię zrozumieć – odparłam.

Jego uśmiech zbladł, mężczyzna uniósł wzrok w stronę sufitu, pogrążony w myślach. Wtedy wstał gwałtownie.

– Czas na mnie. – Starał się brzmieć swobodnie. – Obiecałem ci nie sprawiać żadnych kłopotów, prawda?

Przytaknęłam, ale walczyłam, żeby znaleźć właściwe słowa.

Odwrócił się do mnie przed wyjściem.

– Głowa do góry, ptaszyno. Nie jesteś tu sama.

– Cóż, ale będę, kiedy w końcu skończysz to, co trzyma cię w Shadowhold. – Brzmiałam tak żałośnie, że aż moje palce podkurczyły się w butach, ale on tylko spojrzał na mnie zdawkowo i posłał elegancki uśmiech.

– Nie sądzę, żeby to miało wkrótce nastąpić – rzucił w ciemność.

Po tych słowach zniknął w korytarzu jak cień i podążył schodami na górę, w noc. Prawie poczułam się źle – nie powiedziałam mu, że nawet jeśli on planował tu zostać, to ja nie.

Zwinęłam się w kacie. Czekająca mnie podróż będzie bardziej niebezpieczna i nieprzyjemna niż cokolwiek, czego doświadczyłam. A to tylko *jeśli* w ogóle uda mi się wydostać stąd żywą. Przekręciłam się na bok i skuliłam, bardzo chciałam nie czuć ogarniającego mnie strachu.

## ÓSMY

Obudziłam się przestraszona na dźwięk dzwonów ogłaszających północ.

Teraz albo nigdy.

Mój umysł nadal był skąpany we mgle niespokojnego snu, ale adrenalina płynęła przez żyły, zmuszając do wstania. Owinęłam się w futro nieznajomego, splotłam długie włosy w luźny warkocz i upewniłam się, że paczka z zapasami spoczywa bezpiecznie na moim udzie. Nie chciałam, żeby coś krępowało mi ruchy, gdybym musiała uciekać przed kimś lub przed czymś.

Ze skrzypnięciem otworzyłam drzwi celi i przeniosłam uwagę na korytarz oznaczony wiązkami światła padającego z migoczących latarni – upiornie cichy i pusty, jak zawsze. Na palcach ruszyłam tunelem w stronę spiralnych schodów. Kiedy dotarłam do ich podstawy, pokrzepiłam się głębokim wdechem. To był okropny plan. Najgorszy, jaki ktokolwiek wymyślił w całej historii kontynentu. Nie pokładałam w nim żadnej wiary, ale to wszystko, co miałam.

Jeszcze jeden głęboki wdech, a potem...

– Ratunku! – krzyknęłam w górę.

Groziło mi, że żołądek podejdzie mi do gardła. Ścisnęłam dłonie w pięści i puściłam.

Cisza rozciągała się przez noc.

– Halo? Ratunku! – krzyknęłam ponownie.

Kilka burknięć ze strony współwięźniów, zirytowanych, że przerywam im sen.

Ale nic więcej.

Zawołałam ostatni raz, a potem ruszyłam sprintem w górę schodów, aż dotarłam do drewnianych drzwi lochów. Przycisnęłam się do ściany za nimi i starałam się nie oddychać.

Czekałam i czekałam tak długo, że czułam, jakby minęły całe lata.

Płuca mi płonęły.

Serce pędziło, trzepocząc jak skrzydełka kolibra.

Czekałam, aż drzwi zostaną otwarte, przyciskając mnie do ściany, a strażnik, nadal zamroczony snem, przejdzie obok mnie do schodów.

Nawet najmniejszy podmuch powietrza nie wydostawał się z moich płuc i nie przedostawał się do nich. Nic...

– Hej, zamknij się tam – zawołał w dół.

Kiedy zszedł o jedną spiralę niżej, wysunęłam się i popędziłam w noc, nie zatrzymując się, żeby złapać oddech.

Zamek pogrążony był w głębokim, cichym śnie. Popędziłam tą samą ścieżką, którą podążałam, gdy prowadzono mnie do mojego więzienia, przez pole, wzdłuż malowanych namiotów żołnierzy.

Żałowałam, że nie wiedziałam o Jaemie wcześniej – kiedy wyszłam już z celi, nie było tak trudno, jak mogło się okazać. Jeśli Jaem przewiezie mnie przez Las Cieni do Willowridge, możliwe, że...

Jakieś głosy rozbrzmiały w ciemnościach nocy, na co zamarłam.

Ale to tylko kilku żołnierzy opowiadało historię do późnych godzin nocnych przy gasnącym ogniu. Poczułam ucisk w piersi z ulgi i ruszyłam dalej pod osłoną nocy, trzymając się blisko namiotów, żeby pozostać poza zasięgiem wzroku. Ostrożnie lawirując pomiędzy śpiącymi żołnierzami, ocierając się plecami o płótno namiotów, wyglądałam za każdy róg, zanim ruszyłam dalej. Moje buty zapadały się w zimne, mokre błoto. Skrzywiłam się, kiedy lodowata woda wlała się między palce moich stóp.

W końcu udało mi się wypatrzyć wóz Jaema, stojący na końcu drogi przede mną. Jego koń zarżał cicho i dostrzegłam przyczepę pełną suszonego mięsa i skór. Gdybym popędziła w tej chwili, dobiegłabym do niego, zanim Jaem dotrze do głównej bramy warowni.

Zrobiłam krok do przodu, a wtedy miedziany kubek zagrzechotał przy mojej nodze. W ciszy przekląłam mężczyzn i ich nieumiejętność odkładania rzeczy na miejsce i rozejrzałam się, by sprawdzić, czy ktoś mnie usłyszał. Kiedy nikt się na mnie nie rzucił, wypuściłam powietrze i odwróciłam się, żeby ruszyć sprintem do wozu tylko po to, by wpaść twarzą wprost na wielkie, spocone ciało.

Bert.

Był równie zaskoczony, widząc mnie w swoim obozie, co ja jego.

Serce łomotało mi głośno w uszach, a jego niedowierzanie zmieniło się w okrutny zachwyty.

– Patrzcie, co znalazłem. Magiczna dziewczynka i to zupełnie sama – syknął. – Wszystkie monety w Evendell mówią, że nie powinnaś pozostawać poza swoją celą w środku nocy.

Gardło zacisnęło mi się w milczącym krzyku. Nie byłabym w stanie wydobyć nożyczek z torby na czas. A nawet gdybym zdołała, nie byłam pewna, czy mam dość siły – mentalnie czy fizycznie – by wbić mu je w serce albo w szyję. Ale mogłam mu uciec. Był nietrzeźwy i miał na sobie ciężką zbroję, a ja poruszałam się szybko.

Nawet szybciej, gdy towarzyszył mi strach.

Ale jeśli ucieknę, czy zaczniesz za mną wołać i zaalarmuje wszystkich śpiących żołnierzy? Nie podobało mi się, jak niewielkie miałam szanse na prześcignięcie setek mężczyzn Onyksu.

– Mylisz się – powiedziałam, udając odwagę. – Król wie, że tu jestem.

Bert zaśmiał się dudniąc, ale uśmiech nie sięgnął oczu. Coś w moich trzewiach się przesunęło, ściskając za żołądek. Nagle wiedziałam z całkowitą pewnością, że powinnam uciekać. Odwróciłam się na pięcie akurat w chwili, gdy poczułam jego szorstką dłoń na łokciu.

– Więc zabiorę cię prosto do niego – mruknął bardziej do siebie, ciągnąc mnie w tył.

Całe moje ciało drżało tak mocno, że mogłabym zwymiotować.

Musiałam się od niego uwolnić. Zanim zaciągnie mnie do swojego namiotu. Musiałam...

– Puszczaj! – Nienawidziłam tego, jak słabo zabrzmiał mój głos i to, że brzmiało w nim przerażenie. Próbowałam oderwać jego palce od swojego ramienia, ale on tylko wzmocnił uścisk, a jego paznokcie wbiły mi się w skórę, aż pociekła krew. – Jestem więźniem króla!

Wyrwał mu się okrutny śmiech.

– Dokładnie. Więźniem. Jak myślisz, co to oznacza?

– Puszczaj mnie w tej chwili – zażądałam, ale moje słowa stały się zduszonym sykiem, a łzy zakłuły mnie w oczy. – Puszczaj albo będę krzyczeć.

– Nie krępuj się – szepnął przy moim uchu, jego oddech był gorący i zatęchły. – Myślisz, że będziesz pierwsza?

Nie pozwoliłam, żeby szok uciszył mnie na długo. Wolałam zostać złapana i spędzić resztę życia w tych lochach, niż doświadczyć tego, co Bert dla mnie zaplanował. Wzięłam głęboki wdech, żeby zawołać o pomoc, ale pułkownik przycisnął tłustą dłoń do moich ust i przytrzymał. Próbowałam go odepchnąć, krztusząc się strachem, odrazą i mdłościami – ale był ode mnie o wiele silniejszy. Szarpałam się i gryzłam, walcząc o oddech, ale on pociągnął mnie dalej do namiotu.

– Skoro tak przyjemnie jest czuć twoje usta na dłoni, nie mogę się doczekać, aż padniesz przede mną na kolana. Magiczna dziewczyna z magicznymi ustami.

Łzy zaczęły spływać mi po policzkach strumieniami.

Zakrztusiłam się pojedynczym stłumionym szlochem.

Zaciągnął mnie do wejścia swojego namiotu, widziałam już legowisko i skóry w środku. Żołądek mi się skręcił.

Nie, nie, *nie*.

Szarpałam się, pchałam i wiłam, wszystko, żeby tylko uciec...

Nie mogłam tam wejść.

Nie mógł mnie do tego zmusić. Nie zamierzałam mu pozwolić. Ja...

– Co tu się, do kurwy, dzieje? – warknął ktoś niskim głosem za nami.

Brzmiał zimno jak śmierć i równie agresywnie.

Bert odwrócił nas, żeby spojrzeć na mężczyznę, ale ja już wiedziałam, kto stał spowity cieniem.

Teraz już znałam jego głos jak własny.

– Nie. – Słowo wypadło z moich ust. Bert na pewno go zabije.

Znajoma górująca sylwetka nieznajomego, błyszczące srebrne oczy o najbardziej wyrachowanym spojrzeniu, jakie kiedykolwiek widziałam, skierowane zostały wprost na nas. Czaiła się w nich furia – furia i obietnica śmierci.

Ale nie poruszył się, żeby dobyć miecza, czy przegonić pułkownika. Zamiast tego, bez żadnego powodu, Bert puścił mnie, przez co bezceremonialnie padłam na ziemię.

Ogarnęła mnie dezorientacja i ulga, serce nadal łomotało mi od resztek płynącej w moich żyłach adrenaliny.

Bert zachwiał się i pokłonił nisko przed nieznajomym.

Moje łomoczące serce zamarło.

Dlaczego...

– Mój królu – wyrzucił z siebie Bert z twarzą skierowaną ku ziemi pod nim.

Moje pole widzenia zawężało się, aż jedyne, co widziałam, to więzień stojący przede mną. Świadomość ścisnęła moją pierś niczym imadło, przytłaczająca, przerażająca...

Powietrza.

Nie mogłam zaczerpnąć powietrza. Nie oddychałam. Ja...

Spojrzenie jego szarych oczu nie podążyło na spotkanie mojego. Było zbyt zajęte, zbyt skupione, jego tęczyówki mieniły się gorącą wściekłością jak palące płynne srebro, skierowane w pochylonego pułkownika.

Czułam, że Bert zachwiał się obok mnie, na próżno próbując pozostać w ukłonie.

Zimna fala upokorzenia popłynęła moimi żyłami, gdy wzięłam jeden mały wdech.

– Ty. – To słowo zabrzmiało zdecydowanie zbyt ochryple. Odchrząknęłam. – Ty... ty jesteś król Kane Ravenwood? Jak?

– Pytania później – warknął, ale jego pogardliwy ton był skierowany w Berta.

Siedząc w błocie, patrzyłam, jak ruszył w stronę pułkownika niczym wcielenie śmierci i położył obie dłonie na wciąż pochylonych ramionach Berta, po czym kopnął go kolanem z taką siłą, że aż zawibrowała ziemia.

Bert poleciał w tył z chrzęstem i wylądował z ohydny łupnięciem. Jęknął w agonii, nos miał wyraźnie strzaskany pod okropnym kątem, usta pęknięte, a jedno oko już się zamykało. Wydawało mi się też, że zobaczyłam kilka zębów błyszczących w trawie w świetle księżyca.

Choć raz nie poczułam potrzeby, by kogoś uleczyć.

Król przykucnął obok niego i przemówił tak cicho, że prawie szeptał:

– Ty odrażająca kupo gówna, jesteś jak gnijąca rana pośród mojej armii i ludzi. Pożałujesz każdego kroku, który doprowadził cię do tej chwili. Będiesz modlił się o śmierć – rozbrzmiało okrutne westchnienie pośród nocnej mgły.

Bert tylko jęknął, a potem opadł na trawę, nieprzytomny. Król wstał, otrzepał błoto z kolan i odwrócił się do mnie, jego twarz była wywarzoną maską spokoju, jakby wiedział, że jeśli odezwie się do mnie łagodnie, albo ukaże całą głębię swojej wściekłości, mogłam wpaść w histerię.

I miałby rację. Byłam przerażona, aż mdliło mnie od strachu. Nie potrafiłam ułożyć żadnej składnej myśli, bo ogłuszający ryk zdrady dudnił mi w uszach.

Grupka żołnierzy wyraźnie usłyszała to poruszenie. Wybiegli z namiotów, niektórzy z błyszczącymi mieczami w gotowości, inni zamroczeni snem wciąż naciągali spodnie – ale każdy z nich pokłonił się, kiedy zobaczył swojego króla.

– Zabierzcie tę kupę gówna do lochów – powiedział do nich. – I powiedzcie Komandorowi Griffinowi – Król Ravenwood skinął na zniekształconą twarz Berta – że chcę, żeby *cierpiał*.

Żołnierze nie wahali się, podnieśli Berta z błota i zawlekli w stronę zamku.

Reszta stała obok, czekając na dalsze rozkazy swojego króla.

Ich *król*.

– Do siebie – rzucił, odsyłając swoich ludzi z powrotem do ich namiotów i zostaliśmy sami, pod błyszczącym, nocnym niebem. Przeważenie zawiroowało w moich trzewiach jak krew w wodzie, gdy zwróciłam się do Króla Ravenwooda we własnej osobie.

Zrobił ostrożny krok do przodu i podał mi dłoń. Jego oczy nadal płonęły lodem.

Spojrzałam na jego dłoń, po czym odepchnęłam się od trawy, by wstać samodzielnie.

Mój oddech stał się taki płytki. Żadna z moich myśli nie była składna i drżałam w niezręcznych, urywanych spazmach. Nie chciałam, żeby w tej chwili dotykał mnie ktokolwiek, a już najmniej on.

Król rozprostował wyciągniętą dłoń i schował ją do kieszeni, jakby nie wiedział, co z nią zrobić.

– Wszystko w porządku?

Było w porządku?

– Nie. – Otarłam z twarzy chłodne, wysychające łzy.

Król Ravenwood wyglądał, jakby odczuwał fizyczny ból, kiedy podążył wzrokiem za moją dłonią na policzkach.

– Przysięgam, że nie dożyje, by dotknąć kolejnej kobiety.

Emocje walczyły w moim sercu. Wstyd, bo tak łatwo dałam się zwieść, furia z powodu jego straty i przez pokręconego pułkownika – tego, jak bliski był skrzywdzenia mnie... i przerażenie. Ogromne przerażenie z powodu nikczemnego króla z legend, który stał przede mną. Myślałam, że zemdleję.

Furia – najłatwiejsze uczucie, którego mogłam się chwycić i ucześcić w myślach – wygrała i spojrzałam na niego z wściekłością.

Potał dłonią twarz jak cierpiący nauczyciel krnąbrnych dzieci.

– Arwen...

Wydałam z siebie odgłos gdzieś pomiędzy prychnięciem a westchnieniem. Musiałam się stąd wydostać.

W tej chwili.

Ale Jaem już odjechał, więc stopy zaczęły nieść mnie z powrotem w stronę zamku. Ten uroczy, zdradziecki oszust szedł tuż za mną.

Skoczył przede mnie, więc stanęłam w miejscu. Nasze klatki piersiowe znajdowały się tuż obok siebie.

Odsunęłam się od jego szerokiej sylwetki. Od nikczemnej, drapieżnej mocy, która sączyła się z niego.

– Zamierzałem ci powiedzieć. – Obejrzał mnie z góry do dołu, wyraźnie szukając obrażeń.

Co ze mną zrobi? Teraz, kiedy spróbowałam uciec?

Musiał zauważyć przerażenie na mojej twarzy, bo zagadkowy grymas został zastąpiony przez gorzki uśmiech.

– Nie zamierzam torturować cię za tę nieudaną próbę ucieczki, chociaż to pasowałoby do bezwzględnego króla, za którego mnie masz.

– Dziękuję – wyszeptałam głupio.

Król Ravenwood zacisnął usta w cienką linię.

– Muszę wiedzieć, czy wszystko z tobą w porządku – powiedział pewnie. – Skrzywdził cię?

Miałam wrażenie, że padające z jego ust słowa są ostre jak sztylety.

– Dlaczego siedziałeś przykuty we własnych lochach? – zapytałam. Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić.



– Musiałem porozmawiać z kimś, kto w nich przebywa. Tylko nie jako... ja. – Zacisnął zęby.

Pamiętałam tę przyciszoną kłótnię z tamtej nocy. I wrak człowieka, który został przywleczony do celi tego wieczoru.

– Czy. Jesteś. Ranna? – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

– Nie – odpowiedziałam cicho. Tak cicho, że nie brzmiało to nawet jak szept.

Skinął głową, a jego oczy złagodniały z ulgi.

– Czemu... dalej mnie okłamywałeś w szpitalu? – zaczęłam drążyć, na co zmarszczył brwi.

– Może nie uzdrowiłabyś mnie, gdybyś wiedziała, kim naprawdę jestem. Przez wszystko, co ci odebrałem.

To nieprawda, ale zastanawiałam się, czy mógł o tym wiedzieć. Czy może to kolejne z wielu jego kłamstw.

Nie wiedziałam, czemu w ogóle zadałam sobie trud, żeby spytać – przecież i tak nie mogłam wierzyć w ani jedno jego słowo. Upokorzenie przepływało przeze mnie falami wraz ze strachem. Pozwoliłam, żeby potwór mnie okłamał, zwiódł i wyciągnął ze mnie część najgłębiej skrywanych sekretów. Wszystko to stanowiło okropną, brudną sztuczkę. Czerwona mgła gniewu, która przesłoniła mi wzrok, jeszcze się wzmogła.

Byłam słaba i głupia – najpierw uświadomiło mi to starcie z Bertem, a teraz z królem Ravenwoodem.

– Naprawdę zamierzasz go zabić? – zapytałam.

Król zacisnął zęby.

– Tak. Zamierzam go zabić – odparł z namysłem.

– Oczywiście. – Spojrzałam w dół, ale mój ton zdradził odrazę.

– Jesteś niemożliwa. Właśnie uratowałem cię przed pieprzonym gwałcicielem, a teraz oceniasz mnie przez pryzmat tego, w jaki sposób chcę go ukarać za zrobienie ci krzywdy?

– To twój skorumpowany pułkownik! – Ugryzłam się w język. Byłam zbyt wściekła, żeby znajdować się w pobliżu tego mężczyzny. Na pewno w końcu powiedziałabym coś, co również na mnie sprowadziłoby śmierć.

– Tak i będzie mnie to prześladować jeszcze długo, Arwen. Nie miałem pojęcia... kim był. – Westchnął. – Powinni byli mi powiedzieć. Moi ludzie. O nim. Nie wiem, czemu tego nie zrobili.

– Może nie tylko inne królestwa boją się króla Onyksu.

Ściągnął brwi i spojrzał na mnie, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy to, co zobaczyłam na jego twarzy, to wstyd. Czymkolwiek to było, zmieniło się w coś

okrutnego, zimnego i błyszczącego zainteresowaniem.

– A co z tobą, ptaszyno?

Milczałam. Był zbyt pewny siebie... wiedziałam, dokąd to zmierzało. Oparł się o ścianę obok nas. Kącik jego ust uniósł się nieznacznie.

– Boisz się mnie?

Jego zęby zabłyszczały w blasku księżyca jak kły wilka.

– Tak. – Nie potrafiłabym przekonująco skłamać. Wiedziałam, że strach miałam wypisany na twarzy.

– Dobrze. Może w takim razie posłuchasz, kiedy poproszę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Poczułam ucisk w żołądku na myśl, czego mógłby ode mnie chcieć. Musiał zauważyć odrazę na mojej twarzy, bo mięsień na jego szczęce drgnął.

– Nie, nic z tych rzeczy, ptaszyno. Nie powiedziałbym, że jesteś całkowicie w moim typie.

Moja twarz spłonęła rumieńcem, bo jego słowa poruszyły we mnie nieprzyjemną nutę.

– Ostrzegałem cię, że ucieczka byłaby niebezpieczna, a ty i tak spróbowałaś. Wiem, że chcesz wrócić do rodziny, ale proszę, żebyś została tutaj, w Shadowhold, i dalej pracowała jako uzdrowicielka. Uznaj to za spłatę długu twojego brata.

Tego się nie spodziewałam.

Dzień czy dwa temu dotarło do mnie, że przebywało tu o wiele mniej osób potrzebujących leczenia, niż się spodziewałam. Skoro król tak desperacko potrzebował moich umiejętności uzdrowicielskich, czy nie okazałabym się bardziej pomocna na linii frontu? W Abbington miałam więcej pacjentów.

– Dlaczego chcesz, żebym tutaj została? Nie ma tu nawet wielu pacjentów.

– Może jestem... zaintrygowany twoimi wyjątkowymi umiejętnościami.

Spłonęłam rumieńcem. Nie chciałam stać się jego trofeum – trzymana tutaj jak jedno ze stworzeń w słoikach w aptece.

– A w zamian za oddanie Onyksowi, odnajdę twoją rodzinę i upewnię się, że są bezpieczni – dodał, jakby jedyna rzecz, która liczyła się dla mnie na świecie, była tylko uzupełnieniem.

Wiedziałam, że nie mogłam mu ufać, ale ulga na myśl o ich bezpieczeństwie, była jak łyk zimnej wody wypełniający moją pierś. Król miał sposoby, żeby ich znaleźć. Szpiegów i posłańców, smoka mogącego przemierzyć morza szybciej niż tysiąc statków. Potrafił zapewne wytropić ich w kilka tygodni, podczas gdy mnie zajęłoby to lata. Może nawet całe życie.

Zapewne wiedział, że zawsze będę próbowała uciec, o ile mnie czymś nie przekupi.

– Skąd mogę wiedzieć, że dotrzymasz słowa? – W moim głosie pojawiło się coś na kształt silnej woli.

Rozbawienie zatańczyło w jego oczach, gdy przesunął palcami po potarganych, ciemnych włosach.

– Wiem, jak to brzmi, ale możliwe, że będziesz po prostu musiała mi zaufać.

Na samą myśl moje wnętrzości spowił chłód. Głupia – właśnie taka byłam, w ogóle to rozważając. Nie mogłam uformować żadnych słów, więc ponownie ruszyłam pospiesznie w stronę lochów. Król z łatwością dotrzymywał mi kroku. Niech szlag trafi te jego długie nogi.

– Czy to oznacza „tak”?

– Nie. – Zadrżałam.

– Cóż, w takim razie obawiam się, że zmierzasz w złym kierunku.

Zamarłam.

– Co masz na myśli?

Uśmiechnął się tak złowrogo, że krew zamarzała mi w żyłach.

– Sądzisz, że pozwolę ci na luksus przebywania w celi, z której właśnie się wymknęłaś, skoro nie zamierzasz posłuchać moich ostrzeżeń w kwestii ucieczki ani zaakceptować oferty? Nie, myślę, że umieszczę cię w miejscu odrobinę mniej... komfortowym.

Zrobiłam się sztywna jak trup.

Aneks. Z którego pochodziły wszystkie krzyki i zawodzenia.

Krew zaszumiała mi w uszach, gdy zadowolenie z powodu mojej udręki zatańczyło w jego oczach.

– Powiedziałaś, że tego nie zrobisz. – Brzmiałam jak nadąsane dziecko, a słowa zmieniły się w popiół na moim języku.

Wzruszył ramionami.

– Doprawdy? Więc chyba zmieniłem zdanie. Ława do rozciągania potrafi być bardzo efektywna, wiesz?

Strach pokrył moje myśli, serce – całą duszę.

Król czerpał zbyt wiele przyjemności dzięki mojej przerażonej minie. Miałam nadzieję, że widział, jak bardzo go nienawidziłam. Bardziej niż kogokolwiek w życiu. Nawet bardziej niż Powella.

– Jesteś dokładnie taki, jak o tobie myślałam, a nawet gorszy.

Jego zmrużone oczy zamigotały.

– Może tak. Twój wybór.

Sama myśl o spędzeniu reszty życia tutaj sprawiała, że czułam się fizycznie chora. Ale jakie miałam możliwości? Przetrwąć to, co dla mnie zaplanował, żeby zmusić

mnie do posłuszeństwa? Obrazy więzów i zrywanych paznokci zatańczyły w mojej głowie. I co potem? Będę słabsza, jeszcze bardziej przerażona, a moje szanse na ucieczkę zmaleją do zera. Czy zgoda na pozostanie i pozwolenie, by przynajmniej odnalazł moją rodzinę nie była mniejszym złem? I to takim, które mogło zadziałać na moją korzyść?

– W porządku – powiedziałam, powstrzymując mdłości skręcające mi żołądek. – Ale mam... – przełknęłam z trudem – mam prośbę.

Król zrobił krok do przodu i spojrzał na mnie z zaciekawieniem. Zaciekawieniem i... czymś jeszcze. Jakimś... głodem. Zamarłam. Kiedy nie kontynuowałam, wymruczał:

– Słucham, ptaszyno.

– Odnajdziesz moją rodzinę teraz. Nie kiedyś. I dostarczysz im list, a potem pokażesz mi dowód, że go otrzymali – wydusiłam.

Jego twarz złagodniała.

– Zgoda.

– I musisz przysiąc, że nie skrzywdzisz mojego brata – wydyszałam. – Odpracowuję jego karę.

– Oczywiście – odparł, choć zrobił kwaśną minę.

– I... nie chcę już siedzieć w lochach. Jeśli mam tu mieszkać, nie mogę każdej nocy do końca życia spędzić w celi. Muszę swobodnie przemieszczać się po zamku. Nie chcę, żeby Barney ciągle nade mną wisiał.

Spojrzał na mnie ze śmiertelną i bezlitosną powagą.

– W porządku. Dostaniesz wszystko, o co prosisz, ale posłuchaj mnie, ptaszyno. Nie uciekniesz ponownie. Jeśli to zrobisz, twoja rodzina, kiedy ich znajdę, będzie za to cierpieć.

Krew odpłynęła mi z twarzy, ale skinęłam w ciszy, nie wykonując żadnego innego ruchu.

– Tam jest naprawdę niebezpiecznie – dodał. – Możesz mi nie wierzyć, ale nie chcę widzieć, że doznałaś krzywdy.

Pomimo wszystkiego, co się stało, wypuściłam długi oddech. Jeśli dotrzyma słowa, będę w stanie przekazać wiadomość rodzinie. Może nawet pewnego dnia zobaczę ich ponownie, jeśli będę się dobrze zachowywać. A jeśli skłamał, dowiem się wkrótce, gdy nie dostarczy mi dowodu bezpieczeństwa najbliższych, a wtedy spróbuję uciec ponownie, kiedy już uwierzy, że nie mam takiego zamiaru.

A jednak poczułam gorycz na języku. Nie mogłam powstrzymać słów, które popłynęły z moich ust, gdy nasze spojrzenia spotkały się w blasku księżyca:

– Żałuję, że to, co zaatakowało cię w lesie, nie spisało się lepiej.

Oczami wypełnionymi śmiercionością mocą spojrział wprost na mnie.  
– Nie, wcale tak nie myślisz.

## DZIEWIĄTY

– Jesteś dzisiaj bardziej nadąsana niż zwykle – zauważył Dagan i przyjrzał mi się uważnie, a ja z ponurą miną wyjrzałam przez okno na las, myśląc o wszystkim, co straciłam w tak krótkim czasie.

Komnaty, do których zostałam zabrana wczorajszej nocy w skrzydle dla służby, nie były niczym wyjątkowym, ale zdecydowanie przewyższały wielkością pokój, który dzieliłam z Leigh w Abbington. Ta myśl przygnębiała mnie z więcej niż jednego powodu, ale dotyk chłodnej białej pościeli przyjemnie pieścił skórę, a mały kominek dawał odrobinę ciepła. Chociaż martwiłam się, że podszyte strachem koszmary nie dadzą mi spać, sen ogarnął mnie swobodnie. Myśli o ciemnych smoczycich łuskach, zakrwawionych pazurach i beztroskich szarych oczach poprowadziły mnie w drzemkę bez snów.

Wczoraj myślałam, że to moje ostatnie popołudnie w tej aptece. Teraz miałam przychodzić do niej do końca życia. Pełen napięcia nastrój Dagona pasował idealnie do mojego, emanujące od naszej dwójki emocje tylko podkreślały chłód zamku. Choć potrafiłam docenić imponujące wieże warowni, delikatne żyrandole i drogie meble, jedyne, o czym mogłam myśleć, wchodząc dzisiaj do apteki, to wizja spędzenia tutaj całego życia wbrew mojej woli.

– Mam za sobą długą noc – powiedziałam.

Dagan czekał, żebym wyznała coś więcej, lecz naprawdę nie chciałam o tym rozmawiać, a on też nie zadał sobie nigdy trudu, żeby mnie poznać. Choć teraz, skoro mieliśmy pracować razem, czułam, że powinnam wykorzystać jego zainteresowanie.

– Odkryłam, że ktoś mnie okłamywał. I zostałam trochę sponiewierana. Przez pułkownika. Ale nic mi nie jest.

Może spodziewałam się tego samego opiekuńczego pełnego furii gniewu, którego doświadczyłam od króla, ale Dagan tylko dalej patrzył na mnie bez emocji.

– Próbował mnie skrzywdzić – oznajmiłam, szukając oburzenia w jego reakcji. Chciałam wiedzieć, co Dagan myślał o Bercie. O królu Ravenwoodzie. Nie był tym zmartwiony? Czy nikt w tym opuszczonym przez Kamienie zamku nie miał sumienia? – Ale król wkroczył... i skazał go na śmierć.

Nadal nic.

– Przez tortury. – Spiorunowałam wzrokiem staruszka.

Dagan sapnął i zamknął książkę, sięgając po coś do szafki.

– Dzięki, że pytasz – dodałam pod nosem.

Wyjął paczkę owiniętą w jutę, obszedł kontuar i ruszył w stronę drzwi. Chyba naprawdę go dzisiaj nudziłam.

– Idziesz? – spytał.

Wpatrywałam się w niego, zdumiona.

Idę? Z *nim*?

– Dokąd idziesz?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – zauważył, najwidoczniej znudzony.

Rozejrzałam się po aptece. Nigdy nie dowiem się więcej o tym zamku – tym królestwie – jeśli będę tu tkwiła każdego dnia. A jeśli nauczyłam się czegoś ubiegłej nocy, to tego, że wiedza była potęgą, a ja byłam bezsilna, o ile nie odłożę strachu na bok i nie odważę się poznać reszty warowni.

Podążyłam za nim na zewnątrz, na galerię, nie zadając kolejnych pytań.

W ciszy szliśmy przez zamek, mijając kąty skryte w cieniach i żołnierzy mówiących przyciszonymi głosami. Gdy czułam na sobie ich zaciekawiony wzrok, przyspieszałam, by znaleźć się bliżej starszego mężczyzny.

Moja wolność od czujnego wzroku Barneya wydawała się nierzeczywista – prawie za dobra, żeby mogła być prawdziwa. Ale pozwoliłam, by pojedyncza iskra nadziei przeszła moje serce. Może król zamierzał dotrzymać obietnic, a moja niezależność w zamku to pierwsza z nich.

Zamiast pójść ścieżką, do której tak przywykłam – w dół szerokich schodów, przez korytarz z obrazami olejnymi i frontowe drzwi do lochów – skręciliśmy niespodziewanie w lewo i ruszyliśmy korytarzem pełnym posągów. Widok bladych marmurowych kobiet owiniętych cienkim materiałem i wygiętych w ekstazie, sprawił, że się zarumieniłam, a wilk zamrożony w obsydianie, z obnażonymi kłami, wydawał się prawie zbyt rzeczywisty, żeby być dziełem sztuki. Przejście kończyło się drewnianymi drzwiami, które otworzył dla nas samotnie stojący strażnik.

Mgliste, poranne powietrze wypełniło moje płuca.

Powoli ruszyliśmy w dół wilgotną, kamienną klatką schodową, aż nie mogłam już dłużej powstrzymać niepokoju.

– Dokąd idziemy?

Oczywiście nie odpowiedział. Powinnam była się tego spodziewać.

Schody prowadziły do wielkiego trawnika na tyłach zamku – rozległego i szmaragdowozielonego. Gdy stanęłam przed tą ogromną przestrzenią, przyjrzałam się jej i wciągnęłam w płuca powietrze pachnące wilgotną sosną i świeżo skoszoną trawą. Przypomniało mi się poranne bieganie w Abbingdon, chociaż tu było o wiele

bardziej zielono i wilgotno. Moje stopy zapadały się w zimnym trawniku, gdy podążałam za Daganem przez polanę, zauważając sposób, w jaki drzewa i dzikie kwiaty okalały pole otoczone kamiennym murem.

Czułam się jak na arenie.

Zatracona w podziwianiu struktur i kolorów polany, prawie nie zauważyłam, że Dagan zatrzymał się w samym jej środku i rzucił przede mnie owiniętą paczkę. Upadła z metalicznym szczęknięciem. Wskazał na nią, a mój puls przyspieszył na to zaproszenie.

Przyklękłam powoli, żeby sprawdzić zawartość paczki i otworzyłam usta jak książkę.

W środku znajdowały się dwa masywne, błyszczące srebrne miecze. Ostrza mieniły się w porannym słońcu, sączącym się przez jutę. Rękojeść i głowica jednego była zdobiona wzorem przypominającym pnącza gęstego lasu.

Najeżyłam się z przerażenia.

– Co zamierzasz mi zrobić?

Dagan zmarszczył brwi.

– Kiedy dorastałem to, co prawie przydarzyło się tobie ubiegłej nocy, zdarzało się większości dziewcząt i nie było w pobliżu żadnych królów mogących je uratować.

Krew zastygła mi w żyłach na myśl o dziewczynach, które nie miały tyle szczęścia, co ja. Czy zamierzał skończyć to, co Bert zaczął?

– Uczyłem te kilka, które mogłem, tym samym ostrzem.

Strach natychmiast zmienił się w ulgę, a ona potem ustąpiła dezorientacji.

Podszedł do mnie i uniósł oba miecze, po czym podał mi mniejszy, mniej zdobny.

– Zaczniemy od podstawowego uderzenia z góry. Równo rozłóż ciężar ciała na obie stopy, wiodąca noga do przodu i odwróć się do przeciwnika.

Przytaknęłam, ale nadal nie wykonałam żadnego ruchu, żeby podnieść przydzielony mi miecz.

– Zrób to dzisiaj – upomniał.

Zamierzał mnie uczyć? Jak władać mieczem?

Nie byłam nawet zbyt dobra w operowaniu nożem rzeźnickim.

Ale jego wzrok zmieniał się z napiętego w zirytowany, a fakt, że trzymał w dłoni metalową broń, sprawiał, że nie chciałam staruszka rozzłościć. Spróbowałam przyjąć pozycję, a on lekko uniósł mi łokieć.

– Trzymaj miecz na wysokości barku. Dobrze. Najpierw zmniejsz odległość między sobą a przeciwnikiem, wyciągając miecz do przodu, w ten sposób. – Zademonstrował mi to, a jego ruchy były płynne jak woda spływająca po gładkich kamieniach. –



Potem zrób krok w stronę przeciwnika i lekko w prawo, żeby uniknąć kontrataku. Wtedy możesz opuścić ostrze w prostej linii, żeby zaatakować.

Powtarzałam jego ruchy, przyglądając się ustawieniu stóp, i chyba ze sto razy przebiegłam do ściany lasu i z powrotem, dzierżąc miecz, aż nagle mój nauczyciel rzucił:

– Teraz uważaj.

Zanim zdążyłam wypuścić powietrze, zaszarżował na mnie. Musiał być po siedemdziesiątce, ale poruszał się jak dziki kot. Zaskrzeczałam, rzuciłam miecz, jakby mnie oparzył, i popędziłam w przeciwnym kierunku. Usłyszałam, że Dagan zaśmiał się szczerze, zanim odwróciłam się i zapatrzyłam na niego zdumiona.

– Co to było, na Kamienie?! – sapnęłam.

– Spróbujmy jeszcze raz.

Dagan cofnął się i czekał, aż podniosę broń. Tym razem, kiedy na mnie ruszył, zrobiłam unik w lewo, nadal trzymając miecz, ale ciągnęłam go za sobą jak balast. On naprawdę mnie... uczył. I może trochę ze mną pogrywał.

– Dobrze. Trzymaj miecz uniesiony. To broń, nie miotła.

– Nie powiedziałaśbyś tak, gdybym była mężczyzną – sapnęłam, unosząc ostrze w powietrze. Poczułam jego wagę w nadgarstkach i przedramionach. Już wiedziałam, że jutro będę obolała.

Dagan powtórzył ruch, ale tym razem, kiedy zrobiłam unik, zamachnął się mieczem z powrotem w moim kierunku. Odskoczyłam i cofnęłam się, ale on pozostał blisko. Dalej parowałam jego ciosy, machając tak, jak mi polecił, ale w końcu jego miecz spotkał się z moim ramieniem. Przygotowałam się na ból, ale zamiast ukłucia poczułam tylko klepięcie. Zakładałam, że to wymagało pewnych umiejętności, żeby machnąć z taką precyzją i wigorem, a przy tym być pewnym, że uderzenie spowolni na czas.

– Dobrze – wydyszał. – Jeszcze raz.

Ćwiczyliśmy przez kolejne czterdzieści minut, przechodząc od podstaw do sposobów blokowania i parowania. Poprawiał moją postawę, łokcie, kierunek moich stóp. Pod koniec ociekałam potem, a moja twarz była rozgrzana i lepka.

Znajomy ból w mięśniach i stawach okazał się milej widziany, niż mogłabym przypuszczać. Nie miałam tak długiej przerwy w bieganiu od lat i spożytkowanie części nagromadzonej energii było prawie tak uspokajające jak leczenie.

– Dobra robota – przyznał Dagan, pakując z powrotem miecze. – Jutro to samo miejsce i godzina. Będziemy to robić co rano przed otwarciem apteki.

– W porządku. – Nie zamierzałam z nim dyskutować, kiedy dosłownie uczył mnie, jak się bronić przed ludźmi, którzy trzymali mnie w tym zamku. A ćwiczenia

przyniosły mi... radość. Byłam w tym okropna, ale odnajdywałam coś orzeźwiającego w trzymaniu broni i poruszaniu się z nią. Wyobraziłam sobie, że wbijam miecz w arogancką twarz króla Ravenwooda, a w moich żyłach popłynęła ekscytacja.

Walczyłam o oddech, gdy wracaliśmy do zamku w dziwnie komfortowej ciszy. Ciemne niebo nad nami obiecywało nadejście wyczekiwanego deszczu, a moje przegrzane ciało rozpaczliwie go pragnęło.

– Daganie? – zagadnęłam w końcu. – Z wprawą posługujesz się mieczem. Dlaczego prowadzisz aptekę?

Skrzywił się, patrząc na ciężkie chmury nad nami.

– Byłem w armii Onyksu. Kilka lat temu.

– Nie, widywałam żołnierzy. To było coś więcej. Jesteś mistrzem. – Pokręciłam głową.

– Miałem dobrego nauczyciela w osobie mojego ojca – przyznał, patrząc w dół.

– Dziękuję, że starasz się mnie uczyć. Będę dawać z siebie wszystko.

Ruszył schodami na górę, a na jego ustach zamajaczył uśmiech.

Później, będąc z powrotem w aptece, uświadomiłam sobie, że to był jedyny raz, gdy widziałam, jak się uśmiechał.

\*\*\*

Gdybym po poranku spędzonym na próbach przechytrzenia mistrza szermierki nie była zbyt obolała, żeby chodzić, wycieczka po schodach do biblioteki na pewno stałaby się moim końcem. Dotrzymując obietnicy, którą złożyłam sama sobie tego ranka, żeby dowiedzieć się więcej o zamku i zbudować sobie mur obronny z wiedzy, postanowiłam zacząć od tej części warowni, która przerażała mnie najmniej – planowałam odwiedzić Mari w miejscu jej pracy. Miałam nadzieję, że posiadała więcej informacji o królu, proroku i samym zamku. Ale też po prostu lubiłam tę dziewczynę.

Gdy dotarłam do szczytu prawie bezkresnych schodów, napotkałam książki ułożone w spiralne wieże i w rzędach na półkach. Nigdy nie widziałam tak wielu sztuk czegokolwiek w swoim życiu. Biblioteka została utrzymana w ciepłych, herbacianych i brązowych barwach, z wytartymi stołami do czytania i antycznymi, wyściełanymi krzesłami, rozsypującymi się na wskroś. Zanim znalazłam Mari w dziale „Gnomy i Chochliki”, nadal ledwo łapałam oddech.

– Cześć – pisałam, irracjonalnie obawiając się zakłócenia spokoju książek.

Pomieszczenie przypominało świątynię – nabożne w swojej ciszy.

– Arwen. – Rozpromieniła się na mój widok, po czym podbiegła się przywitać. – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu przyszedłaś. Niezła wspinaczka, co? Papa mówi, że żadna praca nie jest warta gramolenia się po tych schodach każdego dnia, ale mnie to nie przeszkadza.

– Widok stąd musi być niesamowity.

Mari posłała mi porozumiewawczy uśmiech i poprowadziła mnie do jednego z przeszklonych okien z widokiem na las poniżej. Sosny i dęby wyglądały jeszcze bardziej złowrogo z góry, gdy patrzyło się na nie przez kolorowe szkło. Ogromne połacie głębokiej, rześkiej zieleni i ponurej czerni. Huk grzmotu sprawił, że podskoczyłam, a Mari odwróciła się, żeby lepiej mi się przyjrzeć.

– Co z tobą? Wyglądasz okropnie!

Oparłam się o ścianę przy oknie.

– Dzięki.

Pochyliła się jeszcze mocniej, by lepiej przyjrzeć się mojej twarzy.

– Uch i jesteś spocona!

– Zabrzmi to dziwnie... – zaczęłam, ale uświadomiłam sobie, że nie wiedziałam, jak skończyć to zdanie. Jeśli zamierzałam tu żyć, przynajmniej na razie potrzebowałam chociaż jednej osoby, przed którą mogłam się otworzyć. Ostatnia noc była...

Nie mogłam dłużej siedzieć sama z wszystkimi tymi uczuciami.

– Tak? – zagadnęła, wracając do układania książek.

Odepchnęłam się od szyby i poszłam za nią, rozglądając się po bibliotece. Starsza kobieta w okularach czytała w rogu po naszej lewej, a dwaj mężczyźni, wyglądający jak generałowie, przeczesywali sekcję z mapami.

Ściszyłam głos i zaczęłam od drobniejszych spraw, żeby ją przetestować.

– Spędziłam cały ranek na lekcji władania mieczem z Daganem.

Mari obróciła się na pięcie, żeby na mnie spojrzeć.

– Co? Czemu?

I to właśnie była ta trudna część... Czy mogłam ufać Mari? Moje instynkty nigdy nie były tak wyostrzone, a popychały mnie, żebym się przed nią otworzyła. Przez cały czas była dla mnie wyłącznie miła, chciała mojej przyjaźni, starała się, by ta zmiana – choć nie znała o mnie całej prawdy – była dla mnie łatwiejsza.

Wypuściłam powietrze.

– Przybyłam tutaj, bo mój brat miał zostać skazany na śmierć za kradzież, i zaproponowałam, że będę pracować jako uzdrowicielka, żeby odpracować jego dług. Pierwszą noc spędziłam w zamkowych lochach, a król siedział w celi obok, udając, że

był więźniem we własnej warowni. – Skrzywiła się, więc wtrąciłam: – Powiedziałabym ci dlaczego, gdybym wiedziała.

– Spotkałaś króla Kane’a Ravenwooda? I rozmawiałaś z nim? Jaki był?

– Okropny – rzuciłam. – I żałośnie przystojny. Straszne połączenie.

Mari zaśmiała się.

– To wydaje się zgodną opinią całego królestwa. Ale jak to prowadzi do walki na miecze z Daganem?

Opowiedziałam Mari wszystko. O kłamstwach króla Ravenwooda, okropnym pułkowniku, próbie ucieczki, nieszczęsnym porozumieniu z piekielnym władcą i porannej sytuacji z Daganem. Mówiłam o mojej matce, rodzeństwie, dzieciństwie w Abbington. O wszystkim poza dręczeniem przez Powella.

Mari przysiadła pod wysokim regałem obok mnie. Naprawdę wydawało się, że po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, zabrakło jej słów.

– Tak mi przykro, że tu utknęłaś – powiedziała w końcu. – Ale Shadowhold nie jest takie złe. Przyzwyczaisz się, jestem tego pewna. Przykro mi też z powodu dolegliwości twojej matki. Nie mogę sobie wyobrazić, jak by to było widzieć, że papa cierpi w taki sposób.

Serce bolało mnie na myśl o mamie odbywającej podróż do bezpieczniejszych krain w takim stanie i to bez leków, jako że nie udało mi się wrócić do nich tamtej nocy.

– Uzdrowiciele w moim mieście nie byli w stanie odkryć, co to było. Próbowaliśmy każdego eliksiru, maści i terapii, jakie znaleźliśmy. W końcu medycy powiedzieli, żebym przestała próbować ją wyleczyć, a po prostu zapewniła jej komfort, czekając na nieuniknione. – Wróciłam myślami do tamtego dnia, kiedy Nora obdarzyła mnie tą poważną przemową. Nigdy nie czułam się tak pokonana.

– Tak mi przykro, Arwen. Przynajmniej twoje miasteczko miało uzdrowiciela, wielu ludzi musi podróżować, żeby uzyskać pomoc medyczną. W Serpent Spring, na granicy Perydotu, nie ma uzdrowiciela w promieniu wielu kilometrów. Kiedyś pewnemu mężczyźnie skrzydło młyna odcięło rękę i trzeba było przewieźć go wywerną do Willowrigde. Nie chcę nawet wiedzieć, po co tam wszedł.

– Mari, skąd w ogóle o tym wiesz?

– Przeczytałam o tym w tekstach medycznych. – Wzruszyła ramionami.

Ta kobieta była skarbnicą wiedzy. Ona...

Oddech uwiązał mi w gardle.

Tekst medyczny.

Czy to mogło być to?

Przeczesałam wzrokiem półki wokół siebie, aż zobaczyłam to, czego tak szukałam, i od razu ruszyłam do sekcji oznaczonej „Medycyna”. W naszym małym miasteczku nie było takich źródeł wiedzy jak w tym zamku, takiej biblioteki, która musiała zostać tu przewieziona w ciągu dziesięcioleci zarówno z gwarnej stolicy, jak i z innych miast.

– Jak mogłam być taka głupia, żeby pomyśleć o tym dopiero teraz? – rzuciłam do podążającej za mną Mari. To powinna być moja pierwsza myśl, skoro przebywałam w takim zamku.

– O czym pomyślałaś? – Dziewczyna zawołała za mną, a kobieta w okularach ostro ją uciszyła.

Ale ja już znalazłam to, czego szukałam. Rząd za rządem o różnych chorobach, dolegliwościach i ich leczeniu. Jeśli istniało coś, co mogło pomóc mojej matce, na pewno mogłam znaleźć to na kartach tych ksiąg.

Nie był to nawet tak okropny plan, jak niektóre inne w tym tygodniu – wykonać tutaj przyzwoitą pracę, leczyć żołnierzy, nauczyć się walczyć. A w międzyczasie poszukać leku dla matki. Kiedy go znajdę, mogłabym nakłonić króla Ravenwooda, żeby jej go przekazał, albo zagrozę, że przestanę dla niego pracować.

– Mari. – Odwróciłam się do niej, prawdziwa nadzieja rozlała się w mojej piersi pierwszy raz, odkąd opuściłam Abbington. – Pomożesz mi? Wiem, że to wiele, ale...

– Są trzy rzeczy, które kocham na tym świecie. Czytanie, wyzwania i udowadnianie innym, że się myślą.

Zaśmiałam się pogodnie i głośno.

– A pomaganie ludziom?

– Jasne. – Machnęła ręką. – To też.

\*\*\*

Popołudnie zmieniło się w wieczór, kiedy przewertowałyśmy ponad połowę ksiąg w sekcji. Gdy moje oczy stały się tak zmęczone medycznym żargonem, że ledwo mogłam utrzymać je otwarte, a nie znalazłyśmy niczego użytecznego, wstałam na chwiejnych nogach i obiecałam Mari, że wrócę następnego ranka przed pracą w aptece, a po treningu z Daganem. Potem odbyłam zdradliwą drogę w dół po kamiennych stopniach.

Kiedy dotarłam do korytarza z obrazami olejnymi, spontanicznie odwróciłam się w prawo, napędzana swoim postanowieniem, by odkryć każdy fragment zamku. Miałam eksplorować go w poszukiwaniu wiedzy, która mogła mi pomóc, i przez to czułam się lepiej niż wtedy, gdy ukrywałam się w aptece.

Nowy dla mnie mroczny korytarz oświetlały żelazne kandelabry i żyrandole. Zmusiłam się do odważnego zmierzania przed siebie. Cienie nie mogły mnie skrzywdzić, podobnie jak zdobione kamienie czy przyciszone szepty dobiegające z enklaw.

Krok za krokiem – tylko tyle musiałam zrobić.

Na końcu korytarza znajdowały się wysokie, ciemne jak noc drzwi pilnowane przez czterech wartowników stojących po obu stronach wejścia.

Przekleństwo poniosło się od ich strony przez korytarz, zaskakując mnie i wrywając mi powietrze z płuc. Ten niski głos był aż nazbyt znajomy i nie mogłam nic poradzić na czyste przerażenie, które ścisnęło mi wnętrzności. Nawet strażnicy w skórzanych zbrojach i hełmach w kształcie czaszek się wzdrygnęli.

Każda komórka mojego ciała wręcz biła na alarm, żebym pobiegła w przeciwnym kierunku. Z dala od tego śmiertelniegroźnego wrzasku. Ale może zdołałabym usłyszeć kolejny fragment walki króla z prorokiem, gdybym stanęła i posłuchała...

Podejdę tylko kilka kroków bliżej...

Masywne czarne drzwi otwarły się z hukiem, a jakieś szlochające, bełkoczące nieszczęście wypadło stamtąd i zatoczyło się w moim kierunku. Odskoczyłam w tył i wykręciłam kostkę.

– Ten mściwy, cholerny potwór sprowadzi pieprzoną śmierć na nas wszystkich.

Siła szlochającego mężczyzny prawie zwała mnie z nóg – był ogromny. Przynajmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, zbudowany jak ceglany mur i pociągający nosem jak przemęczone dziecko. Nie zamierzałam zostać w pobliżu, żeby przekonać się, co król Ravenwood zrobił, żeby zredukować tego wielkiego mężczyznę do poziomu kupki nieszczęścia.

Odwróciłam się na pięcie akurat w chwili, gdy głos króla poniósł się po korytarzu:

– No proszę, kogo my tu mamy.

*Cholera.*

Pomimo kwasu płynącego w moich żyłach, wiedziałam, że nie powinnam przed nim uciekać. Mająca nade mną groźba powrotu do lochów to tylko skrawek nikczemności, do jakiej był zdolny.

Odwróciłam się i uniosłam podbródek.

Wejście do sali tronowej króla Ravenwooda przywodziło na myśl portal do wnętrza chmury burzowej. Czarne i szare kamienie sprawiały, że pomieszczenie przypominało jaskinię, a tron z monolitu, na którym siedział, sprawiał wrażenie, jakby porastała go rzeźbiona, czarna winorośl. Pochodnie oświetlały pomieszczenie migoczącym światłem, ale nie dało się ukryć surowości tego miejsca, zwłaszcza że wzmagał ją ponury wyraz twarzy króla.

Zmusiłam się do prostego dygnięcia u stóp Kane'a Ravenwooda, chociaż aż skręcało mi żołądek.

Uniósł brew, jego zwykle błyszczące oczy tego wieczoru wydały mi się znużone.

– Co tam robiłaś? Już się za mną stęskniłaś?

– Więc jednak nie jesteś aż tak przenikliwym królem – wymamrotałam.

Naprawdę musiałam zacząć panować nad gniewem, ale nie potrafiłam powstrzymać ognia, który wybuchał we mnie za każdym razem, kiedy się odzywał. A dzisiaj ten mężczyzna zachowywał się wyjątkowo nieprzyjemnie. Siedział w pozycji władzy – z rozstawionymi nogami, rozluźnioną szczęką, dłoń ozdobiona srebrnymi pierścieniami zwisała niedbale z jednego podłokietnika tronu.

Ten zadowolony z siebie palant praktycznie błagał o moje przytyki.

Strażnicy za nim zamarli, rozpoznałam blond żołnierza, który naskoczył na mnie w szpitalu. Wystąpił do przodu, biła od niego żądza mordy, nawet spojrzenie jego zielonych oczu stanowiło obietnicę śmierci.

Przełknęłam, przyglądając się młodemu, opanowanemu żołnierzowi. Tamtego dnia ścigał własnego króla, choć Ravenwood nie był wcale zbiegłym więźniem... Dlaczego go gonił?

– Możliwe, że będziesz chciała uważać na słowa – zadrwił król Ravenwood. – Komandor Griffin jest nieco nadwrażliwy w tej kwestii.

*Komandor?*

Mężczyzna wyglądał na okropnie młodego jak na komandora armii Onyksu. Rozumiałam młodego króla, Ravenwood miał na oko może dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć lat. Członkowie rodziny królewskiej nie mieli kontroli nad tym, kiedy umierali rodzice, zostawiając koronę w ich rękach.

Ale komandor Griffin wyglądał na bliskiego wiekiem królowi. Zastanawiałam się, jak udało mu się tak szybko awansować.

Rzeczony mężczyzna przewrócił oczami, ale pozostał u boku króla, obserwując mnie, jakbym stanowiła zagrożenie. Na samą tę myśl na moje usta wypłynął uśmiezek.

– Coś cię bawi, ptaszyno?

– Ani trochę – odparłam, opanowując wyraz twarzy. – Jeśli już, to nastrój wydaje się dość... ponury.

Król podciągnął zdobione rękawy czarnej koszuli i założył kostkę jednej nogi na kolano drugiej. Jego przedramiona były złociste od słońca i umięśnione; spoczywały swobodnie po obu jego bokach.

– Jeśli musisz wiedzieć, to był kurewsko okropny dzień.

– Tragedia – zadrwiłam. Nie byłam chamska, ale uprzejma... też nie.

W odpowiedzi jego uśmiech był dziki, a drewniane podłokietniki jego tronu zatrzeszczały pod jego uściskiem. Kiedy stałam się taka śmiała?

– Tak łatwo przychodzą ci kpiny, prawda? Kiedy nie wiesz absolutnie nic o tym, co dzieje się wokół ciebie. Kiedy posiadasz minimalną świadomość tego, do jakich poświęceń królowie i królowe muszą się posuwać dla swoich poddanych, o straconych życiach i wyborach, których nie da się cofnąć.

Starałam się nie prychnąć, choć gniew we mnie rósł. Wypowiedział wojnę jednemu z najsłabszych królestw w Evendell. To on był oprawcą, a nie męczennikiem.

– Staram się znaleźć w sobie współczucie – przyznałam przez zaciśnięte zęby. Musiałam opuścić ten pokój, zanim powiem coś, czego pożałuję.

Ale wyraz twarzy króla stał się jeszcze intensywniejszy. Zmarszczył gęste brwi.

– Nie masz pojęcia, jak niebezpiecznie się robi. Jak groźny los czeka wszystkich, których znasz. Których kiedykolwiek spotkałaś i których kochasz.

Skrzywiłam się na jego próbę przestraszenia mnie, ale nie potrafiłam powstrzymać dreszczu przebiegającego mi po kręgosłupie.

– Więc mi powiedz – stwierdziłam. – Co tak naprawdę leży na szali dla ciebie, króla Ravenwooda? Czy może boisz się, że mogę poznać prawdę? Że jedyne, co się dla ciebie liczy, to twoja własna chciwość?

Gdy jego twarz stężała, stając się maską okrutnego spokoju, wstał i podszedł do mnie.

Walczyłam z potrzebą wzdrygnięcia się, gdy jego twarz zbliżyła się do mojej i wymamrotał mi do ucha:

– Po pierwsze, możesz mówić do mnie Kane. Król Ravenwood to trochę zbyt formalne jak na kogoś, kto tyle razy sprawił, że się zarumieniłaś.

Wstyd rozpalił mi policzki. Strażnicy przesunęli się za królem. Otworzyłam usta, żeby zaprotestować wobec jego oburzającej uwagi, ale mówił dalej:

– Po drugie, Arwen, przeżywszy tylko maleńkie, wręcz dusząco bezpieczne życie przez dwadzieścia lat, nie widząc niczego, nie bywając nigdzie, nie czując żadnego mężczyzny... co możesz wiedzieć o czymkolwiek?

Bez zastanowienia cofnęłam się, a moja otwarta dłoń spotkała się z próżną, męską twarzą.

Nieruchomo i w milczeniu czekałam na jego gniew. Furię.

Ale król Ravenwood miał czelność wyglądać na dziwnie zadowolonego, niecodzienny uśmiech rozciągnął jego twarz.

Gdy tylko odgłos uderzenia poniósł się po pomieszczeniu, komandor Griffin był już za mną i trzymał moje ramiona w mocnym uścisku.

Fala paniki uderzyła w moją pierś, a serce podeszło mi do gardła.



Staralam się odsunąć, ale komandor był absurdalnie silny i pociągnął mnie w tył. Jego szorstkie palce wbiły się w moją skórę.

– Puść ją – rzucił król, po czym potarł szczękę i odwrócił się z powrotem do tronu.  
– Jest tylko niewielkim utrapieniem.

Jego słowa bolały. Miałam nadzieję, że uderzenie również. Jak śmiał rzucać mi w twarz moje własne słowa? Takie, które powierzyłam mu w zaufaniu, kiedy myślałam, że był kimś innym. To był cios poniżej pasa mający wywołać moją reakcję.

Komandor zrobił, co mu kazano, i puścił mnie bez słowa.

– Mogę już iść? – zapytałam króla, starając się nie brzmieć jak Leigh, kiedy chciała odejść od stołu przy kolacji.

– Jak najbardziej – odparł i kiwnął w stronę drzwi.

Popędziłam z powrotem do sypialni w skrzydle dla służby, w moim wnętrzu wstyd walczył z wściekłością. Nie mogłam uwierzyć, że zniżyłam się do jego poziomu. Wpełzłam pod koc, a twardy materac ugiął się lekko pod moimi obolałymi kończynami. Dzień zaczął się tak obiecująco, z Daganem i Mari oraz nową perspektywą. Pierwszy promień światła w niekończącej się otchłani mroku, którą stało się moje życie.

A teraz chciałam tylko, żeby to wszystko dobiegło końca. Ponownie.

Staralam się ze wszystkich sił, żeby z tym walczyć, ale słowa króla uderzyły w strunę wstydu, tak wrażliwą, tak osobistą, że wydawało się to prawie brutalne. Jakby potrafił przejrzeć mnie na wskroś i sięgnąć wewnątrz mojej płytkiej klatki piersiowej i szperać w myślach, które ukryłam w najgłębszych zakamarkach serca.

Zaczęłam nienawidzić swojego domu w Abbington. Wszystkich sposobów, na jakie moje życie było tam zaniedbywane. I nadal nienawidziłam Shadowhold, teraz nawet bardziej, kiedy wiedziałam, że najpewniej zostanę tu na zawsze. Nie zostawiało to wielu możliwości miejsc, do których naprawdę należałam. W pewnym sensie, pomimo wielu długich, pustych dni mojego dzieciństwa, albo nocy spędzonych w celi, nigdy nie czułam się bardziej samotna niż dziś, leżąc w łóżku w skrzydle dla służby.

## DZIESIĄTY

*Droga Matko, Leigh i Ryderze,*

*jeśli otrzymaliście ten list, to znaczy, że wreszcie jesteście w bezpiecznym miejscu, może też ciepłym? W otoczeniu egzotycznego jedzenia i owoców? A może przemawia przeze mnie tylko burczący brzuch? Chciałabym, żebyśmy byli teraz razem, ale na razie zajęto się mną w Onyksie. To długa historia, którą mam nadzieję pewnego dnia opowiedzieć Wam osobiście. Tymczasem proszę, wykorzystajcie tę monetę, żeby zbudować sobie nowe życie. Znając Rydera, połowa mieszka, który ukradł, już przepadła. Leigh, nie daj się przestraszyć tym wszystkim zmianom. Wiem, że opuszczenie Abbington było trudne, ale tak długo, jak pozostajesz z Ryderem i mamą, wciąż jesteś w domu. Mamo, przeszukuję to nowe królestwo, starając się zdobyć informacje o Twojej chorobie. Nie trać nadziei! I Ryder, proszę, opiekuj się nimi. Potrzebują Cię.*

*Kocham Was*

*Arwen*

Nosiłam ten list przy sobie przez kilka dni jak dziecko ukochany kocyk. Nie mogłam się zdobyć, żeby poprosić tego gnojka o dotrzymanie obietnicy, zwłaszcza po naszym ostatnim spotkaniu, kiedy zachowałam się jak wariatka. Rozważałam, by dać list Barneyowi, którego co jakiś czas mijałam w wielkiej sali czy galerii, ale miałabym większe pojęcie, czy król Ravenwood zamierzał dotrzymać obietnicy, gdybym mogła porozmawiać z nim twarzą w twarz i jakoś zadośćuczynić za swój wybuch.

Nigdy w życiu nie byłam z nikim tak szczerą. Nienawidziłam go, nie szanowałam. Nie ufałam mu i za żadne skarby nie mogłam pozbyć się myśli o nim i jego pewnych siebie, okrutnych słowach. Ale musiałam opanować tę furję, zrobić dobrą minę do złej gry i poprosić go o przekazanie listu.

Pojawiłam się w słabo oświetlonej bibliotece po kolejnym porannym treningu z Daganem. Mari siedziała nad trzema książkami w różnym stopniu zaawansowania, chrapiąc jak niedźwiedź w hibernacji.

– Mari?

– Ach! – sapnęła, podskakując nagle, rude włosy rozsypały się po jej twarzy.

– Zasnąłaś tutaj?

– Uch, tak – wychrypiała. – Ostatni raz przydarzyło mi się to przed egzaminem adwokackim. Chyba.

– Podchodziłaś do egzaminu? Będziesz adwokatem?

– Och, na Kamienie, nie. – Pokręciła głową, przyklepując sobie włosy.

– Więc... dlaczego?

– Po prostu, żeby zobaczyć, czy mi się uda. – Posłała mi porozumiewawczy uśmiech, który sugerował, że zdecydowanie to zrobiła.

Pokręciłam głową.

– Jesteś szalona – oświadczyłam, na co jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, wywołując podobny na mojej twarzy. – I naprawdę cieszę się, że twój ojciec zostawił skarpetę w moim szpitalu.

– Ja też. Nie miałam nowej przyjaciółki już od jakiegoś czasu – powiedziała, wstała i się przeciągnęła. – Wydaje mi się, że czasem irytuję ludzi.

Zanim zdołałam jej zaprzeczyć, mówiła dalej:

– Tak czy inaczej, zobacz, co znalazłam. – Mari wskazała na książkę przed nami, a ja podążyłam wzrokiem za jej palcami, przesuwanymi się po zużytej piaskowej kartce. – Zmęczenie, zanik mięśni, bóle głowy, utrata wagi...

Na stronie opisano szczegółowo stan mojej matki, łącznie z obolałymi stawami, bólami głowy i sennością.

– Co to jest?

– To książka z Gór Perłowych, więc wiadomo, że jest precyzyjna – zaczęła.

Królestwo było znane ze swojej rozległej wiedzy i ogromnych bibliotek wznoszonych w miastach.

– Jest tu napisane, że choroba nazywa się Zaburzenie Splątane i zaskakująco łatwo ją wyleczyć. „Jedna mikstura przyjmowana każdego dnia zmniejsza objawy większości pacjentów i poprawia zarówno jakość życia, jak i przewidywaną długość”.

Promyk nadziei zmienił się w prawdziwą iskrę. To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Mari! Jesteś genialna.

Rozpromieniła się, patrząc na mnie, choć nadal wyglądała, jakby bardzo potrzebowała grzebień.

– Po prostu dobrze czytam. To był twój pomysł, żeby przeszukać bibliotekę.

Składniki mikstury okazały się niezbyt popularne, ale na szczęście w zamkowej aptece znajdowały się wszystkie poza jednym. Nigdy nie słyszałam o korzeniu jamistym i po porządkowaniu zapasów apteki po trzy razy każdego dnia widziałam, że go nie mieliśmy.

– Cholera – mruknęłam, czytając. – Wiesz cokolwiek o korzeniu jamistym?

Mari przytaknęłam.

– To roślina pochodząca z Królestwa Onyksu, więc pewnie rośnie w tutejszych lasach. Ale kwitnie tylko podczas zaćmienia księżyca, które przypada za dwa miesiące i to tylko przez jakieś osiem minut.

Skrzywiłam się, gdy ogarnęło mnie rozczarowanie. Tak blisko, a jednak...

– Jak mogę go znaleźć podczas zaćmienia?

– Pozostawia opalizujący osad przez cały rok, więc gdybyś znalazła jakiś sposób na przeczesanie lasu, mogłabyś poszukać go już teraz. Potem musiałabyś znaleźć sposób, aby wrócić w to miejsce podczas zaćmienia... – Jakby widziała trybiki przesuujące się w mojej głowie, dodała: – Proszę, nie rób niczego całkowicie głupiego.

– Nie zrobię – skłamałam.

Byłam w tym dobra.

\*\*\*

Jeśli krok pierwszy to znalezienie w sobie odwagi, by przyjąć, że musiałam spotkać się ponownie z królem, zarówno żeby dać mu list, jak i zapytać o możliwość poszukania osadu korzenia jamistego w Lesie Cieni, to krok drugi oznaczał, że naprawdę musiałam coś z tym zrobić.

Miałam wolny dzień od apteki – zgadywałam, że Dagan potrzebował przerwy od ciągłego gadania i chichotania, kiedy Mari odwiedzała mnie codziennie – i właśnie szłam w stronę sali tronowej, żeby poprosić niktzemnego króla o pomoc. Jak idiotka.

Zamek wydawał się cichy i senny, gdy szłam korytarzami, obserwując rodziny i żołnierzy, cieszących się śniadaniem w wielkiej sali. Zaburczało mi w brzuchu. W zaledwie dwa tygodnie haniebnie mocno przyzwyczaiałam się do koniczynowego chleba z Królestwa Onyksu. Ciemnobrązowe bochenki były robione z obsydianowej pszenicy rosnącej w tej krainie, mieszanej z melasą i kminkiem. Zbite i lekko słodkie kromki każdego dnia smarowałam topionym masłem. Patrzenie na matkę i syna, dzielących się parującym jeszcze chlebem podczas oglądania książki z obrazkami sprawiło, że coś zakłuło mnie w piersi.

Musiałam przyznać – jeśli można by oceniać to tylko po tym zamku – że może Królestwo Onyksu nie było wcale tak przerażającym miejscem, jak uważali wszyscy, z którymi dorastałam. Żadne z tych ludzi nie miało rogów ani groteskowych pazurów, a już na pewno nie posiadało skrzydeł. Poza Bertem nikt nie był dla mnie nieprzyjemny. Chociaż tyle razy matka mówiła, żeby nie oceniać książki po okładce, dokładnie to zrobiłam. Zastanawiałam się, czy ci ludzie nienawidzili wojny równie

mocno, co my w Bursztynie. Przepełniała mnie pewność, że oni też stracili domy i członków rodziny.

Na samą myśl ponownie poczułam wściekłość na króla Ravenwooda. Jaki człowiek, a co dopiero król, robił coś takiego tylu niewinnym ludziom? I po co? Żeby mieć więcej ziem? Więcej bogactw?

Wraz z odrazą do króla Ravenwooda, ogarnęła mnie niechęć do siebie. Jak kiedykolwiek mogłam żywić pozytywne uczucia do tak samolubnego, nikczemnego, aroganckiego, brutalnego...

– Arwen?

Odwróciłam się, wpadając twarzą wprost na silną, ciepłą pierś.

– Auć – wymamrotałam, pocierając jak dziecko obolały nos.

Król spojrział na mnie, w jego oczach błyszczało rozbawienie, ale usta miał zaciśnięte w wąską linię. Otaczało go czterech żołnierzy, wszyscy z ekwipunkiem do polowania.

– Dzień dobry, Kane – powiedziałam.

Komandor Griffin odchrząknął.

– A może wolisz wasza wysokość? – dodałam ciszej.

– Kane wystarczy. Nie przejmuj się komandorem Griffinem. – Skrzywił się.

Griffin uniósł sceptycznie brew.

Dzisiaj ciemne włosy króla były zaczesane w tył, nie zakrywały więc twarzy. Miał na sobie skórzaną kurtę i tunikę, buty myśliwskie i miecz przytroczony do biodra, wyraźnie wybierał się na jakąś ekspedycję. Ale na twarzy każdego ze stojących za nim ludzi wyraźnie malował się strach. Wydawało się, że nie był to radosny wypad.

Teraz, kiedy stał przede mną, nie wiedziałam, jak zacząć. Może dostarczy list, ale nie byłam pewna co do korzenia jamistego. Mogłam spróbować go zaszantażować, powiedzieć, że nie będę nikogo leczyć, aż to dla mnie załatwi, ale nie mogłam zdradzić, że to dla mojej matki. Nie bez powodu w aptece go nie było – zwykle nie wykorzystywało się go do leczenia. Z pewnością zapyta, dlaczego go potrzebowałam, a ja nie zamierzałam dzielić się moimi najgłębszymi pragnieniami i słabościami z tym palantem. Znowu.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Przywołałam na twarz najbardziej kuszący uśmiech i zrobiłam wielkie sarnie oczy.

– W zasadzie właśnie cię szukałam, mój królu. – Skrzywiłam się wewnętrznie. Może trochę przesadziłam. Ale oczy Kane’a zamigotały, a usta wygięły się z rozbawieniem.

– Doprawdy?

– Och tak. Chciałam przeprosić za moje zachowanie podczas naszego poprzedniego spotkania. Było nie do przyjęcia. Byłam bardzo niewyspana i chyba łąpała mnie jakaś choroba. Możesz mi wybaczyć?

Uniósł tylko brew, zainteresowany.

– Jak dla mnie twoja furia nie wydawała się wynikiem gorączki. Ale cieszę się, że już ci lepiej.

– Czułam taką ogromną wdzięczność za twoją dobroć tamtej nocy, za pozwolenie, żebym została w twojej warowni. Pomyślałam, że mogłabym dać ci list, który chciałam przesłać do rodziny, byś mógł go przekazać, kiedy już ich znajdziesz. – Wyjęłam kartkę z kieszeni spódnicy i mu ją podałam.

Wziął ode mnie kopertę i obrócił ją w dłoniach, zdezorientowany.

– Dlaczego jest taka ciężka?

Zarumieniłam się.

– Pomyślałam, że prześlę im trochę monet. Na wypadek gdyby byli w potrzebie.

Król zważył list w wielkiej dłoni.

– Sporo tam włożyłaś. To wszystko, co masz?

– Prawie tak.

– Czy twój brat nie ma przypadkiem dość naszych monet, żeby przeżyć kilka żyć?

Nienawidziałam, kiedy mówił o moim bracie w taki sposób. Ryder nie potrzebowałby tego, gdyby naszej wioski nie okupowali żołnierze przez ostatnie pięć lat. Ale ugryzłam się w język.

– Po prostu chcę im pomóc, a tylko w taki sposób mogę to zrobić.

Ściągnął brwi, migoczące światło korytarza zalśniło na jego twarzy. Nie powiedział więcej.

– Dostarczysz im to? – naciskałam. – Kiedy ich znajdziesz? Gdy się rozdzieliliśmy, zmierzali do Granatu.

Król przyjrzał mi się uważnie, w jego srebrnych oczach dostrzegłam coś na kształt żalu.

Najeżyłam się.

– Dałem słowo, nieprawdaż?

*Tak, ale cenię sobie twoje słowo tak samo jak to dane przez worek ziemniaków.*

Przełknęłam z trudem. Jeśli cokolwiek, co słyszałam o tym mężczyźnie było prawdą, pochlebstwa i sprawianie wrażenia, że posiada władzę nad poddanymi były jedynym sposobem na uzyskanie tego, czego potrzebowałam.

– Tak, oczywiście, mój królu.

Jego powieki stały się ciężkie, a wzrok wygłodniały, na ustach zamajaczył uwodzicielski uśmiezek.

– Będziesz musiała zaprzestać tych wyrazów uwielbienia, ptaszyno.

Oddech uwiązł mi w gardle, a policzki zapłonęły. Komandor odchrząknął po raz drugi, a ja przełknęłam ponownie. Dlaczego miałam tak sucho w ustach? Kane przesunął dłoń po twarzy, żeby ukryć uśmiech.

– Tamtego dnia... nie miałem zamiaru cię urazić.

– Tak, miałeś – odparłam, zanim przeklełam samą siebie w myślach. Mężczyźni za królem przesunęli się odrobinę. *Bądź ugodowa, Arwen.*

Król Ravenwood w zamyśleniu podrapał się po szczęce.

– Możliwe, że znasz moje intencje nawet lepiej niż ja. W takim razie jeszcze bardziej żarliwie przepraszam – powiedział ściszym głosem.

W jego oczach można było dostrzec coś nowego – światło, którego wcześniej w nich nie widziałam.

Stałam tam, ogłupiała. Czy to były prawdziwe przeprosiny? Od niego?

Król i jego ludzie zaczęli mnie mijać, ruszyli korytarzem, zapewne w stronę bram zamku. Ale nie mogłam porzucić drugiej części mojego planu. Musiałam znaleźć miejsce, w którym rósł korzeń jamisty.

– W zasadzie wiem, jak możesz mi to wynagrodzić – oświadczyłam, na co się odwrócił, pozwalając mi kontynuować. Odsuwając na bok przyznanie się do winy, wiedziałam, że gnojek walczył z potrzebą, by sugestywnie unieść brew.

– Mogę do was dzisiaj dołączyć?

– Nie – wypalił Griffin.

– Ale...

– Jasne. – Kane się uśmiechnął.

Griffin wymamrotał coś pod nosem i ruszył korytarzem.

Uśmiechnęłam się promiennie do króla, posyłając mu moją najlepszą minę w stylu „to wiele dla mnie znaczy”.

– Obiecuję, że nie będę zawadzać – zapewniłam go. – Jestem bardzo spokojna.

# JEDENASTY

– Za żadne Kamienie świata. – Tupnęłam nogą dla podkreślenia swoich słów.

Kane przewrócił oczami.

– Rób, co chcesz – odparł i podążył w stronę stajni.

Jego ludzie dosiadali koni stojących wokół nas. Był słoneczny dzień, co zdarzało się rzadko, stanowił zapowiedź zbliżającego się lata. Cudownie ciepła bryza owionęła sosny w lesie, wypełniając stajnie teraz już znajomym odświeżającym zapachem. Chociaż trenowałam z Daganem każdego ranka, natura naszych lekcji nie pozostawiała wiele miejsca na podziwianie otoczenia. Nie miałam czasu, żeby podziwiać widoki od tygodni i tęskniłam za dotykiem trawy pod stopami i muśnięciami słońca na twarzy.

Nie wspominając już, że jakoś udało mi się oczarować Kane'a, żeby zabrał mnie do lasu ze sobą, a to jedyna możliwość, żebym znalazła osad korzenia jamistego. To moja szansa – nie mogłam jej zmarnować przez jedną nieprzyjemną przejażdżkę na końskim grzbiecie.

Uniosłam wzrok, prosząc Kamienie o siłę i ruszyłam za Kane'em.

– W porządku! – zawołałam za nim. – Niech będzie. Ale musisz wiedzieć, że nieraz jeździłam konno. Nie wiem, dlaczego traktujesz mnie jak dziecko.

Nie powiedział nic, ale stał cierpliwie, czekając, aż wsiądę na wierzchowca. Zrobiłam to z łatwością, przy okazji prawie kopiąc króla w twarz. Wydawało mi się, że usłyszałam jego śmiech, zanim wskoczył na górę, ale wszystkie myśli umknęły mi z głowy, kiedy tylko poczułam, że usiadł za mną.

Jego ciepła, potężna sylwetka teraz zbliżyła się do mojej od tyłu i otoczyła moje ciało jak wielka dłoń wokół małego kamyczka. Uderzająca do głowy mieszanka aromatów jodły, skóry i mięty wypełniła moje nozdrza, gdy jego silne, umięśnione ramiona oplotły mnie, by mógł złapać za wodze. Odchyliłam się, wpadając w niezamierzony uścisk. Naprawdę nie miałam gdzie się podziać.

– Wygodnie, ptaszyno? – mruknął przy moim uchu.

Zamknęłam oczy bez zastanowienia.

– Nie. – Mój sennie ochryply głos sprawił, że uniosłam gwałtownie powieki, zaalarmowana.

Kane zaśmiał się, ten zmysłowy dźwięk przywoływał na myśl ciche pomrukiwania w pościeli, i poprowadził naszego konia w stronę pozostałych mężczyzn.



Na Kamienie, zawsze był taki pewny siebie.

Nienawidziłam tego.

– Wygląda na to, że bardzo wam wygodnie. – Griffin przyjrzał nam się z zagadkowym grymasem.

– Mówiłam mu, że mogę jechać sama. – Nie wiedziałam, czemu czułam potrzebę usprawiedliwiania się przed tymi mężczyznami, przecież wszyscy wiedzieli o mojej nienawiści wobec króla. Widzieli mój wybuch w sali tronowej. Ale nie chciałam, żeby uznawali mnie za słabą.

To myśl, której nie miałam nigdy wcześniej, a teraz towarzyszyła mi przez cały czas.

– A ja powiedziałem jej, że kiedy będzie umiała się bronić, proszę bardzo. Jedziemy.

Zastanawiałam się, czy wiedział o moich porannych lekcjach z Daganem. Ale zanim zdołałam zapytać, Kane i ja ruszyliśmy z kopyta, a pozostali w szyku podążyli za nami przez bramy Shadowhold.

Przygotowałam się na okropne stworzenia i śmiertelne zwroty akcji w Lesie Cieni, ale powykręcane drzewa nie były aż tak straszne w świetle dnia. Zastanawiałam się, dlaczego las wcześniej wydawał mi się tak przerażający i miałam nadzieję, że nie miało to nic wspólnego z legendami otaczającymi zdumiewająco śmiercionośnego mężczyznę siedzącego za moimi plecami. Za każdym razem, kiedy pojawiał się we mnie gniew skierowany w niego, przypomiinałam sobie o planie – bądź ugodowa, znajdź korzeń jamisty, przetrwaj ten dzień, a potem ignoruj Kane'a przez resztę wieczności. Wypatrywałam oczy za błyszczącym osadem rośliny, starając się jednocześnie zapamiętać każdy szczegół otaczającej mnie przestrzeni.

Będę musiała przyjść tu jeszcze raz w noc zaćmienia, co oznaczało, że w końcu zostanę zmuszona zdradzić komuś mój plan – nawet jeśli las nie okazał się tak straszny, jak się spodziewałam, nie mogłam ryzykować bezpieczeństwa rodziny, łamiąc umowę z Kane'em i wykradając się. Ale to problem do rozwiązania w ciągu dwóch miesięcy. Może do tego czasu ktoś go zabije. Można pomarzyć...

Wysokie sosny i wierzby oraz powykręcane wiązy tworzyły zakamarki, a błękitne kwiaty wyrastały pośród zielonej trawy i mchu pokrywającego poszycie lasu. Małe stworzonka umykały nam z drogi, gdy jechaliśmy przez las, a promienie słońca przebijały się przez gęste listowie.

W niczym nie przypominał lasu z mojego domu w Bursztynie, on cieszył oczy barwami złota i zardzewiałego szkarłatu przez cały rok. Liście opadały jak deszcz każdego ranka i chrzęściły mi pod stopami co wieczór. Nigdy wcześniej nie widziałam tyle zieleni – prawie bolały mnie od niej oczy.

Kane milczał podczas jazdy pomimo tej intymnej pozycji. Spodziewałam się lubieżnych żartów i odpychającego dotykania, ale był prawie... niewygodnie zdystansowany. Chciałam przerwać tę napiętą ciszę, ale nie mogłam wymyślić nic przyjemnego do powiedzenia. Dziwnie było przyciskać się tak mocno do kogoś, kto budził we mnie taką odrazę.

Zwłaszcza że jego ramiona oplecione ciasno wokół mojej talii przypominały żelazne, gorące pierścienie i desperacko potrzebowałam oderwać od nich myśli.

– Często robisz sobie takie spokojne popołudniowe wypadki do lasu? – zapytałam w końcu.

– Jestem trochę zbyt zajęty na takie rozpraszenie.

– Zajęty czym konkretnie? Sypianiem z kobietami i zabijaniem ludzi dla sportu? – Przewróciłam oczami.

– Nie kuś mnie, ptaszyno. – Jego głos był jak pełen satysfakcji głęboki pomruk.

Przełknęłam, choć serce podeszło mi do gardła. Nie chciałam wiedzieć, która z tych dwóch czynności go kusila.

*Miałaś być ugodowa, jasne.*

– Więc jaki jest cel dzisiejszej wyprawy? – zagadnęłam.

– Czemu w ogóle chciałaś jechać, skoro nie wiedziałaś?

Słuszne pytanie. Postanowiłam zdecydować się na półprawdę.

– Musiałam wyrwać się z zamku. Czułam się trochę przytłoczona.

– Masz tak dość często, prawda?

Więc egocentryczny król był dobrym obserwatorem.

– Tak. Nie lubię być uwięziona. Reaguję na to dość... nieprzyjemnie.

– Pamiętam twoją pierwszą noc w celi.

Starałam się powstrzymać wstrząs na samo wspomnienie tamtej sytuacji. I Kane'a, kiedy udawał kogoś innego. Nadal doprowadzało mnie to do szału, bo nie rozumiałam, czemu tak długo mnie okłamywał.

*Ugodowa, ugodowa, ugodowa.*

Ryder był czarujący przez dziewiętnaście lat. Ja mogłam przez jedno popołudnie.

– Nigdy ci nie podziękowałam. Za przeniesienie mnie do skrzydła dla służby i zwolnienie Barneya z obowiązku pilnowania mnie.

– Wydawało się, że to mądra kara za próbę ucieczki. – Słyszałam w jego głosie kpiący śmiech.

– Szczerze mówiąc, ostrzegałam cię, że o tym myślałam.

– Nie – odparł. – Szukałaś pomocy. Powiedziałaś mi to po przyjacielsku.

Przypomnienie mojej głupoty było jak zanurzenie w lodowatej wodzie. I coś jeszcze... krótki, dziwny ból ścisnął mnie za serce. Z powodu bliskości, jaką z nim

czułam w tę ostatnią noc przed ucieczką i poznaniem prawdy.

– Tak – przyznałam. – Prawie zostaliśmy przyjaciółmi, prawda?

– Mhm – mruknął. – Przyjaciółmi.

– Dlaczego przyszedłeś do mojej celi tamtej nocy, nadal ukrywając prawdziwą tożsamość?

Jego głos przybrał ostry ton.

– Może chciałem zobaczyć, czy nadal próbowałaś uciec.

– Gdybyś chciał, żebym tego nie zrobiła, mogłeś kazać mnie lepiej pilnować – rzuciłam.

– Jasne. Przecież tak łatwo jest powstrzymać przed ucieczką kogoś, kto śmiertelnie boi się uwięzienia.

Zdradzieckie zaskoczenie rozkwitło w mojej piersi na myśl, że starał się pomóc mi z moimi lękami. Spojrzałam na las przed nami oraz na promienie słońca sączące się przez szmaragdowe liście. Jeśli była w tym mężczyźnie choć odrobina uprzejmości, którą przeoczyłam, musiałam znaleźć sposób, żeby wykorzystać ją na swoją korzyść.

– To i tak bez znaczenia – ciągnął. – Nie dotarłaś nawet do moich strażników.

– Strażników?

– Kazałem pilnować granicy lasu każdej nocy po twoim wyznaniu w szpitalu. Gdybyś tam dotarła, powstrzymaliby cię. Ale oczywiście nie udało ci się. – Jego knykcie pobieleły od ściskania wodzy, a ciało zeszywniało.

– Racja.

Minuty przeszywającej ciszy rozciągały się w nieskończoność, gdy jechaliśmy pośród górujących nad nami drzew o splątanych, jakby zrosniętych gałęziach.

– Powinnam pytać, gdzie jest teraz Bert?

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu – powiedział, jego niski głos był jak muśnięcie sztyletu na moim policzku.

Ale poczułam, że przysunął się jeszcze bliżej, położył dłoń na moim brzuchu i przycisnął do siebie.

Droga okazała się długa i zaczęła mnie męczyć nasza bliskość. Ale nie mogłam już siedzieć tak sztywno – zaczynały boleć mnie plecy, a kolana i uda drętwiały od ściskania konia, aby trzymać się prosto. Ostrożnie oparłam się o Kane'a, tylko odrobinę, i pozwoliłam, by moja głowa spoczęła na jego piersi.

Wzdrygnął się, a ja chciałam powiedzieć: „Mnie podoba się to równie mało, jak tobie”, ale obawiałam się usłyszeć jego aroganckiej odpowiedzi.

W końcu koń Griffina prześcignął naszego. Komandor posłał mi znaczące spojrzenie, mijając nas, a ja usiadłam prosto, choć moje plecy zarwały w proteście.

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Kiedy Kane się odezwał, jego głos był nieco ochrypły.

– Myślę, że mnie nienawidzi – zażartowałam, ale wyszło to jakoś mało zabawnie.

– Nie na ciebie jest zły, ptaszyno.

Chciałam zapytać, co miał na myśli, ale dotarliśmy do polany.

Otwarta przestrzeń była dużo jaśniejsza niż droga w czasie całej podróży do niej – skąpana w promieniach słońca, podkreślających owady i rzeczy dryfujące na wietrze.

Ale Kane zeszywniał za mną i w oddali zobaczyłam powód jego zachowania.

Wyglądało to jak pozostałość po jakimś ataku. Ziemia i kamienie leżały rozrzucone wszędzie, jakby kogoś ciągnano w tę i z powrotem. Zbliżyliśmy się i zauważyłam krew pokrywającą trawę. Modliłam się, by ubłocone, zakrwawione masy pośród liści nie okazały się trzewiami, ale pracowałam przy ranach wojennych na tyle długo, że miałam świadomość próżności tych modlitw.

Kane zatrzymał naszego konia, a Griffin zsiadł. Pozostali stanęli za nami.

– Co tu się stało? – wydyszałam.

– Właśnie tego chcemy się dowiedzieć – powiedział Griffin, podchodząc do miejsca wśród wysokiej, ubłoconej trawy.

Kane i pozostali zsiadli z koni, żeby lepiej się przyjrzeć. Podążyłam za nimi, przysłuchując się, gdy oceniali miejsce, konsultując się ściszymi głosami.

Żołądek zaciskał mi się mocniej, im uważniej przyglądałam się posoce wokół nas.

Mari nie żartowała, mówiąc o stworzeniach czających się w tym lesie. Nie miałam pojęcia, co mogło rozszarpać człowieka tak, że pozostał po tym ten widok.

Odsunęłam tę myśl od siebie.

Podczas gdy mężczyźni pozostawali rozproszeni, musiałam przeczesać las w poszukiwaniu korzenia. Nie widziałam żadnego osadu po drodze, ale zapewne mogłam zlokalizować go teraz o wiele łatwiej, przebywając na ziemi. To chyba nie mogło okazać się aż tak trudne? Znaleźć osad, zapamiętać miejsce, znaleźć sposób, by bezpiecznie wrócić tu podczas zaćmienia.

Łatwizna.

Wśliznęłam się pomiędzy drzewa i zaczęłam przeczesywać wzrokiem poszycie lasu. Trawa była wysoka i zapuszczona, trudno było wypatrzeć cokolwiek pośród koniczyny i zeschniętych liści oraz maleńkich owadów wyglądających jak nasiona.

Ale za jednym, grubym dębem coś odbijało promienie słońca. Rzuciłam spojrzenie Kane'owi, ale on, Griffin i pozostali nadal przeszukiwali miejsce ataku, dyskutując o tym, co według nich się wydarzyło.

Zanurkowałam za dąb i przyklęknęłam na ziemi. Rzeczywiście, śluzowate, opalizujące paskudztwo pokrywało poszycie wokół korzeni drzewa. O ile nie było to

miejsce jakiegoś intymnego spotkania jednorożców, o którym nie chciałam wiedzieć, korzeń jamisty wyrośnie tutaj w noc zaćmienia. Adrenalina popłynęła moimi żyłami. Po tych wszystkich latach w końcu znalazłam coś, co naprawdę mogło pomóc uzdrowić moją matkę.

Wstałam i rozejrzałam się, starając się zapamiętać otoczenie. Znajdowałam się około dwudziestu kroków od polany, pod największym dębem, a łąka oddalona była o jakieś trzydzieści minut jazdy konnej na wschód od zamku.

Mogłam znaleźć to miejsce ponownie.

– Myślę, że tutaj skończyliśmy. – Usłyszałam słowa Kane’a. – Arwen, co robisz?

Wyprostowałam się i okrążyłam drzewo.

– Oglądam kwiaty.

Żołnierze posłuchali rozkazu i wskoczyli w siodła. Westchnęłam, uświadamiając sobie, że miałam wrócić do Shadowhold. Był cudowny dzień, las nie wydawał się już tak przerażający, a ja oddałabym prawie wszystko, by nie spędzić kolejnego wiosennego popołudnia w swoim pokoju.

Kane spojrzał na mnie uważnie.

– O co chodzi?

Zarumieniłam się. Co to za głupota, żeby przejmować się czymś takim.

– Nic takiego. – Ruszyłam z powrotem do naszego konia, ale Kane nawet nie drgnął.

– Powiedz.

Przyjrzałam się mu uważnie. Był dla mnie dzisiaj niewyobrażalnie miły. Miałam pewność, że to jakaś sztuczka, ale może, tylko może, moja próba oczarowania go podziałała lepiej, niż sądziłam.

Nie miałam nic do stracenia.

– Chciałam... zostać. Chociaż trochę.

– Zostać – powtórzył. – W lesie?

Przytaknęłam ochoczo.

– Jest piękny dzień. W końcu miły i ciepły. Myślisz, że jest gdzieś tutaj jakiś staw?

– Obróciłam się, nasłuchując odgłosów płynącego strumienia.

Kąciki ust Kane’a zadrgały. Rozważał to, zastanawiał się. I wtedy powiedział po prostu:

– W porządku, znajdziemy ci jakiś staw. Griff, spotkamy się w warowni.

Griffin ani drgnął.

– Nie martw się, oddam ci go w jednym kawałku – powiedziałam z uśmiechem. Nie mogłam powstrzymać iskry radości, że moja próba się powiodła.

– Lepiej, żeby tak było, do cholery. Mamy tylko jednego króla – odparł. W jego tonie nie było ani odrobiny humoru. Komandor chyba go nie posiadał.

Stał prosto, wpatrując się w nas, aż Kane odezwał się znacząco:

– Słyszałeś, co powiedziała. Zostaję w bezpiecznych rękach.

Poważna twarz Griffina była maską pełną wahania, ale i tak odwrócił konia i odjechał kłusem, pozostawiając mnie i swojego władcę samych w lesie.

Ćwierkające ptaszki latały nam nad głowami, a ciepła bryza zawiąła mi włosy na twarz. Odsunęłam je nieświadomie, a Kane zawiesił na mnie wzrok.

Polana nagle stała się zbyt mała dla nas dwojga.

Zaczęłam wiercić się pod jego spojrzeniem. Nie miałam pojęcia, co zrobić z rękami. Zastanawiałam się, czy to widział.

To był naprawdę okropny pomysł. Co ja sobie myślałam?

– Chodź. – Przełamał tę dziwną atmosferę śmiechem i ruszył ścieżką pomiędzy drzewami.

Podążyłam tuż za nim, serce nadal łomotało mi w piersi. Odwróciłam się, by spojrzeć na jego konia spokojnie pasącego się na polanie, gdzie go zostawiliśmy.

– Twój koń tu zostanie?

– Tak.

– Co, jeśli jedno z żyjących tu stworzeń go znajdzie?

Kane przeszedł nad wystającym korzeniem drzewa i pokazał, żebym zrobiła to samo.

– Nic mu nie będzie. Jest bardzo szybki.

– A co, jeśli jedno z nich znajdzie nas?

– Nagle zaczęłaś mieć dużo pytań. Denerwujesz się? – Zatrzymał się i odwrócił, żeby na mnie spojrzeć.

*Tak.*

– Nie, dlaczego miałabym się denerwować?

– Myślałem, że się mnie boisz – stwierdził, a jego oczy zabłyszczały.

*Bo się boję. Ale...*

– Gdybyś zamierzał mnie skrzywdzić, myślę, że już byś to zrobił. – Prawdziwość tych słów zaskoczyła nawet mnie.

Posłał mi porozumiewawczy uśmiech, zanim ruszył do przodu.

Był zbyt przystojny. To jest jakiś koszmar.

Czas zmienić temat.

– Co się stało tam, na polanie?

Poczułam, że energia się zmieniła, jakby gęsta chmura zasłoniła letnie słońce. Kane zwolnił kroku, ale nie odwrócił się do mnie.

– Dwóch z naszych ludzi nie wróciło z misji, na którą ich posłałem. Strażnik znalazł ich szczątki dziś rano – odparł.

Strach ścisnął mi trzewia, gęsty i oślizgły.

– Myślisz, że zostali zabici przez coś, co tu żyje? Jakies zwierzę?

*Potwora?*

– To skomplikowane – uciął.

Znowu brak odpowiedzi. Nie wiem, czego się spodziewałam. Żałowałam, że nie widziałam jego twarzy, gdy szłam za nim wąską ścieżką. Poza chrzęstem liści i śpiewaniem ptaków w lesie panowała cisza. Napięcie, które odczuwałam, odkąd Griffin i jego ludzie odjechali, wzmogło się.

Wciągnęłam głęboko powietrze przez nos. Nie mogłam poprosić, żebyśmy wrócili, okazałabym zbyt wielką słabość.

– Przykro mi – powiedziałam. – Z powodu twoich ludzi.

Z jego strony nie padło ani jedno słowo.

Szliśmy w ciszy, aż stroma, pokryta liśćmi ścieżka zmieniła się w polanę. Rozległe pole, upstrzone delikatnymi, różowymi kwiatami ostu i lawendą rozciągało się przed nami. W oddali, przy kamiennym, górzystym murze, mienił się turkusowy staw.

Serce mi podskoczyło, od razu zapomniałam o strachu. To było piękniejsze niż cokolwiek, co widziałam w Abbington. W zasadzie w całym życiu.

Zerknęłam na Kane'a, zauważyłam, że spocił się przez wędrówkę. Chciałam zmasać mu z twarzy tę arogancję bardziej, niż potrafiłam to wyjaśnić.

– Ścigamy się?

Kane otworzył szeroko oczy i zaśmiał się – prawdziwie, radośnie, co chyba zaskoczyło nawet jego.

– Może sprawimy, że będzie bardziej interesująco?

Chociaż moje serce podskoczyło na jego słowa, postukałam się palcem w usta, jakbym rozważała. Jego wzrok natychmiast podążył na moje wargi.

– Jeśli wygram, będziesz musiał odpowiedzieć na jedno moje pytanie z całkowitą szczerością.

Zdjął koszulę przez głowę i zsunął buty. Jego szeroka klatka piersiowa okazała się jeszcze bardziej imponująca niż tamtego dnia w szpitalu. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, mój żołądek zatańczył.

Źle, źle, źle.

Spuściłam wzrok na swoje ciężkie, ciemne ubrania i rozsznurowałam gorset.

– Muszę przyznać, że podziwiam twoją determinację – oświadczył i spojrzał zmrużonymi oczami w stronę błękitnego nieba. – W porządku. Ale jeśli ja wygram – przeniósł na mnie wzrok – to powiesz mi, dlaczego naprawdę chciałaś tu przyjechać.

Zatrzymałam się w połowie zdejmowania buta i zapatrzyłam się na niego.

– Nie jestem aż tak łatwowierny, jak ci się wydaje – dodał z uśmiechem.

*Cholera.* Teraz naprawdę musiałam wygrać.

– Prawda za prawdę – podsumowałam. – Brzmi sprawiedliwie.

Kane wydawał się zadowolony, a ja posłałam mu pewne siebie spojrzenie. Dorównywanie mu arogancją sprawiło, że poczułam falę ekscytacji. Staliśmy tam, szczerząc się do siebie. Dwójka zdeterminowanych idiotów.

– Ruszamy na trzy. Pierwszy, kto dotknie wody, wygrywa?

Przytaknęłam.

– Raz. Dwa. Trz...

– Czekaj! – Powstrzymałam go. Nie mogłam biec w tej grubej, wełnianej sukni, a nasz zakład dodał mi śmiałości. Naprawdę chciałam, żeby się ugiął albo chociaż trochę zawahał. Zdjęłam ciężką suknię przez głowę i zostałam tylko w halce bez rękawów i cienkiej bieliźnie.

Delikatna bryza owionęła moje ciało i przeciągnęłam się jak kot w słońcu.

Czułam na sobie wzrok Kane'a, więc na niego zerknęłam. Śledził spojrzeniem moje gołe stopy, odsłonięte łydki i uda, zakryty cienkim materiałem brzuch i piersi, aż dotarł do twarzy.

Wyglądał na zbolałego.

– Nic ci nie jest?

– Nikczemna mała ptaszyna. – Pokręcił głową.

Starałam się ukryć uśmiech.

Nie byłam pewna, co się działo – zawsze był atrakcyjny. Jako więzień, jako pacjent szpitala i nawet jako podły król. Ale część mojej palącej nienawiści zaczęła przeciekać mi przez palce...

Odchrząknął i przerwał ciszę:

– Dobra. Zanim mnie zabijesz. Raz. Dwa. Trzy.

Oboje ruszyliśmy z zawrotną prędkością. Machałam rękami po bokach, a stopy lądowały lekko na trawie. Czułam się, jakbym biegła w powietrzu. Wiatr odrzucał mi włosy w tył i chłodził rozgrzaną słońcem skórę. Minęło zbyt dużo czasu – ten sprint był jak powrót do domu. Nabierałam do płuc świeżego, przesyconego sosnowym aromatem powietrza.

Fala euforii uderzyła we mnie i popędziła do szybszego biegu.

Po mojej prawej Kane dotrzymywał mi kroku. Jego mięśnie prężyły się z każdym ruchem potężnych ramion i wyglądał na prawie tak szczęśliwego, jak sama się czułam.

Ale nabierał prędkości.



Sięgnęłam głębiej po pokłady energii, zwiększyłam tempo i pochyliłam się do przodu. To jedyna rzecz, w której wiedziałam, że byłam świetna. Zawsze, kiedy miałam wrażenie, że jestem w potrzasku, samotna, żalosna... bieganie przypominało mi, że mogłam być silna. Że jedyne, czego potrzebowałam, by dokądkolwiek dotrzeć, to własne stopy. Dogoniłam Kane'a z łatwością i zauważyłam wyraz szoku na jego twarzy.

To było wyśmienite.

Znajdowaliśmy się już tylko kilka metrów od wody i nadal szliśmy łeb w łeb. Naparłam mocniej, aż moje płuca płonęły, nogi bolały, a serce łomotało w uszach. Pomyślałam o minie Kane'a, kiedy zobaczył, że się rozebrałam, i poczułam się jeszcze silniejsza. Wskoczyłam w powietrze zaledwie sekundę przed nim i wylądowałam w zimnej wodzie z pluskiem.

– Ha! – wykrzyknęłam, ocierając krople z twarzy. – Wygrałam.

Kane strzepnął włosy jak pies i spróbował wytrząsnąć wodę z ucha.

– Tak, tak, widziałem – wykrztusił, łapiąc oddech.

Uśmiechnęłam się szeroko i opadłam do wody, pozwalając, by chłód łaskotał skórę mojej głowy.

Przyglądał mi się z rozbawieniem.

– Jesteś szybka. Jak gazela czy coś.

– Dziękuję.

– To na pewno dlatego, że jesteś taka mała. Twoje nogi mają mniej do noszenia – Wskazał na swój szeroki tors.

Przewróciłam oczami.

– Przechwalasz się, królu Ravenwoodzie? I to swoją umięśnioną sylwetką? – Zaczekałam, udając dezaprobatę.

– Jestem wzruszony, że zauważyłaś.

Wiedziałam, że flirtowaliśmy. To było okropne, ale dobrze się bawiłam. Minęło bardzo wiele czasu, odkąd robiłam coś takiego.

Przyglądał mi się, a woda skapywała mu na oczy.

– O czym myślisz?

Miałam już dość półprawd.

– Że dobrze się bawię. Jakimś cudem.

Wyraz twarzy Kane'a mówił, że to lepsza odpowiedź, niż się spodziewał.

Zamachałam ramionami, płynąc przez staw, unikałam kamieni i chudych, pomarańczowych ryb.

– Ty zapewne masz mnóstwo rozrywek, ale w moim przypadku minęło dużo czasu, odkąd jakiegokolwiek zaznałam. Niezbyt miło było mieszkać w miasteczku

zredukowanym do poziomu zużytej przez wojnę chusteczki. Albo siedzieć w celi w obcym królestwie, bez ukochanych osób...

Nie chciałam zabrzmieć tak zgorzkniale, ale kiedy otwarło się wrota do komnaty prawdy, trudno było je zatrzasnąć.

Kane przyglądał mi się z ostrożnym zainteresowaniem, a na jego twarzy pojawiło się coś na kształt żalu.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co myślisz o wyborach, których dokonałem. – Podpłynął bliżej mnie, w jego srebrnych oczach wirowało coś intensywnego. – W zasadzie nie muszę sobie wyobrazać. Przecież mi powiedziałaś, prawda? – zauważył, na co przełknęłam ciężko i odpłynęłam od niego. – Wiedz tylko... że nie podjąłem ich bez zrozumienia poświęcenia i straty, jak powiedziałem ci w sali tronowej. Nie mam aż tylu rozrywek, jak ci się wydaje.

To z pewnością zimna woda wywołała gęsią skórę na moich kończynach. Zmusiłam się, by odwrócić od niego wzrok, jego szczerość brzmiała zbyt surowo. Zbyt intymnie.

– W takim razie co robiłeś dla zabawy w młodości? – Zatęskniłam za tym, jak czułam się zaledwie kilka minut temu. Jak lekko i swobodnie przebiegała nasza rozmowa.

– Lubiłem grać na lutni. Matka mnie nauczyła. To coś, co robiliśmy razem. – Wydawało się, że to szczęśliwe wspomnienie, ale kiedy podniosłam na niego wzrok, zeszytniał, a wyraz jego twarzy niemal wyrażał rozpacz.

To by było na tyle w kwestii lekkości i swobody.

– To było twoje ciężko wygrane pytanie? – zapytał, unosząc brew. – Wydaje się trochę zmarnowane, zważywszy na tę nienasyconą ciekawość, której się po tobie spodziewałem.

Kane podpłynął bliżej, jego szeroka klatka piersiowa napinała się przy każdym ruchu, błyszczące krople wody spływały mu z włosów na twarz. Odsunął kosmyki, patrząc na mnie.

– Nie, ja...

Nie mogłam być tak blisko niego. Był zbyt piękny, magnetyczny i groźny. Ale on zbliżał się do mnie, woda rozstępowała się przy jego umięśnionych biodrach. Pełzłam w tył, stopy ślizgały się na mulistym dnie stawu, aż natrafiłam plecami na kamień za sobą. Wodospad spływał ze skał i rozbijał się o moje plecy niczym deszcz. Kane położył dłonie po obu stronach mojej głowy i pochylił się, aż woda spływała po jego rękach i przedramionach, błyszczące krople mieniły się wokół nas jak spadające gwiazdy.

Jego źrenice rozszerzyły się, kiedy na mnie patrzył. Wcześniejsza szczerłość i żal zostały zastąpione przez palącą uwagę skupioną na moich ustach. Byłam pewna, że widział pulsującą żyłę na mojej szyi. Prawie dygotałam. Nie tylko ze strachu, ale też...

Znalazłam podparcie dla stóp i wstałam, żeby trochę ustabilizować swoją postawę...

Ale staw był płytszy niż kamienie. Wiedziałam, że moja mlecznobiała halka prześwituje na piersiach, przesiąknięta i przylegająca do ciała. Zakryłam sterczące sutki, krzyżując ramiona na piersi i zerknęłam na Kane'a. Miał zaciśnięte zęby, ale już odwrócił spojrzenie stalowoszarych oczu i patrzył na wodospad nad nami.

– Nie martw się, ptaszyno. Nie patrzę.

Po raz kolejny, kiedy spodziewałam się obelg, drwin, okrucieństwa, otrzymałam wyrozumiałość. Nawet uprzejmość...

Słowa wyrwały się z moich ust, zanim zdołałam je powstrzymać.

– Uwolnij mnie – wydyszałam.

– Co? – zapytał, przygważdżając mnie wzrokiem.

Poczułam, że moja twarz zapłonęła rumieńcem. Ale już to powiedziałam.

– Proszę – błagałam. – Nie pasuję tutaj. Ledwo mnie potrzebujesz. Pozwól mi wrócić do rodziny.

Kane znów zacisnął zęby, a jego stalowe oczy zapłonęły. Odepchnął się od kamieni i odsunął ode mnie.

– Nie mogę tego zrobić – odparł.

– Dlaczego nie? – Popłynęłam za nim. Nigdy nie czułam się taka mała. Tak bezbronna. Nie, odkąd byłam małą dziewczynką.

Ale nie byłam zbyt dumna, żeby błagać o życie. Okazał mi dzisiaj uprzejmość. Może jednak miał w sobie empatię – można było go poruszyć.

– Proszę – spróbowałam ponownie.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zastanowił się i zamknął je ponownie.

Łzy zaczęły kłuć mnie w oczy.

Teraz, kiedy adrenalina po biegu, błaganiach i... innych rzeczach, zanikała, zauważyłam, że słońce zaczęło chować się za drzewami i poczułam, że na ciele pojawiła mi się gęsia skórka od zimnej wody.

– Wracajmy – rozkazał w końcu, patrząc na moje drżące ramiona. – Możesz zadać mi swoje pytanie w drodze powrotnej.

# DWUNASTY

Jazda z powrotem była tysiąc razy gorsza, niż jazda do lasu. Po tym, jak Kane pożyczył mi swoją koszulę, żebym mogła osuszyć włosy, ubraliśmy się szybko i przeszliśmy przez las, mniej ubrani niż wcześniej.

Był takim żalonym palantem. Żartobliwym, uroczym i zaskakująco troskliwym, kiedy miał na to ochotę, ale samolubnym do granic możliwości. Kopnęłam się wewnątrz za to, że w ogóle marnowałam czas na błaganie go o wolność.

Żeby było jeszcze gorzej, nie mogłam oderwać myśli od wilgotnej piersi tego gnojka przyciśniętej do moich pleców. Sukienkę miałam ściągniętą do pasa, żeby halka mogła wyschnąć. Trzymał dłońmi wodze przede mną dość niewinnie, ale patrzenie, jak jego palce ściskają skórzane paski, było tak zmysłowe, że podwijały mi się palce u stóp. Byłam nieznośnie świadoma jego kontrolowanych oddechów na moim karku i mogłabym przysiąc, że czułam na łopatkach jego łomoczące serce. Sposób, w jaki nasze rozłożone nogi układały się wspólnie w siodle, wydawał się niepokojąco erotyczny i ciągle musiałam odciągać wędrówkę swoich myśli od tych otwarcie sprośnych miejsc.

Byłam wściekła na tego mężczyznę. Tak bardzo wściekła. Ale chciałam też lizać go po szyi. To naprawdę skomplikowane.

Nasz koń odskoczył na bok, żeby uniknąć zwałonego pnia, a dłoń Kane'a przycisnęła się płasko do mojego ciała, by przytrzymać mnie w miejscu, przy nim. Jego mały palec ledwo musnął dolną część mojego brzucha, ale poczułam to aż między udami i narosła we mnie głęboka potrzeba. Pierś Kane'a uniosła się, gdy wypuścił drżący oddech, zanim zabrał dłoń, jakby moją cienką, mokrą halkę ogarnęły płomienie.

Na szczęście, niedługo potem dotarliśmy do zamku, a Kane zeskoczył z konia szybciej, niż widziałam, żeby człowiekowi się to kiedykolwiek udało, a przecież dosłownie pędziliśmy. Pomyślałam, że może będzie chciał się ogarnąć, kiedy zsiadałam z konia, więc odwróciłam wzrok.

– Cóż, dzięki – powiedziałam i odwróciłam się na pięcie, żeby wrócić do warowni.

– Arwen! – zawołał za mną. – Czeka!

Starałam się opanować rumieniec na policzkach, zanim się odwróciłam i zobaczyłam, że trzymał moje buty. Spuściłam wzrok na gołe stopy.

– Nie sądzę, abyś zamierzała iść tam boso, ale wiem, że lepiej nie mówić ci, co masz robić.

– Dziękuję. – Wpadła mi do głowy myśl, kiedy już mojego umysłu nie zasnuwała mgła tego, co rozpraszało mnie podczas jazdy. – Nie zadałam ci pytania.

W jego srebrnych oczach zalśniło rozbawienie.

– Myślałem, że zapomniałaś. Proszę bardzo.

Mogłam zapytać o tak wiele rzeczy. „Dlaczego w ogóle zacząłeś wojnę?”, „Czemu Griffin był na ciebie dzisiaj zły?”, „Z kim rozmawiałeś w lochach tamtej pierwszej nocy?”, „Jak na kogoś, kto musi zajmować się całym królestwem, jesteś wyjątkowo samolubny”. Cóż, to ostatnie nie było do końca pytaniem.

Ale to, co naprawdę chciałam wiedzieć, popłynęło z moich ust jak kamień staczający się ze zbocza.

– Dlaczego pozwalasz, żeby wszyscy, zarówno twoi poddani, jak i ludzie w całym Evendell, uważali cię za potwora?

Brwi Kane'a wystrzeliły w górę z zaskoczenia.

– Ty już tak nie uważasz?

– Nie jestem pewna, ale zdecydowanie zgrywasz taką osobę – odpowiedziałam szczerze.

Mięsień na jego szczęce zadrżał, ale w oczach widać było zadumę, nie gniew. Westchnął i spojrzał na zachmurzone niebo nad nami. Potem jego wzrok spoczął na mnie.

– Większość plotek, które, jak sobie wyobrażam, słyszałaś o mnie, jest prawdą. Nie pozwalam, żeby słabość stanęła na drodze moim obowiązkom.

Z jakiegoś powodu odczułam te słowa jako policzek.

– Więc uważasz kompromis, łaskę, miłość... za słabość? Wrażliwość?

Wydawało się, że bardzo mocno się starał, by nie przewrócić oczami. Widziałam, że zacisnął zęby.

– W zasadzie tak. Królowie, którzy rządzą przy pomocy emocji, podejmują decyzje i wyrządzają nimi krzywę swoim ludziom. Moim jedynym zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa królestwu.

– Król Gareth to dobry i sprawiedliwy władca – zaprotestowałam, unosząc podbródek. – Zapewnia bezpieczeństwo swoim ludziom i zawsze jest łaskawy. Pozwala im dokonywać wyborów.

Rysy twarzy Kane'a stężały.

– Nigdy nie zmuszałem ludzi do wstąpienia do mojej armii.

Słowa protestu uwięzły mi w gardle. Ale on mówił dalej, podchodząc na tyle blisko, że dzielił nas jeden oddech.

– I czy on naprawdę zapewnia bezpieczeństwo swoim ludziom? – Jego oczy wwiercały się w moje. – Jesteś tu, prawda? Jako więzień jego największego wroga. Gareth to oślizgły robak.

Zacisnęłam dłonie w pięści po bokach.

– Niepotrzebnie jesteś okrutny.

Odsunął się, a z jego ust wyrwał się nieuprzejmy śmiech.

– Tak wielu rzeczy nie wiesz.

– Więc mi powiedz.

Westchnął, ale kiedy jego wzrok ponownie odnalazł mój, w jego oczach rozbłysło zranienie.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie mogę.

Zacisnęłam szczęki.

– Wygląda na to, że zaufanie to kolejna z tych nieznośnych słabości, na które nie lubisz sobie pozwalać.

Moje serce zapłonęło wściekłością. Co ja wyprawiałam? Stałam tu i znowu się z nim kłóciłam? Traktowałam jego skrytość personalnie? Nic nie był mi winien.

Potrzebowałam poważnej pomocy.

Ruszyłam ze złością w stronę warowni i starałam się nic nie czuć, z powodu tego, że mnie nie zawołał.

\*\*\*

Zaburczało mi w brzuchu, kiedy przeskakiwałam po dwa stopnie, żeby spotkać się z Mari w wielkiej sali. Nocą zamek był upiornie piękny, cicha muzyka i pomruki rozmów niosły się po korytarzach. Nie jadłam nic od powrotu z Lasu Cieni poprzedniego wieczoru, bo wolałam zaszyć się w łóżku i ukoić swoje myśli w niespokojnym śnie. I nerwowym poranku. A potem pełnym niepokoju popołudniu...

Nadszedł wieczór, a ja umierałam z głodu.

– W końcu znalazłam książkę o faerie, ale to tylko opowieści dla dzieci – sapnęła Mari, zdmuchując z twarzy długie rude pasmo, kiedy dogoniłam ją w kolejce po kolację. Była zafascynowana wiedzą ludową o Fae, ale istniało na ich temat bardzo niewiele materiału do przeczytania. Niektóre książki dowodziły, że stworzenia to zaledwie mity. Mari nie miała jeszcze pewności.

– Czemu nie wrócisz do swoich badań nad wiedźmami? Myślałam, że to lubiałaś. Dagan niedługo powinien skończyć tłumaczyć tę księgę zaklęć, prawda?

Pomyślałam, że może on mógłby pomóc mi zdobyć korzeń w noc zaćmienia. Wydawał się skory do pomocy Mari i był na tyle miły, że uczył mnie walczyć

mieczem.

Odsunęłam się w bok, pozwalając by grupa przystojnych, młodych żołnierzy nas wyminęła. Mari wyglądała uroczo w niebieskiej sukience z czarną kokardą Onyksu. Każdy z młodych mężczyzn przyjrzał się jej uważnie, ale moja przyjaciółka nie wydawała się ich zauważać.

Tylko przewróciła oczami w moją stronę.

– Wiedźmy są o wiele mniej interesujące. Wszystko, co nam się wydaje, że wiemy o Fae: skrzydła, spiczaste uszy, pazury, może nawet okazać się nieprawdą. Fakt, że nie mogę znaleźć ani jednego konkretnego tekstu, sprawia, że dostaję szału. Wiedźmy to po prostu kobiety, które potrafią rzucić kilka zaklęć. To naprawdę nudne.

– Przygryzła wargę.

Zmrużyłam oczy.

– Czego mi nie mówisz?

– Niczego! – Ale wysoki ton jej głosu sugerował coś zupełnie innego. Stałyśmy tak w rzadko spotykanej ciszy, aż podano nam mostek. Delikatny, karmelizowany, pachnący przyprawami i słodyczą – nie mogłam się doczekać, żeby go spałaszować. Usiadłyśmy w rogu, oświetlonym zarówno latarniami, jak i świetlikami, które czasami wlatywały do sali z dziedzińca. Ich migoczący błysk tańczył w zatroskanych oczach Mari.

– Jeśli mi nie powiesz, co naprawdę się z tobą dzieje, jak mam ci opowiedzieć, jaką katastrofą był dzień, który wczoraj spędziłam z królem? – Udałam szczerą konsternację i wzięłam ogromny kęs jedzenia.

– Co? Kiedy?

Pokręciłam głową, przeżuając.

– W porządku – ustąpiła. – Wypróbowałam kilka zaklęć, ale nie miałam zbyt wiele... szczęścia.

Opadła mi szczęka. Mari była wiedźmą?

Powiedziała to tak, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie, ale tylko ci, którzy mieli wiedźmę lub czarownika wśród przodków, mogli praktykować magię. Moc nie występowała rzadko, ale spotkałam w życiu tylko kilka wiedźm używających zaklęć do rzemieślnictwa lub gotowania, czasami do przyrządzenia eliksirów nasennych albo toników przynoszących szczęście działających tylko w połowie przypadków. Choć mogłam sobie wyobrazić, znając Mari, że nie zamierzała wykonywać tak prostych zaklęć, a raczej planowała zabrać się za coś bardziej imponującego. Dużo potężniejszego.

– W końcu wymyśliłam, jak rozwiązać ten problem, ale to trochę skomplikowane – odparła smętnie.

Miałam wrażenie, że przyznanie się do porażki sprawiało jej fizyczny ból, ale myślami nadal pozostawałam przy tej części z magią.

– Zaklęcia? Masz w rodzinie wiedźmę?

– Moja matka była wiedźmą – przytaknęła.

Nie mówiła wiele o matce, a dla kogoś, kto mówił tak dużo jak ona, musiał być ku temu dobry powód; temat okazał się bolesny. Chciałam wiedzieć dlaczego i co przede mną ukrywała, ale przełknęłam swoją ciekawość. Nie czułam się jeszcze gotowa opowiedzieć jej o Powellu, więc niesprawiedliwie byłoby się domagać od niej odpowiedzi.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytałam zamiast tego.

– Nic nie możesz zrobić. – Mari pokręciła głową.

– Daj spokój, z radością zostanę królikiem doświadczalnym. Chcesz wypróbować na mnie zaklęcie zwalczające bezsenność? Jestem wykończona.

Zaśmiała się, a potem przygryzła wargę. Wiedziałam, że istniała szansa, by się otworzyła. Podejrzewałam, że tajemnice nie trzymały się Mari zbyt długo.

W końcu odpuściła, na co liczyłam.

– W porządku. Tym, czego potrzebuję, jest amulet Briar. To relikwia, która należała do jednej z najwspanialszych wiedźm w historii, Briar Creighton. Żyła setki lat temu i dzisiaj wciąż żyje, tak atrakcyjna i młoda jak zawsze. Przynajmniej tak słyszałam. Przełała dość sporo swojej magii w amulet, zanim, jak głosi plotka, podarowała go... Cóż, możesz zgadnąć.

Już bałam się odpowiedzi.

– Królowi Kane’owi Ravenwoodowi?

– Tak! Podobno przed laty byli kochankami.

– Oczywiście, że tak. – Ścisnęłam nasadę nosa. Nie osądzałam Kane’a za sypianie ze stuletnią wiedźmą, która zapewne wyglądem nie różniła się ode mnie, ale mimo to nagle dostałam okropnego bólu głowy. – Więc chcesz, żebym go o niego poprosiła?

Oczy Mari prawie wyskoczyły z orbit.

– Nie! Na święte Kamienie, Arwen, oczywiście, że nie. Nigdy nie dałby go ani tobie, ani mnie.

Powstrzymałam westchnienie ulgi. Dzięki Kamieniom, bo skończyłam już z czymkolwiek związanym z...

– Chcę go ukraść z jego gabinetu.

Teraz to moje oczy prawie wypadły z oczodołów.

– Powiedz, że nie mówisz poważnie.

– Prosiłaś, żebym była z tobą szczerą – stwierdziła, wzruszając ramionami.



Pomasowałam skronie. Mój ból głowy zmieniał się w pełnowymiarową migrenę.

– To zbyt niebezpieczne – odparłam. – Król Ravenwood zabiłby cię za mniejsze przewinienie.

– Nigdy się nie dowie. Pojechał dzisiaj do lasu, kowal powiedział mi dziś rano w bibliotece. To idealny moment. – Przygryzła wargę, zanim skierowała na mnie błagalny wzrok. – Jedyne moment.

Poczucie winy ścisnęło mi żołądek. Zmusiłam Mari do szczerości. Byłyśmy przyjaciółkami zaledwie od kilku tygodni, ale wiedziałam z całkowitą pewnością, że wykona ten idiotyczny plan, ze mną czy bez. I prawdę mówiąc, obecnie czułam się odważniejsza niż kiedykolwiek. Przeżyłam gorsze rzeczy niż zakradnięcie się do gabinetu króla nikczemników.

– Zrobię to tak czy inaczej – oświadczyła Mari, jakby potrafiła czytać mi w myślach.

– W porządku, dobra – ustąpiłam. – Jaki masz plan?

W odpowiedzi Mari posłała mi uśmiech tak czysty, jak radosny, że sama uśmiechnęłam się niepewnie, pomimo zmęczenia i strachu, że to wszystko okaże się kompletną katastrofą.

– Będzie łatwo. – Rozpromieniła się. – A potem opowiesz mi o swoim dniu z królem. Chodź za mną.

– Teraz? – zapytałam, ale ona już się podniosła i wychodziła z wielkiej sali. Przekłęłam pod nosem, wepchnęłam do ust ostatni kęs jedzenia i ruszyłam za nią.

Wspięłyśmy się po kamiennych schodach, przeszłyśmy przez galerię nad dziedzińcem i minęłyśmy zamkniętą na noc aptekę.

Walczyłam, by spowolnić płytkie oddechy, gdy szłyśmy tak pospiesznie.

Załatwimy to w mgnieniu oka.

– Skąd w ogóle wiesz, że amulet jest prawdziwy i że w ogóle znajdziesz go w gabinecie?

– Mieszkam tu całe życie, Arwen. Znam każdy sekret tego zamku, a nawet kilka, o których sam król jeszcze nie wie.

Odsunęłam od siebie panikę i nerwy, gdy minęłyśmy kolejny róg i dotarłyśmy do przejścia, którego jeszcze nie widziałam. Wyglądało tak samo wyszukanie jak reszta warowni, wykończone zdobionymi kamieniami i z licznymi zakamarkami, ale było węższe i oświetlało je mniej latarni. Jakby chciało powiedzieć gościom: „Ten korytarz nie jest dla was”.

Na końcu znajdowało się dwoje zdobionych drzwi, pokrytych atramentowymi, żelaznymi aplikacjami, strzeżonymi przez stoicko spokojnych strażników. Ale Mari szybko ich minęła i wyszła za ostatni róg, po czym podeszła do samotnej

przeszklonej szafki. W środku znajdowały się skarby, których nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak zbroja wojenna należąca do pierwszego króla Onyksu, wysadzana diamentami i ametystami wzdłuż metalowych zębów. Poniżej spoczywał patykowaty płaz z delikatnymi skrzydłami zanurzony w jakimś środku konserwującym. A jeszcze niżej masywny szpon harpii, dłuższy i szerszy ode mnie.

Każdego dnia w tym królestwie moje zrozumienie wobec tego kontynentu – tego świata – zwiększało się.

– Chodź – wyszeptała, odciągając mnie od urzekających artefaktów za szkłem.

Odwrociłam się i rozejrzałam.

– Nic tutaj nie ma.

Mari wymamrotała jakąś frazę i z łoskotem, który poczułam aż w palcach u stóp, szafka, w której przechowywano unikatowe przedmioty, przesunęła się z jękiem, ukazując małe przejście.

– Co to było? – wyszeptałam przez zaciśnięte zęby.

– Sekretne hasło – odparła Mari cicho. – Drzwi są zakłete, by otwierały się tylko po jego wypowiedzeniu.

Jakież to dyskretne ze strony Kane'a posiadać ukryte wejście do prywatnego gabinetu. Pasuje do człowieka, ceniącego swoje tajemnice wyżej niż cokolwiek innego.

Mari wśliznęła się do środka, a ja podążyłam za nią, serce wściekle łomotało mi w piersi.

Miałam wrażenie, jakbym weszła do pudełka z biżuterią. Zdobiony dywan – zapewne z Granatu lub Kwarcu, zważywszy na szczegółowość detali – rozciągał się pod moimi stopami po całej podłodze, pod regałami, posągami i skórzaną kanapą z wyszywaniem w zawijasy poduszkami. Kamienny kominek, w którym wciąż tliły się, błyszcząc jak klejnoty, szczapy drewna. Tu i ówdzie stały wazy zdobione liliami i fiołkami Onyksu, które pokochałam. Światło księżycy wpadało przez szklany sufit, który wydawał się sięgać w górę bez końca. To musiało być wewnątrz spiralnego czubka zamku, wysokiej, strzelistej wieży, która przeszywała chmury.

A w samym środku tej oszałamiającej niszy, pyszniło się ogromne biurko – drewno w kolorze miedzi, prawie tak samo lśniące jak wspomniały czarny, skórzany fotel, który aż prosił, żeby w nim usiąść. Na biurku leżały błyszczące książki, sfatygowane pergaminy i pióra, a nawet czara, w której pozostały ślady wina.

– Wow.

– Tak, też to powiedziałam, kiedy pierwszy raz tu byłam.

– Byłaś tu już wcześniej? – zdziwiłam się. Mari była większą rozrabiarą, niż sobie wyobrażałam.

– Tylko raz czy dwa – powiedziała, zaglądając do szuflad i na półki. – Może jeszcze kilka... Po tym, jak jedna z pokojówek wypaplała hasło, kiedy byłam jeszcze mała, zakradałam się tutaj co jakiś czas. On i tak nigdy nie przyjeżdżał do Shadowhold. Zaglądałam, żeby sprawdzić, jakie skarby zebrał. Albo żeby ukryć się przed prześladowcami.

Ostatnią część powiedziała tak mimochodem, że prawie jej nie wyłapałam. Chciałam naciskać dalej, ale czym prędzej podeszła do półki pełnej poplamionych pergaminów i zaczęła w nich szperać.

– Więc skoro mogłaś dostać się tu z taką łatwością, dlaczego potrzebowałaś mojej pomocy?

– Słyszałam pogłoski, że kiedy król przyjeżdżał, trzymał tu swojego zwierzaka. Pomyślałam, że przyda mi się dodatkowa para rąk. Ale wygląda na to, że jesteśmy same, więc powinno być łatwo.

Zwierzaka? Na myśl, że Kane biegał z małym, brudnym szczeniakiem, serce mi miękło. Dosłownie potrząsnęłam głową, żeby odpędzić ten obraz, a mój wzrok spoczął na małych, niewyszukanych drzwiach w rogu.

– Jak myślisz, dokąd prowadzą?

– Do królewskich komnat. Ale nie jest mi tam po drodze.

Mruknęłam ze zrozumieniem, ale moje myśli zawędrowały gdzie indziej. Było coś niepokojąco erotycznego w myśleniu o sypialni Kane'a. Co tam robił, kiedy był całkiem sam? W jakiej pozycji spał? O kim myślał? Starłam się nie zdrzeć.

Komnata zapewne wyglądała jak lochy albo jego sala tronowa – wszystko w kamieniu i stali. Mroczny, zimny pokój dla mrocznego, zimnego człowieka.

– Oszalałaś na punkcie króla. – W głosie Mari usłyszałam ton wskazujący, że przewraca oczami.

Zarumieniłam się, gdy zrozumiałam, że wpatrywałam się tęsknie w drewniane drzwi.

– W porządku – podeszła do biurka – amulecie Briar, gdzie jesteś?

Zanim mogłam do niej dołączyć, upiorny krzyk jak zawodzenie wdowy przeszył pokój.

Krzyk uwiązał mi w gardle na ten dźwięk i obie z Mari obróciłyśmy się na pięcie.

Pierzaste stworzenie wysunęło się zza kanapy i przeciągnęło, jakby właśnie się obudziło. Było dziwnym, patykowatym stworem, który wpatrywał się prosto w nas. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak wielka sowa. Ale przyjrząwszy się bliżej, dostrzegłam przenikliwe, przypominające ludzkie oczy i kościste ramiona złożone pod kruczoczarnymi, opierzonymi skrzydłami. Skradało się w naszą stronę

na tyczkowatych nogach z figlarnym zadowoleniem w oczach, przechylając lekko głowę. Jakby sowę skrzyżowano z niedożywionym, demonicznym dzieckiem.

Zatrzymało się, obserwując nas uważnie, potem ponownie zaskrzeczało, ukazując rzędy ostrych, białych zębów.

– Mari. To jest zwierzak Kane’a? – Mój głos brzmiał, jakby nie należał do mnie.

– Tak, możesz go rozproszyć? Prawie skończyłam. – Przetrzęsała każdą szufladę biurka, szukając amuletu.

Sowopodobny stwór zaskrzeczał ponownie i rozprostował zakończone pazurami łapy. Spojrzenie pozbawionych powiek oczu wwiercało się we mnie, śledząc każdy ruch.

– Rozproszyć? Mari! – syknęłam.

– To tylko strix. Gdyby zamierzał nas zjeść, już by to zrobił.

Uwolniłam nieco napięcia z moich zeszywniałych kolan i zaciśniętej szczęki.

– Och. Czyli nie jedzą ludzi?

Jej głos niósł się echem, bo głowę miała wsuniętą głęboko w drewnianą wnękę.

– Nie, nie, oczywiście, że jedzą. Ale jeszcze tego nie zrobił, więc...

Wciągnęłam drżący wdech.

Ta kobieta była niespełna rozumu.

– Dobry sowostwór. Ale masz śliczne kły. – To było rozprasające? Staralam się mówić z czułością, tak jak odzywałam się do Bells i Hoovesa w domu. Wyszło sztywno i dziwacznie.

Stwór zbliżył się jeszcze bardziej. Jego oczy nabrały drapieżnego wyrazu, trzy patykowate palce jego upiornej łapy wysunęły się do przodu. Mój oddech stał się urywany.

– Mari, idziemy. Już.

– Prawie... skończyłam... – stęknęła, jej głos był stłumiony.

Strix, który nadal sztyletował wzrokiem moją duszę, rozłożył szeroko skrzydła, jego pióra były czarne jak atrament i śliskie, jakby zostały zanurzone w oleju. Odskokczyłam na ten widok.

– Aha! Znalazłam.

Słyszając okrzyk Mari, sowopodobny stwór ponownie obnażył kły i rzucił się na mnie.

Z sercem łomoczącym w uszach, popędziłam do sekretnego przejścia, zaparłam się o ścianę i ledwo usłyszałam ciche mruknięcie Mari za sobą. Powiew wiatru na plecach sprawił, że się odwróciłam i patrzyłam, jak strix wystrzelił w powietrze ze zduszonym skrzekiem, zawisł wysoko, miotając się wściekle.

*Cholerne Kamienie.*

Osunęłam się z ulgą, opierając ciężar ciała o ukryte drzwi i wciągnęłam w płuca zatęchłe powietrze gabinetu.

– Ty to robisz? – wskazałam na striksa, walczącego by sfrunąć na dół z miejsca, w którym zawisł w powietrzu.

– Tak! – wykrzyknęła Mari, podbiegając do mnie. Na jej szyi wisiał cienki, skórzany naszyjnik z fioletowym klejnotem. – Jasne Kamienie! Czuję jej moc. Nie mogę w to uwierzyć.

– To niesamowite. Ogromnie się cieszę. Ale – spojrzałam na zawieszoną w powietrzu bestię, wyginającą się, żeby nas dopaść, ale nie mogącą ruszyć się z miejsca – co z tym zrobimy? Nie możemy go tam zostawić.

– Jasne, że możemy.

Spiorunowałam ją wzrokiem.

– Nie, nie możemy.

Nie mogłam zrobić tego Kane’owi ani temu stworzeniu, niezależnie, jak bardzo chciało zjeść moje gałki oczne i ucztować na moim ciele. Przynajmniej miałam wrażenie, że właśnie to próbowało mi przekazać.

– Sprowadź go na dół i uciekniemy, zanim nas dopadnie.

Mari zmarszczyła brwi, ale przycisnęła amulet do piersi z determinacją. Skupiła się na szamoczącej, skrzeczącej sowie i zaczęła szeptać pod nosem zaklęcia.

Oglądanie używania magii zawsze mnie zdumiewało, nawet kiedy trzęsłam się tak bardzo, że rozboleła mnie żuchwa. Statyczny wiatr, delikatny pomruk w powietrzu – krawcowa w naszym miasteczku używała niewielkich zaklęć, żeby zdjąć puszkę z farbą z najwyższej półki. Szybki czar w barze do pijanego stałego klienta, żeby wyszedł, nie sprawiając kłopotów.

Nigdy nie wyglądało to tak surowo i instynktownie, jak kiedy robiła to Mari.

Kontynuowała zaklęcie, ale stworzenie się nie ruszyło.

Wymieniłyśmy z Mari zaniepokojone spojrzenia. Strix też wyglądał na zdziwionego, przechylając opierzoną głowę.

Odgłos kroków poniósł się echem za drewnianymi drzwiami – tymi, które prowadziły do sypialni Kane’a. Cała nasza trójka odwróciła się gwałtownie, słysząc go, a przyciszone głosy zaczęły wpadać do środka.

Wtedy usłyszałam jego niedający się z niczym pomylić głos, stłumiony przez drzwi.

– A Eryx wydaje się zadowolony z naszej oferty. Możliwe, że jednak zyskamy sprzymierzeńca. Akurat w odpowiedniej chwili.

– Czas najwyższy – rozbrzmiał głos Griffina.

– Och, na Kamienie, Mari! Spróbuj jeszcze raz! – syknęłam. Nie wiedziałam, co to mówiło o mnie, ale byłam wyraźnie bardziej przerażona perspektywą wpadnięcia na Kane’a niż poniesienia śmierci w szponach striksa.

– Zawsze jesteś taki optymistyczny, komandorze. Nie możemy cieszyć się chociaż jednym małym sukcesem?

Griffin prychnął za ścianą.

– *W porządku? Ale co z Amelią?*

Swobodny śmiech Kane’a poniósł się przez drzwi i poczułam go aż w kościach.

Twarz mi zapłonęła.

Nie chciałam usłyszeć dalszej części ich rozmowy. Mari skrzywiła się, ale nie przestała nucić zaklęcia, ściskając w dłoni amulet.

– Griff, naprawdę myślisz, przy tym wszystkim, co leży na szali, że...

Strix zaskrzeczał głośno, trzepocząc skrzydłami pomimo magicznych więzów.

Och, na Kamienie. Serce podeszło mi do gardła. Krztusiłam się nim...

Musiałśmy wyjść w tej chwili.

– *Co się dzieje?* – Dudnienie butów strażników poniosło się od pokoju króla w naszą stronę.

– Mari! – syknęłam.

Nagle magiczne więzy Mari opadły, a strix runął w dół, zatrzymując się zaledwie centymetry od podłogi z rozłożonymi skrzydłami i mordem w oczach. Mari i ja wydostałyśmy się przez tajne przejście chwilę przed tym, jak strażnicy wpadli do środka, a sowopodobny stwór zdołał nas dopaść.

Westchnęłyśmy z ulgą w korytarzu i odeszłyśmy w przeciwnym kierunku tak szybko, jak to możliwe, by wyglądało naturalnie. Gdy wyszliśmy za róg, praktycznie wibrowałam od gniewu.

– Mari. To było...

– Tak mi przykro, Arwen – powiedziała i spojrzała na mnie orzechowymi oczami.

– To było bardzo niebezpieczne i całkiem głupie. Nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłaś, naprawdę.

Czułam, jak znajomy ból głowy powracał.

– Prawie przez ciebie zginęłyśmy – warknęłam. – Jak mogłam pomyśleć...

Zamknęłam usta, gdy mijałyśmy dwóch przechadzających się strażników. Uśmiechnęłyśmy się z Mari – ciepło, szeroko i całkiem sztucznie.

Minęli nas, a ja już się przygotowałam, żeby znowu na nią naskoczyć, ale ona zwolniła na galerii i popatrzyła w dół na ludzi przechodzących przez dziedziniec pod nami.

Wyglądała na porażoną.

Strix tak bardzo ją wystraszył?

– Musiałam zdobyć ten amulet – oznajmiła ściszym głosem, jakby zdradzała tajemnicę. – Nie mogłam zawieść. – Odwróciła się do mnie z poważną miną. – Bycie dobrą w różnych rzeczach, posiadanie wiedzy o wszystkim. Nie wiem. Chyba tylko tyle jestem warta.

Irytacja nadal mrowiła moją skórę, ale przez jej słowa zabolęło mnie serce.

– Mari, to nieprawda i dobrze o tym wiesz. Jak możesz tak mówić?

– Nie miałam tu żadnych przyjaciół, kiedy dorastałam. To warownia armii, na Kamienie. Było bardzo mało dzieci, a spośród nich dziewczynki wysyłano na nauki do Willowridge, a chłopców uczono walczyć. Myślę, że papa nigdy mnie nie odesłał, bo nie chciał być sam.

Obraz małej, samotnej Mari z rudymi lokami zasłaniającymi pół twarzy, dręczonej przez małych chłopców żołnierzy i chowającej się w zdobnym gabinecie Kane'a sprawił, że miałam ochotę ją przytulić.

– Moja matka umarła przy porodzie. Nigdy jej nie poznałam, ale wiedziałam z opowieści papy, że była wspaniałą czarownicą, dobrą we wszystkim, co robiła. Był w niej tak bardzo zakochany i każdego dnia, kiedy dorastałam, powtarzał, jak bardzo ją przypominałam. Kochałam czytać jak ona. Tak dobrze było mieć coś, z czego mogłam być dumna. Czułam się, jakbyśmy ona i ja były takie same. Wtedy nie miało znaczenia, co inni o mnie myśleli. Miałam swój rozum, zupełnie jak mama, i tylko tego potrzebowałam. Tak bardzo się bałam, że zawiodę przy tych zaklęciach, Arwen, że zawiodę w czymś, w czym ona była wspaniała, tak bardzo się na tym skupiłam, że prawie przez to obie zginęłyśmy. Tak ogromnie cię przepraszam. Po prostu nie wiedziałam, kim się stanę, jeśli spróbuję magii i zawiodę.

Cała furia wyparowała ze mnie, jakby ktoś zdmuchnął świeczkę.

Mogłam się z tym utożsamić.

Może nie z tą niesamowitą presją, jaką wywarła sama na sobie, ale z samotnym dzieciństwem, prowadzącym do kiepskich dorosłych wyborów. Prawdę mówiąc, gdybym w młodości znalazła coś, w czym byłabym tak dobra, jak Mari w nauce, może wyrobiłabym w sobie jakąś pewność siebie, którą ona posiadała.

Odwróciłam ją, żeby na mnie spojrzała.

– Mari, gdybyś nigdy więcej nie wyciągnęła przypadkowego cytatu z rękawa, nie zacytowała tekstu, o którym nie słyszałam czy nie opanowała jakiegoś zaklęcia lub tłumaczenia, wcale nie miałabym o tobie gorszego zdania. Twoja inteligencja i determinacja są tylko dwiema z wielu cech, dla których uważam cię za swoją przyjaciółkę.

Jej oczy pojaśniały.

– Dzięki, że tak mówisz.

– To prawda. Nie potrafię kłamać.

Ruszyliśmy razem i teraz cisza była przyjemna – zwieńczenie kojącego wieczora, który jakimś cudem nie skończył się naszą śmiercią.

– Więc – zaczęła po kilku minutach – porozmawiamy o tym, co usłyszałyśmy?

Moje policzki spąsowiały. *Amelia*.

– Moje ego nadal dochodzi do siebie po tym, że Kane przespał się prawdopodobnie z połową królestwa, włączając w to stuletnie wiedźmy, a mną nie jest zainteresowany – odparłam. To miał być żart, ale jakoś nie zabrzmiał w ten sposób.

Mari złapała mnie za ramię i przyciągnęła do siebie.

– Nie podążajmy tym tokiem myślenia – zaprotestowała, krzywiąc się. – I tak nie chcesz, żeby taki mężczyzna cię pragnął. Nienawidzisz go i to nie bez powodu. – Jej głos był ciepły, a jednak pewny. – Jesteś jasnym światłem, Arwen. A on nie jest cię wart.

Przytaknęłam, ale serce ścisnęło mi się w piersi.

Może, zważywszy na to, że Mari nie potrafiła spojrzeć na siebie obiektywnie, ja też tego nie umiałam.



# TRZYNASTY

Uderzyłam toporem w drzewo z całej siły, ale ledwo ukruszyłam korę. Nawet kiedy wyobrażałam sobie, że to arogancka twarz Kane'a albo ktoś imieniem *Amelia*, moje ciosy były ledwo draśnięciami w drewnie. Po wszystkich tych rankach, spędzonych ze stalą w dłoni, nadal czułam, że moja siła w ogóle nie wzrosła.

Otarłam pot z czoła i zerknęłam na Dagona.

– To nie jest trening. To tania siła robocza. Jeśli potrzebujesz więcej drewna na opał, założę się, że Owen z chęcią ci pomoże.

Dagan zaśmiał się cicho. Nadal nie przyzwyczaiałam się do tej nowości. Wydawało się, że nic nie przynosiło temu marudzie tyle przyjemności, co poranne lekcje. Nie wiedziałam, czy skrycie lubił naszą naukę, czy po prostu był sadystą. Zapewne jedno i drugie.

– Jeszcze cztery ciosy i skończymy na dziś.

Podciągnęłam rękawy i uderzyłam toporem w drzewo jeszcze czterokrotnie, pozostawiając w nim płytkie wyżłobienie.

– Proszę bardzo – pochwalił. – To już coś. Pewnego dnia je zetniemy.

– Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z walką na miecze.

Dagan podał mi swój miecz i wyciągnął rękę po trzymaną przeze mnie siekierę. Zamieniłam się i od razu poczułam, że moje ręce opadają do ziemi.

– Dagan! – sapnęłam. – Z czego jest zrobiony twój miecz? Z cegieł? – Nie mogłam go podnieść nawet dwiema rękami, a co tu mówić o wymachiwaniu nim jedną.

– Miecz, którym trenowałaś, jest przeznaczony dla dziecka. Pięcio- lub sześćioletniego – oświadczył, na co opadła mi szczęka. – Musisz nabrać siły, żeby móc używać właściwego.

Szanowałam jego oddanie mojej samoobronie, ale ten pośpiech był niepokojący. Uważał, że niedługo znowu będę potrzebowała ochrony?

Pomimo dreszczu, który przebiegł mi po plecach, byłam wdzięczna za przypomnienie, że nie powinnam czuć się tutaj zbyt swobodnie – że Onyks wciąż skrywał wiele niebezpieczeństw.

– Przepraszam, nie chciałam narzekać. Po prostu jestem trochę zmęczona.

Poprzedniego wieczoru wyleczyłam dwóch rannych żołnierzy, którzy wrócili z misji z poważnymi ranami kłutymi i zużyłam do tego prawie całą energię.

Opuściłam jego miecz i oparłam się o drzewo. Dagan przyglądał mi się uważnie, w jego twarzy widać było ciekawość.

– Męczysz się, pracując w aptece?

Wiedziałam, że na mojej twarzy wyraźnie malowała się dezorientacja.

– Czasami pracuję dość długo... czemu?

– Nie to miałem na myśli. – Dagan zabrał swój miecz i przeciągnął ostrzem po dłoni.

– Gadanie! Co... – Sięgnęłam po miecz, ale odsunął mnie.

– Proszę, wylecz to.

Zmrużyłam oczy, patrząc na niego, zdziwiona, ale spełniłam prośbę. Ujęłam jego zrogowaciałą dłoń w swoją, opuściłam powieki i poczułam znajome mrowienie w palcach.

– Teraz chcę, żebyś spróbowała czegoś nowego. Nie pobieraj mocy ze swojego wnętrza, ale spróbuj opanować to, co jest wokół ciebie.

– Wokół mnie? – Otworzyłam oczy i rozejrzałam się po otoczeniu. – Na przykład ciebie? Mój miecz?

– Nie do końca. Czasami to woda. Czasami ziemia. Zgaduję, że dla ciebie to będzie atmosfera. Więc spróbuj wciągnąć otaczające cię powietrze w moją dłoń, jeśli zdołasz.

– Daganie – ostrożna nadzieja pojawiła się w mojej piersi – wiesz, czym są te moce? Przez całe życie chciałam to zrozumieć. Jeśli coś wiesz, musisz mi powiedzieć.

– Spojrzałam na niego błagalnym wzrokiem.

W Abbington nie było bibliotek ani uczonych, więc po wyczerpaniu wszystkich form poszukiwań, poddałam się w próbach zrozumienia tej części siebie. Przeszukałam nawet bibliotekę w Shadowhold kilka tygodni temu, ale bezskutecznie. Powiedziałam sobie, że tak było lepiej – że wolałam nie wiedzieć.

Ale wzrok Dagona tylko przeskanował pole wokół nas.

– Ta technika pomagała innym z ich magią. To wszystko. Pomyślałem, że warto spróbować.

Wiedziałam, że coś przede mną ukrywał. Nie był tak kiepskim kłamcą jak ja, ale jego umiejętności konfabulacji nie należały do doskonałych. Wiedziałam, że wiedźmy nigdy nie pobierały mocy z powietrza, wody czy ziemi. Mari wyjaśniła to bardzo dokładnie, kiedy wprowadziła mnie we wszystkie swoje badania nad jej nowymi umiejętnościami i tym, że moc wiedźmy pochodziła z rodowodu.

Kiedy jednak nie powiedział nic więcej, odpuściłam i postanowiłam spróbować. Nic nie szkodzi sprawdzić, prawda? Wyobraziłam sobie, że wciągam powietrze wokół mnie do jego dłoni, by powstrzymać płynącą po niej małą strużkę krwi. Moje palce

zadręgały i patrzyłam w zdumieniu, jak jego skóra znowu stała się całością, nie wywołując we mnie zmęczenia ani otępienia.

– Jak...?

Dagan ściągnął wargi w znaczącym uśmiechu.

– Dobrze. To może pomóc, daj mi znać.

I wtedy wrócił do zamku.

\*\*\*

Potem byłam tak obolała, że ledwo zdołałam wrócić do pokoju. Zamierzałam zrobić sobie gorącą kąpiel i wsypać do wody sole z apteki, żeby rozluźnić obolałe mięśnie. Kolejnym aspektem moich dziwnych mocy była umiejętność szybkiego zdrowienia. Nigdy długo nie chorowałam, a skaleczenia zmieniały się w blizny czasami nawet w ciągu jednej nocy. Jedna długa kąpiel i jutro będę jak nowa.

Był dziwnie pochmurny dzień pomimo zbliżającego się lata, a moją prywatną łazienkę ogarnęły cienie i cisza. Zapaliłam dwie latarnie i kilka świec, żeby rozjaśnić przestrzeń i zaczęłam gotować wodę. Biała porcelanowa wanna miała popękana powierzchnię, gdzieś tam wyszła też rdza, ale trochę się w niej zakochałam. W Abbington mieliśmy komunalną łaźnię, używaną głównie przez nastolatków, którzy chcieli się zabawić z dala od natarczywych spojrzeń swoich rodziców.

Starałam się zapamiętać to przepełniające mnie ulotne, upiorne przeczucie, kiedy trenowałam dzisiaj z Daganem – przypomnienie, że nie mogłam pozwolić sobie na całkowite rozluźnienie. Ale moje życie tutaj, w Shadowhold, było dużo bardziej przyzwoite, niż kiedykolwiek mogłabym sobie wyobrazić. Nawet złapałam się na tym, że zapomniałam o planowaniu ucieczki, ciesząc się towarzystwem Mari i Dagan, a nawet Barneya, kiedy spotykałam go w wielkiej sali.

Odsunęłam od siebie poczucie winy drażniące moje serce.

Miałam przetrwać.

Tylko tyle mogłam zrobić. Wyrzuty sumienia cały czas krążyły mi po głowie, odkąd ukradłyśmy amulet Briar. Miałam nadzieję, że Kane nie zauważy i nie zacznie za to ścigać Mari.

Mała część mnie miała nadzieję, że nie poczuje się zdradzony.

Ta ironia okazała się tak nedorzeczną, że prawie przyprawiła mnie o ból głowy.

Kiedy woda była już gorąca, wlałam ją do wanny i zdjęłam przepocone, brudne skóry. Zanurzyłam jeden pokryty pęcherzami palec w parującej kąpeli. Nie miałam na ciele ani jednego fragmentu, który nie byłby obolały po porannych ćwiczeniach.

Dagan zdecydowanie był sadystą.

Dodałam sole, a przejrzysta woda nabrała mlecznej barwy oraz zapachu eukaliptusa i lilii. Zanurzałam się w niej centymetr po centymetrze, przynajmniej połowa napięcia opuściła moje ciało, ulatując jak para z kubka herbaty w zimowy dzień. Zanurzyłam się i wystawiłam stopy na zewnątrz, opierając je o brzegi wanny w pozycji godnej królowej.

Byłam tak obolała również po wyścigu z Kane'em. Minęło trochę czasu, odkąd tak mocno nadwyrężyłam mięśnie, ale wolałam już bolące nogi niż całe ciało po treningu. Myśl o dniu z nikczemnym królem wywołała we mnie wiele sprzecznych uczuć. Jego irytująca arogancja. Nasza kłótnia. Jego zdanie o miłości i zaufaniu. Ale również to, jak chętnie zabrał mnie do lasu tylko dlatego, że potrzebowałam się wyrwać. Nasz zakład dla zabawy. Nasze pływanie.

Jazda powrotna do zamku...

Myśl o nim za mną, w blasku zachodzącego słońca... Nasunął mi się pomysł, że mógł nawet stwardnieć, czując moje ciało w ramionach... Nie chciałam czegokolwiek do niego czuć, ale nic nie mogłam poradzić na ogarniające mnie emocje. Wspomnienie przywołało intensywny ból w moim wnętrzu, a sutki stwardniały mimo ciepłej wody.

Sama w łaźni, otoczona słabym światłem świec, pozwoliłam sobie zsunąć dłoń w dół brzucha, między nogi. Naszły mnie zupełnie inne myśli o Kanie niż wcześniej o Haldenie – ogarnęło mnie pragnienie tak czyste i naglące. Nie mogłam pozostawić tego uczucia bez odpowiedzi. Pomyślałam o szelmowskim uśmiechu Kane'a, jego głębokim, ochrypłym śmiechu i o tym, jak prawie przycisnął mnie do skał w stawie.

Zastanawiałam się, do czego mogłoby dojść, gdybym nie była tak skupiona na ucieczce. Co, gdybym jednak zdjęła tę halkę? Byłby w stanie się powstrzymać? A może posiadłby mnie, chłonąc całkowicie, aż stalibyśmy się jednością?

Wyobraziłam sobie jego dłonie chwytające moje biodra i wyrywający z ust jęk, jego szept do mojego ucha o tym, co moje najbardziej intymne odgłosy robią z jego podnieceniem. Kręciłam kółka między nogami, czując, jak napięcie narastało w ciele, a pragnienie ścisnęło moje podbrzusze.

Pożądałam go do bólu.

Tak desperacko chciałam, by mnie dotknął, że prawie mnie to pochłonęło. Uniosłam drugą dłoń do piersi i zaczęłam ją delikatnie masować, myśląc o jego dłoniach, ich sile i jak by to było czuć jego szorstki dotyk. Ten mężczyzna to chodzące niebezpieczeństwo, śmiertelna broń zaklęta w ludzkim ciele. To haniebne – upokarzające – jak bardzo zaczęło mnie to podniecać.

Gdy wyobraziłam sobie Kane'a, jego imię wyrwało się z moich ust wraz z cichym westchnieniem. Nawet w wodzie czułam wilgoć gromadzącą się między nogami

i powoli wsunęłam w siebie jeden palec. Jęknęłam, zaciskając powieki z przyjemności, gdy spełnienie narastało. Wysunęłam go prawie do końca i włożyłam z powrotem, wyobraziłam sobie, że to Kane, zabawia się ze mną swoją dłonią, wrywając okrzyki ekstazy z gardła i wyciskając mi łzy z oczu. Byłby ostry? Zaciśnięte zęby, gwałtowne ruchy rąk, wymuszające jęk za jękiem, szloch za szlochem... a może nikczemny król okazałby się zaskakująco delikatny? Powstrzymywałyby się, nie chcąc napierać zbyt mocno, drżałby z potrzeby zachowania kontroli... Moje fantazje stawały się szalone. Byłam tak blisko, że prawie czułam jego język na szyi, jego jęk, to jak...

Zostałam wyrwana z mojej sprośnej fantazji przez dźwięk ciężkich kroków w mojej sypialni.

Ogarnął mnie strach.

Zerwałam się, zachlapując podłogę wodą, i przygotowałam się na to, co mogło pojawić się w drzwiach. Rozejrzałam się za jakąś bronią i złapałam najbliższy kwietnik.

– Arwen? Nic ci nie... – Kane wpadł do środka, z jedną dłonią na mieczu, ale stanął jak wryty na widok mojego ociekającego wodą, nagiego ciała. Wydał z siebie gardłowy dźwięk, który brzmiał prawie jak skamlenie i szybko się odwrócił.

– Kurwa. – Głos mu się załamał i odchrząknął. – Wybacz.

Opadłam z powrotem do wanny z niezgrabnym pluskiem, żeby zakryć ciało.

– Co ty tu robisz? Nie umiesz pukać? – zapytałam, ale zabrzmiało to jak pisk.

– Przyszedłem zadać ci pytanie i wtedy usłyszałem... myślałem, że jesteś ranna – wymamrotał do ściany, nadal odwrócony do mnie plecami. – Ja... nieważne.

Skrzywiłam się. Nadal czułam gorąco – od gorącej kąpieli, zażenowania i... odepchnęłam od siebie obraz przepełnionych pożądaniem oczu Kane'a i jego rozchylonych warg.

– Cóż, nic mi nie jest. I możesz już się odwrócić.

Kane powoli skierował się w moją stronę. Objęłam ramionami piersi, a woda zakrywała resztę mojego ciała. Przez sole tafla nie była przejrzysta, bardziej przypominała biały koc.

Jakimś cudem król wyglądał na prawie tak zażenowanego, jak sama się czułam.

Do głowy wpadła mi okropna myśl i wszystkie inne zawirowały.

– Dlaczego sądziłeś, że jestem ranna? – Starałam się nie brzmieć histerycznie.

– Wydawało mi się, że słyszałem... – Teraz jego policzki naprawdę pokrywał rumieniec. Nie wiedziałam, czy powodem było podniecenie, czy wstyd. Może jedno i drugie.

Otrząsnęłam się szybko.

– Nie bądź prostacki, Kane. Po prostu jestem obolała, Dagan uczy mnie szermierki. Nigdy nie bolały cię mięśnie? A może urodziłeś się wyciosany przez Kamienie?

*Uch.* Trochę mnie ponosiło.

Rozluźnił się trochę, a jego wilczy uśmiech powrócił. Oparł się o ścianę.

– Ktoś tu jest dzisiaj bardzo śmiały.

Pokręciłam głową i zamknęłam oczy, kładąc się w wannie. Pozwoliłam, by ciepła woda podniosła się aż pod moją szyję i uspokoiła mnie, zanim znowu na niego spojrzałam.

– Ładnie pachnie. – Podeszedł bliżej, ale zachował odpowiedni dystans. Nie byłam pewna, czy to doceniałam, czy może nienawidziłam bardziej niż cokolwiek innego.

– Sole mają zapach białych lilii. To moje ulubione kwiaty.

Uśmiechnął się w nowy dla mnie sposób, zrelaksowany i przyjemny, rzadko widywałam u niego przejaw takiego odprężenia. Zaparło mi dech w piersi.

– Naprawdę? Nie mamy ich zbyt wiele tu, w Onyksie.

– Wiem – powiedziałam. – Matka mówiła mi, że kwitną tylko w Bursztynie. Dlatego tak brzmi moje drugie imię, powiedziała że urodziłam się w ich otoczeniu.

– Arwen Lily Valondale. – Zamyślił się.

Moje imię w jego ustach brzmiało jak modlitwa, gdyby modlitwa mogła być grzeszna, dręcząca i zmysłowa. To prawie wystarczyło, żebym zaczęła skamleć.

Odchrząknęłam.

– Skąd znasz moje nazwisko?

Kliknął językiem i pokręcił głową w żartobliwej reprimendzie, a moje piersi nabrzmiały w odpowiedzi. *Nich go szlag.* Nie powinien robić niczego, co kazało mi patrzeć na jego usta.

– Uważasz, że pozwalam więźniom chodzić wolno po mojej warowni, nie sprawdziwszy ich dokładnie?

Podeszedł bliżej, a dół mojego brzucha zacisnął się jakby w oczekiwaniu. Nadal byłam *taka naga.*

Musiał stąd czym prędzej iść.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, łazienka była prywatnym miejscem, nie ogólnodostępną salą. Po co w ogóle przyszedłeś do tego skrzydła?

Kane przysunął się jeszcze trochę i przyklęknął tak, żeby nie widzieć wnętrza wanny. Kiedy nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie, powiedział:

– Chciałem zapytać... – Podrapał się po żuchwie.

Okropna myśl pojawiła się w mojej głowie chwilę za późno. Czy wiedział, że to ja i Mari byliśmy w jego gabinecie? Dlatego tu przyszedł? Zdał sobie sprawę, że amulet

Briar zniknął? Staralam się, by moja twarz pozostawała bez wyrazu.

– Czy mogłabyś towarzyszyć mi jutro wieczorem? Myślę, że to trochę pomoże ci zrozumieć to królestwo – zaproponował cicho, po czym westchnął.

Powiedzenie, że byłam zaskoczona, to niedopowiedzenie. Zanurzyłam się w wannie nieco bardziej, żeby zyskać na czasie.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo tak mówię?

Skrzywiłam się, na co zaśmiał się ciepło i szczerze, jakbym powiedziała coś zabawnego.

– Jasne, wcale nie sądziłem, żeby to miało coś znaczyć. A może dlatego, że to zaspokoi twoją nienasyconą ciekawość wobec mnie i tego królestwa oraz wojny, na temat której masz tyle opinii.

– W porządku. – Prawie się uśmiechnęłam. Tu mnie miał.

– Dobrze. – Odpowiedział uśmiechem. – Barney cię przyprowadzi.

Odwróciłam się, sięgając po szlafrok, gdy usłyszałam, że ostro wciągnął powietrze. Spojrzałam na niego i czekałam, aż wydusi z siebie to, co miał na końcu języka, ale wiedziałam już, co nadchodziło.

Był porażony.

– Masz blizny. – Powiedział to tak, jakby mógł przebić pięściami żelazo.

Pomimo gorącej wody po moich plecach przebiegł dreszcz.

– Tak. – Tylko tyle zdołałam wykrztusić. Nie była to część mojego życia, którą chciałam dzielić się z kimkolwiek, a zwłaszcza z nim.

– Kto ci to zrobił? – zapytał niskim tonem, który ledwo usłyszałam.

W mojej głowie pojawiły się obrazy Powella i jego pasa.

– To było dawno temu. – Zarumieniłam się.

Jakby mógł dostrzec, co te wspomnienia ze mną robiły, bo nie naciskał bardziej, za co poczułam wobec niego wdzięczność. Zamiast tego przełknął i przytrzymał mój wzrok.

Kiedy się nie odwróciłam, pochylił się nieco bliżej, nie potrafiłam odczytać jego wyrazu twarzy. Mięśnie jego szczęki nadal sprawiały wrażenie twardych jak granit.

Przestrzeń między nami zmniejszyła się boleśnie powoli, a moje wnętrze ciągle boleśnie pulsowało.

Nasze twarze znajdowały się o wiele za blisko jak na to, że byłam całkowicie naga. I tak bliska osiągnięcia spełnienia zaledwie chwilę wcześniej. Czułam jego skórzany, leśny zapach, który całkowicie mieszał mi w głowie.

Przesunęłam językiem po dolnej wardze, patrząc, jak śledził ten ruch. Na jego twarzy wymalował się grymas, jakby ten ruch go bolał. Jego oczy zrobiły się

całkowicie czarne, pozostały same źrenice. Ani odrobiny stalowej szarości, którą zwykle widziałam, gdy na mnie patrzył. Przesunął spojrzenie w dół mojej szyi aż do obojczyków i niżej, do miejsca, gdzie moje piersi były ściśnięte pod splecionymi ramionami. Jego usta rozchyliły się lekko.

Ale nie spojrział jeszcze niżej, a ja poczułam jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

Odwróciłam twarz w jego stronę. Chciałam, żeby mnie pocałował. Mogłam przyznać to przed samą sobą – pragnęłam jego ust na moich bardziej niż kolejnego oddechu.

Ale on tylko zmarszczył brwi i pokręcił głową, odchrząknął i wstał.

– Przepraszam – powiedział, zanim wyszedł z łazienki bez kolejnego słowa, pozostawiając mnie bez tchu.



## CZTERNASTY

Szłam za Barneyem między morzem namiotów. Szeroki i błyszczący sierp księżyca świecący na nocnym niebie rozświetlił delikatną znajomą twarz żołnierza. Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że tęskniłam za tym uroczym, ciepłym mężczyzną.

Pożyczyłam od Mari sukienkę i kilka czarnych wstążek, tak często widywanych we włosach kobiet z Onyksu. Nie miałam pojęcia, co Kane chciał, żebym zobaczyła, moja przyjaciółka też nie. Zastanawiała się, czy nie zamierzał zabrać mnie na linię frontu i pokazać realia wojny, żebym się przekonała, dlaczego rzucił tak okrutnie. Nie mogłam wyobrazić sobie niczego bardziej potwornego.

Dagan okazał się jeszcze mniej pomocny. Wyjawiłam mu tylko, że król poprosił mnie, bym towarzyszyła mu wieczorem, i oczywiście pominęłam wszystkie te pragnienia i agresywny kontakt wzrokowy, które wydawały się mieć nad nami władzę w ostatnich dniach. Jednak miałam przeczucie, że Dagan wiedział coś jeszcze. Za każdym razem, kiedy mówiłam coś na temat Kane'a, policzki płonęły mi rumieńcem. Kiedy zapytałam, czy wiedział, dlaczego król mógł chcieć, żebym dzisiaj mu towarzyszyła, tylko przewrócił oczami i zostawił mnie samą w aptece na resztę dnia.

*Zapamiętać: nie pytać Dagona o porady w sprawie związków.*

Do moich uszu docierało trzaskanie ognia. Razem z Barneyem mijaliśmy mężczyzn gotujących gulasz w kociołkach, grających w karty i pijących piwo. Żołnierze, którzy jeszcze kilka tygodni temu wydawali mi się tak przerażający, teraz przypominali Rydera i jego przyjaciół – okazali się zabawni, chłopięcy i zbyt młodzi.

Minęliśmy bardzo hałaśliwy zakątek i dotarliśmy do wysokiego, czarnego namiotu. Bardziej przypominał pawilon – zdobiony srebrnymi aplikacjami przy wejściu, po bokach znajdowały się herby Onyksu.

Rozpoznałam ten obszar i poczułam mdłości.

Za nami znajdowało się dokładnie to miejsce, gdzie Bert próbował mnie zaatakować. Kane musiał przebywać w tym namiocie tamtej nocy, kiedy usłyszał szamotaninę. Zadrżałam na myśl, co mogło się stać, gdyby go tam nie było. Poczułam obezwładniającą wdzięczność za moje treningi. Gdybym tamtej nocy miała z sobą miecz i wiedziała, jak go używać, przynajmniej byłabym w stanie walczyć.

Gdy weszłam do namiotu, okazał się on nie być tym, czego się spodziewałam. Na samym środku znajdowała się ogromna mapa Evendell, na której ustawiono różne elementy, reprezentujące bataliony królestw. Skórzane fotele i futrzane dywany w odcieniach piasku i czekolady wypełniały resztę przestrzeni, wraz z gotyckimi latarniami i czarnymi świecami oświetlającymi pomieszczenie wiązkami karmelowego światła.

Mężczyźni i kobiety trzymali w dłoniach miedziane kielichy, jedli chleb koniczynowy, kurczaka i steki. Aromaty imbiru, cytrusów, rumu i goździków przesyciły powietrze, mieszając się z zapachami gardenii i bzu – jak odkryłam najpopularniejszymi kwiatami Onyksu. Migoczące światła dawały ciepłą, przyjemną atmosferę.

Z opóźnieniem uświadomiłam sobie, że przyciskałam dłonie do serca w zachwycie i... ekscytacji.

Barney zaprowadził mnie do Kane'a, zajmującego jedwabny tron. U jego boku siedział mężczyzna o ciemnej skórze i wydatnej szczęce, którego nie rozpoznawałam.

– Lady Arwen, wasza wysokość.

Kane wstał, żeby mnie powitać. Dzisiaj był ubrany jak prawdziwy król – czarne szaty, kilka srebrnych pierścieni, gładko zaczesane do tyłu włosy i delikatna korona onyksowych gałązek otaczająca jego głowę. Zapierał dech w piersi.

Przełknęłam resztki zażenowania wywołanego naszym prawie pocałunkiem wczoraj w mojej łazience i powitałam go prostym dygnięciem. Kane obejrzał mnie powolnym spojrzeniem, od butów aż po czarną wstążkę we włosach, a w jego oczach zatańczyła iskra. Zastanawiałam się, czy zauważył, że byłam ubrana jak jedna z obywaterek jego królestwa.

Dzisiaj brakowało mu jego zwykłej żartobliwości i uroku. Żadnych flirciarskich komentarzy, żadnego przekomarzenia się.

– Cieszę się, że do nas dołączyłaś – powiedział. – Za chwilę wracam. Usiądź, proszę. – Wskazał na śliwkowy fotel obok swojego, po czym na powrót zajął się ożywioną rozmową z mężczyzną siedzącym po drugiej stronie.

Walczyłam z potrzebą rozejrzenia się po niewielkim morzu szlachty, wypełniającym namiot. Ich spojrzenia, ciekawskie, ale też terytorialne, wbijały się w moje plecy jak czubki setek mieczy. Zamiast tego zerknęłam w drugą stronę, gdzie siedział mój największy fan, Griffin. Chciałam zapytać jego albo Kane'a, co to dokładnie było, ale on również zaangażował się w rozmowę, którą obawiałam się przerwać. Stwierdziłam, że wolałabym, by Barney wciąż tu był.

Wpatrując się w swoje dłonie, nadstawiłam uszu w stronę otaczających mnie rozmów. Kane dyskutował o traktacie pokojowym z terytorium Opalu, ale wychwytywałam tylko pojedyncze słowa. W pomieszczeniu zaczynało robić się głośno i nerwowo.

Po mojej lewej Griffin prowadził zaskakująco jowialną dyskusję z piękną blondynką. To fascynujące, widzieć komandora roześmianego, kiedy zwykle przy mnie zachowywał powagę. Miał naprawdę ciepły i przyjazny uśmiech, gdy decydował się go pokazać.

– Szaleństwo, prawda? – usłyszałam Kane’a, więc odwróciłam się do niego.

– To chyba pierwszy raz, kiedy widzę jego zęby. To znaczy, poza chwilami kiedy szczerzy je na mnie – odparłam.

– Już mówiłem, że nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. – Król uśmiechnął się pod nosem, ale ta oznaka wesołości nie sięgała jego oczu. Coś wyraźnie krążyło mu dzisiaj po głowie.

Mruknęłam ze zrozumieniem, ale nie powiedziałam nic więcej. Griffin i Kane mogli nie być braćmi, ale wyraźnie istniało między nimi jakieś głęboko zakorzenione, prawie rodzinne napięcie, w które nie zamierzałam się angażować.

Rzeczony komandor wstał, a tłum gawędzących szlachciców umilkł, zwracając całą uwagę na niego.

– Dzisiejsze forum dotyczy terytorium Opalu – powiedział. – Bursztyn nielegalnie przerzuca żołnierzy przez Księżycową Przełęcz Opalu. Przez to docierają do naszych ludzi szybciej.

Serce opadło mi do żołądka z łomotem.

O nie.

Przeniosłam wzrok na Kane’a, ale on skupiał się na dowódcy swojej armii.

Przeszukałam myśli w poszukiwaniu tego, co wiedziałam o Księżycowej Przełęcz i traktacie. To wiadomości, których nauczyłam się jako dziecko, podczas lekcji. Terytorium Opalu było wolne od wszelkich władców. To dzikie, skaliste królestwo z wieloma różnymi grupami i podziałami. Jeśli dobrze pamiętałam, wiele dziesięcioleci temu wszystkie terytoria zgodnie podpisały traktat pokojowy z pozostałymi ośmioma królestwami, który deklarował ich neutralność podczas wszelkich działań wojennych.

Niestety, zarówno Opal, jak i Perydot znajdowały się w samym środku konfliktu między Onyksem a Bursztynem. Żołnierze obu stron musieli przemieszczać się wokół, przez Morze Minerałów i Kwart Różowy, co zajmowało dużo więcej czasu niż przemierzenie terytorium Opalu.

Moja ekscytacja z powodu dołączenia do tego forum szybko zmieniła się w ból brzucha z powodu śmiertelnego niepokoju. Co zrobią z żołnierzami Bursztynu? Jak bezwzględni będą?

A może ich to nie obchodziło? Może to Opal miał rozwiązać ten problem.

– Dziękuję wam wszystkim za dołączenie do nas – dokończył Griffin. – Forum jest otwarte.

Prawie natychmiast wstał tęgi mężczyzna z imponującą brodą.

– Mój królu, mówiłem to już wcześniej, ale z chęcią powtórzę. Skoro Bursztyn może łamać zasady związane z terytorium bez konsekwencji, to my również. Wyślijmy tam naszych ludzi jeszcze dzisiaj. Wyrównajmy szanse. Nie ma czasu na dyskusowanie o alternatywach.

Blondynka, siedząca obok Griffina, prychnęła, wstała i odwróciła się do Kane'a. Jej wzrok był błagalny.

– Wasza wysokość, z całym szacunkiem dla sir Phylipa, ale działania Bursztynu nie pozostają bez konsekwencji. Moi szpiedzy dowiedzieli się, że terytoria planują atak na króla Garetha lada dzień, jako odwet za wykorzystywanie ich ziem jako skrótu i występowanie przeciwko traktatowi. To pomoże naszej sprawie. Nie pozwólmy na to, żeby na nas też skupiła się ich furia.

Sir Phylip przesunął dłonią po twarzy. Wydawało się, że to nie pierwszy raz, kiedy ta dwójka odbywa podobną kłótnię.

– Jeśli się tam udamy – ciągnęła – sprowadzimy tylko niebezpieczeństwo na to królestwo i wywołamy więcej rozlewu krwi w Opalu.

– Lady Kleio ma rację, nie przejdziemy przez Opal z szacunku, nie ze strachu. Może Bursztyn to bydlaki, ale my nie. – Kane odezwał się po raz pierwszy.

Opal tworzył porozumienie, żeby zapewnić bezpieczeństwo swoim ziemiom i ludziom – nie wierzyłam, że Gareth mógłby go nie uszanować dla własnego zysku. Takie postępowanie było bardziej podobne do Kane'a.

Mężczyzna siedzący obok władcy wstał, jego baryton poniósł się wśród ludzi, żądając uwagi.

– Doradziłem naszemu królowi, żeby spotkał się z przywódcami różnych plemion i oddziałów, by przedyskutować nowe porozumienie, które gwarantowałyby bezpieczne przejście tylko Onyksowi. Jeśli chcemy posłać potężne oddziały na spotkanie z Bursztynem, będziemy potrzebować ich pomocy.

Zarówno sir Phylip jak i lady Kleio przewrócili oczami prawie synchronicznie. Kleio odezwała się pierwsza.

– Pułkownik Eardley, wytropienie każdego przywódcy, nawet przez naszych najlepszych ludzi, zajmie miesiąc. Nie mamy tyle czasu.

Niepokój ścisnął mi wnętrzności. Nie chciałam krzywdy mojego królestwa, ale pragnęłam pomóc w uniknięciu dalszego rozlewu krwi. Martwił mnie brak dygnitarzy mogących sprzeciwić się planowi masakry Phylipa. Jeśli go poprą, tysiące istnień z Onyksu, Opalu i Bursztynu zostanie straconych w ciągu kilku dni.

Ale ten dylemat o czymś mi przypomniał...

Może to naciągane, ale kiedy nie chciałam, żeby jakiś lek zbyt szybko dotarł do systemu nerwowego, dodawałam odpowiednich ziół lub składników do mojej mikstury, żeby działały jak blokada, pozwalająca by lek znalazł inną drogę przez ciało, dzięki czemu efekt utrzymywał się dłużej.

Tego właśnie potrzebował Onyks. Czegoś, co zablokuje żołnierzy Bursztynu, zmuszając ich do porzucenia przejścia. Gdyby przejście przez Opal zajęło tyle samo czasu, co pokonanie odległości inną drogą, przestaliby postrzegać je jako skrót i zostawili te tereny w spokoju.

Przeniosłam wzrok na Kane'a. Rozsiadł się na swoim tronie, oparł kostkę jednej nogi na kolanie drugiej, palce zaplótł na kolanie i wyglądał jak uosobienie spokoju. Musiałam przyznać, że myliłam się co do sposobu, w jaki rządził swoim królestwem. Dawał każdemu szlachcicowi, pułkownikowi czy dygnitarzowi na dworze szansę na wypowiedzenie swojego zdania i razem podejmowali decyzję. Było to zaskakująco sprawiedliwe.

Jakby wyczuł moje spojrzenie, Kane odwrócił się i pochwycił mój wzrok. Pomachał do mnie palcami w uroczym geście. Uśmiechnęłam się, ale pokręciłam głową – nie witałam się. Wskazałam na grupę, a potem na siebie. Uniósł brew, ale skinął głową, podejrzliwie wyrażając zgodę.

Poczułam niepokój i zacisnęłam palce na sukience, żeby powstrzymać ich drżenie.

Kiedy starsza kobieta o kręconych włosach skończyła przedstawiać swój pomysł polegający na umieszczeniu ludzi z Onyksu na granicy Opalu i Bursztynu, a Griffin zbył to, uznając za stratę sił, wzięłam jeszcze jeden głęboki wdech i wstałam.

– Dobry wieczór – zaczęłam.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy wydawali się patrzeć na Kane'a, oczekując jego aprobaty. Też to zrobiłam. Obserwował mnie z tym samym zdystansowanym wyrazem twarzy, jaki miał przez całe forum, ale nie zrobił nic, żeby mnie powstrzymać.

– Nie mam wykształcenia wojskowego – powiedziałam, odwracając się z powrotem do niewielkiego tłumu. – Nie jestem szlachcianką i w całym swoim życiu widziałam tylko dwie mapy naszego kontynentu.

Siedzący niedaleko mnie Griffin złapał się za głowę. Kane powstrzymał śmiech na widok swojego komandora.

– W takim razie co tu robisz? – zapytał ktoś burkliwym głosem z drugiego końca namiotu.

Rozległy się odgłosy rozbawienia, na co się wychyliłam, ale nie mogłam dostrzec, kto to powiedział. Policzki mi zapłonęły, pot zgromadził się na linii włosów.

Kane posłał mężczyźnie spojrzenie przesycone jadem.

– Wydaje mi się, że ta dama jeszcze nie skończyła. Radziłbym uważać na słowa w jej obecności.

Zapadła martwa cisza.

Jego wypowiedź mnie zachęciła, więc mówiłam dalej, tym razem mój głos drżał nieco mniej.

– Mogłoby okazać się owocnym, gdyby zneutralizować Księżycową Przełęcz.

Chociaż miałam kompletnie sucho w ustach i w gardle, na próżno starałam się przełknąć. Czekałam na wybuch głosów sprzeciwu, który wiedziałam, że nadejdzie, ale jedyne co czułam, to ich wzrok zawieszony na mnie. Czekali, aż zacznę mówić dalej. Nie mogłam spojrzeć na Kane'a w poszukiwaniu aprobaty, bo okazałabym słabość.

I wcale nie musiałam.

To był dobry pomysł. Wiedziałam o tym.

– Nie tylko powstrzymałoby to żołnierzy Bursztynu przed dotarciem do naszych terytoriów szybciej niż nas na ich ziemie, ale oznaczałoby też wyświadczenie przysługi Opalowi. Utrzymalibyśmy wojnę z dala od ich terenów za darmo, a z kolei później oni w zamian mogliby chcieć oddać przysługę.

– Możemy wykorzystać smoka i nasze hydry – dodał jakiś szlachcic po prawej. – Byłoby szybciej i dyskretniej, niż gdyby batalion miał transportować blokadę.

– Nasze złoża mogłyby posłużyć za blokadę przejścia. Nigdy nie uda im się zgromadzić dość ludzi, żeby usunąć je z drogi – dodał Griffin, pogrążony w myślach.

Duma ogrzewała moje kości, gdy usiadłam. Nie mogłam powstrzymać się przed spojrzeniem na Kane'a. Nadal obserwował rozwój dyskusji, ale lekko skinął mi głową, a w jego oczach zamigotał uśmiech.

Kleio wstała po mnie.

– Dziękuję...? – zaczęła.

– Arwen – podpowiedziałam.

– Dziękuję, Arwen. – Uśmiechnęła się. – To niezły pomysł. Moi szpiedzy są teraz w Opalu. Mogą wytropić...

Kleio przeszkodził odgłos ciężkich kroków zbliżających się w stronę namiotu.

Zaniepokojone szepty popłynęły wśród tłumu, a ja poczułam w żołądku ucisk przerażenia.

Siedmiu w pełni uzbrojonych żołnierzy Onyksu przeszło przez poły namiotu i pomaszeroowało pomiędzy ludźmi prosto w stronę Kane'a.

Król poderwał się z miejsca, a w jego oczach dostrzegłam coś, czego wcześniej nie widziałam – czysty strach.

Ścisnęło mi się gardło i usiłowałam przełknąć, choć nie miałam czego.

Żołnierz, którego zbroja była wysadzana srebrem, powiedział coś do Kane'a przyciszonym głosem. Rozpoznałam zbroję, ale nie mężczyznę, i uświadomiłam sobie, że zajął miejsce pułkownika Berta.

Czekałam i czekałam, i czekałam.

Atmosfera aż skrzyła od przerażającego wyczekiwania.

Ale kiedy tylko wymienili kilka słów, mięśnie ramion Kane'a się rozluźniły. Moje również. Cokolwiek się działo, nie było tym, czego się obawiał. Ulotna ulga pojawiła się i zniknęła, zanim Kane zwrócił się do forum.

– Dosyć na dzisiaj. Lady Kleio, dopilnuj, by twoi szpiedzy upewnili się, że przejście jest opuszczone. Wykorzystajcie Eryksa, jeśli będzie trzeba. Moi ludzie zaczną zbierać i transportować rudę. – Po tych słowach w ciągu kilku minut cały namiot opustoszał, zostali tylko Kane, Griffin, pułkownik Eardley i żołnierze.

Oraz ja.

Griffin nakazał swoim ludziom zakryć stół wojenny. Czekałam, aż ktoś powie mi, co mam robić i dokąd iść, ale nie pojawiły się żadne instrukcje. Kane skinął na pułkownika, który opuścił namiot i wrócił z trzema kolejnymi żołnierzami Onyksu.

Widok, który pojawił się przed moimi oczami, sprawił, że moim żołądkiem szarpnęły mdłości, i wbiłam paznokcie w drewniane podłokietniki fotela. Każdy z żołnierzy prowadził mężczyznę, ich ręce i nogi były skute kajdanami, na głowy mieli założone worki.

Wzięłam szybki wdech – więźniowie.

Byli jeńcami wojennymi.

Kane zwrócił wzrok na mężczyzn, rzuconych na kolana przed nim.

Pułkownik odchrząknął.

– Ci trzej żołnierze Bursztynu zostali znaleźieni w naszej warowni, próbowali dostać się do skarbcza. Zabili sześciu naszych ludzi i trzech cywili. Uważam, że to oddział specjalny króla Garetha. Co chcesz z nimi zrobić, mój królu?

Twarz Kane'a była jak wykuta ze stali. Chłód, spokojna furia. Nie została w nim ani odrobina mężczyzny, którego znałam. Wyglądał jak ucieleśnienie śmierci i agresji, aż zalała mnie fala strachu. Nie o siebie, ale o mężczyzn, klęczących przed nim.

– Zdjąć – rozkazał, a żołnierze ściągnęli worki z głów mężczyzn.

Prawie zemdlałam.

Przedemną, brudny, z zakrwawionym nosem, krzywiąc się z bólu, klęczał Halden.



# PIĘTNASTY

Bez zastanowienia, ruszyłam do niego z wyciągniętymi rękami.

Nie, nie, nie, *nie...*

Griffin złapał mnie za ramię i pociągnął w tył.

– Co ty wyrabiasz? – szepnął.

Czułam się rozgorączkowana. W namiocie zrobiło się o wiele za gorąco, zapach świec zaczął mnie dusić.

– Znam go! – odszepnęłam. – To przyjaciel. Musiała zająć jakaś pomyłka.

Nie mogłam uwierzyć, że żył. I to tutaj, w Onyksie. Uwięziony. I...

Griffin przytrzymał mnie mocniej.

– Musisz stąd wyjść w tej chwili. – Stanął przede mną, zakrywając mnie swoim ciałem, ale było za późno.

– Arwen? – wychrypiał Halden.

Jego włosy były brudnymi strąkami, zabarwionymi czerwienią krwi. Miał spuchnięty nos, posiniaczony policzek – ale jego brązowe oczy wyglądały dokładnie tak, jak tego dnia, kiedy wyruszył na wojnę. Okrągłe, szczerze i pełne bólu.

– Zamknij się. – Żołnierz za nim uderzył go w tył głowy.

– Przestań! – zaprotestowałam. Nie mogłam znieść widoku Haldena w takiej sytuacji. Znowu rzuciłam się do przodu.

– Znasz tego chłopaka? – zwrócił się do mnie Kane.

Zanim zdążyłam się odezwać, Halden odpowiedział:

– Miała zostać moją żoną.

Zamarłam.

A wraz ze mną cały namiot.

Halden, ty *przeklęty przez Kamienie* idioto.

Kane zrobił się trupio blady i nawet Griffinowi odpłynęły z twarzy wszystkie kolory.

– Nie, to nie... Nie dokładnie... – Słowa nie napływały do mojej głowy na czas.

Kane nawet nie zaczekał, żebym dokończyła. Podszedł do Haldena, upiornie spokojny.

– Kochasz tę kobietę?

Halden spojrzał wprost na mnie z zapałem.

– Najbardziej na świecie.

*Pieprzone. Kamienie.*

– Dobrze. – Kane skinął oschle, a potem spojrzął na żołnierzy za Haldenem. – Zabić go.

– Nie! – krzyknęłam.

Czy ktoś jeszcze słyszał dzwonięcie w uszach? Co się właśnie działo?

– Oszalałeś? – zapytałam błagalnie.

Ale Kane już na mnie nie patrzył. Pospacerował z powrotem do swojego skórzanego fotela, podniósł kieliszek z ciemnym płynem i zaczął powoli go sączyć. Leniwie, podczas gdy ja się wiłam.

Żołnierze zaczęli ciągnąć Haldena i pozostałych dwóch młodych mężczyzn.

– Stójcie! – ryknęłam. – W tej chwili!

Ale uścisk Griffina na moich ramionach przypominał żelazne kajdany. Nawet się nie wysiłał, żeby zatrzymać mnie w miejscu.

Kane przyglądał się mojej twarzy, zimno i bez emocji, a moje oczy napełniały się łzami. Chłopak po prawej stronie Haldena zaczął błagać, a ten drugi popuścił mocz, drżąc ze strachu. Kane nic nie powiedział, chociaż zawodziłam żałośnie.

*Nie, nie, nie. Proszę, nie...*

– Mój królu. Czy mogę zasugerować, żebyśmy przedyskutowali pozostawienie chociaż jednego z tych oślizgłych gryzoni przy życiu? Mogą posiadać jakieś wartościowe informacje. Może pozwolimy im gnić w lochach, kiedy będziemy się naradzać? – W końcu wtrącił się Griffin.

Kane przewrócił oczami i napiął mięśnie szczęki, wziął kolejny łyk drinka, ale w końcu skinął na pułkownika.

– Jak komandor sobie życzy. Na razie zabierzcie ich do lochów.

Wszyscy trzej więźniowie synchronicznie wypuścili powietrze. Halden nie odrywał ode mnie wzroku. Powiedział coś do mnie bezgłośnie, zanim został wyciągnięty z namiotu, ale nie widziałam nic przez łzy w oczach. Jednak Kane wydawał się wychwycić, co to było, bo prychnął zde gustowany.

– Wszyscy wynocha – warknął Kane.

Pomieszczenie opustoszało szybko, zostaliśmy tylko król, Griffin i ja.

Zamierzałam stłuc na kwaśne jabłko tę okrutną, znudzoną twarz Kane'a.

Griffin puścił moje ramiona i rzuciłam się na niego.

– Jesteś potworem. Co jest z tobą nie tak? – wydyszałam wściekle. – Zamierzasz zabić tych chłopców? Jeszcze nawet nie są mężczyznami! I wiedziałeś, że go znałam? Że mi na nim zależało? Nie mogę nawet na ciebie patrzeć. – *Ledwo* udało mi się powstrzymać przed rzuceniem się z pięściami na jego arogancką, podłą twarz. Nie zamierzałam znowu zniżyć się do jego poziomu.

Kane obserwował mnie z okrutną obojętnością. Jediną oznaką gniewu były dłonie zaciśnięte w pięści z taką siłą, że skóra na knykciach zbieleła mu od nacisku.

– Zabili moich ludzi. Zabili niewinnych. To ci nie przeszkadza? – zapytał cicho, z jadem w głosie.

Pokręciłam głową.

– Nie wiesz nic na pewno. Skazałeś ich na śmierć bez zastanowienia. Jak ktoś, kto rządzi królestwem, może być tak impulsywny?

– W zasadzie uzdrowicielka ma rację – przerwał Griffin. – To było wyjątkowo głupie, przyjacielu.

Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

– Dziękuję! – Spojrzałam na komandora, po czym odwróciłam się z powrotem do króla, pełna zrozumienia. – Nie można zabijać ludzi tak po prostu, kiedy ma się ochotę, Kane.

– Nie, teraz już na pewno musimy ich zabić. – Griffin pokręcił głową.

– Właśnie. Czekaj... co? – Odwróciłam się gwałtownie do żołnierza. – Dlaczego?

Griffin westchnął i nalał sobie whisky do szklanki.

– Kane właśnie odkrył karty. Twój kochaś go przetestował, a on oblał. Teraz wszyscy trzej wiedzą, że królowi Onyksu zależy na uzdrowicielce, a to oznacza, że Kane ma słaby punkt. Nie mogą żyć, posiadając taką informację, przykro mi.

Wirowało mi w głowie. Działo się o wiele za dużo. Czy Griffin miał rację? Czy gwałtowne zachowanie Kane'a wynikało z sugestii Haldena, że byliśmy w sobie zakochani jeszcze w Abbington? I czy Halden zrobił to celowo? W nadziei, że uratuje własną skórę? Czy to możliwe, żeby w zaledwie kilka spędzonych tu minut odkrył, że Kane mnie cenił?

Byłam idiotką. Oczywiście, że tak. Z jakiego innego powodu przebywałam w namiocie z królewską armią, siedząc tuż obok króla nikczemników, ubrana w suknię Onyksu, z czarnymi wstążkami we włosach, sącząc lawendową whisky z nimi wszystkimi... gdyby Kane sobie mnie nie cenił?

Byłam brudną zdrajczynią.

Opadłam na skórzany fotel i wbiłam wzrok w podłogę.

– I tak są już żywymi trupami. Skoro udało im się dotrzeć do skarbcza, wiedzą już zbyt wiele, żeby mogli wrócić do Garetha – zwrócił się Kane do Griffina.

Zaczęłam szlochać.

Nie mogłam się powstrzymać. Już od jakiegoś czasu w ogóle nie myślałam o Haldenie, ale to nie znaczyło, że chciałam jego śmierci.

Wyobrażenie sobie końca jego życia było zbyt potworne. I w jakimś sensie to moja wina.

– Przykro mi, Arwen. Z powodu mężczyzny, którego kochasz. – Kane przyjrzał mi się z cichą wściekłością.

Spojrzałam na niego przez łzy, wściekła.

– Nigdy nie powiedziałam, że byłam w nim zakochana. To jeden z moich najstarszych przyjaciół z dzieciństwa. Jeden z najlepszych przyjaciół mojego brata.

– Nic dziwnego, że też jest złodziejem – wymamrotał Griffin do swojej szklanki.

Zignorowałam go.

– Jest dla mnie jak rodzina – ciągnęłam. – Nie widziałam go od dnia, kiedy został wysłany, żeby walczyć z twoimi żołnierzami w twojej cholernej, bezsensownej wojnie! – Zaczynałam wpadać w histerię, czułam pulsowanie w uszach.

– Ale on jest w tobie zakochany i planował cię poślubić – naciskał Kane.

– Nie o to chodzi!

– Jestem ciekawy.

*Twój problem*, pomyślałam, ale zamiast to powiedzieć, wzięłam głęboki wdech. Jak zawsze powtarzała moja matka, więcej osiągnie się uprzejmością niż gniewem. Jeśli była kiedyś dobra chwila na odwołanie się do najlepszej strony Kane'a, do tej jego wersji z naszego dnia nad stawem, to właśnie był ten moment.

– Tak, w porządku. Działo się między nami coś... romantycznego. Ale potem wyjechał i nie sądziłam, żebym miała go jeszcze kiedykolwiek zobaczyć. Myślałam, że to tylko dla zabawy, nie żeby kiedykolwiek myślał o mnie w ten sposób.

– Jak mógłby nie myśleć? – Kane nieco złagodniał.

– Proszę – błagałam. – Nie zabijaj go.

Griffin wyglądał, jakby go mdliło.

– Myślę, że czas, by uzdrowicielka wróciła do swojego pokoju, nie sądzisz?

\*\*\*

Po nocy spędzonej na bezskutecznych próbach zaśnięcia, wstałam skoro świt i zeszłam na parter. Płaszcz chronił mnie przed porannym chłodem, a dodatkowo dmuchnęłam w dłonie ciepłym powietrzem. Udało mi się przemyścić kilka kromek chleba, trochę suszonego mięsa, igłę i bandażę, wszystko to schowałam w połach okrycia, którym się owinęłam.

Musiałam znaleźć sposób, żeby spotkać się z Haldenem, i stwierdziłam, że trzymanie się jak najbliżej prawdy było na to najlepszym sposobem.

– Dzień dobry – zagruchałam do młodego strażnika na służbie. – Chcę tylko odwiedzić więźnia.

– Którego?

Udałam zdezorientowaną.

– Mathisa. Tego z jątrzącą się raną. – Spędziłam dość czasu w królestwie kłamców i teraz kłamanie przychodziło mi z łatwością.

– Kim w ogóle jesteś?

– Arwen. Uzdrowicielka. Komandor Griffin przysłał mnie tutaj, żebym pozszywała Mathisa. – Pomachałam sprzętem medycznym przed nosem strażnika.

Ściągnął brwi i przygryzł wargę z powątpiewaniem.

– W porządku, rób, co chcesz, ale do lochów nie wejdiesz – powiedział z westchnieniem. – I tak nie zamierzam pracować tak wcześnie rano.

Odwrociłam się, żeby odejść, ale jeszcze na niego spojrzałam.

– Jeśli Mathias umrze z powodu utraty krwi, zanim wyciągnę z niego informacje, po prostu powiedz komandorowi Griffinowi, że nie wpuściłeś do więzienia uzdrowicielki. Jestem pewna, że zrozumie. To taki ciepły, wyrozumiały człowiek.

Zaczęłam odchodzić i wstrzymałam oddech. Po kilku burknięciach strażnik w końcu zawołał za mną.

– Dobra, dobra, tylko się pospiesz.

Byłam zachwycona, ale przywołałam na twarz maskę znudzenia, zanim się odwróciłam.

– Dzięki, to nie powinno zająć dużo czasu.

W lochach było tak mokro i żałośnie, jak zapamiętałam. Serce ścisnęło mi się ze względu na Haldena – nigdy nie czułam się bardziej beznadziejnie niż w chwili, gdy trafiłam w to miejsce.

Znalazłam jego celę szybciej, niż mogłam na to liczyć. Jego jasne włosy wyróżniały się na tle całej tej szarości. Spał na podłodze, cały drżał, pokryty zaschniętą krwią. Wyszczęłam jego imię, aż obudził się, zaskoczony.

– Arwen, co tutaj robisz? – wykrztusił.

Wyglądał przerażająco. Miał spuchnięte oczy, a na podbródku ogromnego siniaka.

– Przyniosłam ci kilka rzeczy. – Wyjęłam przyniesione przedmioty i wsunęłam je przez kraty, podobnie jak Kane zrobił to dla mnie jakiś czas temu. Odsunęłam od siebie to wspomnienie.

Halden sięgnął po zawiniątko, a jego posiniaczone knykcie otarły się o moje palce. Dłonie świerzbiły mnie, żeby go dotknąć, pocieszyć.

– Dziękuję. – Przejrzał rzeczy i schował je za wiadrem. – Ale nie chodziło mi o to, co robisz tutaj na dole, w celi. Jak trafiłaś do warowni Królestwa Onyksu?

– To długa historia, ale jestem bezpieczna. Opowiem ci wszystko, kiedy będziemy mieć więcej czasu.

– Wątpię, żeby zostało mi go wiele.

– Nie myśl tak. Coś wymyślimy.

- Wydajesz się inna. – Przyjrzał mi się z zaciekawieniem.
- W jakim sensie? – Poczułam, że policzki mi zapłonęły.
- Nie jestem pewien. Co oni ci zrobili? – Wyglądał na zmieszanego.

Odniosłam wrażenie, że muszę się bronić. Halden czasami przypominał mi Powella. Sprawiał, że czułam się mała.

– Nic. W zasadzie byli zaskakująco mili. – Taka była prawda.

– Tak, zauważyłem. – Halden zmrużył oczy. – Może uda ci się porozmawiać z królem. Zależy mu na tobie. Powinnaś widzieć jego twarz, kiedy nazwałem cię swoją żoną. Wyglądał, jakbym zabił mu zwierzątko.

Z jakiegoś powodu pomyślałam o striksie. Wargi mi zadrgały na myśl o relacji Kane’a z tym okropnym stworzeniem – jak uczył go przychodzić na zawołanie i robić sztuczki. *Cholerne Kamienie*, jak mogłam jeszcze żywić wobec tego człowieka jakieś ciepłe uczucia?

Halden. Musiałam skupić się na Haldenie.

– Dlaczego powiedziałaś, że miałam być twoją żoną? Nigdy nie rozmawialiśmy o takich rzeczach.

Halden przygryzł paznokcie w zamyśleniu.

– Naprawdę miałem nadzieję, że po moim powrocie weźmiemy ślub.

Czekałam, aż dokończy.

– Ale kiedy cię tam zobaczyłem, niezakutą, nie jako służącą, ale siedzącą tuż obok króla... wiedziałem, że jesteś tutaj i w jakimś sensie zajmujesz pozycję władzy. Pomyślałem, że jeśli powiążę się z tobą, może zostanę oszczędzony.

Poczułam w sobie nieprzyjemne wrażenie rozchodzące się po całym ciele. Więc Griffin miał rację. Ku mojemu zaskoczeniu Halden okazał się większym manipulatorem, niż sądziłam. Nigdy nie znałam go z tej strony. Przypuszczałam, że robił, co musiał, żeby przetrwać.

– Może tak. – Pozwoliłam, by ta myśl zawisła w powietrzu, niepewna, jak mam skończyć. Nie byłam przekonana, czy chciałam, żeby Halden miał rację, czy jeszcze pragnęłam, żeby Kane czuł do mnie coś takiego.

– Zaufaj mi. Gdyby mu na tobie nie zależało, już byłbym martwy.

Coś w jego zapewnieniu sprawiło, że z mojej twarzy odpłynęły kolory.

– Dlaczego? Co zrobiłeś?

Halden odsunął się, jakbym go spoliczkowała.

– Co ja zrobiłem? Walczę o nasz dom – odparł, ale czułam w trzewiach, że jego słowa znaczyły coś więcej, niż zamierzał mi zdradzić.

– Ubiegłej nocy. Powiedzieli, że zabiliście troje cywili. Czy to prawda?

– Arwen. – W jego oczach było tyle bólu. – Oczywiście, że nie. Jak możesz wierzyć w jakiegokolwiek słowa tych bestii? I to o mnie?

– Nie wiem. Dlaczego mieliby kłamać? – Poczułam na twarzy rumieniec wstydu. Halden ponownie przygryzł paznokiec.

– Dlaczego? Bo są demonami, Arwen. Najwidoczniej już cię dopadli. Nie wiem, dlaczego tu jesteś, ale obiecuję, wyciągnę cię. Powiedziałem ci wczoraj, że cię uratuję. – Spojrzał na mnie z powagą, a ja starałam się poczuć coś pozytywnego: nadzieję, miłość, ulgę. Ale czułam tylko mdłości.

– Mamy plan – mówił dalej, wskazując na cele po swojej prawej, gdzie spali pozostali mężczyźni z Bursztynu. – Potrzebujemy tylko jakiegoś zamieszania. Potrafisz wymyślić coś, co mogłoby rozproszyć strażników?

Wysiliłam umysł, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– To dość odosobnione miejsce. Jaki macie plan? – zainteresowałam się. Pokręcił głową, jakby chciał uspokoić własne rozgorączkowane myśli.

– Kiedy pojawi się coś, co może zadziałać, znajdziesz sposób, żeby mnie poinformować, tak? Wtedy ci wyjaśnię. I wyciągnę nas stąd.

Ze szczytu schodów dobiegło nas echo kroków.

– Tak. Będę miała oczy i uszy szeroko otwarte. W międzyczasie zostań przy życiu. – Odwróciłam się, żeby odbiec.

– Arwen! – wychrypiał.

Obejrzałam się i spojrzałam na jego palce owinięte wokół prętów celi.

– Naprawdę za tobą tęskniłem.

Czekałam, aż moje serce podskoczy na te słowa, ale nic się nie wydarzyło.

Zamiast tego posłałam mu niepewny uśmiech i wyszłam czym prędzej, wspięłam się na zatęchłe schody i minęłam młodego strażnika.

– Załatwione? – zapytał.

– Co? – W głowie nadal mi wirowało po spotkaniu z Haldenem. Zupełnie nie tego się spodziewałam... – Och. Och! Tak, Martin wyleczony. Dzięki.

– Martin?

*Cholera.*

– Mathis. Ups. Jak dla mnie jest za wcześnie, zaraz wracam do łóżka! – Odeszłam czym prędzej, zanim podejrzliwy wyraz jego twarzy zdążył zamienić się w coś innego.

W połowie drogi do pokoju zatrzymałam się, żeby złapać oddech.

Halden nie wydawał się taki sam. Ale czy nie to samo powiedział o mnie? Jak mogłam go osądzać? Kto wiedział, jakie potworności widział na polu bitwy? Serce bolało mnie z jego powodu. Na myśl o tym wszystkim, przez co przeszedł.

Przecinając kamienny dziedziniec, zauważyłam, że słońce wyglądało ponad wieżami zamkowymi. Delikatny, pachnący liliami wiatr odsunął mi włosy z twarzy. Pomimo okropności ostatnich kilku godzin, cichy poranek przyniósł mi jakiś dziwny spokój.

– To moja ulubiona pora dnia. – Za moimi plecami rozległ się głęboki głos. – Słońce wschodzące nad zamkiem jest jak nowy początek. Odrodzenie.

Zamknęłam oczy. Nie czułam się teraz psychicznie gotowa na to wszystko.

– Proszę – wyszeptałam. – Zostaw mnie w spokoju.

– Wczoraj wieczorem zachowałem się odrażająco. Pozwoliłem, by zawładnął mną gniew. To nie przystoi królowi. Ani mężczyźnie, szczerze mówiąc.

Zawahałam się, ale odwróciłam się do Kane'a. Moje serce prawie nie mogło znieść jego widoku. Sprawiał wrażenie, jakby nie spał całą noc, miał rozczochrane włosy i zaczerwienione oczy, a i tak był zbyt przystojny, żeby na niego nie patrzeć.

Na jego twarzy pojawiło się wyczerpanie, kiedy na mnie spojrzał.

– Naprawdę mi przykro – powiedział znużonym głosem. – I jeśli to cokolwiek znaczy, byłaś naprawdę niesamowita na forum. Tak błyskotliwa, jak piękna.

Moje zdradzieckie serce chciało wyrwać się do niego, ale złapałam je i wepchnęłam do środka. Dzisiaj żadnych ciepłych uczuć dla tego króla i jego słodkich słówek. Ani trochę.

– Śledziłeś mnie dziś rano?

– Nie. – Przerwał. – Ale wiem, że poszłaś zobaczyć się z tym chłopakiem. Arwen, on nie jest tym, za kogo go uważasz.

Byłam zmęczona tym, że nie wiedziałam tak wielu rzeczy.

– Naprawdę? Oświeć mnie.

Kane zmarszczył brwi, strapiony. Rozważył swoje słowa, zanim odpowiedział:

– Nie jestem pewien, czy mogę ci ufać, ptaszyno.

Gdybym wywróciła oczami jeszcze mocniej, wypadłyby mi z czaszki.

– Ty nie możesz ufać mnie?

– Jestem świadomy twojej historii. Ale nigdy cię nie okłamałem. – Zaśmiał się gorzko.

– Co? A co z tym całym przedstawieniem pod tytułem: „Jestem więźniem”?

– Nie wspominałem o moim królewskim pochodzeniu, ale nie skłamałem.

– A ja nie okłamałam ciebie, Kane.

Zbliżył się, a ja odruchowo zrobiłam krok w tył. Mina mu zrzędła.

– Wczoraj wieczorem pojawiałaś się na forum w barwach Onyksu i mówiłaś o moich ludziach jako „naszych” i tym królestwie jako „my”.



Ścisnął mi się żołądek. Miał rację. Przed przyprowadzeniem schwytanego Haldena zaczynałam czuć się jak część tej krainy. Niespodziewanie stała się ona moim domem. Kane zauważył zmianę w moim nastawieniu i mówił dalej, gniew wykręcał mu twarz.

– Wtedy twój kochanek pojawia się w moim domu, zabija moich ludzi i próbuje zabrać to, co moje. Walczysz o niego, kradniesz dla niego i knujesz, by pomóc mu uciec, a teraz próbujesz mi powiedzieć, że to nie kłamstwo?

– Podobno mnie nie śledziłeś. – Żołądek podskoczył mi do gardła.

– Mam oczy w każdym zakamarku tego zamku. Jak mogłaś spodziewać się czegoś innego? – Kane przeszedł obok mnie, furia aż z niego kipiała.

Poczułam żar na twarzy. Powinnam była wiedzieć, że nigdy do końca nie zostawił mnie niestrzeżonej. Zacisnęłam zęby ze złości.

– A tak przy okazji, nie jestem twoja. – Nie byłam nawet pewna, dlaczego to powiedziałam. Chciałam, żeby on też cierpiał.

– Oczywiście, że nie. – Odwrócił się do mnie, ale wyraz jego twarzy niczego nie ujawniał.

– Przecież dopiero co powiedziałeś, że chciał zabrać to, co twoje.

Kane posłał mi okrutny uśmiezek.

– Cóż, ktoś tu jest arogancki. Nie mówiłem o tobie. A chciałabyś, żeby tak było? Słowa zabolały bardziej, niż przypuszczałam.

– Nie, oczywiście, że nie – odparłam, gwałtownie kręcąc głową, żeby podkreślić swoje słowa. – Nawet cię nie znam.

Kącik jego ust uniósł się w przebiegłym uśmiezku.

– Cóż, kiedy już wybaczysz mi mój wybuch, będziemy musieli temu zaradzić.

Nigdy nie wybaczę mu skazania Haldena na śmierć.

– Więc nie zamierzasz ich zabić nawet po tym, co powiedział Griffin?

– Jeszcze nie.

\*\*\*

Pora kolacji w wielkiej sali była hałaśliwa i pełna życia, ale ledwo mogłam podnieść wzrok znad mojego gulaszu z bakłażana i papryki. Mari przyglądała mi się uważnie, wstrzymywała się cały dzień, ale dłużej nie mogła tego znieść.

– W porządku, Arwen. Dość. Co się z tobą dzieje?

Położyłam głowę na chłodnym drewnie i chrząknęłam w stół.

– Wybacz, nie mówię po *żałosnemu*. Porozmawiaj ze mną – zażądała.

Podniosłam wzrok na Mari. Jej usiana piegami twarz wyrażała powagę, ale w głębi wyczuwałam tylko empatię i ciepło. Westchnęłam głośno.

– Sporo tego – wymamrotałam.

Mari wyglądała, jakby jej ulżyło.

– Zamieniam się w słuch.

Opowiedziałam jej o wszystkim. Nawet o tym, że całkiem możliwe, że – chociaż wcale sobie tego nie chciałam uświadamiać – przypadkiem trochę zadurzyłam się w królu. Jak bardzo doceniałam jego forum wojenne i szacunek, jakim darzyłam go za dbanie o egalitarny przebieg spotkania. Jak zaczynałam już zadomawiać się tutaj i wtedy Halden został przyprowadzony jako więzień. Jak bardzo teraz nim gardziłam, bardziej niż kiedykolwiek. Jak Kane zgodził się na razie zachować mojego dawnego przyjaciela przy życiu. I że musiałam pomóc Haldenowi uciec, zanim król zmieni zdanie.

– Nie ma innego wyjścia. Umrze tutaj, jeśli nie pozwolę mu jakoś się wydostać.

Mari przeżuwała jedzenie powoli, analizując wszystko.

– Króla nie widziano z żadną kobietą od tygodni. Mówią o tym w całym zamku. Zastanawiam się, czy to przez ciebie.

– Tak, jasne – zadrwiłam. – Ja niczego takiego nie słyszałam.

– Bo nie rozmawiasz z nikim poza mną. Mówię ci: nie brakuje tu pięknych kobiet, które chciałyby zostać królową Onyksu. Albo po prostu przespać się z nim. Panienki wieszają się na nim, odkąd przybył do warowni. Jego reputacja była dobrze znana, więc są bardzo zawiedzione.

Każdą komórką ciała starałam się nic nie poczuć.

– Nie o to chodzi, Mar. Zapomnij o Kanie. Co z Haldenem?

Dziewczyna wywróciła oczami.

– Nie mówiłam ci, że taktyka wojenna króla nie była niezawodna? Teraz jego własna poddana – wskazała na siebie teatralnym gestem – pomoże w popełnieniu zdrady, by uratować życie chłopaka. Wydostaniemy go, nie martw się.

Uniosłam brew.

– Proszę, wytłumacz to.

Posłała mi klasyczne spojrzenie w stylu Mari, jednocześnie chłodne, pewne siebie i przesycone ekscytacją.

– W zasadzie chciałam powiedzieć ci to przez cały dzień, ale byłaś zdołowana. Czekałam, aż zdołam uzyskać pełen zakres ekscytacji Arwen. W noc przed zaćmieniem król Eryx z Perydotu przyjedzie tu ze swoją córką. Król Ravenwood urządza bankiet na ich cześć. Będzie jedzenie, wino, alkohol, wszyscy zaangażują się w zabawę, a zapewne całkiem się wstawią!

Zapewne coś mi umykało. Mari patrzyła na mnie ochoczo, czekając na „pełen zakres ekscytacji”, a kiedy nie nastąpił, zaczęła z niecierpliwością mówić dalej:

– Wszyscy, w tym większość strażników z lochów! Nigdy nie mamy tu festynów ani uroczystości, w samym środku lasu. Będą zajęci i wtedy Halden może uciec.

Posłałam jej surowe spojrzenie i rozejrzałam się, czy nikt w wielkiej sali nas nie usłyszał, ale hałaśliwy tłum utrzymywał wysokie decybele.

– Ups – powiedziała speszona.

– Teraz muszę tylko wymyślić, jak przekazać to Haldenowi.

– Myślę, że z tym też mogę pomóc.

– Mari, ratujesz mi życie.

– Całkiem dosłownie, co? – Zaśmiała się, ale ja nie miałam jeszcze na tyle dużych nadziei, żeby do niej dołączyć.

# SZESNASTY

W całym zamku panowała ostatnio nerwowa atmosfera – służący biegali i szeptali, żołnierze jeszcze bardziej niż wcześniej rwali się do walki. Miałam nadzieję, że to tylko presja spowodowana koniecznością przygotowania nadchodzącej uroczystości. Staralam się nie martwić, że nadchodziło coś gorszego.

Przecież nie mogłam zapytać Kane'a, co się działo – postanowiłam, za namową Mari, porzucić wszystkie skomplikowane uczucia wobec króla. Był czarującym, potężnym mężczyzną z poczuciem humoru i zabójczym krzywym uśmiechem, ale to również narwaniec, manipulator i kłamca bez krztyny moralności czy współczucia. Jak dla mnie to trochę za dużo wad.

Ale moje serce jeszcze nie zgodziło się na nowy układ, więc unikałam władcy – do tego stopnia, że nurkowałam za kolumny, kiedy szedł korytarzem. Niezbyt to dojrzałe, ale miałam większe problemy.

Liczyło się tylko to, żeby pomóc Haldenowi.

Nie sądziłam, żeby udało mi się zakraść do lochów po raz drugi, zwłaszcza że Kane, jak sam przyznał, miał oczy w całym zamku, więc mijały tygodnie, a ja nie miałam pojęcia, jak się miewał mój przyjaciel. A jednak wciąż byłam zdeterminowana, żeby pomóc mu uciec. Nie mogłam siedzieć i czekać, aż Kane wykorzysty go jako kartę przetargową w rozgrywce z królem Garethem albo zabije w kolejnym przyływie podsyconej zazdrością wściekłości. Miałam nadzieję, że żadna z tych rzeczy jeszcze się nie wydarzyła.

Mari dała mi słowo, że miała plan, ale potrzebowała jeszcze trochę czasu, żeby go dopracować.

Żeby odciągnąć myśli od tego wszystkiego, trenowałam z mieczem każdego ranka, popołudniami leczyłam żołnierzy, a wieczory spędzałam z przyjaciółką w bibliotece. Lato zaczęło się w pełni, a wraz z nim doświadczyłam pierwszej w swoim życiu zmiany pór roku. Wiosna w Onyksie nie różniła się za bardzo od całorocznego chłodu Bursztynu, ale lato tutaj było jak gorąca, słoneczna kąpiel. Przy delikatnych wiatrach i wydających się nigdy nie kończyć dniach, rozkwitło może dzwoneczków i fiołków, które podkradałam i trzymałam w szklanym wazonie w swoim pokoju. Kiedy więdły, nie mogłam rozstać się z tymi cudownymi kwiatami do tego stopnia, że wsuwałam je w książki, aż stawały się delikatnym, cienkim wspomnieniem, roślin.

Nie różniło się to bardzo od tego, jak się ostatnio czułam, gdy w oszołomieniu wędrowałam od apteki do łóżka każdego dnia.

Desperacko potrzebowałam pozytywnej Arwen. Gdzie ona się podziała?

Gdy składałam bandażę w aptece, a słabe światło popołudnia skrywało się za sosnami, próbowałam grać w róże i ciernie, jakby moja matka siedziała obok mnie.

Róża: W końcu używałam miecza dla dorosłych, ale wciąż nie takiego jak Dagan.

Ciern...

Odgłosy stęknęć i butów uderzających o podłogę apteki sprawiły, że podniosłam wzrok znad bandaży i spojrzałam na dwóch uzbrojonych żołnierzy podtrzymujących spoconego, drżącego mężczyznę, bledszego niż powinien być jakikolwiek człowiek.

– Tutaj. – Wskazałam na pokój szpitalny. – Możecie położyć go na kozetce.

– Dziękuję. – Głos dochodził zza mężczyzn i przywiódł na myśl niebo o północy.

Cichy, miękki i kruczoczarny.

*Cholerne Kamienie.*

Kane wszedł do apteki za nimi. W prostej rozpiętej, białej koszuli, z kilkoma srebrnymi pierścieniami na palcach i w czarnych spodniach, ponętność spływała z niego jak deszcz po szybie. Nawet po tym wszystkim, tak bardzo wpływała na mnie jego obecność.

– Czego chcesz? Mam pacjenta, którym muszę się zająć. – Miałam nadzieję, że mój zdyszany głos mógł uchodzić za wyraz szoku.

– Unikasz mnie.

Mogłabym przysiąc, że z moich uszu buchnęła para.

– Czy mógłbyś być jeszcze bardziej zapatrzony w siebie? Ten człowiek umiera.

– Tak, i jestem tu, żeby pomóc – powiedział. – Lance to jeden z moich najlepszych żołnierzy.

Odrażający kłamca.

– To podłe wykorzystywać chorobę swojego żołnierza, żeby mnie niepokoić. – Powiedziałam to, wchodząc za mężczyznami do szpitala.

Dwaj żołnierze starali się patrzeć wszędzie, tylko nie na nas. Kane najeżył się i odwrócił do nich.

– Zostawcie nas. Natychmiast.

Wypadli na zewnątrz bez wahania, jeden nawet w pośpiechu wpadł na moje zioła, rozsypując nasiona szaławii i maku po całej podłodze.

Mokry, duszący kaszel odciągnął moją uwagę od przewróconych słoików.

Biedny Lance, nie było z nim za dobrze.

Dygotał pomimo koców, które na niego naciągnęłam, i pocił się obficie. Pomyślałabym, że to grypa lub przeziębienie, gdybym nie zauważyła na jego

nadgarstku dwóch ran kłutych pokrytych zaschniętą krwią.

– Co się stało?

– Został ugryziony. Myślę, że to jad tego stworzenia powoli go zabija. Cóż, może jednak nie tak powoli.

– Zawsze taki pełny współczucia. – Skrzywiłam się, patrząc na niego. – Co go ugryzło?

Lance jęknął niezrozumiale, a Kane nie odrywał wzroku od dygocącego mężczyzny.

– Nie mogę tego stwierdzić na pewno. Potrzebujesz wiedzieć, żeby go wyleczyć?

– To na pewno by pomogło. – Przeszłam do apteki, żeby przejrzeć półki z antidotami na jad. – Ptasznik, kamienny goblin, żmija rogata... coś z tych?

Kane podążył za mną, odchodząc od łóżka Lance'a.

– To nic, na co podziałają nasze mikstury. Potrzebuje ciebie – zażądał z nietypową szczerością. – Twoich umiejętności.

– W porządku. – Wyminęłam go i wróciłam do pokoju szpitalnego, po czym położyłam dłoń na wilgotnej twarzy Lance'a.

Ranny żołnierz zaczął drżeć w konwulsjach i wić się. Uchyliłam okno i wpuściłam do środka wieczorne przesycone zapachem lilii powietrze. Musiałam działać szybko.

Odkąd Dagan pokazał mi, jak pobierać energię z otoczenia, używałam jej w małych dawkach do wyjątkowo pilnych pacjentów albo w dni, kiedy przychodziło ich wielu. Delikatny wiatr wleciał do środka, jak para z garnka stojącego na ogniu, i przekierowałam go do swojej dłoni, którą wsączyłam moc w głowę Lance'a. Przepłynęła przez niego, skutecznie kojąc jego ból. Westchnął, kiedy powietrze przelało się przez niego, wysączając jad z jego kości, płuc i skóry. Zadrżał i odetchnął głośno, a słabe kolory zaczęły wracać na jego mokre policzki.

Wpuściłam powietrze, oddech wyrwał się ze mnie, jakby pękła piłka. Coraz łatwiej było mi wykorzystywać otaczające mnie żywioły i już nie potrzebowałam po tym drzemki jak wcześniej. Okryłam Lance'a szczelniej kocem, gdy odpływał w sen.

– Powinno być już w porządku, ale zostanę z nim przez kilka godzin, żeby się upewnić.

– Dobra robota, ptaszyno – mruknął Kane.

– Nie prosiłam o twoją aprobatę.

Zaśmiał się, a ja położyłam zimny okład na czole pacjenta i nalałam szklanek wody, żeby mógł się napić po przebudzeniu.

– Pracowałam nad tym – przyznałam, kiedy wyszedł ze szpitala i zaczął krążyć po aptece. – Jeśli już musisz wiedzieć. – Poszłam za nim, wykręcając palce, zaciśnięte na spódnicy, a potem zaplotłam je za plecami.

Musiał wyjść. Jak najszybciej.

– Cóż, jestem pod wrażeniem – powiedział Kane, jego oczy błyszczały. – I jestem dumny, że mam tak utalentowaną uzdrowicielkę w mojej warowni. – Nadal powoli przechadzał się po pomieszczeniu skąpanym w świetle świec z korytarza. Blask odbijał się w jego pierścieniach i stalowych oczach. Ten mężczyzna jakimś cudem zawsze błyszczał.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – zapytałam.

Uniósł brew.

– Będziesz tutaj przez całą noc, pilnując biednego Lance'a. Oferuję ci tylko towarzystwo.

Prychnęłam.

– Nie trzeba, dziękuję.

Odwrócił się do mnie, jego oczy wwiercały się w moje.

– Może po prostu lubię patrzeć, jak wijesz się w mojej obecności.

Ściągnęłam brwi. Nie miałam już siły się odgryzać.

– Dlaczego taki jesteś? – zapytałam, w moim głosie pobrzmiwała irytacja.

– Nie chcesz nawet trącić powierzchni tego pytania, ptaszyno. – Kane posłał mi krzywy uśmiezek.

Pewnie miał rację w tej sprawie.

– Znalazłeś już moją rodzinę? – zapytałam.

– Jeszcze nie – odparł, i zaczął kręcić się po aptece, otwierał różne szuflady i słoiki.

– Ale znajdę.

– Nie wierzę ci – warknęłam.

Odwrócił się do mnie.

– To jak szukanie igły w stogu siana. W zasadzie trzech igieł... Daj mi trochę czasu.

Zazgrzytałam zębami, już chciałam na niego naskoczyć, kiedy z mojego żołądka dobiegło niezręczne burczenie. Przycisnęłam dłonie do brzucha, żeby powstrzymać krępujące odgłosy, ale siedziałam w aptece cały dzień i nic nie jadłam od czasu, kiedy rano w drodze tutaj zjadłam brzoskwinię. Żołądek znowu zaprotestował, na co się skrzywiłam.

Kane uniósł na mnie brew z zaciekawieniem, a na mojej szyi pojawił się lekki rumieniec wstydu.

– Co? – zapytałam, udając, że nie wiem, o co chodziło.

Ale on tylko podszedł do drzwi apteki i otworzył je, a drewniany znak zakołysał się gwałtownie.

– Barney – zawołał w stronę galerii – mógłbyś posłać po kogoś, kto przyniesie kolację dla lady Arwen do apteki?

*O, Kamienie.*

Lekki rumieniec zakłopotania nabrał pełnych kształtów.

– Oczywiście, wasza wysokość. – Znajomy słodki głos Barneya poniósł się korytarzem.

Kane już miał zamknąć drzwi, ale zatrzymał się i otworzył je ponownie.

– I dodatkowy chleb koniczynowy – dodał. – Dwa bochenki. Dziękuję.

Kiedy zamknął drzwi i odwrócił się do mnie, wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– To nie było konieczne – powiedziałam, podniosłam zioła z podłogi i wrzuciłam je do kosza.

– Jasne, że było. Ktoś musi się tobą zająć, skoro sama tego nie robisz.

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Wydaje ci się, że to właśnie robisz? Zajmujesz się mną? Trzymając mnie tu wbrew mojej woli i grożąc śmiercią moim przyjaciołom?

Jego rozbawiony wyraz twarzy zniknął, zastąpiony dużo chłodniejszym. Dużo bardziej przerażającym. Przełknęłam z trudem ślinę.

– Ten chłopak nie jest twoim przyjacielem.

Pokręciłam głową. Nie chciałam odbywać z nim tej rozmowy.

Nie dzisiaj.

A najlepiej nigdy.

Westchnął i jakby z bólem przeczesał włosy palcami, zanim odwrócił się i znowu zaczął przechadzać się po aptece. Słońce w końcu zniknęło, a w pomieszczeniu zaczęła zapadać senna, wieczorna ciemność.

Przeszukałam najbliższą mnie szufladę w poszukiwaniu zapalniczki, żeby zapalić latarnie w pokoju.

Kane postukał palcem w przeszkloną szafkę przez sobą, więc odwróciłam na niego wzrok.

– Co to? – zapytał.

– Nie twój interes. – Moje nozdrza zadrgały.

– Daj spokój, to takie wstrętne. Jestem zafascynowany.

– Zakonserwowana meduza. Mają w swoich tkankach enzymy uzdrawiające, a wysuszona membrana może być wykorzystywana jako druga skóra przy rozcięciach i zadrapaniach. – Westchnęłam.

– Uwielbiam słuchać, jak wyjaśniasz pojęcia medyczne – zamruczał.

– A ja byłabym zachwycona słuchając, jak spadasz z klifu.

Wzdrygnął się teatralnie, powstrzymując śmiech.



Ten mężczyzna był irytujący do granic. Przychodził tutaj, przeszkadzał mi, próbował przekupić jedzeniem.

Źle wyrażał się o Haldenie po tym wszystkim.

Halden i jego ludzie nie znaleźliby się w ogóle w jego skarbcu, gdyby nie zaczął wojny z Królestwem Bursztynu. Potarłam skronie. Jedyne, czego chciałam, to cholerne odpowiedzi.

– Dlaczego zaatakowałaś Bursztyn? – zapytałam i weszłam za kontuar, bliżej niego. – Wyjaśnij mi cokolwiek.

– Mówiłem ci – stwierdził, nie odrywając wzroku od meduzy. – Gareth to gnida i nie zasługuje, żeby rządzić własnym królestwem.

– To nie powód, żeby mordować tysiące ludzi na wojnie i dobrze o tym wiesz.

Jego spojrzenie stwardniało, ale wciąż nie oderwał wzroku od szafki.

– Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Ryk w moich uszach był tak głośny, że ledwo słyszałam własne słowa.

– Więc wynoś się z mojej apteki.

– Arwen – zaczął, w końcu decydując się na mnie spojrzeć. – Chociaż bardzo urzeka mnie twój ogień, w końcu będziesz musiała mi wybaczyć.

Zazgrzytałam zębami.

– Nie, naprawdę, naprawdę nie będę musiała.

Zbliżył się do mnie tak, że prawie czułam ciepło jego ciała. Mogłam go dotknąć. Powąchać.

Ściągnął brwi.

– Nie mogę znieść tego, że będziesz mnie wiecznie nienawidzić. – W jego spojrzeniu dostrzegałam nieugiętość.

Nie mogłam powstrzymać się od odpowiedzi.

– Cóż, mogłeś o tym pomyśleć, zanim skazałeś Haldena na śmierć.

W jego oczach zamigotało coś drapieżnego, zanim zacisnął zęby i włożył ręce do kieszeni.

– W porządku. Niech będzie po twojemu.

– To groźba? – Nie mogłam powstrzymać lęku, który zakradł się do mojego głosu.

Spojrzał na mnie ze złością, ale w końcu westchnął, zrezygnowany.

– Gdyby tak było, wiedziałabyś o tym. Miłego wieczoru.

# SIEDEMNASTY

Pomimo mojej miłości do ciepłej, pachnącej, wieczornej bryzy,, która – jak się dowiedziałam, była letnim wiatrem – nie działała ona zbyt dobrze na moje nerwy. W końcu udało mi się skłonić Mari, żeby zdradziła mi swój „plan”, który okazał się złożonym zaklęciem, jakie musiała odpowiednio rzucić.

Dzisiaj była gotowa spróbować.

– W porządku. Poproszę jeszcze raz – powiedziałam ściszym głosem, wykręcając spocone palce i mnąc materiał spódnicy. Siedziałyśmy schowane za krzakiem, niedaleko schodów do lochów, gdzie umówiłyśmy się na spotkanie.

– Spokojnie. Ćwiczyłam to wiele razy. Teraz to dla mnie jak druga natura. – Mari brzmiała pewnie i chciałam jej wierzyć. Pracowała nad tym zaklęciem tygodniami i była zachwycona, gdy udało jej się użyć go z powodzeniem na wiewiórce. Zwierzątko przez kilka godzin nie zdołało dostrzec orzeszka, choć miało go tuż przed nosem.

Przyjaciółka zacisnęła palce na fioletowym amulecie.

– To proste zaklęcie maskujące. Rzucę je na strażnika i będziesz dla niego niewidzialna przez jakiś czas.

– Jak długo potrwa ten „jakiś czas”?

Mari patrzyła prosto przed siebie, unosząc wysoko głowę.

– Nie wiem.

– Co?!

– Ćśś! – syknęła. – W porządku. Ile czasu może zająć ci wejście i wyjście? A ja będę tu na ciebie czekać.

– Mar – spróbowałam. – Wiesz, że nie szkodzi, jeśli nie jesteś w czymś idealna za pierwszym razem. Zawsze możemy spróbować czegoś innego.

Posłała mi spojrzenie, które mówiło: „ani się waż”, więc tylko skinęłam głową, ale nie mogłam przestać się wiercić, tkwiąc obok niej.

– Siedź spokojnie albo mnie rozproszysz i nie zdołam zrobić tego jak należy. –

Mari zamknęła oczy i wyciągnęła ręce przed siebie, jakby mogła dotknąć strażnika w oddali. Zanuciła coś cicho i wyszeptała słowa w pradawnym języku, którego nie rozumiałam.

Wysoka trawa u jej stóp zaczęła szeleścić przy nagłym porywie wiatru pachnącym deszczem i ziemią pomimo słonecznego dnia. Kilka jej długich włosów uniosło się

wokół niej, otaczając ją czerwonymi pasmami przypominającymi płomienie. Jej knykcie strzeliły, gdy zacisnęła i wyprostowała palce.

I wtedy się zatrzymała.

Zamrugła, otworzyła oczy i wyglądała na nieco zdezorientowaną. Wyciągnęła rękę, żeby się mnie przytrzymać, więc złapałam ją mocno.

– Wszystko w porządku?

– Kim jesteś? – Wpatrywała się we mnie, oszołomiona.

Serce opadło mi aż do żołądka, a nagle na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Żartuję!

– Jesteś okropna. – Wypuściłam oddech, który zabrzmiał prawie jak śmiech.

*Prawie.*

– Idź – powiedziała.

Pospieszyłam w stronę brodatego strażnika, nie pokusiłam się o bieg, bo to mogłoby wydać się podejrzane komuś, kto mógł mnie zobaczyć.

Strażnik był mniej więcej w moim wieku. Miał zaróżowione policzki, potarganą blond brodę i brwi. Kiedy stanęłam przed nim, poczułam na karku jakieś upiorne wrażenie. Spojrzał mi w oczy, a jednak patrzył gdzieś przeze mnie. Pomachałam mu przed twarzą, ale on tylko potarł nos ze znużeniem i dalej stał na straży. Nie zamierzałam zostać, żeby sprawdzić swoje szczęście.

Przemknęłam się obok niego i ponownie zbiegłam ciemną, spiralną klatką schodową. W głowie pojawiła mi się ulotna myśl – jeśli naprawdę miałam szczęście, to okaże się, że to ostatni raz, kiedy tu schodziłam.

Dopałam do krat celi Haldena.

– Pst! Halden! – Spał pod futrem, które mu przyniosłam, zwinięty w kłębek w ciemnym kącie jak ranne zwierzę, jego jasnoblond włosy były prawie szare od brudu.

– Wróciłaś – powiedział zaspanym głosem. Brzmiał prawie nabożnie.

– Tak, ale muszę się spieszyć. – Podałam mu jeszcze trochę jedzenia, które przemyciłam. – Za tydzień, w dzień przed zaćmieniem, o zachodzie słońca odbędzie się bankiet. To najlepszy moment, żebyście spróbowali uciec.

Halden przytaknął.

– Na czyją cześć jest ten bankiet?

– Króla Eryksa z Perydotu. Przypuszczam, że starają się zawrzeć przymierze.

Przygryzł paznokieć i splunął w lewo. To okropne przyzwyczajenie, które kiedyś uważałam za atrakcyjne.

– Spotkałaś tu w Shadowhold jakichś niziołków?

Zmarszczyłam brwi. Halden teraz wierzył w Fae? I ich potomków?

– Co? Nic o tym nie wiem. – Chociaż teraz, kiedy się nad tym zastanawiałam, niektórzy z żołnierzy, których leczyłam, wydawali się bardzo potężni i zajadli... Ale nie było sensu dzielić się tymi informacjami z Haldenem. – Nie wiem nawet, jak odróżnić niziołka od śmiertelnika.

Chłopak westchnął i przysiadł na piętach.

– W zasadzie nie da się. Trudno to stwierdzić, chyba że sprawdzi się pochodzenie danej osoby. Mówi się, że Onyks jest ich pełny.

– Dlaczego pytasz?

– Zdaje się, że to chorobliwa ciekawość. Czy król mówił ci o czymś, czego szuka? O jakiejś relikwii? – Posłał mi krzywy uśmiezek.

Poczułam niepokój.

– Halden, dlaczego mnie tak wypytujesz? Wiesz, że powiedziałabym ci wszystko, co pomogłoby ci w ucieczce.

– Oczywiście. To po prostu kolejna opowiadka, którą przekazali mi żołnierze w moim batalionie. Mam tu za dużo wolnego czasu na myślenie.

Moje myśli wracają do tej nocy, kiedy słyszałam rozmowę Kane'a i Griffina o proroku i o tym, czego szukali. Miałam wrażenie, że wydarzyło się to wieki temu. Czy to mogło być to samo, o czym mówił Halden?

– Od kiedy obchodzi cię Onyks i jego sekrety? Bardziej broniłeś się przed służbą niż ktokolwiek inny w Abbington.

Przypominam sobie swoje niezadowolenie ponad rok temu, kiedy tak mało obchodziła go walka z nikczemnym królestwem z północy. Jak jego apatia sprawiała, że czułam się poirytowana i samotna.

Tak wiele się zmieniło w tak krótkim czasie.

– Byłem wtedy dzieckiem, Arwen. Od tego czasu dowiedziałem się więcej o Królu Garcie i tym, o co walczy. Po prostu nie rozumiesz wielu rzeczy. – Pokręcił głową.

Miałam tak bardzo dość męczyzn, zainteresowanych mną w romantyczny sposób, którzy ciągle to powtarzali. Wykrzywiłam twarz w wyrazie niechęci.

– A co z tobą? Nie obchodzi cię już nasze królestwo?

– Nie, oczywiście że obchodzi – powiedziałam, rumieniąc się. – Obchodzą mnie ludzie, którzy umierają przez bezsensowną chciwość ziemi i pieniędzy.

– Nie chcę się kłócić. W noc bankietu... gdzie cię znajdę? – zapytał Halden.

Tego pytania się obawiałam. To noc przed zaćmieniem. Będę musiała wtedy wrócić do lasu po korzeń jamisty. I prawdę mówiąc, wcale nie miałam pewności, czy uda mi się dotrzeć do rodziny, jeśli ucieknę z Haldenem.

– Król stara się wytropić moją rodzinę. Jeśli ich znajdzie, a ja zniknę... – Nie byłam pewna, jak dokończyć tę myśl. Czy Kane skrzywdziłby ich ze złości?

– Mogę cię ochronić, Arwen. Szpiegdy króla Garetha są równie dobrzy, jeśli nie lepsi niż ci z Onyksu. Możemy odnaleźć twoją rodzinę razem.

Jakaś część mnie nadal miękła na jego pocieszające słowa. Jego pewny siebie uśmiech działał na mnie nawet z za krat.

– Wiem. Ale jak zamierzasz wydostać się z celi? Nawet jeśli większość strażników będzie skupiona na uczcie, jak przedostaniesz się przez las?

Halden prychnął.

– Las nie jest aż tak niebezpieczny, jak z pewnością kazali ci wierzyć. Po prostu mi zaufaj. W noc przyjęcia, kiedy usłyszysz wybuch, będziesz miała kilka minut, żeby dotrzeć do Północnej Bramy. Dasz radę?

Z szoku serce aż załomotało mi w piersi, sprawiając, że trudno mi było zareagować.

– Wybuch? Co ty planujesz, na Kamienie?

– Im mniej wiesz, tym lepiej – powiedział szczerze.

– Potrzebuję czegoś więcej. Nie możesz skrzywdzić ludzi z zamku. Są niewinni.

– Oczywiście, że nie. Naprawdę tak o mnie myślisz? – oburzył się i pokręcił głową.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Poczucie winy sączyło się we mnie jak czerwone wino na białą suknię – lepkie, rozchodzące się i niemożliwe do zignorowania.

Halden westchnął i ponownie przygryzł paznokiec.

– Jeden z moich ludzi to czarownik. Może wysadzić drzwi tych cel w powietrze w każdej chwili. Wybuch zapewni nam swobodne wyjście stąd i ledwo dotrze do wielkiej sali nad nami. – Wskazał górę. – Ale mimo to nie udałoby nam się przejść obok strażników Północnej Bramy. W noc bankietu nie będą tak dobrze przygotowani, a do tego przytłoczy ich tłum. To nasza najlepsza szansa. Obiecuję, nikt nie zostanie ranny.

Ten plan wydawał się dobry. Nie do końca niezawodny, ale najlepszy, jaki mogli opracować w tak krótkim czasie.

– Muszę iść. Nie mam wiele czasu. – Wstałam, żeby odejść, ale Halden złapał mnie za rękę przez kraty.

– Czekaj. – Przyciągnął mnie tak, że byłam przyciśnięta do krat, a jego szorstkie palce zamknęły się na moich. – Pamiętasz, jak oglądaliśmy spadające gwiazdy na dachu Pijanego Dzika?

Przypomniałam sobie chłodną noc i to, jak siedziałam wtulona w jego ramiona na szczycie lokalnej tawerny. Zobaczył, że gwiazdy spadały i chciał mieć lepszy widok. Jakimś cudem udało mu się namówić mnie, żebym weszła tam z nim. Byłam pewna, że w którymś momencie to wszystko się pod nami zawali i wylądujemy na stercie piwa i szkła.

– Oczywiście – odparłam.

Ciężkie powieki przysłoniły jego brunatne oczy, sączyło się z nich pożądanie.

– A pamiętasz, co zrobiliśmy, kiedy ostatnia gwiazda zniknęła z nieba? – Jego głos stał się bardziej ochrypły, a moje policzki zapłonęły.

– Oczywiście – powtórzyłam.

– Ciągle myślę o tamtej nocy... Na wypadek gdyby coś poszło źle, nigdy nie wybaczyłbym sobie, że nie pocałowałem cię ostatni raz.

Zanim zdołałam pojąć jego intencje, Halden przyciągnął mnie do siebie, aż chłodne żelazo przycisnęło się do mojej twarzy, a jego ciepłe usta musnęły moje. Pocałunek był czuły. Bezpieczny i znajomy. Po jego wyjeździe tak okropnie tęskniłam i fantazjowałam o takiej chwili – cóż, może niekoniecznie w lochach. Ale teraz... nie potrafiłam dokładnie określić swoich uczuć. To było coś, znowu przebywać tak blisko niego. Palce u stóp nadal podwijały mi się, gdy mnie dotykał. Ale czegoś brakowało.

Odsunął się, patrząc mi w oczy i mocno ścisnął moje dłonie.

– Spotkamy się przy Północnej Bramie?

*Będę tam?*

Halden mógł pomóc mi znaleźć korzeń w lesie z większym powodzeniem, niż zrobiłabym to sama. Zależało mu na mnie i zawsze będzie. I nie mogłabym zostać tu ani minuty dłużej z Kane'em po tym, jak ujawniał swoje prawdziwe oblicze raz po raz. Wątpiłam, że kiedykolwiek zamierzał odnaleźć moją rodzinę. Był kłamcą, i to od zawsze, więc jaka przyszłość czekała mnie tutaj, w Shadowhold? Bezpieczniej było trzymać się mężczyzny, którego znałam niż nieznanego mi króla.

– Tak – odpowiedziałam w końcu. – Powodzenia.

Wbiegłam na górę po dwa stopnie i gdy zobaczyłam, że ten sam strażnik nadal stał na warcie, wypuściłam powietrze, choć nie byłam świadoma, że je wstrzymywałam. Czmychnęłam obok niego i nie zwolniłam, aż Mari i ja dotarliśmy z powrotem do apteki.

\*\*\*

Przecinające powietrze ostrze miecza, znalazło się trochę za blisko mojej głowy, żebym uznała to za komfortowe.

– Uwważaj! – zawołałam, robiąc unik na czas.

Dagan kontynuował swój atak, ruszając na mnie z zacięciem, którego wcześniej u niego nie widziałam. Ale nie bałam się. Parowałam każdy cios, używając własnego wzrostu i zwinności na swoją korzyść. Dagan był starszy, wyższy i wolniejszy ode mnie. Co oznaczało, że mogłam poruszać się wokół niego z łatwością. W wolnej

sekundzie złapałam oddech i zamachnęłam się na niego, po czym trafiłam w skórzaną zbroję.

Zatrzymał się, żeby ocenić rozdarcie, i otarł pot z czoła. Na jego ustach zagrał uśmiech, ale nic nie powiedział. Bardzo chciałam triumfować albo wyskoczyć w powietrze z powodu tego małego zwycięstwa, ale zmęczenie kazało mi oprzeć dłonie na kolanach i zaczerpnąć tchu.

– Ostatnia lekcja na dzisiaj – powiedział.

Dzięki Kamieniom. Był dopiero poranek, ale tydzień minął szybko, a ja miałam dużo do zrobienia przed dzisiejszym bankietem. Dagan rozwiązał zewnętrzną zbroję i bezceremonialnie rzucił ją na trawę. Usiadł i wskazał, żebym zajęła miejsce naprzeciwko niego. Trawa była chłodna, zaciągnęłam się zapachem rozkwitającej gardenii. Te poranne lekcje stanowiły dla mnie stały punkt dnia. Teraz, kiedy nadeszła ostatnia z nich, uświadomiłam sobie, że będę za nimi bardzo tęsknić.

– Co robisz? – zapytałam.

– Wykorzystuję broń innego rodzaju. Zamknij oczy.

Wykonałam polecenie. Nauczyłam się nie kwestionować poleceń Dagona. Kiedy przychodziło do samoobrony, ten człowiek wiedział, o czym mówił.

– Pomyśl o swojej największej sile. Powiedz mi, co czujesz.

Ściągnęłam brwi. Moja największa siła? Nic nie przychodziło mi do głowy. Byłam dumna z mojej umiejętności leczenia ludzi, ale to nie tyle siła, co właśnie umiejętność. Może dar. Czułam się silna, biegając, ale czy to liczyło się jako siła? Nigdy o tym tak nie myślałam. Przyszła mi na myśl rodzina – jak opiekowanie się nimi sprawiało, że czułam się silna. Ale nigdy nie byłam w tym tak dobra, jak Ryder.

– Nie mogę nic wymyślić – przyznałam. Było mi bardziej wstyd, niż chciałam przyznać.

– Nie o to pytałem. Co czujesz?

Uparcie siedziałam bez ruchu. Przez to, że miałam opuszczone powieki na powierzchnię wypływały emocje, których nie byłam świadoma.

– Smutek. I samotność. Przez co czuję strach.

– Trzymaj się tego uczucia. Jakie uczucia wywołuje w tobie strach?

Westchnęłam.

– Czuję się uwięziona. Czasami jest naprawdę trudno. Budzić się każdego dnia, wiedząc, jak dużą częścią mojego życia rządzi właśnie ten strach.

– To uczucie, kiedy twoje serce galopuje, pierś się ściska, a w ustach zasycha. Wiesz, czym jest?

Przytaknęłam i odparłam:

– Przerażeniem.

– Nie, Arwen. To moc.

Staralam się podążać za jego tokiem rozumowania, ale to nie miało żadnego sensu.

– Dagan, wydaje mi się, że to nie działa. Czymkolwiek jest. Możemy przerwać na dzisiaj? – Uchyliłam jedno oko.

Jego odpowiedź była natychmiastowa.

– Oczy zamknięte.

– Jak...?

– Oczy. Zamknięte.

Wiatr wył wśród drzew wokół naszego placu treningowego. Z zamkniętymi oczami odgłosy warowni przygotowującej się na wieczór jeszcze się wzmagaly – w oddali slychać bylo jeżdżące wozy i przesuwane meble.

– Kiedy się boisz – ciągnął Dagan – twoje ciało napędza cię, by uciekać albo walczyć. Wypełnia cię mocą, żeby chronić siebie, tak czy inaczej. Jesteś wspaniałą biegaczką. Teraz stajesz się też świetną wojowniczką. Nie mogę ci powiedzieć, że uczucie strachu kiedyś zniknie, ale możesz je opanować. Sprawić, że zadziała na twoją korzyść. Zmień ten strach w odwagę. Ostatecznie to jedno i to samo.

W tych słowach była jakaś prawda. Ataki paniki, które przeżyłam, mówiąc z medycznego punktu widzenia, to tylko gwałtowny wyrzut adrenaliny. Ale kiedy mnie ogarniały, stawało się to prawie destrukcyjne. Trudno patrzeć na to jak na jakąś niewykorzystaną moc.

Siedziałam w ciszy, jak mi polecono, aż zaczęły boleć mnie plecy, a kość ogonowa zdrętwiała. Kiedy to, na co Dagan miał nadzieję, się nie wydarzyło, przerwał nam.

– Spróbujemy znowu jutro.

Podciągnęłam się na nogi z jękiem.

– Jakoś nie wydaje mi się, że będę tęsknić za walką na miecze. – Nie wyszło to tak zabawnie, jak mieliśmy nadzieję.

Dagan mi się przyjrzał.

– Jak uważasz, kto jest odważniejszy podczas bitwy? Rycerz, który nie ma żadnych lęków otoczony przez setki towarzyszy, uzbrojony we wszelką broń dostępną na kontynencie, czy samotny rycerz, bez nikogo u boku, z gołymi pięściami i wszystkim do stracenia?

Z powodów, których nie potrafiłam pojąć, słysząc to pytanie, zachciało mi się płakać.

– Ten drugi.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo wie, że nie może wygrać, ale i tak postanawia walczyć.



– Prawdziwą odwagą jest mierzenie się z tym, co cię przeraża. To, co nazywasz strachem, w rzeczywistości jest mocą i możesz zacząć nią władać na dobre.

Spuściłam wzrok, unikając jego zaciekawionego spojrzenia.

Czułam, że go zawiodę. Cokolwiek miał nadzieję we mnie znaleźć, z pewnością tego nie miałam.

– Przypominasz mi... Byłbym dumny, widząc, że moja córka wyrosła na kogoś takiego, jak ty, Arwen.

Na chwilę odebrało mi mowę. To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niego usłyszałam. Możliwe, że to najmiłsze, co ktokolwiek, poza moją matką, powiedział do mnie w życiu.

– Co się z nią stało? – zapytałam ostrożnie. Nie byłam pewna, czy chciałam wiedzieć.

Dagan pochylił się, żeby podnieść miecze i owinąć je w jutę.

– Moja żona i malutka córka zostały zabite przez człowieka, przeciwko któremu Kane prowadzi wojnę.

Zatoczyłam się w tył na te słowa.

– Ten żal i gniew. Znajduję sposób, żeby opanować je każdego ranka i zmierzyć się z dniem, a w nocy, żeby pójść spać. Wszyscy mamy swoje demony. Określa nas to, jak postanawiamy się z nimi zmierzyć.

Serce ścisnęło mi się w piersi.

– Tak mi przykro. – Tylko tyle mogłam z siebie wydusić.

– Dziękuję. – Skinął głową i ruszyliśmy w stronę warowni, jak zwykle w ciszy.

Czułam mdłości. Ze względu na Dagona i fakt, że planowałam dzisiaj uciec i prawdopodobnie wrócić do królestwa, które było odpowiedzialne za jego stratę. Nagle to wszystko wydawało się bardzo złe.

# OSIEMNASTY

Patrzyłam na osobę w lustrze i z trudem potrafiłam w niej rozpoznać siebie. Nigdy w życiu nie widziałam tyle antracytu – Mari pomalowała mi oczy tak, że wyglądały jak przydymione, a usta pociągnęła głębokim szkarłatem.

– To wystarczy. Naprawdę, Mar. Wyglądam jak pirat. Lub kobieta nocy.

– Albo jedno i drugie! Piękna dziwka-piratka – odparła Mari, nakładając więcej ciemnego pyłku na moje powieki.

Nie pomagała również czarna wieczorowa suknia z jednym ramiączkiem, w którą wcisnęła mnie przyjaciółka.

– To takie niesprawiedliwe. Dlaczego nie mogę nosić takich rzeczy jak ty? – jęknęłam.

– Ponieważ – zaczęła Mari, obracając się, by zaprezentować w pełni zapinaną pod szyję ciemnozieloną suknię. – Ja dzisiaj nie spotykam się z byłym kochankiem.

– Nie jest żadnym byłym kochankiem, niezależnie, co byś sobie wyobrażała. To król i wątpię, czy w ogóle się zobaczymy.

Mari mnie zignorowała i rozczesała mi włosy, pozwalając czekoladowym lokom spływać mi na plecy, pasmo po paśmie.

– Dziś wieczorem... – zaczęłam, ale nie wiedziałam, jak dokończyć tę myśl.

– Wiem – przerwała mi szybko.

Nie widziałam jej twarzy w lustrze, więc odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć, ale nie mogłam się zmusić, żeby wypowiedzieć te słowa. Czułam, że duszą mnie emocje, których się nie spodziewałam.

– Rozumiem, Arwen – oświadczyła, ujmując moje dłonie w swoje. – Jeśli Haldenowi uda się uciec, pójdiesz z nim. Jestem pewna, że zrobiłabym to samo.

– Tak. Ale to wielkie „jeśli”.

– Wcale nie. On nie chce umrzeć, więc znajdzie sposób, żeby uciec – zapewniła.

Czułam, że oczy zapiekły mnie od łez.

– Och, Arwen. Nie płacz. Nic mu nie będzie.

Ogarnęło mnie poczucie winy – to nie za Haldenem płakałam.

– Będę za tobą tęsknić.

– Ja za tobą też. – Oczy Mari przypominały mokre szkło, kiedy wciągnęła mnie w uścisk.

Puściła mnie i otarła mi policzki, usuwając czarne strumyki, które spłynęły mi po twarzy.

– Ale znajdziesz sposób, żeby do mnie napisać. Wiem, że zobaczymy się ponownie. A teraz daj mi to naprawić. Smutna dziwka-piratka to zdecydowanie nie to, czego oczekujemy.

\*\*\*

Tego wieczoru wielka sala wyglądała elegancko i odświeżenie, oświetlona świecami w różnych rozmiarach i kształtach, ozdobiona wieńcami kwiatów Onyksu. Ciepło od cienistych latarni, parujące jedzenie i tłum ludzi, wszystko to ogrzewało moją skórę. Zniewalająca melodia wygrywana przez zespół grający na czterech różnych instrumentach smyczkowych niosła się echem przez salę, nawołując do tańca. Na zewnątrz białe eleganckie konie Perydotu wyróżniały się przy brutalnych, wyglądających demonicznie wierzchowcach Onyksu, a opaleni, blondwłosi dygnitarze Perydotu i szlachcice, ubrani w zmysłowe, ciepłe kolory wlewali się do środka.

Zgubiłam Mari już jakiś czas temu. Ona i bibliotekarka z Perydotu zaszyły się gdzieś w rogu, popijając wino i analizując jakieś stare teksty o Fae. Ale nie przeszkadzały mi samotne przechadzki. Pomimo wcześniejszego narzekania czułam się dość atrakcyjnie w jedwabnej, drapowanej sukni, podobało mi się, jak otulała moje krągłości, roztopiając się na mojej skórze jak wosk ze świeczki.

Wzięłam kieliszek wina i wypiałam łyk. Gorzki smak był dla mnie obcy – wino w Bursztynie jest okropnie słodkie i ma karmelową barwę. To miało kolor porzeczek i poczułam je w kościach zaledwie po dwóch łykach. Przeszłam obok spoconych, rozbawionych nieznajomych i ruszyłam w stronę parkietu. Zwykle nie lubiłam takich zabaw, ale poziom anonimowości na dzisiejszym przyjęciu dawał mi poczucie wolności, którego wcześniej nie zaznałam. Zanim oddałam się wesołości, coś przyciągnęło moją uwagę. Nie coś... ktoś.

Kobieta tak olśniewająca, że to wręcz wstrząsające, eteryczna, z mlecznobiałymi włosami i delikatną koroną z liści, śmiała się na całe gardło do pewnego mrocznego króla.

Kane stał naprzeciwko niej, jedną rękę oparł się o ścianę za nią i uśmiechał się ponad brzegiem kufla piwa. Jej śmiech był jak dzwonki, lekki i melodyjny. Kontynuował historię, którą jej opowiadał, a tajemnicza kobieta słuchała uważnie, spijając każde słowo z jego ust. Po jakimś wyjątkowo zabawnym fragmencie wyciągnęła delikatną dłoń, żeby chwycić jego biceps, a ja odkryłam, że moje stopy poruszają się, zanim miałam szansę to pojąć.

– Dobry wieczór – powiedziałam, wpadając na nich z trochę zbyt dużym entuzjazmem.

Kane przyjrzał mi się uważnie, jego wzrok przesunął się po moim ciele cudownie powoli. Ale to mina, którą zrobił, kiedy dotarł do mojej twarzy, odebrała mi oddech.

– Arwen. Wyglądasz tak... pięknie.

Patrzyliśmy sobie w oczy odrobinę za długo, a na jego ustach pojawił się uśmiech pełen zachwytu.

Ale wtedy Kane wyraźnie przypomniał sobie, gdzie był, odchrząknął i wskazał na kobietę obok siebie.

– Arwen, to księżniczka Amelia. Księżniczko, to lady Arwen. Jest naszą uzdrowicielką.

Amelia z podsłuchanej rozmowy była księżniczką Prowincji Perydotu, wspaniałego, pokrytego dżunglą półwyspu, graniczącego z Onyksem, i córką gościa honorowego bankietu, króla Eryksa.

Na moją twarz wypłynął rumieniec wstydu.

– Wasza wysokość. – Dygnęłam.

Księżniczka nie wypowiedziała słowa, ale jej zmrużone oczy przekazały mi, że nie podobało jej się moje najście.

Cała nasza trójka stała tak niemrawo, aż nie mogłam już znieść tego napięcia. Wyraźnie przerwałam im jakąś ważną chwilę. Dlaczego w ogóle tu przyszłam? Żeby zrujnować Kane'owi wieczór? Przecież sama chciałam, żeby zostawił mnie w spokoju. Kto planował uciec jeszcze dziś wieczorem? Przez wino zaczynało wirować mi w głowie.

– Cóż. Miłego bankietu! Baranina jest wyśmienita – oświadczyłam przesadnie radośnie. Skrzywiłam się i odwróciłam, żeby odejść.

Kane owinął ciepłą dłoń wokół mojego ramienia z łatwością i pociągnął mnie z powrotem do siebie.

– Wasza wysokość – odezwał się do księżniczki, nadal mocno mnie trzymając – muszę zamienić słowo z lady Arwen. Czy mogę znaleźć cię za chwilę?

– Lepiej, żebyś to zrobił – odparła bez humoru sprzed chwili. Była równie poważna, co olśniewająca.

Wzruszyłam ramionami, jakbym chciała powiedzieć jej „na mnie nie patrz”, gdy Kane odciągał mnie na bok.

Szybko przeszliśmy przez wielką salę. Kiedy sobie uświadomiłam, że odciągał mnie z dala od bankietu, zaczęłam się szarpać.

– Dokąd mnie zabierasz? Puszczaj. Nie będę już cię niepokoić. Chcę zostać i potańczyć.

Kane albo mnie ignorował, albo nie słyszał moich protestów przez muzykę i wrzawę. Wyszliśmy z sali przez ukryte przejście, zesliśmy ciasną klatką schodową i wśliznęliśmy się do pobliskiej piwniczki na wina.

Kane zamknął ciężkie kamienne drzwi, odcinając nas od odgłosów bankietu, pomieszczenie pogrążyło się w ciszy. Miałam wrażenie, jakby napchano mi waty w uszy.

Mała przestrzeń była zatęchła i sucha. Wypełniona została po brzegi beczkami z winem, więc nie mieliśmy tu zbyt dużo miejsca dla nas obojga. Imponujący wzrost Kane'a nie pomagał. Czułam się mała, zarówno posturą, jak i zachowaniem.

– Przekłęte Kamienie, Kane. To niedorzeczne.

– Naprawdę masz język jak marynarz. – Zaśmiał się i oparł o drzwi.

– Nie myśl o moim języku.

Jego wzrok w ułamku sekundy zmienił się z żartobliwego w śmiertelnie poważny.

– Chciałbym umieć przestać, ptaszyno.

– Jesteś niepoprawny. – Prychnęłam.

– A ty zazdrosna. – Jego uśmiech przypominał wilczy.

– To niedorzeczne. Obrzydzasz mnie. Jestem... – Przerwałam, starając się wziąć w garść. Jaka byłam? – Przepraszam, że przerwałam tobie i księżniczce. To było niegrzeczne. – Założyłam ręce na piersi, ale szybko je rozplotłam, żeby nie wyglądać defensywnie.

– Prowadzimy wojnę, a ja staram się umocnić przymierze. Myślisz, że po prostu się zabawiam? Wyglądam ci na wielkiego fana bankietów? – Jego wzrok niczego nie zdradzał.

– Kto by przypuszczał, że polityka może wyglądać tak intymnie? – Zacisnęłam wargi w wąską linię.

– Ooo, ptaszyno. Zapłonęłaś gniewem na myśl o mnie z inną kobietą? – Kącik ust Kane'a wygiął się ku górze.

– Nie bądź niemądry. Jak najbardziej, używaj sobie. Tyle że jest dla ciebie trochę za młoda, nie sądzisz?

– Myślisz, że ile mam lat? – Kane wyglądał na urażonego.

– Nieważne, co ja myślę. To bez znaczenia. – Spróbowałam przepchnąć się obok niego, ale zablokował mi drogę.

– Cóż, mam nadzieję. Sama masz mężczyznę za kratami zaledwie kilka metrów pod nami, który uważa cię za swoją żonę.

– Oczywiście, Halden. Dziękuję, że go oszczędziłeś.

– Nie ma sprawy. – Ironicznie się uśmiechnął, a jego oczy rozbliły się. – Jednak nie jestem takim okrutnym królem.

– Naprawdę powinnam wracać. Mari będzie...

Fala uderzeniowa wstrząsnęła moim ciałem, rzucając mnie na Kane'a z brutalną siłą. Uderzyłam podbródkiem w jego mostek, a szczękę przeszył ból. Kane objął mnie ramionami i przycisnął do siebie, kiedy siła wstrząsu rzuciła nas na podłogę.

Wino zachlupotało, gdy beczki przewróciły się jedna na drugą, pękając. Dobięgl nas słaby odgłos krzyków z wielkiej sali nad nami, na co zacisnęłam powieki. Ziemia dalej drżała.

– Trzymam cię – stęknął Kane, kiedy beczka spadła z półki i uderzyła go w plecy. Każdy mięsień w moim ciele napiął się jak postronek, modliłam się, żeby drzenie ustało.

Przestań, przestań, przestań.

Kiedy wstrząsy osłabły, twarz króla znajdowała się zaledwie centymetry od mojej, a ciało szczelnie przyciskało się do mojego. Byłam oszołomiona, czując go wszędzie – muskularny tors przyciśnięty do moich piersi, nasze uda splecione, jego ramiona chroniące moją głowę. I silna dłoń, która wciąż delikatnie obejmowała moją szyję... tak delikatnie. O wiele zbyt delikatnie. Przy moim pierwszym urywanym wdechu wyplątał się z moich objęć z zawrotną prędkością.

Serce nadal łomotało mi z szoku, gdy oceniałam szkody.

Piwniczka na wina została zniszczona.

Kurz i gruz zasypały półki i podłogę, a ubrania nas obojga przesiąkły czerwonym winem. Oczy Kane'a zabłyśły przerażeniem, gdy zaczął przeszukiwać wzrokiem moje ciało.

– Jesteś ranna?

– Nie, to tylko wino – powiedziałam, ale uniosłam dłoń do ust i dotknęłam miejsca, gdzie przegryzłam wargę podczas upadku.

Ujął w dłoń moją żuchwę z taką delikatnością, że prawie zaczęłam dyszeć. Kciukiem ostrożnie odsunął moją dolną wargę, żeby obejrzeć ranę. Poczułam, że całe moje ciało się rumieni od intymności tego dotyku.

– Auć. Wybacz, ptaszyno. Napij się, to oczyści ranę. – Zabrał dłoń i sięgnął po nierozbitą butelkę, otarł ją z kurzu i mi podał. Wzięłam powolny łyk, utrzymując jego spojrzenie.

Wypuścił drżący oddech, kiedy patrzył, jak piłam z butelki i odstawiłam ją obok siebie.

– Co to było? – zapytałam, masując szczękę.

Ale odpowiedź dotarła do mnie o chwilę za późno. Wybuch Haldena. Był o wiele większy, niż twierdził, niezależnie, co zrobił.

Jeśli ktokolwiek został przez to ranny, ja...

– Może trzęsienie ziemi. – Kane wstał i przepchnął się przez gruzy do drzwi. – Zostań tu. Przyślę po ciebie Barneya.

Zanim zaczęłam się kłócić, pchnął drzwi. Ale nie ruszyły się. Żołądek ścisnął mi się momentalnie.

– Kane.

Poczułam drżenie w piersi. Mężczyzna pchnął drzwi ponownie, mocno, używając całego ciała. Mięśnie pleców napięły się pod koszulą, ścięła na szyi nabrzmiały.

– Kane.

Pociły mi się dłonie. Serce pędziło. Kane odpuścił, odsunął włosy z czoła i strzelił knykciami. Pchnął ponownie, ale nic się nie wydarzyło.

– Kane!

– Co? – Obrócił się.

Opierałam się na dłoniach i kolanach, łapiąc powietrze. Doskoczył do mnie i uspokajająco położył dłoń na moich plecach.

– Kurwa. Nic ci nie jest, mała ptaszyno. Zaufaj mi. Nie możesz umrzeć od samego strachu. Mamy tu mnóstwo powietrza.

Mówił to, co należało. Wszystko to, co powtarzałam sobie tysiące razy. To jak Nora próbowała mnie przez to przeprowadzić, albo moja matka, kiedy byłam młoda. Ale teraz nic nie mogło zmienić naszej sytuacji. Miałam wrażenie, że moja pierś zapadała się w sobie. Całe moje ciało drżało od adrenaliny, a myśli odpływały. Musiałam się stąd wydostać.

Teraz, teraz, *teraz*.

– Nie mogę tu zostać. – Wciągnęłam kolejny wielki haust powietrza.

– Spróbuj usiąść – powiedział.

Podciągnęłam się i oparłam o ścianę, zaciskając powieki.

– Dobrze. Teraz oddychaj powoli. Wdech przez nos, wydech przez usta.

W pomieszczeniu było mnóstwo powietrza. Nie zostanę tu na zawsze. Ścisnęłam dłoń Kane'a i walczyłam z potrzebą łapania oddechów otwartymi ustami.

– Niezły uścisk. Twoje treningi z Daganem muszą dawać dobre rezultaty.

Przytaknęłam, nadal zaciskając powieki.

– Jestem tak silna, że mogłabym cię udusić.

Kane zaśmiał się, a ten odgłos rozluźnił mnie jeszcze bardziej.

– Jesteś silna. Świetnie sobie radzisz. – Słowa otuchy sprawiły, że do oczu napłynęły mi łzy. – Powiedz mi, jak byś mnie udusiła.

– Co? – rzuciłam, patrząc na niego nagle.

– Słyszałaś. Chcę wiedzieć. Pozwól mi przygotować się na atak.

Wiedziałam, co robił. Ale okropnie potrzebowałam odwrócenia uwagi.

– Rozśmieszyłabym Griffina. Sam szok wystarczyłby, żeby cię rozproszyć. Wtedy wydusiłabym życie z twojej grubej szyi.

Kane zaśmiał się głośno – tym uzależniającym, szczerym śmiechem. Chciałam go wchłonąć. Wepchnąć sobie do ust tak, żeby nikt inny nie mógł go usłyszeć.

– Mów dalej, to mój ulubiony sposób śmierci. Z rąk ptaszyny.

Zacisnęłam powieki i odetchnęłam ponownie.

*Wdech, wydech.*

– Cóż, byłbyś już wtedy martwy. Więc przejęłabym Królestwo Onyksu i rządziła z Barneyem u boku.

Słyszając jego parsknięcie, uchyliłam jedno oko. W kącikach jego oczu zebrały się łzy. Moje wargi też drgnęły. Jego śmiech był zaraźliwy.

Jeszcze jeden powolny wdech i w końcu poziom adrenaliny w mojej krwi zaczął spadać. Nadal byłam na skraju, ale tętno spowolniło i znowu mogłam przełykać. Wypuściłam powietrze.

– Dziękuję.

Uśmiechnął się do mnie krzywo, ocierając łzy z oczu.

– Nie, to ja dziękuję tobie. – Powoli zaczął kreślić kółka kciukiem na mojej dłoni. To doznanie miało mnie uspokoić, ale ja czułam tylko płynny żar w żyłach od nawet najmniejszego kontaktu. Wyjęłam dłoń z jego uścisku.

– Nie martw się, ptaszyno. Nie zostaniemy tu długo. Będą nas szukać. Ktoś w końcu zauważy, że król zniknął.

Oparłam czoło o podciągnięte kolana i wypuściłam drżący oddech. Usłyszałam, że wstał i zerknęłam, by zobaczyć, że wziął pokaźny łyk z butelki wina. Jego gardło załśniło od potu w przyćmionym świetle. Wziął jeszcze jeden łyk i wskazał butelką na mnie.

– Mogę zaproponować ci coś do picia?

– Naprawdę nie możesz otworzyć tych drzwi?

Usiadł obok i podał mi wino. Na jego twarzy zatańczyło zmartwienie, ale natychmiast zniknęło.

– Obawiam się, że nie.

Alkohol był gorzki i ciężki, czułam to doskonale na języku. Piłam i piłam, mając nadzieję, że trunek ukoi chociaż odrobinę napięcia w moim ciele. Znowu ogarnęło mnie poczucie winy, bo dobrze się bawiłam z Kane'em. Nawet jeśli starałam się złagodzić czystą, obezwładniającą panikę.

– Dobra, dość tego. – Kane wskazał na wino.

Sączyłam je dalej, aż opróżniłam butelkę. Będę potrzebowała wszelkiej pomocy, żeby przetrwać, uwięziona tutaj z nim.



– Spróbujmy innej formy rozproszenia – powiedział, wyjmując butelkę z moich rąk.

Szybko poczułam wpływ wypitego alkoholu, moje ciało się rozluźniło, a z mojego gardła wydobył się lekko wibrujący pomruk. Spojrzałam na Kane'a chyba pierwszy raz, odkąd zostaliśmy uwięzieni. Ciemne włosy miał odsunięte z twarzy, mokre od potu i zapewne rozlanego wina. Korona była lekko przekrzywiona. Zanim pojęłam, co robiłam, wyciągnęłam rękę i ostrożnie ją wyprostowałam. Jego niesamowite, stalowe oczy przesuwają się po mojej twarzy. Odsunęłam dłoń i pozwoliłam, by ręka opadła mi na kolano.

– Też chcesz mnie pouczać o tym wszystkim, czego nie rozumiem na temat kontynentu i jaka jestem żałosna?

– Nie miej o sobie tak niskiego mniemania, ptaszyno. Nigdy nie staram się ciebie obrazić. Nie masz pojęcia, za jak wyjątkową cię uważam.

– Niezły tekst. Uwierz mi, nie ma we mnie niczego wyjątkowego – prychnęłam.

Odchrząknął i spojrzał w sufit, jakby prosił jakiś nieznany byt o siłę. On też musiał mieć dość naszego trudnego położenia.

– Co dokładnie miałeś na myśli? Mówiąc o rozproszeniu? – zapytałam.

– Nie jestem pewien. Co ty i twoja śliczna rudowłosa przyjaciółka robicie dla zabawy?

Wyrwał mi się szczery śmiech, nie byłam nawet pewna dlaczego. Sięgnęłam nad głowę po drugą butelkę i otworzyłam ją.

– Co jest takie zabawne? – zapytał Kane. – Poza tym, że wlewasz w siebie najdroższe wino w zamku jak wodę?

Zaśmiałam się jeszcze głośniejszym śmiechem i wypiliśmy kolejny łyk.

– Nie wiem. – Zachichotałam. – Myślę, że to zabawne, że nie wiesz, jak się bawić.

Spojrzał na mnie z udawaną złością. Byłam boleśnie urocza.

– Wydaje mi się, że wykorzystujesz moje wyznania ze stawu przeciwko mnie. Kiedyś bez przerwy się bawiłem. W zasadzie byłem z tego znany.

– Tak, cóż, ja i Mari nie „bawimy” się w taki sposób – parsknęłam.

– To druzgocąca wiadomość.

Z jakiegoś powodu nie potrafiłam zachować powagi. Zaczęłam śmiać się jeszcze mocniej.

– Nie rób sobie nadziei, Kane. Nie jesteś w jej typie.

– Jestem w typie każdej.

Udałam, że wymiotuję i tym razem to Kane zaczął się śmiać. Odgłos był głęboki, dudnienie dochodziło z głębi jego piersi, a w oczach zalśniły mu iskierki rozbawienia.

– Wiem. Gorzej być nie może – wymamrotałam.

– Och. Moja biedna, zazdrosna ptaszyna. Powiedziałem ci, że nie jestem już zainteresowany księżniczką.

Pokręciłam głową. Wszystko źle zrozumiał – nie mówiłam o niej. Mówiłam o s...  
Wtedy mój mózg przestał działać.

– Już? – zapytałam, ledwo utrzymując przerażenie w ryzach.

– Spędziliśmy trochę czasu razem. Intymnie. Wiele lat temu. – Skrzywił się.

Westchnęłam, jakbym oglądała jakąś kiepską sztukę teatralną, a Kane zaśmiał się jeszcze głośniej. Próbowałam śmiać się z nim, ale gdy w mojej głowie pojawił się obraz ich razem, miałam ochotę się podpalić. Jej długie, białe włosy owinięte wokół jego silnej dłoni. Jego pojękiwania pełne przyjemności, kiedy wchodził w nią głęboko...

– Arwen... – Na szczęście przerwał bieg moich myśli. – To nic nie znaczyło. Nic do niej nie czułem.

– Och, więc ją wykorzystałeś?

Odrzucił głowę w tył, uderzył o beczkę z winem i znów się skrzywił.

– Zawsze taka trudna. To odbywało się za obopólną zgodą. Taki układ między starymi przyjaciółmi. Tak było... przedtem.

– Przed czym? – zapytałam, w moich słowach przebijała się ostrożna nadzieja.

Zmrużył oczy, patrząc na moje usta, ale nie odpowiedział.

Przez chwilę jedyne, co słyszałam, to równomierne kapanie rozlanego wina spływającego na podłogę.

– Nie za bardzo masz prawo do zazdrości – zauważył w końcu, po czym opróżnił butelkę do końca. – Zważywszy na to, że wciąż jesteś tak przywiązana do tego ludzkiego ścierwa w celi pod nami.

Myśl o Haldenie od razu zabiła we mnie radosną nutę.

Spuściłam wzrok na dłonie.

– Nie sądzę, żeby wciąż był pod nami.

– W takim razie to nie trzęsienie ziemi?

Pokręciłam głową.

– I wiedziałaś?

Nie potrafiłam podnieść wzroku, bo nie zniosłabym widoku gniewu i poczucia zdrady w jego oczach. Nic nie powiedziałam.

– Cóż, ze względu na ciebie mam nadzieję, że uciekł. Jeśli moi ludzie go złapali, nie pożyje na tyle długo, żeby zobaczyć świt.

Odwróciłam się jeszcze mocniej od Kane'a, żeby nie widział mojego wyrazu twarzy. Zdradziłaby ból, jaki czułam na myśl o śmierci Haldena.

– Czego oni chcieli? Ze skarbcza? – zapytałam.

– Czegoś, czego dawno już tam nie ma.

Kane wstał i zaczął krążyć po małej przestrzeni. Przypominał mi uwięzioną bestię ze zjeżoną sierścią i mocą buchającą od niego falami. Ta zatęchła piwnica z niskim sufitem była za mała, żeby go utrzymać.

Zaklął pod nosem i odwrócił się do mnie.

– Muszę jutro wyjechać. Wrócę tak szybko, jak będę mógł. Ale nie ruszaj za nim pod moją nieobecność. – Przyklęknął. – Za tymi murami czai się zło, czeka tylko na twój jeden fałszywy ruch.

Przetwarzałam w głowie jego prośbę. Już wcześniej słyszałam te ostrzeżenia, ale głos Haldena odbijał się echem w moich uszach. „Las nie jest tak niebezpieczny, jak każą ci wierzyć”.

Widział, że mu nie wierzyłam, dostrzegałam to w jego oczach. Wyglądał, jakby musiał podjąć bardzo trudną decyzję.

– Muszę ci coś wyjaśnić.

Chciałam skłonić go, żeby mówił dalej – zabiłabym, by uzyskać odpowiedzi – ale czułam, że w każdej chwili mógł zmienić zdanie.

– Arwen... – Przerwał, z irytacją przeczesując włosy palcami. – On jest mordercą.

# DZIEWIĘTNASTY

Mdlący dreszcz przeszedł mi wzdłuż kręgosłupa. *O czym on mówił?* Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Nie, to ty jesteś mordercą.

– Może tak, ale nie mam zwyczaju zabijać niewinnych z zimną krwią. – Kane rozejrzał się wokół z irytacją.

– Halden też nie. – Całe moje ciało zeszywniało.

– Był zabójcą na usługach króla Bursztynu. On...

– Jestem pewna, że ty też masz zabójców. – Słyszałam, że mój głos staje się wyższy.

Twarz Kane'a stwardniała.

Pamiętałam, jaką moc posiadał, i poczułam, że kurczę się w sobie.

– Co to za obsesja w porównywaniu nas? Nie twierdzę, że jestem kimś innym.

Kiedy nie odpowiedziałam, złagodniał, ale jego ton nadal był zgorzkniały.

– Twój wspaniały król Gareth wysłał oddział Haldena do Onyksu, żeby zabić Fae.

Całe moje ciało znieruchomiało. Nie mogłam się ruszyć – nie mogłam oddychać. Przycisnęłam dłonie do chłodnej kamiennej podłogi, żeby zachować równowagę.

– Nie powiedziałem ci, bo to prawdziwe brzemię rozumieć, co naprawdę leży na szali. Nie chciałem cię skrzywdzić. Ale patrzeć, jak litujesz się nad tym kretyńcem bez kręgosłupa, sprawia, że czuję... irytację.

Pomieszczenie nie chciało przestać wirować, a serce szalało mi w piersi.

– Więc oni... – Przełknęłam gulę w gardle. – Są prawdziwi?

– Ile o nich wiesz... o Fae?

– Niewiele – przyznałam, nadal wstrząśnięta. – Okrutne pradawne stworzenia. Bardzo przerażające, bardzo stare i bardzo martwe.

– Wieki temu istniała cała ich kraina, tak jak śmiertelników. Ale Fae byli wymierającym gatunkiem, a ich król ostatnim prawdziwym żyjącym Fae.

Całkowicie zeszywniałam. Otworzyłam oczy jak najszerzej i starałam się opanować oddech i wirujące myśli. Wino naprawdę nie pomagało.

– Co to znaczy „prawdziwy Fae”?

– Czystej krwi. Bez śmiertelników wśród przodków. Ale władca był ostatni. Nawet jego dzieci nie były czystej krwi, bo babka jego królowej była wiedźmą. Ziemie, które zasiedlali, Kraina Fae, stawały się coraz uboższe w zasoby. Dzieci Fae to rzadkość,

a śmiertelnicy odznaczali się płodnością, a im więcej śmiertelnych dzieci rodziło się w tej krainie, tym więcej było gęb do wykarmienia, domów do zbudowania i wojen do stoczenia. Kraina funkcjonowała dzięki unikalnej mocy Fae, nazywanej świetlistością, z którą rodził się każdy z nich. Butelkowano ją i sprzedawano, wykorzystując do napędzania wszystkiego. Mogła leczyć, budować, niszczyć. Ale docierała z odległych krańców ziemi Fae i nie była nieskończona. Właśnie dlatego Faerie nie rodzą się tutaj, w Evendell. Im magicznego ludu mniej, tym świetlistość stawała się rzadsza i jeszcze cenniejsza. Wkrótce kraina nie mogła sobie poradzić z napływem ludzi, a niegdyś magiczny świat stał się jałowym pustkowiem. Z nieba padał popiół, a bujne, zielone łąki zmieniły się w popękaną, suchą ziemię. Trzęsienia ziemi, ognisty deszcz i narodziny demonów, które wręcz rozkwiwały w takich warunkach, stały się plagą tych ziem. Ludzie głodowali i cierpieli. Błagali króla Fae, Lazarusa, żeby okazał większą łaskę dla krainy, by racjonował świetlistość, znalazł zasoby, ale odmówił.

– Jak to możliwe, że nie wiedziałam o tym wszystkim? – Ta historia była jak stara opowieść ku przestrodze. Zastanowiłam się lepiej nad swoim pytaniem. – I jakim cudem uczeni i takie mole książkowe jak Mari nic o tym nie wiedzą?

– Tylko najwyższa szlachta i rodzina królewska Onyksu znają prawdę. I ty. – Na jego twarzy pojawiły się rumieńce.

Moje serce zatrzepotało.

– Dlaczego tylko Onyks? – zapytałam.

– Kiedy uchodźcy z tej krainy zaczęli wyruszać do Evendell, Onyks był dla nich najbliższym królestwem. Niektórzy przemierzali się natychmiast, przy pomocy świetlistości albo magii. Inni przygotowywali się do długiej, zdradzieckiej podróży przez zakazane lądy i morza. Niewielu przeżyło. Kiedy Lazarus uświadomił sobie, że jego poddani odchodzili, wybudował mur, żeby ich zatrzymać. Przekonywał, że to dla ich bezpieczeństwa przed wszystkimi tymi, którzy chcieli ukraść ich świetlistość. Prorok, czyli Fae, którego moc przynosi wizje przyszłości, został pewnej nocy wyciągnięty ze snu, żeby przekazać przepowiednię.

Prorok był Fae... a przepowiednia, o której Kane wspomniał kilka miesięcy temu, dotyczyła króla Fae. Ale co to miało wspólnego z nim? Albo z Haldenem?

– Mała, ale potężna grupa wykorzystała swoją zdolność przewidywania do poprowadzenia rebelii, ale poległi. – Zacisnął zęby. – Zginęły tysiące. Podczas odwrotu zaledwie setka Fae przedostała się do Onyksu, żeby zacząć od nowa. Właśnie dlatego do dzisiaj są w tym królestwie Fae i niziołkowie.

Przerażenie wywołane jego słowami sprawiło, że serce ścisnęło mi się w piersi.

– Jak zdołali się wydostać? – zapytałam.

Jego oczy wypełniły się żalem.

– Ponośząc ogromne osobiste koszty.

W głowie wirowało mi od natłoku myśli. Przez cały czas Fae byli prawdziwi. A niektórzy żyli nawet dzisiaj tu w Onyksie.

Potrząsnęłam głową, niezdolna znaleźć odpowiednich słów, by opisać swój szok.

– Mam pewnie ze sto pytań – powiedziałam, wpatrując się w beczki z winem przede mną. Uśmiezek Kane’a mówił: „Też mi niespodzianka”.

– Ale co ta lekcja historii ma wspólnego z Haldenem?

Jego źrenice zapłonęły.

– Jakies trzy lata temu moi szpiedzy poinformowali, że król Gareth zawarł umowę z królem Lazarusem.

Lodowate przerażenie spłynęło po moim kręgosłupie.

– On wciąż żyje?

– Każdy Fae, który ma w sobie przynajmniej połowę czystej krwi, może żyć bardzo długo. Lazarus prawdopodobnie dobją tysiąclecia. Obiecał Garethowi i jego najwyższym dygnitarzom niewyobrażalną moc, bogactwa i świetlistość w zamian za nowe ziemie, bezludne.

– Jak...? – Nie wiedziałam, jak dokończyć to zdanie. Poczułam bezbrzeżne przerażenie. Sięgnęłam po kolejną butelkę wina.

– Lazarus nie będzie miał problemu z obróceniem całego królestwa w proch, jeśli oznaczałoby to nowy początek dla Fae, którzy pozostali w jego królestwie – odparł Kane, patrząc, jak strumyk rozlanego wina płynął powoli po zakurzonej podłodze.

– Więc zniszczył swój świat z chciwości, a teraz, kiedy ten nie może już mu służyć, chce przejąć nasz?

Kane zacisnął zęby.

– Dokładnie. Próbowałem przekonać Garetha, że nie może ufać Lazarusowi, że mógłbym dać mu wszelkie bogactwa, jakich pragnął. Ale ten imbecyl nie dał się przekonać. Teraz Lazarus i Gareth zbierają sprzymierzeńców, żeby sprowadzić wojnę na Evendell.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego Gareth i Lazarus mieliby chcieć mordować Fae. Czy to nie ludzie Lazarusa? Jego poddani?

Kane westchnął głośno.

– Są jego dezertkami. Każdy Fae tu w Onyksie, czy gdziekolwiek indziej, jest żywym dowodem na to, że doszło do ucieczki z jego krainy. – Kane potarł szczękę w zamyśleniu. – Jest bardzo mściwym królem. Wszystko, co myślałaś o mnie, przy nim wydaje się dziecięcą zabawą.

Zawrzało we mnie poczucie winy.

– To dlatego Onyks zaatakował Bursztyn? Ci z krwią Fae żyją w twoim królestwie, a Gareth ich mordował? – Czy Halden nie mówił czegoś takiego? Mój umysł był jak skotłowana pościel. Nie mogłam uwierzyć, że Halden mnie okłamał. Miałam ochotę przyłożyć mu w twarz.

– Częściowo. To bardziej skomplikowane.

Jak zawsze.

– Więc dlaczego jesteś tu, a nie w Willowridge, żeby chronić swoich ludzi?

Kane przesunął dłoń po twarzy, wyraźnie żałując swojej decyzji, żeby cokolwiek mi powiedzieć.

– Król Fae chce mnie i to nawet bardziej niż dezertarów. Zapewniam bezpieczeństwo mojemu miastu, pozostając tutaj, w warowni. Z dala od nich.

Strach, którego się nie spodziewałam, zmroził moją duszę. Strach przed królem Garethem i tym, co mogłoby się stać, gdyby przejął zamek.

– Jesteśmy tu bezpieczni?

– Na razie. Chyba że ten kretyn powie Garethowi, że tu jestem.

Nie była to najbardziej pocieszająca odpowiedź.

– Świetnie – powiedziałam, mój głos ociekał sarkazmem. – Pomogłam uwolnić mordercę, który zabijał niewinnych, i mam tę przyjemność pozostawać więźniem w zamku, który przez to jest skazany na zagładę w każdej chwili, z ręki okrutnego króla Fae. Fortuna mi sprzyja.

Kane prychnął.

– Oboje wiemy, że już od jakiegoś czasu nie jesteś tu więźniem. A jednak zostałam.

Zbyt już znajome ukłucie poczucia winy znowu dźgnęło mnie w pierś.

Nie powinnam mu mówić.

Nie *musiałam* mówić mu czegokolwiek.

Ale jednak – słowa cisnęły mi się na usta, gdy tak przyglądał mi się z łagodną ciekawością.

Nie. Ukrywał przede mną tak wiele, że nie byłam mu nic winna. Dlaczego czułam potrzebę, żeby...

– Zamierzałam odejść – wypaliłam. – Dzisiaj. – *Przeklęte wino.*

Wyraz twarzy Kane'a był nieodgadniony.

– Ale utknęłam tutaj, więc Halden zapewne już uciekł beze mnie. – Nie rozpoznałabym furii Kane'a, gdybym nie spojrzała na jego dłonie. Jego knykcie były sztywne i białe, gdy zaciskał i rozwierał pięści. – Nie rozumiem, dlaczego to ma dla ciebie znaczenie. Nie jestem twoją własnością.

– Wiem o tym. – Brzmiał na zirytowanego.

– I czuję ogromną wdzięczność, że usiłujesz znaleźć moją rodzinę, nie jestem też tak nieszczęśliwa tutaj jako uzdrowicielka, jak sądziłam, ale musisz zrozumieć. Halden był jak rodzina. Musiałam z nim uciec, skoro miałam szansę.

– Wiem.

– I gdybym tylko...

– Arwen. – Odwrócił się do mnie, na jego twarzy malowała się raczej frustracja niż złość. – Nie jestem zły za to, że planowałeś ucieczkę. Jestem zły, ponieważ ten imbecyl cię zostawił.

Teraz byłam całkiem dezorientowana. I tym razem nie przez wino.

– Co? Chciałeś, żebym odeszła z mordercą Fae?

Usta Kane'a lekko zadrgały.

– Nie – odparł, starając się zachować cierpliwość. – Nieważne.

Pokręciłam głową. On... martwił się o... mój honor.

Prawie wybuchnęłam śmiechem. Okazywało się, że jednak nie był potworem. Ani trochę.

– Więc wszystko to, co o tobie myślałam... co myśli cały kontynent. Wojna, którą rozpętałeś... to wszystko, żeby walczyć z królem Fae?

– Cóż – zaczął żałośnie, na jego twarz cisnął się lekki uśmiezek. – Nie sprowadzaj tego wszystkiego do takiej cnoty. Nadal jestem trochę dupkiem.

Nie mogłam zmusić się nawet do uśmiechu na jego słowa. Wciąż starałam się poukładać to sobie w głowie.

Fae, nadchodząca wojna, jeszcze *nikczemniejszy* król. Przepowiednia...

Przypomniałam sobie słowa, które tak często nie dawały mi spać tutaj, w Shadowhold.

*Znasz słowa proroka równie dobrze jak ja. Kończy się czas. Mamy niecały rok.*

– Co mówiła przepowiednia?

– To rozmowa na inny dzień. – Jego zmęczony wzrok przesunął się po mojej szyi. – Bardziej trzeźwy dzień.

Przytaknęłam. Dostałam dość informacji – nie byłam pewna, czy zdołałabym przyswoić więcej.

Dokończył kolejną butelkę wina i oparł się o ścianę obok mnie, zamykając oczy. W trakcie długich minut płynących jak krople wody po szkle, moje myśli wirowały od wiedzy o tym wszystkim, co błędnie zrozumiałam. Nie mogłam dłużej znieść ciszy.

– Siedzimy tutaj od stu lat? – zapytałam, obserwując jak odpoczywał. Jego twarz była nieskazitelna. Jakby wyciosana przez same Kamienie.

Zastanawiałam się, czy odczuwał jakąkolwiek ulgę, dzieląc się ze mną tym wszystkim, czy może ta intymność go przeraziła; sprawiła, że poczuł się słaby, jak



kiedyś się obawiał.

– Tak – odpowiedział, wciąż z zamkniętymi oczami. – Dlaczego się na mnie gapisz?

Od razu odwróciłam wzrok.

– Nie gapię się.

– To sprawiedliwe. Ja gapiłem się na siebie. Przez większość czasu, gdy jesteś obok, mam wrażenie, że nie mogę patrzeć na nic innego.

Odwróciłam się do niego ponownie i odkryłam, że patrzył wprost na mnie. W ten sposób nasze twarze znajdowały się o wiele za blisko siebie. Musiałam się odsunąć, ale czułam niewytłumaczalne przyciąganie. Te niespokojne oczy przyglądały mi się uważnie. Stalowa szarość do oliwkowej zieleni.

Serce załomotało mi w piersi.

Uniósł dłoń do mojej twarzy, ostrożnie, jakby nie chciał mnie przestraszyć. Przesunął kciukiem po moim policzku, a ja mruknęłam bezwiednie.

Wyraz twarzy Kane'a się zmienił. Wiedziałam, że w jego oczach błyszczała potrzeba, będąca odbiciem mojej własnej. Nie mogłam temu dłużej zaprzeczać. Przyciąganie, jakie do niego czułam, było niczym tępy ból, który nigdy nie ustawał. Obliziałam dolną wargę w nadziei, że przekażę dokładnie to, czego chciałam. Gdybym była odrobinę odważniejsza – albo wypła trochę więcej wina – może sama bym to wzięła. Ale coś w nim nadal mnie przerażało, tylko może teraz z innego powodu.

Patrzył, jak mój język pieścił dolną wargę, wplótł palce w moje włosy, obejmując policzek. Ścisnął na tyle mocno, że podwinęłam palce u stóp. Chyba zaskomlałam, bo przysunął się jeszcze bliżej, aż poczułam na wargach jego gorący oddech. Pachniał winem, skórą i miętą. Zamknęłam oczy i pochyliłam się do niego.

– Och, do kurwy nędzy. – Zirytowany męski głos dobiegł od strony drzwi, teraz szeroko otwartych.

Podskoczyłam chyba z metr w górę i odpełzłam od Kane'a, który ani drgnął, pozostając na podłodze. Griffin wraz z grupą żołnierzy i strażników stał w drzwiach.

– Komandorze – Król przywitał go swobodnie. – Najwyższy czas.

\*\*\*

Po opuszczeniu piwniczki na wino Kane wysłał mnie do szpitala, a sam wraz z Griffinem poszedł ocenić szkody. Na szczęście bardzo niewiele osób ucierpiało podczas wybuchu. Zająłem się kilkoma biesiadnikami z Perydotu i Onyksu, którzy doznali wstrząśnienia mózgu, i dwoma strażnikami z oparzeniami po wybuchu Haldena. Może nie była to moja najlepsza robota, bo pozostawałam nieźle

wstawiona, ale na szczęście moje zdolności uzdrawiania stanowiły drugą naturę. Wróciłam do swojego pokoju dopiero w późnych godzinach nocnych.

Stopy mnie bolały, kiedy otworzyłam drzwi.

Od razu poczułam jego obecność w słabo oświetlonej sypialni. Kane leżał na moim łóżku z ręką pod głową – uosobienie komfortu.

– Gdybym dostawała mieszek pieniędzy za każdym razem, kiedy znajduję cię w miejscu, w którym nie powinieneś być, stałabym się bardzo bogatą uzdrowicielką.

Roześmiał się.

– Jak było w szpitalu?

Zdjęłam buty, bo stopy pulsowały bólem, i weszłam do łóżka, kładąc się obok niego w ubraniach.

– Wyczerpująco. I możliwe, że zajęłam się niektórymi żołnierzami trochę zbyt surowo. Ale są twardzi. Komu potrzebne wszystkie pięć palców?

Wpatrywał się we mnie zszokowany, aż wybuchnęłam śmiechem.

– Żartuję. Nikomu nic nie jest, może tylko są trochę roztrzęsieni. – Westchnęłam i zapatrzyłam się w słoje na drewnianym suficie nad nami. Podążył za moim wzrokiem.

– Cieszę się, że to słyszę.

– Więc, co się teraz stanie? – Odwróciłam się do niego.

– Moi najlepsi szpiedzy właśnie starają się wytropić ludzi Bursztynu. Jutro Griffin i ja ruszymy śladem, który znajdują. Musimy ich złapać, zanim przekażą Garethowi albo Lazarusowi jakieś informacje na temat mój lub Shadowhold. Cała warownia i goście z Perydotu wierzą, że ten wstrząs to tylko nieszczęśliwy wypadek w kuchni. Dzisiaj nie możemy zrobić wiele więcej.

– A jak poważne ja mam kłopoty? – Przygotowałam się na najgorsze.

– Prawdę mówiąc, ptaszyno, mogę winić tylko siebie. Powinienem był wiedzieć, że nie należy nigdy grozić komuś, na kim ci zależy. Kochasz zbyt zaciekle.

Chciałam mu przypomnieć, że nie byłam zakochana w Haldenie, zanim uświadomiłam sobie, że nie miał na myśli romantycznej miłości. Jego tolerancja wobec mojej zdrady okazała się szokująca.

– Cóż, przepraszam za mój udział. Gdybym wiedziała, kim był... – Nie miałam pojęcia, jak skończyć to zdanie.

Kane tylko skinął głową i ponownie zapatrzył się na drewniane listwy na suficie.

– Mam tyle pytań odnośnie do tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej. O historię Fae. Mari pewnie aż by się trzęsła z ciekawości.

Usta Kane'a zadrgały, ale nie powiedział nic więcej, a ja nie pytałam. Może czułam, że po tym, co zrobiłam, żeby pomóc Haldenowi w ucieczce, nie zasługiwałam, żeby

go o cokolwiek wypytywać.

Przez chwilę leżeliśmy w komfortowej ciszy. Nie byłam pewna, czy to wino wciąż krążyło mi w żyłach, czy ulga, że w końcu zrozumiałam mężczyznę leżącego obok mnie, a może późna, dziwna godzina nocna, ale nie mogłam się zmusić, żeby nienawidzić Kane'a choć minutę dłużej.

Prawdę mówiąc, prawdopodobnie nie nienawidziłam go już od dnia spędzonego w lesie.

– Opowiedz mi o Abbington.

Jego słowa mnie zaskoczyły, aż lekko zeszywniałam.

– Już ci mówiłam. I jak je nazwałeś? „Zbiorowisko chat”?

Ale on tylko pokręcił głową i skupił wzrok na mnie.

– Nie, te dobre rzeczy. Opowiedz mi, co lubiłaś w dorastaniu tam.

Było łatwiej, niż się spodziewałam, by znowu wyjść na polanę przed moim domem, na brukowane ulice, zobaczyć małe domki i gospodarstwa. Poczułam rześkie powietrze, ujrzałam całoroczne zbiory kukurydzy, parę unoszącą się nad moją herbatą z żurawiną i jabłkami, ciepłą w chłodnym wnętrzu kuchni.

– Nie było wytwornie, nie mieliśmy takich wspaniałości jak ty tutaj nawet w środku lasu. Ale każdy był miły, staraliśmy się pomagać sobie nawzajem. Tawerny były ciepłe i pełne ludzi, zachody słońca nad górami spektakularne każdego wieczora. Sama nie wiem... to po prostu dom.

– A twoja rodzina? Jacy oni są?

– Leigh, moja siostra, jest utrapieniem. Zbyt bystra na swój wiek i zawsze mówi to, co przyjdzie jej do głowy. Ale jest naprawdę mądra. Umie mnie rozśmieszyć. Polubiłbyś ją. Ryder jest czarujący. Ma w sobie tę pewność siebie, za którą nawet szarlatan podążyłby ślepo. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto nie byłby nim całkowicie oczarowany. Nawet nasi rodzice. A moja matka... – Odwróciłam się do Kane'a, miał melancholijny wyraz twarzy. Ucisk w sercu sprawił, że zamilkłam.

– Twoja matka?

Odchrząknęłam.

– Kiedyś śpiewała podczas gotowania, gdy była zdrowsza. Zawsze wymyślała piosenki, i żadna z nich nie brzmiała zbyt dobrze. Próbowwała zrymować „selera” i „przyjaciela”, takie tam. – Uśmiechnęłam się, chociaż miałam ściśnięte gardło. – Dzięki niej wszystko było lepsze. Każdy zły dzień w szkole, każda drzazga, każda sytuacja, w której czułam się tak przerażona, że nie mogłam oddychać. Była chora przez całe moje życie i nigdy nie narzekała. Ani razu.

– Przykro mi – powiedział Kane, ze zbolalym wzrokiem. – Z powodu tego, co ta wojna zrobiła z twoim domem i rodziną. Przysięgam, że ich dla ciebie znajdę.

Przytaknęłam. Wierzyłam mu.

– A pewnego dnia, kiedy Lazarus zostanie pokonany, odbuduję wszystkie miasta i wioski takie jak twoja. Odnowię domy, wyleczę rannych.

– Z tym ostatnim mogę ci pomóc – zaoferowałam, zanim uświadomiłam sobie, jak żałośnie zabrzmiałam. Praktycznie błagałam, żeby mnie tu zatrzymał. Zabrał ze sobą.

Jego oczy rozbłysły czymś nowym. Czymś, czego nie potrafiłam do końca określić, a co zaraz zniknęło.

– Uzdrawianie to twoje ulubione zajęcie, ptaszyno? Czy robisz to tylko dlatego, że masz dar?

– Naprawdę uwielbiam leczenie ludzi. I lubię, że jestem w tym dobra. Czy to zarozumiałe?

– Oczywiście, że nie. – Jego usta wygięły się w uśmiechu.

– Moje ulubione zajęcie to... Kocham biegać. Gdybym mogła, biegałabym każdego ranka i wieczora. Spałabym jak dziecko. Uwielbiam też kwiaty. Myślę, że podobałoby mi się bycie zielarką. A Mari wciągnęła mnie w czytanie. Lubię historie miłosne i monumentalne fantastyczne opowieści o piratach i zdobywcach.

Sapnął z rozbawieniem.

– Nie lubisz czytać? – zapytałam.

– Lubię. – Założył mi za ucho brązowe pasmo, które opadło na twarz, a całe moje ciało zapłonęło jak zapalka.

Zmuszałam się do zachowania spokoju, ale palce moich stóp zadrgały i byłam pewna, że to zobaczył.

– Ale jak sama dziś stwierdziłaś, jestem stary i nudny. Lubię książki o polityce.

Udałam, że powoli umieram z nudów, czym zasłużyłam sobie na śliczny uśmiech.

– W porządku. Co jeszcze uwielbiasz? – Potrzebowałam czegoś więcej. Podobało mi się dowiadywanie nowych rzeczy o nie-nikczemnej stronie Kane'a. Wyobraziłam go sobie w innym życiu, smarującego masłem kromkę chleba i czytającego ogromną, nudną księgę w małym domku nad morzem, podczas gdy dzieci spałyby w pokoju obok. Starłam się nie rozważać, czy ja też byłam w tym domku, biorąc gorącą kąpiel.

– Cóż, wiesz już, że dorastając, uwielbiałem grać na lutni. Lubię grać w szachy z Griffinem. On jeden potrafi mnie pokonać.

– Taki skromny król – zadrwiłam.

– Prawdę mówiąc, nie robię już zbyt wielu rzeczy, które lubię.

Ta myśl wywołała we mnie ogromny smutek.

– Cóż, będziemy musieli to zmienić. Kiedy ta wojna się skończy i będziesz mógł na chwilę porzucić swoje królewskie obowiązki, zabiorę cię na moje ulubione

wzgórze nad moim domem w Bursztynie. Nie ma nic lepszego niż kubek cydru i zachód słońca nad Abbington.

– Jesteś w tym naprawdę dobra.

– W czym?

– W nieustannym optymizmie.

– Nie brzmi to jak coś dobrego. – Z rozbawienia zadrgały mi wargi.

– Nie ma niczego bardziej wartościowego w świecie tak mrocznym jak nasz – odparł.

Oboje leżeliśmy na boku, wpatrując się w siebie nawzajem. Dzieliło nas zdecydowanie za mało miejsca, a zarazem w pewnym sensie za dużo. To była tortura. Poszukałam w myślach kolejnego pytania, żeby przerwać to napięcie.

– Ostatnim razem, kiedy mnie tak zaskoczyłeś, wciąż uważałam cię za więźnia. Dlaczego przyszedłeś odwiedzić mnie tamtej nocy?

– Co masz na myśli?

– Za pierwszym razem, kiedy się spotkaliśmy, byłeś w lochach, żeby wyciągnąć z kogoś informacje. Za drugim, potrzebowałeś pomocy medycznej. Jestem jedyną uzdrowicielką i myślałeś, że ci nie pomogę, jeśli dowiem się, że jesteś królem... w porządku, to ma sens. Ale za trzecim razem stałeś przed moją celą, czekałeś na mnie. Powiedziałeś, że sprawdzałeś, czy nadal planowałam ucieczkę. Ale nie uwierzyłam ci wtedy i teraz też nie wierzę. Więc dlaczego?

Przesunął dłoń po żuchwie w zamyśleniu.

– To, co powiedziałem ci tamtej nocy, było prawdą. Zajmowałem się czymś nieprzyjemnym. Po wszystkim chyba po prostu chciałem... znaleźć się blisko ciebie.

Mój puls przyspieszył i czekałam na więcej. Więcej, więcej, więcej.

– Nie jako król, którego wiedziałem, że nienawidzisz. Ale jako mężczyzna, którego polubiłaś.

Więc miałam rację po tym dniu, kiedy ścigaliśmy się do stawu.

Ostrożnie dobierałam kolejne słowa.

– Powiedziałeś jakiś czas temu, że nie miałam o sobie zbyt wysokiego mniemania.

– Żar rozpalił mi policzki, kiedy to przyznawałam, ale ciągnęłam: – Że uważałam moje życie za mniej warte niż życie mojego brata. Niedługo potem uświadomiłam sobie, jak rzadko walczyłam o siebie i w ogóle myślałam o sobie przez tyle lat. Czy to możliwe, że cierpisz na podobną przypadłość?

Kane ujął moją dłoń. Jego była szorstka i ciepła, dwa razy większa od mojej.

– Cóż za spostrzegawcza ptaszyna. Obawiam się, że mój stan jest o wiele gorszy. Ty byłaś otoczona przez ludzi, którzy mówili ci takie rzeczy. To głupcy, wszyscy.

Walczył z czymś, co chciał powiedzieć. Widziałam to, ale czekałam cierpliwie.

– Zraniłem wielu ludzi, Arwen. Gdziekolwiek pójdę, niosę z sobą ból. Krzywdzę ludzi. Często tych, na których najbardziej mi zależy.

Wiedziałam, że to prawda, ale gorzej było słyszeć, że to przyznawał.

– Zawsze jest kolejny dzień, Kane. Szansa, żeby wszystko naprawić.

– Nie, wcale nie ma. – Jego poważny wzrok zabłyszczał w świetle świec, na co wypuściłam powolny oddech.

– Czy to nie jest trochę... ostateczne? Każdy jest zdolny do odkupienia.

– Oni nie żyją, Arwen. Przeze mnie.

Zaskoczyła mnie ostrość jego słów. Wylewała się z nich nienawiść do samego siebie i ból – nic dziwnego, że uważał się za potwora.

– Nie ma odkupienia – ciągnął, zabierając swoją dłoń z mojej. – Tylko zemsta.

– To mi wygląda na bardzo samotne życie.

– Tak. – Powiedział to tak, jakby zasługiwał na taką egzystencję.

Poczucie winy i gniew, które pulsowały w jego głosie, prawie mnie udusiły.

– Czy to dlatego... – Pytanie było delikatne, ale wypalało się w moich myślach zbyt długo. – Nigdy nie wzięłaś sobie królowej?

– Nie jestem pewien, czy to odpowiednia kara dla kogokolwiek – odparł, a z jego ust popłynął gorzki śmiech. – Nawet jak na moje standardy i „uwielbienie do tortur”, jak lubisz to nazywać. Nikt nie zasługuje, by cierpieć bez końca jako moja żona.

Umniejszający swoją wartość Kane – to coś nowego.

A może nie. Uświadomiłam sobie, że do dzisiaj nie znałam go zbyt dobrze.

Podniósł się odrobinę.

– Jeśli ma to jakieś znaczenie, Griffin jest dużo większym fanem tych taktyk, które uważasz, że tak uwielbiam, niż ja kiedykolwiek byłem. Bardzo twardzi rodzice wojskowi. Raz nawet zasugerował, że powinniśmy skłonić cię do mówienia w taki sposób. – Źrenice Kane’a rozszerzyły się na jakieś wspomnienie, a moje serce przyspieszyło.

– Skłonić mnie do mówienia? Co miałam powiedzieć?

– Lata temu z mojego skarbcza zabrano ostrze. Griffin pomyślał, że mogłabyś coś o tym wiedzieć, skoro nasz ostatni trop urywał się w Bursztynie. Tego właśnie twój kochaś półgłówek szukał. – Wypowiedział te słowa z grymasem obrzydzenia.

Miałam dość sugestii Kane’a, że ja i Halden tworzyliśmy coś na kształt związku, kiedy tak nie było. Zwłaszcza teraz, kiedy wiedziałam, do czego był zdolny.

– Nigdy nie był moim kochankiem. My nie... – Wciągnęłam niezręcznie powietrze.

– Ach.

– Nie robiłam tego. Z nikim. – Miał rację tamtego dnia w sali tronowej.

I coś w tych późnych godzinach nocnych – jakbyśmy byli w prywatnej przestrzeni, połączeni tą bliskością na łóżku – wyciągało ze mnie intymne wyznania. Może wciąż byłam pijana.

Wyraz jego twarzy był nieodgadniony, ale Kane miał na tyle przyzwoitości, żeby nie zagłębiać się w moje niepotrzebne wyznanie.

– Ale coś do niego czułaś.

– Nie jestem pewna. Myślę, że był kimś, kto mógłby mi zapewnić coś, czego ode mnie oczekiwano, a ja bardzo chciałam stać się taka, jaką chciała mnie widzieć rodzina. Ale nie poczułam kompletnie nic, kiedy całowaliśmy się w lochu. – *Cholera*. Zdecydowanie wciąż pijana.

Oczy Kane’a były jak ostrza przesuwające się po mojej skórze. Mięśnie jego szczęki stwardniały, na co się skrzywiłam.

– Co?

– Kurwa – westchnął, przesuwając dłonią po spiętej twarzy. – Chciałbym się go pozbyć za sam fakt, że cię dotknął, a co dopiero pocałował. Dosłownie mdli mnie na samą myśl. – Zakrył oczy dłonią. – Kiedy stałem się takim zazdrosnym gówniarzem?

Moje serce załomotało i musiałam walczyć z uśmiechem. Zaczęłam uzależniać się od jego wyznań.

– Ale jeśli dobrze pamiętam, jestem „nie bardzo w twoim typie”? – Skrzywił się i ściągnął brwi. – Nie mam pewności, co mnie skłoniło do powiedzenia tego.

– Wydaje mi się, że cię obraziłam.

– Ach tak, jedna z wielu seksownych rzeczy, które robisz tak dobrze.

Słowo „seksowny” spływające z jego ust wyrzyło się w mojej głowie jak stempel w wosku i zarumieniłam się, nagle żałując, że w pokoju nie panowały większe ciemności. Nie miałam gdzie ukryć twarzy, znajdując się tak blisko niego. Jego złocista skóra błyszczała w świetle świec, a piękno tego mężczyzny z tak bliska zdawało się prawie niepokojące.

– To było bardzo niegrzeczne z mojej strony i zapewne powiedziałem to... w ramach samoobrony. Wybacz mi, Arwen. Nic nigdy nie było dalsze od prawdy. – Spojrzał na mnie z powagą.

Może powinnam była powiedzieć mu, co czułam. Ale nagromadziło się tego zbyt wiele, żebym zdobyła się choć na rozpoczęcie wyznań. To mnie przerosło. Myślę, że przerosłoby nawet jego.

Prawdę mówiąc, przerażało mnie to.

Wiedziałam tylko, że ufałam mu teraz bardziej, niż kiedykolwiek się spodziewałam, i że powinnam powiedzieć mu o moich planach zdobycia korzenia

jamistego jutro, podczas zaćmienia. Może mógłby pomóc mi wejść do lasu i wrócić bez szwanku.

Ale nie miałam siły kłócić się z nim, jeśli uznałby to za zbyt niebezpiecznie. Po wszystkim, co mi powiedział o królu Fae i lesie za zamkiem, wątpiłam, żeby chciał ryzykować życiem któregoś ze swoich strażników, a już na pewno nie swoim, żeby zdobyć ten korzeń dla mojej matki – której mogę więcej nie zobaczyć – do mogącego nie zadziałać eliksiru.

Moje powieki zaczęły powoli opadać. Głowę miałam ciężką od wina i nawału zdobytych dzisiaj informacji.

Kane leniwie przesunął palcami po moich włosach, przez co zamknęły mi się oczy, a natłok myśli spowolnił.

Zapytam go o korzeń jamisty z samego rana.



## DWUDZIESTY

Łomotanie w mojej głowie przerodziło się w potworną kakofonię bólu. Miałam wrażenie, jakby wewnątrz mojej czaszki było piwnicą pod salą balową dla olbrzymów. Niezdarnych, pijanych olbrzymów.

Jęknęłam, gdy zwlekłam się z łóżka i w łazience ochlapałam twarz letnią wodą. Lato zagościło tu na poważnie, a ja ociekałam potem pomimo wczesnej pory. Spałam do późnego popołudnia, a później leżałam jeszcze w łóżku do zachodu słońca, nie byłam w stanie się ruszyć, więc analizowałam wszystko, co powiedział mi Kane ubiegłej nocy, zarówno w piwniczce na wina, jak i potem.

Teraz pytania Haldena w lochach wydawały się takie oczywiste. Zastanawiałam się, ile Gareth powiedział mu o swoich planach sprzedania całego Evendell Lazarusowi. Mała część mojego umysłu podpowiadała, że Halden wiedział o wszystkim, a jednak walczył dla zdrajcy.

Poczucie winy wywołane faktem, że pomogłam mu uciec, przytłaczało mnie, a mimo to Kane nie wyśmiał moich wyborów, nie zagroził mi też żadną karą. Całkiem dosłownie dopuściłam się zdrady, a on czuł tylko gniew ze względu na mnie. Furię wywołaną faktem, że ktoś mnie zostawił.

Prawdę mówiąc, był bardziej wściekły niż ja. Nawet zanim wyjawiał mi prawdę na temat Haldena czy Fae, wiedziałam, że nigdy nie czułam do przyjaciela sprzed lat tego, co zaczęłam czuć wobec Kane'a w ciągu tych kilku miesięcy. Wliczając w to fakt, że niektóre moje uczucia były czystą, kipiącą złością nienawiścią. To zadziwiające, jak odrobina czasu spędzonego poza Bursztynem zmieniła moje uczucia do tego jasnowłosego chłopaka. To, co kiedyś wydawało się obezwładniające i pełne napięcia, teraz przerodziło się w rozmyte wspomnienie, tak jak ktoś mógłby zapamiętać pierwszą przeczytaną powieść czy zjedzoną czekoladę i pomyśleć, że to najlepsze, co kontynent miał do zaoferowania. Nie wiedziałam, ile innych aspektów mojego wcześniejszego życia ucierpi przez tę świadomość.

Kane'a nie było, kiedy wstałam wraz z zachodzącym słońcem, wiedziałam, że tak będzie i czułam wdzięczność. Musiałam porozmawiać z Mari. Nie wiedziała, że wciąż przebywałam w warowni. Zgodnie z jej wiedzą uciekłam z Haldenem i pozostałymi. Musiałam powiedzieć jej wszystko, co zdradził mi Kane i to, że prawie się pocałowaliśmy. Znając Mari, to zainteresuje ją jeszcze bardziej.

Leigh byłaby tym najbardziej podekscytowana. Chłopak, w którym się podkochiwała w Abbington, mógł mieć rację. Pomijając skrzydła. W tym królestwie żyli Fae. Na myśl o Leigh krew zastygła mi w żyłach.

Moja matka. Zaćmienie. Cholera, spałam zbyt długo.

*Cholera, cholera, cholera.*

Zaćmienie miało być dzisiaj. Złapałam torbę i szybko nałożyłam skórzany strój treningowy. Jak mogłam być taka głupia? Tak chora po winie i zapatrzona we własny niedorzeczny prawie romans z mrocznym królem, że prawie przegapiłam szansę na ocalenie matki.

Musiałam się skupić.

Jeśli dzisiaj zawiodę, będę miała mnóstwo czasu na biczowanie się w ciągu zbliżającego się roku, w oczekiwaniu na kolejne zaćmienie.

Musiałam odnaleźć Kane'a i to szybko. Wczoraj był ze mną szczery i teraz musiałam odwdziaczyć się tym samym. Zamierzałam go błagać, żeby zabrał mnie w miejsce, gdzie rośnie korzeń. Nie miałam śmiałości, by samotnie zmierzyć się z lasem nocą, a on był jedyną osobą, której ufałam, że zabierze mnie tam bezpiecznie.

Kiedy dotarłam do sali tronowej, strażnicy spojrzeli na mnie lodowatym wzrokiem. Nie winiłam ich, trzech więźniowie uciekli ubiegłej nocy. Też byłabym wytrącona z równowagi.

– Dobry wieczór. Chciałabym dostać się na audiencję do króla. Możecie mi powiedzieć, że przyszła Arwen Valondale?

– Nie ma go tu, lady Arwen.

– Gdzie mogę go znaleźć? Albo komandora Griffina?

Wyższy strażnik spojrział na tego z wąsami, a wąsaty pokręcił głową.

– Nie ma ich w Shadowhold, panienko – powiedział Wysoki.

Mój żołądek opadł do podłogi.

– Cóż, więc gdzie są? Kiedy wrócą?

I wtedy sobie przypomniałam. Kane mówił, że będzie śledził Haldena.

*Cholera.*

Zbyt duża ilość wina ponownie okazała się moim wrogiem.

Wąsaty stanął na szeroko rozstawionych nogach i oparł ręce na biodrach, jakby próbował zastraszyć zwierzę.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli sobie pójdziesz.

Mogłam się z nimi kłócić, błagać o więcej informacji, ale kończył mi się czas. Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam w stronę apteki.

Wszystkie latarnie w małym pomieszczeniu zostały zgaszone.

– Dagan! – krzyknęłam, ale głucho echo moich słów odbijające się od drewnianych ścian powiedziało mi, że byłam sama. I tak trudno byłoby go przekonać.

Spojrzałam przez okno. Miałam najwyżej godzinę. Srebrne światło księżyca odbiło się od czegoś i kątem oka zauważyłam miecz Dagona i pochwę wrzucone do szafy. Musiał je tu zostawić, kiedy dziś rano przegapiłam lekcję. Odnotowałam w pamięci, żeby przeprosić go za opuszczony trening oraz za to, co zamierzałam zrobić. Podniosłam ciężką broń, zarzuciłam sobie na plecy i popędziłam w stronę stajni.

Gdy tam dotarłam, wyprowadziłam konia z boksu i miałam nadzieję, że odgłos kopyt na ścieżce nie był tak głośny dla wszystkich innych, jak dla mnie. Zmrużyłam oczy, ale dostrzegłam tylko kilku strażników. Północna Brama była dużo mniejsza niż główne wejście do zamku i otaczał ją gęstszy las. Za nim znajdowało się pasmo górskie, co oznaczało, że wrogowie mieli bardziej utrudniony dostęp.

Musiałam myśleć szybko. Księżyc wisiał wysoko na niebie, a ja nie miałam pojęcia, jak przedostać siebie i konia przez bramę pilnowaną przez jakichś sześciu strażników. Sama pewnie znalazłabym sposób, ale z koniem to stracona sprawa.

Może o to właśnie chodziło – konia nie dało się ukryć. Mógł posłużyć za moją przykrywkę. Będę musiała biec, żeby dotrzeć do polany na czas, ale miałam szansę. Bez zastanowienia wyszeptałam do zwierzęcia szybkie przeprosiny i klepnęłam go mocno w zad.

Wystartował jak opętany. Strażnicy pobiegli za nim, starając się złapać za wodze, ale biedak był przerażony i nie dawał się schwycić. Miałam nadzieję, że okażą się dla niego mili, kiedy już wróci do stajni.

Kiedy przy bramie został tylko jeden strażnik – bo pozostali starali się osaczyć spłoszonego ogiera – rzuciłam się pędem. Jeśli uda mi się przedostać przez metalowe wejście, zanim żołnierz mnie złapie, wiedziałam, że zdołam prześcignąć pozostałych. Zanim zbrojni Onyksu dosiędą swoich wierzchowców, ja już będę miała korzeń. Później zmierzę się z konsekwencjami.

Poruszałam się płynnie, trzymając się cienia zamku. Kiedy znajdowałam się już prawie przy bramie, straciłam podparcie i runęłam do przodu. Wylądowałam ciężko na nadgarstku i poczułam natychmiastowy przeszywający ból.

Ale ten problem zamierzałam rozwiązać później. Mogłam zająć się nadgarstkiem, kiedy już zdobędę korzeń. Spojrzałam za siebie i zauważyłam metalową pułapkę wystającą z trawy. Była rozciągnięta przez cały dziedziniec otaczający Północną Bramę. Chociaż to wejście zostało obsadzone mniejszą liczbą ludzi, okazało się wcale nie mniej chronione. Powinnam to wiedzieć.

Zerwałam się na nogi.

A serce opadło mi do żołądka z łoskotem.

Patrzyłam wprost na strażnika. To był ten sam młody mężczyzna z różowymi policzkami i żółtą brodą, który pilnował lochów, kiedy Mari pomogła mi odwiedzić Haldena.

Przygotowałam się, że zaraz zawlecze mnie z powrotem do zamku. Prawdopodobnie prosto do więzienia.

Już otworzyłam usta, słowa cisnęły się na język, ale się zawahałam.

Wyraz jego twarzy był... pusty.

Nic nie powiedział, wpatrując się we mnie. W zasadzie nie dokładnie *we* mnie. Patrzył... *przeze* mnie.

Jakbym nie stała tuż przed nim, pokryta ziemią, przyciskając nadgarstek do piersi, strażnik zmarszczył brwi na coś tuż za moją głową i podszedł do miejsca, w którym upadłam. Zdezorientowany, kopnął metalową pułapkę. Nie miałam pojęcia, skąd u mnie takie szczęście, ale nie zamierzałam czekać, żeby się dowiedzieć. Ruszyłam biegiem przez bramę, w stronę polany.

Kiedy pędziłam, olśniło mnie – zakłęcie Mari nie zniknęło. Musiałam zapamiętać, żeby jej powiedzieć, że jej „proste zakłęcie maskujące” mogło zadziałać aż za dobrze. Czy to amulet Briar? Może czas odłożyć ten zaczarowany przedmiot do gabinetu Kane’a.

Las Cieni okazał się dużo bardziej złowieszczy nocą. Powykręcane gałęzie tworzyły potworne kształty wśród cieni, a cierniste krzewy szarpały moje ubranie. Było też dużo zimniej. Pomimo szczytu upalnego lata w zaczarowanym pradawnym Lesie Cieni w nocy panował chłód, a zimna mgła unosiła się przy moich kostkach. Żałowałam, że nie wzięłam futra z lisów – dla ciepła i pociechy. Jak mała dziewczynka bojąca się rzeczy, których nie widziałam w ciemności, starałam się przypomnieć sobie, że byłam tutaj za dnia i czułam się bezpiecznie, ale w niczym to nie pomagało. Wtedy byłam bezpieczna, bo otaczali mnie strażnicy i konie. Ludzie, którzy mogli mnie obronić. I Kane.

Biegłam szybko, oddech wrywał mi się z płuc. Nie było lepszego lekarstwa na strach niż bieg. A jednak moje myśli wróciły do króla. Zrobiłam dokładnie to, o co prosił, żeby nie robiła. Wymknęłam się do lasu, nocą, pod jego nieobecność. Chociaż wcale nie planowałam uciec, będzie wściekły.

Uczucie słabości powróciło, gdy ominęłam zwaloną kłodę i przypomniałam sobie, jak blisko polany się znalazłam. Miałam wrażenie, że przez większość życia czułam się słaba i winna. Mała część mojego umysłu zastanawiała się, czy pobyt w Shadowhold mógł być moją jedyną szansą, żeby to zmienić. Ciężki miecz Dagana uderzał mnie w plecy przy każdym kroku i podpowiadał, że może tym razem mój instynkt miał rację.

Nadal miałam nadzieję, że nie zostanę zmuszona używać broni. To byłby mój pierwszy raz, gdy walczyłabym z kimś innym niż Dagan, który – chociaż nie był najcieplejszym człowiekiem – nie chciał mojej śmierci. Do tego miałam miecz nauczyciela, nie własny, a to ostrze ważyło przynajmniej dwa razy więcej niż moje i trzeba było je dzierżyć dwoma rękami, podczas gdy do mojego wystarczała jedna. Nie chciałam nawet myśleć, jak trudno będzie zamachnąć się nim z moim zwichniętym nadgarstkiem.

Odzwyczajam się już od biegania na długich dystansach, więc czułam palenie w płucach, i kiedy dotarłam na polanę, ciężko dyszałam. W świetle księżyca mokra trawa skrzyła się srebrzyście, a drzewa wyglądały jak jedna wielka splątana pajęczyna. Miałam szczęście, że znalazłam drogę przez mroczny labirynt, chociaż tym razem wyruszyłam z Północnej Bramy. Teraz musiałam znaleźć dąb – ale każde drzewo, krzak i kamień wyglądały tak samo, a zaćmienie mogło nastąpić w każdej chwili. Kończył mi się czas.

– Cholerne Kamienie – wydyszałam. To niemożliwe, że dotarłam tak daleko na czas i wszystko na próżno.

Głęboko w krzakach za mną, mokry, chlupoczący odgłos przeciął ogłuszającą ciszę nocy. Zamarłam i odwróciłam głowę, by posłuchać uważniej – całe moje ciało wzdrygnęło się na dźwięk jakiegoś stworzenia wyraźnie uczującego na czymś – albo na kimś – co nie przetrwało tej nocy.

Opadłam na ziemię i podpełzałam do krzaków na kolanach i łokciach. Przybliżałam się przez drapiące gałęzie i gąbczasty mech, aż mogłam spojrzeć przez ciernie krzewów i ledwo wychwyciłam truchło jelenia.

Krzyk uwiązał mi w gardle na widok przede mną.

Na jędrnym ciele wielkiego ssaka ucztowały dwa przypominające lwy stworzenia. Rozpoznałam w nich chimery i to wyjątkowo paskudne. Nigdy wcześniej nie widziałam tych nocnych stworzeń, ale czytałam o nich w jednej z ulubionych książek Mari: *Największe Potworności Onyksu*.

Paciorkowate oczy bez źrenic. Odrażające, warczące pyski. Długie, zakrzywione kły wystawały z ich paszczy, pokryte śliną i kawałkami mięsa. Ich pyski były tak gładkie i groźne, zakrzywione pazury tak pokryte ziemią i krwią, że żołądek skręcił mi się z czystego przerażenia i pomyślałam, że zaraz zwymiotuję.

Zanim zdążyłam odpełznąć do tyłu i rzucić się do ucieczki w noc, zauważyłam, w jakim miejscu ucztowały. Biedny rogacz leżał w poprzek korzeni znajomego dębu.

*Cholera.*

Zaczęłam przeszukiwać myśli. Co ta *przeklęte przez Kamienie* książka mówiła o chimerach?

Tamtego dnia w bibliotece Mari paplała bez przerwy, więc zdołałam przeczytać tylko kilka zdań z rozdziału o tych stworach. Zamiast wiedzy o nich, znałam każdy szczegół na temat ulubionego miejsca do pływania Mari tu w Lesie Cieni, gdzie ojciec zabierał ją, gdy upał w lato stawał się nie do zniesienia. Nie wiedziałam nic o bestiach przede mną, ale wiedziałam, że Owen zawsze zabierał z sobą jakiegoś pomocnego żołnierza albo dwóch, bo las był tak niebezpieczny. O tym, że jej ulubionym strażnikiem był starszy mężczyzna, który zawsze nazywał ją mózgowcem z warkoczami, bo zawsze miała warkocze, które...

O, Kamienie.

To było to.

Woda. Była bezpieczna, bo chimery nie potrafiły pływać.

Odnalazłam wzrokiem ukrytą wśród drzew ścieżkę, którą Kane poprowadził mnie kilka miesięcy temu. To wyjątkowo głupi plan – nawet jak na mnie – ale nie miałam innego wyjścia. Musiałam odciągnąć te stworzenia od dębu, żeby móc dotrzeć do korzenia, kiedy zakwitnie. Nie zamierzałam zawrócić do warowni i przez resztę życia myśleć, że jeśli kiedykolwiek spotkam jeszcze matkę, mogłam mieć szansę jej pomóc i nie skorzystałam z niej ze strachu.

Zdjęłam miecz i wsunęłam go pod krzak przed sobą. Nie mogłam biec wystarczająco szybko, mając go na plecach, poza tym dzięki niemu zaznaczyłam miejsce, w którym rósł korzeń, i łatwiej do niego wrócę. *Jeśli* uda mi się wrócić. I szczerze mówiąc, nie mogłam użyć broni z nadgarstkiem w takim stanie. Zostawiłabym go w lesie, gdyby nie należał do Dagona. Szkoda by było, gdybym pokonała nie jednego, a dwa potworne stwory tylko po to, żeby Dagan potem mnie zabił.

Podeszłam do ścieżki między drzewami, którą pokazał mi Kane, wzięłam głęboki wdech, żeby uspokoić nerwy i gwizdnęłam na chimery. Przeszywający dźwięk poniósł się po cichym lesie, a mniejsze zwierzęta uciekły w popłochu. Dwa zakrwawione stwory odwróciły się w moją stronę, w ich oczach dostrzegłam zdziwienie i głód.

Większy z dwójki, z małymi, spiczastymi uszkami, dziką grzywą i zakręconymi, kozimi rogami, ruszył spokojnie w moją stronę, wyraźnie bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony czy zły. Ale to mi wystarczyło. Podniosłam kilka kamyczków i trafiłam go w głowę raz, potem drugi. Pacnął się łapą w czoło i przyspieszył, warcząc.

Właśnie wtedy pobiegłam.

## DWUDZIESTY PIERWSZY

Pędziłam przez liściasty korytarz, który przemierzałam razem z Kane’em tygodnie temu. Rzuciłam się do przodu przez pokryte rosą pajęczyny i powykręcane gałęzie w tempie, które sprawiało, że puls dudnił mi w głowie. Co chwilę dochodził mnie odgłos łap chimer uderzających o ziemię.

Musiałam tylko doprowadzić je do wody, a potem mogłam zawrócić po korzeń.

W końcu dotarłam do stawu.

Odwrociłam się na pięcie i czekałam, aż stworzenia rzucą się na mnie.

Nie zajęło to dużo czasu – chimera warknęła, światło księżycy odbiło się od jej białych kłów. Całe powietrze uciekło mi z płuc, a kiedy zaszarżowała, złapałam ją za futro i wrzuciłam nas obie do stawu.

Lodowata woda mnie sparaliżowała i przez chwilę nie mogłam ruszyć żadną kończyną. Czułam tylko chłód tak ogromny, że palił jak ogień, a mój umysł i ciało zamarło w całkowitym bezruchu, zbyt zszokowane, żebym mogła oddychać, poruszyć się czy myśleć. Ale musiałam...

Zmusiłam się do wynurzenia spod duszącego koca zimna i łapczywie nabrałam powietrza. Fala wciągnęła mnie z powrotem pod powierzchnię, wypełniając moje usta, płuca i nos, podczas gdy chimera szarpała się i rozlewała wodę ze stawu. Siła uderzenia rzuciła mnie na kamienie. Wpadłam na nie, a powietrze uciekło mi z płuc i ponownie wynurzyłam się na powierzchnię jak ćma w deszczu, walcząc z ciemnymi falami i szukając czegokolwiek, czego mogłabym się chwycić.

Dlaczego woda była taka zimna? Byłam tu zaledwie kilka miesięcy temu, wiosną i wtedy miała przyjemnie wysoką temperaturę. Wiedziałam, że las był zaczarowany, ale wyraźnie widziałam teraz, że Mari i Kane mieli rację – Las Cieni to nie miejsce, w którym można przebywać nocą.

Sięgnęłam po gałąź, podciągnęłam się i wydostałam z wody, choć nadgarstek rwał niemiłosiernie. Wykaszlałam lodowatą wodę, a po chwili zaczęłam łapać powietrze, dysząc.

Potworne agonalne wycie wyrwało mnie z poczucia ulgi.

Spojrzałam na staw, ale chimera była nieprzytomna, możliwe, że już martwa. Jedna załatwiona, została druga – i to szybko, jeśli chciałam uniknąć tego, co wydawało takie dźwięki. Albo je powodowało.

Woda i glony spływały po moim ubraniu. Ruszyłam biegiem w stronę polany i modliłam się, by ruch rozgrzał moje zmarznięte kości. W świetle księżyca ledwo dostrzegłam ogromną chudą postać, pędzącą w moją stronę.

Dźwięk przeszył nocne powietrze, wyrywając się z jego paszczy w zduszonym ryku. Druga chimera. Ryczała w agonii za swoim towarzyszem.

Pobiegłam w innym kierunku, zwracając w stronę stawu.

Ale stwór znalazł się za blisko. Nie zdołam dotrzeć do wody, zanim mnie dogoni. Przygotowałam się na uderzenie.

Które nigdy nie nastąpiło.

Drugi stwór przeleciał obok mnie i wpadł do wody z głośnym pluskiem. Zawodził z rozpaczą i starał się poszturchiwaniem obudzić towarzysza, ale lodowata woda obezwładniła go i zaczął szarpać się z przerażenia.

Mogłam teraz iść. Wrócić do dębu. Mimo wszystko mój plan zadziałał i mogłam dotrzeć do korzenia przed zaćmieniem. Spojrzałam na księżyc – wciąż miałam czas. Może kilka minut.

Jeszcze jedno potworne wycie, gdy bestia przebiła powierzchnię, nadal rozpaczliwie starając się płynąć i uratować towarzysza. Wydała z siebie zduszony okrzyk, który rezonował wśród drzew, a potem zabulgotała, gdy woda wciągnęła ją w swoje odmęty.

*Przeklęte Kamienie.*

Nie mogłam uwierzyć, że zamierzałam to zrobić.

Zanurkowałam z powrotem do wody.

Agonia ponownie rozrywała mi skórę. Tym razem było tysiąc razy gorzej, bo wiedziałam, jak bardzo będzie mi zimno. Podpłynęłam do pierwszej chimery, tej nadal nieprzytomnej. Na szczęście woda ją unosiła, pomagając mi zaciągnąć ją na brzeg. Pchnęłam masywne ciało w stronę trawy i przetoczyłam je.

Z drugim będzie gorzej. Podpłynęłam do prychającej chimery i starałam się dostać pod jej ogromne, przednie łapy, ale zamiast tego przelatujący pazur trafił mnie w twarz, a palący ból rozszedł się po policzku. Przygotowałam się i zanurkowałam w lodowate głębiny.

Ogarnęła mnie cisza.

Pchnęłam bestię do przodu, starając się pokierować ją na płyciznę. Pchałam i stękałam, moje stopy zapadały się w pokryte glonami dno stawu. Stwór w końcu wyciągnął się na brzeg, wypluwając wodę i na wpół strawionego jelenia. Smród przyprawiał o mdłości, ale nie miałam na to czasu.

Pierwsza chimera nie oddychała.



Dopałam do niej szybko i zaczęłam uciskać klatkę piersiową. Jednak kiedy tylko moje dłonie dotknęły jej futra, wiedziałam.

Nie, nie, *nie*.

Było za późno.

Przełykając szloch, położyłam dłonie na klatce piersiowej stworzenia i zaczęłam nucić. Słowa Dagana zabrzmiały wyraźnie w mojej głowie: skupić się na tym, co czułam, a nie, co myślałam. Albo czego się bałam.

Poczułam wyrzuty sumienia. Głębokie, bolesne, specyficzne, jakby ktoś wbijał mi igły w trzewia. Wyrzuty, że ze strachu prawie zabiłam dwa niewinne stworzenia.

Przez moje dłonie popłynęło złote światło i przepchnęłam zimną wodę przez płuca chimery jak przez labirynt. Zachęcona, przesunęłam dłonie w górę, wzdłuż przełyku zwierzęcia. Światło emanujące z moich dłoni stawało się jaśniejsze, gdy pracowałam. Pchałam i łączyłam, wyprowadzałam wodę z ostrożnym skupieniem.

Drugi stwór podpełzł bliżej. Skoczył w moją stronę z rykiem, który zatrzęsł drzewami.

Ale nie miałam czasu, żeby czuć strach.

– Będzie żyła – powiedziałam, zęby szczękały mi przy tych słowach. Wiedziałam, że mnie nie rozumiał. – Mogę ją uratować, jeśli mnie nie zaatakujesz. – Pchnęłam moc z opuszków palców w jej tors, gdy woda w jej płucach znajdowała drogę wyjścia.

Druga chimera przyglądała mi się uważnie, a potem spuściła wzrok. Powoli położyła się obok towarzyszki, wcisnęła pysk pomiędzy jej plecy a poszycie lasu i zawodziła cicho.

Po ostatnim pchnięciu, fontanna zgniętego płynu wypłynęła z pyska chimery, a ja zanurkowałam. Bestia przetoczyła się na bok i zaczęła łapać powietrze, a ja wypuściłam oddech. Ulga była jak rzeczywisty ciężar w moich dłoniach. Namacalny i realny.

Dzięki Przeklętym Kamieniom.

Chimera, którą uratowałam, niezdarnie podciągnęła się na łapach i otrzepała mokre futro. Jej towarzysz trącił ją nosem i polizał, zanim odwrócił się w stronę lasu. Uznałam to za wskazówkę, że powinnam odejść, i spojrzałam jeszcze raz na dwa stworzenia, ale one już odchodziły w przeciwnym kierunku. Większa chimera odwróciła się do mnie, a spojrzenie jej pełnych melancholii białych oczu zawisło na mnie przez chwilę.

Ale mnie już naprawdę kończył się czas. Zaćmiony księżyc wisiał wysoko na niebie, spowijając cały las słabą, niebieską poświatą. Kończyny miałam ciężkie od wykorzystanej mocy, ale popędziłam w stronę polany i skręciłam w prawo, dostrzegając błysk miecza Dagana. Odepchnęłam na bok ciało jelenia i zobaczyłam,

że każdy listek korzenia jamistego pode mną wypuścił zachwycający kwiat. Zerwałam tyle, ile zdołałam, i wepchnęłam wszystko do torby. W mgnieniu oka zaćmienie zakończyło się, a kwiaty zniknęły. Las ponownie spowiło blade światło księżyca.

Mogłabym rozplakać się z ulgi. I zrobiłam to.

Zamarzałam i zapewne będę potrzebowała sześciu lub siedmiu gorących kąpeli, żeby odtajać. Ociekałam wodą, pokrywał mnie brud, a krew spływała mi po twarzy i nie mogłam mieć już bardziej skręconego nadgarstka. Nadal szarpały mną mdłości i byłam obolała przez wczorajsze wino, ale żyłam.

I miałam korzeń jamisty.

Myśl o tym, że po raz pierwszy od lat będę mogła dać matce odrobinę nadziei, przytłoczyła mnie. Z mojej piersi wyrwał się szloch, zgięłam się wpół i oparłam dłonie na kolanach. Czas wracać.

Sięgnęłam po miecz Dagana, podniosłam się i wtedy to zobaczyłam.

Przedemną stało wyjątkowo przerażające stworzenie, nigdy bym nie pomyślała, że jest to możliwe.

Żółte, wąskie oczy. Wściekły pysk z szeregiem ostrych kłów odsłoniętych w warkocie, z których ściekała ślina. A co gorsza – szeroka postura i budowa agresywnego, opętanego mężczyzny. Zesztywniałam, skóra zaczęła mnie mrowić, a wnętrzności zamarzły. Pomimo drżących dłoni i serca odwróciłam się i pobiegłam z powrotem w stronę zamku tak szybko, jak mogły ponieść mnie nogi.

Podobna do wilka bestia ruszyła za mną na czterech łapach, jej kolana i łokcie sterczały pod dziwnym kątem. To niesamowity widok, którego zapewne nigdy nie pozbędę się z głowy. Wiedziałam, że była szybsza ode mnie. Zaszlochałam, a z moich oczu popłynęły łzy. Biegłam, biegłam i biegłam – przerażenie pulsowało w moich ścięgnach, nogach i płucach. To niemożliwe, żebym miała umrzeć w taki sposób.

Skręciłam gwałtownie w prawo w nadziei, że zgubię wilkobestię, ale jej powarkiwanie wciąż dobiegało tuż zza moich pleców, podążała za mną przez labirynt sosen i dębów. Znowu skręciłam w prawo, ale dogoniła mnie z łatwością. Zatoczyłam się i pośliznęłam na wykręconej gałęzi, zerknęłam w tył i mogłabym przysiąc, że zobaczyłam w jej oczach prymitywną przyjemność. Drapieżnik, który cieszył się polowaniem.

Nigdy mu nie ucieknę.

Był tylko jeden sposób, żebym zdołała wyjść z tego lasu żywo.

Zatrzymałam się w miejscu, zamachnęłam mieczem Dagana i wycelowałam ostrze w bestię.

Moje płuca płonęły.

Stwór stanął, a ja minęłam jego szyję i trafiłam w biceps. Zawył z powodu rozcięcia, a potem ryknął na mnie. Brakowało mi tchu, żeby szlochać czy błagać.

– Ty bezwartościowy dzieciaku! – Jego głos był jak ostrze przesuwające się po metalu; nieludzki i odrażający.

Krzyknęłam z szoku, że potrafił mówić, i cofnęłam się, nadal trzymając wyciągnięty miecz.

Zawsze, kiedy już myślałam, że rozumiałam głębię niebezpieczeństw tego świata, pojawiało się coś nowego i jeszcze bardziej przerażającego.

Potwór skoczył i tym razem przygwoździł mnie do ziemi, wrywając mi powietrze z płuc i wbijając mój kręgosłup w kamienie pode mną. Z gardła wyrwał mi się szloch – wściekły, dziki i przesycony agonią.

Ale odepchnęłam go z całą siłą, jaka mi pozostała, i odpełzłam w tył, zanim zdołał wbić szpony w moje ciało. Jeszcze raz uniosłam miecz – Dagan nie byłby zadowolony z mojej postawy. Przy ogarniającym mnie zmęczeniu i skręconym nadgarstku, trzymałam go mniej jak miecz, a bardziej jak kij.

Twarz wilkobestii wykrzywiła się i wtedy pojęłam stwierdzenie „wilczy uśmiech” z całkowitą klarownością. Kreatura była rozbawiona.

– Nie spodziewałaś się, że wilk będzie mówił, co?

Próbowałam odpowiedzieć, ale nie mogłam znaleźć słów, gdy zbliżył się do mnie. Chciałam krzyczeć, ale wyrwało mi się tylko skomlenie. Moje drżące dłonie pocily się na skórzanej rękojeści miecza.

– Jesteś twardsza, niż mówili, ale to nic, z czym bym sobie nie poradził. Już czuję twój smak. – Wilk polizał powietrze długim psim jęzorem.

Zemdliło mnie trzeci raz w ciągu niecałej godziny.

Wilk skoczył na mnie i tym razem dosięgnął, jego pazury wyrwały mi pukiel włosów. Krzyknęłam z bólu, co wydawało się tylko bardziej go ekscytować. Znowu rzucił się na mnie i przycisnął moje ciało do mchu. Ból rozszedł się po moim barku i łokciu, nadgarstek pulsował agonią. Wilczy oddech owionął moją twarz, pachniał czymś potężniejszym niż magia – metalicznym i cierpkim.

Uświadomiłam sobie z całkowitą pewnością, że tego nie przetrwam.

Jakby potwór usłyszał moje myśli, odsunął się z gwałtownym wyciem i rzucił do przodu, żeby wbić ostre jak brzytwa kły w mój brzuch. Zacisnęłam powieki.

Miałam tylko nadzieję, że pójdzie szybko.

Proszę, proszę, proszę, *proszę*...

Ale ból nie nadszedł, zamiast tego usłyszałam ogłuszające wycie stworzenia zawodzącego w agonii.

Ledwo mogłam zrozumieć widok, który miałam przed oczami. Szare i złociste futra kotłowały się na ziemi; obracająca się masa warknięć, krwi i skomlenia – chimera. Rzuciła się na wilka, skutecznie ratując mi życie. A teraz wpadła w szpony potwora. Wyglądało to jak walka psów, poruszali się tak szybko, że nie byłam w stanie tego wychwycić. Czekałam na odpowiedni moment i rzuciłam się do przodu, by wbić ostrze w szare futro i wepchnąć wilka na drzewo.

Chimera padła na ziemię, jeden kozi róg miała złamany, a z rany na szyi lała się krew.

*Nie!* Krzyk uwiązał mi w gardle.

Wilk zarechotał, ukazując rząd ostrych zębów, i stanął przede mną. Spojrzałam w dół, na dyszące zwierzę u moich stóp, które oddało za mnie życie.

Dla chimery zamierzałam udawać kogoś odważnego, aż w końcu się taka stanę. Wysunęłam biodra w stronę potwora, podniosłam miecz na wysokość ramienia i opuściłam go na niego. Uchylił się, potem zaszarżował, ale moje ciało przejęło kontrolę. Tygodnie treningów – potu, pęcherzy, obolałych ramion i czystej determinacji – wszystko momentalnie nabrało kształtów, wiedza złożyła się w całość jak klucz wsunięty do zamka. Machałam raz za razem, trafiając go w ramię, szyję, rękę. Jego wycie napędzało mnie i za każdym razem, kiedy ostrze docierało do celu, stawałam się śmielsza. Silniejsza. Miecz wydawał się lżejszy. Co więcej – stał się przedłużeniem mnie.

Mojego gniewu.

Poruszałam się jak Dagan, jeden ostrożny krok za drugim, gdy okrążałam stwora. Kiedy zaszarżował na mnie, cięłam mieczem i odrąbałam mu jeden z pazurów. Zawył, a ja poczułam to aż w kościach.

Nie byłam w stanie przestać.

Polana zaczęła się mienić. Widziałam go lepiej w otaczającym nas delikatnym, żółtym świetle. Pot spływał mi po czole, ale bryza, której pochodzenia nie umiałam pojąć, ogrzewała mnie i chłodziła jednocześnie.

Poczułam się wyższa. Zacieklejsza. Bardziej pełna.

Mogłabym przysiąc, że zobaczyłam strach w oczach wilka. Rzucił się na mnie raz jeszcze, a ja z całą siłą, jaka mi pozostała, dźgnęłam w przód i zatopiłam miecz w jego piersi, aż po rękojeść.

Zabulgotał i zaskrzeczał, a ja poczułam jego pradawną moc, która ulatywała wraz z ostatnim oddechem. Wyciągnął szpony w moją stronę, ale nie wiedziałam nawet, czy mnie dotknął. Odwróciłam się i podbiegłam do chimery, zakrwawiony miecz nadal zwisał w mojej dłoni. Złociste stworzenie skamlało, wykrwawiając się na mokre liście.

– Nie, nie, nie – błagałam. – Nic ci nie jest.

To była większa chimera. Wróciła, żeby mi pomóc. Wyświadczyła mi przysługę za uratowanie życia towarzyszki, mimo że to ja prawie sprowadziłam na nią śmierć. Nie mogłam pozwolić, żeby za mnie umarła. Łzy spłynęły mi po policzkach i wylądowały na jej futrze.

Jego oczy zachodziły mgłą – nie zostało wiele czasu.

Przyłożyłam dłoń do rany na szyi chimery i zamknęłam oczy, skupiając się na jej bólu. Ale byłam taka zmęczona, taka słaba – wykorzystałam moją moc na jego towarzyszkę. Nic się nie pojawiło, nawet nie zamrowiły mnie palce.

– Proszę, proszę, proszę. – Nie byłam pewna, do kogo i o co się modliłam.

Pomyślałam o tamtym dniu z Daganem. O tym, jak pobrałam ciepło i światło z powietrza. Wyobraziłam sobie, że wzięłam tę odrobinę światła, którą dawał księżyc, wtłoczyłam je w swoje palce i przekierowałam przez siebie do cicho skamlącego stworzenia.

Coś pode mną zabłyszczało jasno niczym wschodzące słońce. Zachęcona, walczyłam ze słabością i dalej skupiałam się na powietrzu wokół oraz na samym niebie. Mogłam je opanować. Sprawić, że będzie pracować dla mnie. Błysk się wzmocnił. Prawie słyszałam, jak płuca chimery ponownie wypełniły się powietrzem.

Ale w lesie zaczynało robić się naprawdę gorąco, co nie miało żadnego sensu.

Panowało lato, ale w Lesie Cieni przez całą noc było przeraźliwie zimno. Dłonie mi drżały, a ziemia wydawała się nierówna. Zaczęła się poruszać? Nie, to drzewa się ruszały. Chimera podniosła się na nogi i patrzyła na mnie z zaciekawieniem. Jego szyja...

Wyglądała lepiej. Była uleczona. Jak?

Spłynęła po mnie fizyczna ulga. Staralam się lepiej przyjrzeć, ale szorstkie, miodowe futro rozmazywało się w świetle księżyca.

Zalała mnie fala mdłości. Coś lepkiego spływało po moim ciele. Chimera próbowała szturchnąć mnie włochatym pyskiem, ale odchyliłam się w tył i wylądowałam na ziemi z łoskotem.

Coś było bardzo nie w porządku.

Usłyszałam swoje imię wypowiedziane przez kogoś oddalonego o miliony kilometrów.

Chimera uciekła w stronę lasu na dźwięk niosący się echem spomiędzy drzew. Próbowałam się z nią pożegnać.

Rozmyta postać mężczyzny pachnącego znajomym aromatem cedru i skóry dopadła do mnie, poczułam jego dłonie na swojej piersi jak ogromny ciężar.

– Nie, nie żegnaj się – przekonywał mnie, ale w jego głosie pobrzmiwała panika.  
– Nic ci nie będzie.

Powoli obraz zbolałych, stalowoszarych oczu i napiętej szczęki wyostrzył się przed moimi oczami.

To był Kane.

Wyjął miecz z moich sztywnych palców, rozwierał jeden po drugim, aż metal uderzył w ziemię z wibrującym brzękiem. Podniosłam na niego wzrok, przerażona. Skąd on się wziął?

Za królem stało przynajmniej siedmiu mężczyzn na koniach, wszyscy z mieczami w pogotowiu. Kane miał oczy rozszerzone z przerażenia i zaciśnięte zęby. Objął ramionami moją klatkę piersiową, przytrzymując od tyłu.

– Zostań ze mną, Arwen. Słyszysz mnie?

Kiedy się zaśmiałam, coś mokrego i przypominającego flegmę zabulgotało w mojej piersi, co wywołało napad kaszlu. Otarłam usta.

– Tyle dramatyzmu, mój k... – Jasnoczerwona maź na moich dłoniach zmieniała słowa w dławienie.

Spojrzałam w dół. Z mojej piersi między palcami Kane'a płynęła krew. Uniosłam jego dłoń odrobinę i zobaczyłam własny obojczyk pod rozdartym, postrzępionym ciałem.

Wszystko się rozmyło i poczułam, jak zawładnęła mną ciemność, nagła i nieugięta.

## DWUDZIESTY DRUGI

Nieustępliwy, potworny ból przeszywał moje ciało raz za razem, wrywając mnie z odmętów nieprzytomności. Wciągnęłam haust powietrza i przełknęłam z trudem ślinę. Sól osiadła mi na rzęsach. W ustach czułam miedziany posmak.

Ledwo rozpoznawałam kształty poruszające się jak burza piaskowa wokół mnie. Kobiety w wilgotnych ubraniach i mężczyzna, który owijał mój nadgarstek gazą. Ktoś zszywał mi twarz. Ukłucia igły szarpiącej skórę były tępym bólem w porównaniu z pieczeniem w piersi i ryczącym bólem za oczami.

Jakaś zasnuta mgłą racjonalna część mojego umysłu zastanawiała się, kto mnie leczył, skoro to ja byłam zamkową uzdrowicielką. Zaśmiałam się w głos, a skupieni mężczyźni i kobiety wymienili ukradkowe spojrzenia i wydawało się, że to tylko zachęciło ich do jeszcze cichszej pracy.

Próbowałam przycisnąć dłoń do piersi, ale kobieta obok mnie ciągle ją odsuwała. To bez znaczenia, nie miałam w sobie już żadnej mocy. Całe swoje umiejętności leczenia zużyłam na chimerę. Kiedy to było?

Ledwo mogłam utrzymać uchylone powieki i starałam się zobaczyć coś przez zaciągnięty wokół mnie materiał.

To pokój, w którym nigdy nie byłam, z granatowymi zasłonami na oknach i skórzanymi meblami. Kilka czarnych świec z poskręcanyimi knotami paliło się w słabym świetle. Coś pachniało znajomo jak dom, ale nie potrafiłam tego umiejscowić.

Lilie w kamiennych wazonach ozdabiały przestrzeń. Skąd się tu wzięły? Delikatne, białe kwiaty mieniły się w słabym świetle świec.

Nie tylko piękne, ale też duszące.

Było z milion stopni i miałam duszności. Spróbowałam usiąść. Potrzebowałam świeżego powietrza, i to w tej chwili.

Ciepłe, duże dłonie przytrzymały mnie w pozycji leżącej.

– Spróbuj leżeć spokojnie – mruknął Kane, jego głos był twardy jak stal. – Już prawie koniec.

Jęknęłam i odwróciłam od niego twarz, miałam zamglone myśli, a brzuchem szarpały mdłości. Kręciło mi się w głowie, przeszywały mnie gorąco i chłód jednocześnie. *Potrzebowałam wody.*

– Przyniosę ci. – Jego znajomy zapach zniknął, a moje gardło zacisnęło się z poczucia straty. Wrócił chwilę później i delikatnie przystawił szklankę do moich wyschniętych, popękanych warg.

Ostry ból szarpnął moją pierś i zakrztusiłam się w agonii.

– Torturujecie ją! – ryknął Kane na kogoś, ale nic nie widziałam przez oślepiające cierpienie. Usłyszałam, jak szklanka wody rozbiła się na podłodze.

– Trzeba pozbyć się jadu, mój królu. Tylko tyle możemy zrobić.

– Proszę – błagał. Dosłownie *błagał*. – W takim razie proszę, pracujcie szybciej.

– Staramy się, ale... – rozbrzmiał kobiecy głos. Strach w jej słowach był zaraźliwy i wsączył się w moje już i tak drżące kości.

– Nie – wydyszał. Brzmiało to prawie jak szloch.

– Może nie być...

Najprawdziwsza, najbardziej przeszywająca agonია, jaką kiedykolwiek czułam, wbiła się w moją pierś, kości, aż do palców u stóp, rozdarła duszę...

Zawyłam żałościwie i ochryple w tym gorącym pomieszczeniu. Pot ściekał mi z brwi i kłuł w oczy.

Nie mogłam tego wytrzymać. Nie mogłam, nie mogłam, nie mogłam...

– Nie! – ryknął i tym razem wiązki poskręcanych, czarnych cieni wypełniły okryte baldachimem łóżko, tłumiąc wszelkie światło, aż pokój skąpał się w czerni północy.

Widmo natychmiast stłumiło moje cierpienia. To, co wcześniej wydawało się cierpieniem – czystym cierpieniem – teraz stało się... niczym. Odrętwienie, zimno, nic. Wyciągnęłam rękę do Kane'a z ulgą i dezorientacją – ale odnalazłam tylko błyskawiczny i ciężki komfort, jaki dawał sen, gdy moje oczy zamknęły się bezwolnie.

\*\*\*

Ostre ukłucie bólu przeszło moje plecy. Otworzyłam gwałtownie oczy i stwierdziłam, że znajdowałam się w jakimś nieznanym miejscu.

*Albo gorzej, w aż nazbyt znanym, w którym nie byłam od lat.*

*Patrzyłam na ciemną, drewnianą podłogę pracowni Powella. Nawet nie było sensu patrzeć na drzwi czy okna. Wiedziałam, że zostały zamknięte, a ja jestem uwięziona w środku. Przygotowałam się na kolejne smagnięcie bólu, ale ono nie nadeszło. Podniosłam wzrok i od razu tego pożałowałam. Powell stał nade mną z zaczerwienioną twarzą, obnażonymi zębami i uniesionym paskiem.*

*– Słaba dziewczyno – powiedział i splunął.*

*Łzy spłynęły po moich policzkach, a smarki kapały z nosa.*

*– Trzy razy w tym tygodniu mówiłem ci, żebyś nie bawiła się w kuchni – warknął, jego głos odbijał się echem w zimnej, pustej szopie.*



*Nie chciałam tchórzyc, ale nie mogłam się powstrzymać. Skurczyłam się w sobie w nadziei, że plecy wkrótce przestaną pulsować bólem. Wiedziałam, że nie powinnam się odzywać.*

*– Doprowadzasz mnie do szału. Sama mnie zmuszasz, żebym uczył cię w taki sposób.*

*Miał rację. Zawsze krzywdził mnie tylko dlatego, że byłam najgorsza. Czemu nie mogłam być silniejsza? Mądrzejsza? Nienawidziłam tego, że wszystko, co o mnie mówił, było prawdą.*

*– Jesteś jak trucizna w tej rodzinie, Arwen. Zabijasz swoją matkę.*

*Kiedy podniósł rękę, żeby uderzyć mnie ponownie, zawołałam, błagając, żeby przestał, ale nikt mnie nie usłyszał.*

\*\*\*

*– Ćśś, Arwen. Nikt cię nie krzywdzi. Wszystko będzie dobrze.*

*Szlochałam i szlochałam, płacz wstrząsał mną z bólu.*

*Proszę, przestań, pomyślałam. Już więcej nie zniosę.*

*– Co przestać? Arwen? – Brzmiał na spanikowanego. Przestraszonego.*

*Ale ja czułam to samo.*

\*\*\*

Łóżko przypominało wannę z jedwabiem, zapadałam się w pościel i czułam, jakbym nic nie ważyła. Warstwy jedwabnej siateczki otaczały łóżko z czterema kolumnkami, a migoczące światło wpadało przez szpary. Wcześniej nie zauważyłam kominka, ale widok tańczących płomieni dodawał otuchy. Skądś dochodził mnie dźwięk powolnej kołysanki. Udręczone i czarujące nuty płynęły przez pokój jak wiązki światła księżycowego. Sprawiały, że chciałam śpiewać. A może płakać.

*– Obudziłaś się – powiedział Kane z kąta pokoju, którego nie widziałam.*

*Oczy piekły mnie od łez wywołanych delikatnym brzmieniem jego głosu.*

*Melancholijna piosenka ustała i usłyszałam, że mężczyzna położył coś na podłodze.*

*Co widziałam przed utratą przytomności? Obrazy czarnego, przypominającego mgłę dymu, otulającego mnie, kołyszącego do snu, były niewyraźne, ale wiedziałam, że go widziałam. To uczucie – nie przypominało niczego, co ogarnęło mnie kiedykolwiek wcześniej. Nie jak magia, nie jak eliksir. Odnosiłam wrażenie, jakby coś wsączyło się w moją duszę i ukoilo cierpienie. Była to swego rodzaju mroczna, pokręcona łaska.*

Kane podszedł do mnie powoli i przyłożył chłodną dłoń do mojego czoła. Uczucie było cudowne. Wtuliłam się w jego rękę jak zwierzątko, ocierając rozgrzaną twarz o jego skórę.

– Mam dla ciebie coś jeszcze lepszego.

Zaskomlałam z powodu utraty kontaktu. Łóżko ugięło się i Kane znalazł się obok mnie, przyciągnął moje ciało do swojego i położył mi na czole zimny kompres. Czułam się jak w niebie. Odwróciłam się, żeby mógł przesunąć materiałem po mojej szyi, barkach i ramionach...

Gwałtownie otworzyłam oczy.

– Co mam na sobie? – Słyszałam, jak bełkotliwie brzmiały moje słowa.

Kane zarumienił się. *Był taki uroczy.*

– Dziękuję, ptaszyno. Jesteś w jednej z moich koszul, tylko tyle tu miałem.

Ukryłam twarz tuż przy jego ciele, układając bolący nadgarstek na jego piersi.

– Jesteś ciepły – zauważyłam.

– Nie tak ciepły jak ty. Gorączka nie ustąpiła.

Zamruczałam.

– Arwen – ciągnął. – Dlaczego byłaś dzisiaj w lesie? – Przerwał. Jego biedne oczy były pełne cierpienia. – Mogłem cię stracić.

Przytrzymał mój nadgarstek przy sobie, jakby moja ręka była wyjątkowo delikatna. Serce mi załomotało.

– Próbowałam coś znaleźć. – Podniosłam wzrok i napotkałam zboląłą twarz. Wyciągnęłam zdrową rękę do jego zmarszczonych brwi i dotknęłam skroni. – Wszystko w porządku, mam to, czego chciałam.

– A co to było?

– Dla mojej matki. Żeby ją wyleczyć.

Kane skinął głową, ale widziałam, że nie miał pojęcia, o czym mówiłam.

– Śpij, mała ptaszyno. Będę tuż przy tobie.

I tak zrobiłam.

\*\*\*

Obudziłam się, słysząc dygotanie i dyszenie. Rozejrzałam się, by stwierdzić, że źródłem tych odgłosów jestem ja sama. Był środek dnia, a ja czułam się jak prosiak smażony nad ogniem. Pociągnęłam za kołdrę i odsunęłam się, szukając ulgi od sterty otulających mnie przykryć. Wpadłam na twarde ciało i po znajomym zapachu rozpoznałam, że to Kane. Pachniał jak spocone drzewo cedrowe. *Jakbym została zanurzona w whisky i podpalona.*

– Najwyraźniej potrzebuję kąpieli – powiedział zaspanym głosem.

Musiałam przestać to robić – przez gorączkę nie potrafiłam odróżnić myśli od słów. Byłam rozdygotaną kupką nieszczęścia, wszystko rozmazywało mi się przed oczami i odnosiłam wrażenie, że bełkotałam. *Niech szlag trafi tę gorączkę.*

W odpowiedzi śmiech Kane'a aż wstrząsnął materacem. *Uch.* To też powiedziałam na głos?

– Czemu leżysz w moim łóżku? – zapytałam. Chciałam zabrzmieć wrednie, ale wyszło tak, jakbym była zagubionym dzieckiem.

– W zasadzie to ty leżysz w moim.

Nie odpuszczałam.

– Dlaczego leżę w twoim łóżku?

Kane zaśmiał się ponownie, radośnie i serdecznie, wywołując krzywy uśmieszek na mojej półprzytomnej twarzy.

– Naprawdę dobrze jest mieć cię z powrotem, nawet tylko trochę.

Nie byłam pewna, dokąd niby sobie poszłam, ale uśmiechnęłam się mimo to.

– Proszę bardzo.

– Dasz radę coś zjeść? – Już chciał wyjść z łóżka w poszukiwaniu jedzenia, ale oplotłam go rękami i nogami jak bluszcz.

– Nie odchodź. – Byłam żalosna. Ale to w porządku. *Pogodziłam się z tym w obliczu śmierci.*

– Nie jesteś martwa, Arwen.

Oczywiście, że byłam. *Czytał w moich myślach, a ja nie miałam na sobie spodni.*

– Nie czytam w twoich myślach, mówisz do mnie. A nie masz na sobie spodni, bo ciągle je zdejmujesz. – Wskazał na podłogę, więc zerknęłam tam i zobaczyłam swoje skórzane ubranie leżące na kupce. Wyszeptałam wewnętrzną modlitwę do Kamieni w podziękowaniu, że bielizna znajdowała się na swoim miejscu, a nie na stercie. Ponownie wtuliłam się w męskie ciało.

– Nie mogę ciągle cię tak trzymać – powiedział, a jego mięśnie zesztyniały.

Nie byłam pewna, czy mi się to przyśniło.

– Ale jednocześnie nie jestem w stanie cię puścić.

– Co to było? – zapytałam. – Ta... – Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić. Poskręcana ciemność, która wypełniła to pomieszczenie jak żywe cienie.

Ale on wiedział.

– Chciałbym podzielić się z tobą wszystkim, Arwen... ale to przyniosłoby ci tylko więcej cierpienia.

Uchyliłam jedną powiekę, żeby na niego spojrzeć, ale on wyglądał przez okno na słońce chowające się za lasem pod nami.

– Jestem silniejsza, niż myślisz.

– Nie, ptaszyno. Jesteś silniejsza, niż myśli ktokolwiek z nas. Tylko ty tak nie uważasz.

\*\*\*

Niezdarne olbrzymy wróciły, ale tym razem przyprowadziły kumpli, którzy też nie mieli poczucia rytmu. Potarłam skronie i próbowałam przełknąć, ale w ustach kompletnie mi zaschło. Na szczęście wzrok i myśli były klarowne – gorączka w końcu minęła.

Usiadłam i przeciągnęłam się leniwie. Każde ścięgnię mojego ciała, od palców aż do szyi, strzeliło i zaskrzypiało z ulgi.

I umierałam z głodu.

Wysunęłam się z łóżka i dotknęłam bosymi stopami chłodnej, drewnianej podłogi, po czym rozejrzałam się po pokoju, tak wyraźnie pachnącym liliami. Czyli to były prywatne komnaty Kane’a. Okazały się bardziej kolorowe, niż przypuszczałam. Dziwaczne niebieskie narzuty i duszne fioletowe zasłony wyróżniały się na tle ciemnych, drewnianych podłóg, kamiennych ścian i zagraconych półek. Stosy historycznych książek, o których mi opowiadał, piętrzyły się przy łóżku. Widać było, że każdy przedmiot miał tu swoje miejsce, każdy potrzebny i użyteczny. I nie dało się przeoczyć, że mieszkał tu mężczyzna. Myliłam się, wyobrażając sobie, że komnaty króla okażą się zimne czy sterylne.

Drzwi na balkon stały otworem, więc wyszłam na zewnątrz, by móc napawać się świeżym powietrzem i letnim słońcem jak usychający po burzy kwiat. Wyciągnęłam ręce wysoko nad głowę, a bryza owionęła moje uda i tyłek.

Och, racja. Brak spodni.

Wróciłam po nie do środka, ale moje ubrania okazały się sztywne i pokryte brudem, krwią i wodą ze stawu. Nie mogłam się zmusić, żeby je włożyć.

Za łóżkiem znajdowała się garderoba wypełniona głównie czarnymi królewskimi szatami. W najdalszym rogu stało wysokie lustro. Przygotowałam się na najgorsze, zanim do niego podeszłam.

W pewnym sensie nie było tak źle, jak się spodziewałam. Nogi wyglądały w porządku, pomijając kilka zadrapań i siniaków. Byłam wdzięczna, że miałam na sobie majtki, zakrywające tyłek i większość brzucha. Ogromna, czarna tunika Kane’a wyglądała na mnie bardziej jak sukienka, więc odetchnęłam z ulgą. Jeden punkt na plus dla skromności.

W pozostałych aspektach było naprawdę źle.

Moja twarz wyglądała przerażająco. Jakbym była obłąkaną, bagienną wiedźmą. Moim oczom brakowało zwykłego oliwkowego koloru, oblicze porażało bledością

i miałam popękane usta. Szwy na policzku odznaczały się wyraźnie, a opuchlizna nadal nie zeszła z dolnej wargi od nocy, kiedy nastąpił wybuch. Nawet nadgarstek pomimo opatrunku był fioletowy i spuchnięty.

Przycisnęłam dłoń do policzka i odetchnęłam głęboko, czując przyjemne ukłucie, gdy moja skóra spajała się ponownie i wypychała szwy z twarzy. Nadal byłam taka słaba – ale miałam w sobie dość mocy, żeby nieco przyspieszyć proces leczenia. Za kilka dni wszystko będzie ledwo widoczne. Ale to nie to martwiło mnie najbardziej.

Czas sprawdzić prawdziwe obrażenia.

Guziki tuniki Kane'a okazały się łatwe do rozpięcia, ale bałam się spojrzeć na swoje odbicie. Nie byłam szczególnie prózną osobą, ale wiedziałam, że jakiegokolwiek urazu doznałam od wilka, pozostanie on ze mną do końca życia.

Odwinęłam bandażę, a wtedy ukazała mi się ogromna szrama, ciągnąca się od obojczyka do górnej części piersi. Uzdrowiciele zszyli ją pięknie, będę musiała im jakoś podziękować.

Po raz pierwszy ktoś naprawdę zajął się mną, kiedy byłam ranna. Okazało się to dziwnie komfortowe, że nie zostawiono mnie samej z leczeniem swoich ran.

Ale patrząc na szwy, w głowie pojawił mi się obraz własnego białego obojczyka i musiałam chwycić się zdobionej szafy, żeby zachować równowagę. Nie byłam przewrażliwiona; z mojej profesjonalnej oceny wynikało, że zawroty głowy wynikały najbardziej z odwodnienia. Wróciłam do sypialni i spotkałam tam Kane'a, który stawiał tacę ze śniadaniem dla mnie na łóżku.

– Wstałaś – powiedział, przesuwając wzrokiem po moich gołych nogach.

Na ustach zamajaczył mi uśmiezek. Jego bezwstydnego przyglądanie się było znakiem, że już nie traktował mnie jako swojej pacjentki. Nieśmiało przyglądałam rozczochrane włosy.

– Tak – odparłam. – Co to?

Wspięłam się na łóżko i założyłam niesforny kosmyk za ucho. Dobra, chciałam wyglądać dla niego ładnie. Może godziny spędzone na oglądaniu trawionej gorączką, spoconej, zakrwawionej Arwen mogły zostać wymazane dzięki przyzwoitemu grzebieniowi.

– Śniadanie. Jak twoja rana?

– Dokucza – przyznałam. – Ale jest lepiej, niż się spodziewałam, zważywszy na tę gorączkę. Nawet nie chcę wiedzieć, jaki jad znajdował się w szponach tego potwora. Dziękuję, Kane. Za wszystko.

Tylko skinął głową.

Jedzenie znajdujące się przede mną sprawiało, że ślinka napływała mi do ust. Trzy gotowane jajka, dwa spore kawałki chleba koniczynowego i porcja miodowego masła,

pokrojone jabłko i trochę pieczonej wieprzowiny. Praktycznie zaczęłam się ślinić.

I prawdę mówiąc, śniadanie nie było jedynym powodem, który sprawiał, że ślinka napływała do ust. Kane wyglądał naprawdę smakowicie. Miał rozpiętą koszulę, przez co mogłam dostrzec delikatne ciemne włoski na klatce piersiowej. Czarne pukle miał zaczesane w tył. Nigdy wcześniej nie widziałam go z zarostem. Powstrzymałam obezwładniającą potrzebę, żeby ująć jego żuchwę w dłonie.

– Masz brodę – powiedziałam z ustami pełnymi jabłka.

Przechylił głowę i dołączył do mnie na łóżku, by położyć dłoń na moim czole.

Zaśmiałam się i zakryłam usta.

– Już nie przemawia przeze mnie gorączka. Tylko brak filtra. – Naszła mnie przerażająca myśl, gdy zaczęłam się zastanawiać, jakie upokarzające rzeczy wygadywałam w chorobie.

Jakby potrafił czytać mi w myślach, wygiął usta w szelmowskim uśmiešku. Uniosłam pytająco brew.

– Och, nawet nie chcesz wiedzieć – zamruczał.

– Przestań. Kłamiesz. – Zamierzałam wściekać się na niego, ale jego urok zmienił moje upomnienie we flirt. *Niech go szlag.*

– Nigdy się tego nie dowiesz.

– Dopisz to do listy – wymamrotałam i odgryzłam ogromny kęs słodkiego chleba.

Kiedy nie odpowiedział, odwróciłam się do niego, ale był pochłonięty myślami.

– Nie chcę niczego przed tobą ukrywać, Arwen.

Nie podobało mi się, kiedy używał mojego imienia. Nie żebym zawsze rozumiała tę pierzastą ksywkę, ale nauczyłam się już, że „Arwen” oznaczało złe wieści.

– Istnieje pewna wiedza, która przyniesie ci tylko ból.

Jego słowa przywołały wspomnienie tej dziwnej mocy, która wypłynęła z niego, kiedy umierałam, i wprowadziła mnie w senny stan. Silniej niż jakikolwiek lek, ale nie byłam całkowicie nieprzytomna.

Mój oddech stał się płytki. Odsunęłam się na łóżku, z dala od niego.

– Ty...

– Więc pamiętasz to – zauważył, na jego twarzy malowała się powaga i zrezygnowanie.

– Co to było? Jesteś... jakimś czarownikiem? – Ale wiedziałam... to nie była magia. Zmarszczył brwi.

– Może gdybym wyznał ci to kilka tygodni temu, nie znalazłabyś się w sytuacji, w której prawie umarłaś.

Chciałam zapytać, jak te dwie rzeczy były połączone.

– Skończ jeść – polecił po chwili. – Potem się przejdziemy.

## DWUDZIESTY TRZECI

Ogrody Shadowhold były miłym widokiem dla moich osłabionych oczu. Treliaże gardenii i lilii otaczały czarne fontanny z pływającymi kwiatami. Delikatne, fioletowe róże rozkwitały tuż obok poskręcanych czarnych lilii, wiecznych fiołków i wisterii, która zwisała nam nad głowami. Kwiaty, które teraz potrafiłam rozpoznać jako czarne nietoperze, smocze lilie i storczyki pajęczce, rozrastały się tutaj dostаточно. To gotyckie ucieleśnienie piękna, ale takie, które pokochałam. Zastanawiałam się, czy jakaś część mnie zawsze wiedziała, że w tym miejscu było coś więcej niż zgroza i okropność.

Kane szedł obok mnie, ale starałam się zachować dystans. Wiedziałam, że nie zrobi mi krzywdy – właśnie uratował mi życie, ale czułam się niepewnie, delikatnie mówiąc. Zdezorientowana, przestraszona – odnosiłam wrażenie, że stałam u progu czegoś, o czym nie byłam pewna, czy chciałam wiedzieć. Ale teraz było już na to za późno. Arwen, która wolała trzymać się na uboczu, naiwnie czekając, aż ktoś się nią zajmie, podejmie za nią decyzję...

Na myśl o tej wersji mnie nachodziły mnie mdłości.

Poruszaliśmy się powoli, chłonąc spokój i śpiew ptaków. Po szybkiej kąpieli i włożeniu czystej sukienki, spotkałam się z nim wczesnym wieczorem.

I od tej pory nie wypowiedział ani słowa.

– Potrzebuję odpowiedzi, Kane – oznajmiłam. Nie zabrzmiało to nieuprzejmie i taka była prawda. Dość już tego.

– Wiem – stwierdził, zdecydowanie w jego oczach zbledło. – Po prostu muszę... pomyśleć.

W porządku. Mogłam być cierpliwa.

Szliśmy przez ogród w ciszy, aż minęliśmy te same ponure kwiaty, które coś mi przypomniały.

– Białe lilie. W twoim pokoju.

To w zasadzie nie było pytanie, ale i tak mi odpowiedział.

– Pomyślałem, że mogą przypomnieć ci dom.

– Rzeczywiście tak było. Dziękuję. – Moje serce urosło.

– Szczęśliwe wspomnienia. Mam nadzieję? – Zawahał się.

Rozważyłam odpowiedź na jego pytanie.

– W większości.

Kiedy nie odpowiedział, podniosłam wzrok. Przyglądał mi się z dziwną intensywnością.

– O co chodzi?

– Kiedy spałaś, wołałaś, żeby ktoś przestał. Pomyślałem, że mogłaś śnić o bestii, która cię zaatakowała, ale powtarzałaś ciągle imię tego mężczyzny. – Widziałam, że z całych sił starał się dobierać ostrożnie słowa i nie wybuchnąć gniewem, ale w jego oczach widziałam ogień. – Nigdy nie przestałem myśleć o bliznach, które zobaczyłem na twoich plecach, wtedy w łazience. Arwen, czy ktoś cię skrzywdził?

Coś w przebijającej się w jego słowach trosce, sprawiło, że poczułam mdłości. Nie chciałam, żeby znowu mnie ratowano. Żałowano.

– Nie. To znaczy, tak. Dawno temu, kiedy byłam młoda. Ale teraz już wszystko dobrze. – Widziałam, że przyglądał mi się uważnie. – Jak widać – dodałam głupio.

Kane wyglądał, jakby był zdolny przewracać góry.

– Kto? – Wypowiedział to słowo przez zaciśnięte zęby.

Nie mówiłam tego nikomu od bardzo dawna. W zasadzie zdradziłam swoją tajemnicę tylko Ryderowi. Kiedy już byłam starsza, a wspomnienia wydawały się życiem należącym do kogoś innego. Zmusiłam brata, żeby obiecał, że nigdy nie powie Leigh ani naszej matce.

Ale może prawda za prawdę.

Przygotowałam się.

– Mój ojczym, Powell, kiedyś mnie bił. Nie wiem za bardzo dlaczego. Myślę, że nienawidził mnie, bo nie byłam jego. To niezbyt dobry powód, ale czasami ludzie starają się przelać na kogoś swój ból i wykorzystają do tego każdy pretekst. Moja rodzina nigdy się nie dowiedziała.

– Jak to możliwe? – zapytał.

– Matka zawsze chorowała. Wiedziałam, że nie mogła bez niego żyć, więc nie mogłam jej tym obarczać. Leigh była za młoda, żeby nosić takie brzemie. Ryder i Powell byli sobie bliscy. A przecież od zawsze potrafiłam dość szybko leczyć złamane kości i rany.

– A gdzie teraz znajduje się ten żalosny stwór? Jest z twoją rodziną?

– Umarł wiele lat temu. Miał udar. – Pokręciłam głową.

– Szkoda. – Oczy Kane'a płonęły.

Posłałam mu pytające spojrzenie.

– Skurczybyk wywinął się o wiele za łatwo – powiedział, patrząc w dół, z zaciśniętymi zębami. Kiedy nie odpowiedziałam, dodał: – Przykro mi, że musiałaś cierpieć w samotności. Przykro mi, że w ogóle musiałaś cierpieć – szepnął znowu z tą pełną bólu delikatnością.



– Dziękuję – odparłam. I naprawdę tak myślałam. – Ale teraz twoja kolej. Dość przeciągania. – Przygotowałam się. – Co widziałam?

Skrzyżował ramiona na piersi w geście, którego nigdy u niego nie widziałam, a potem rozłożył je równie szybko. Przesunął palcami po kruczoczarnych włosach.

Walczyłam z potrzebą, by dosłownie wydusić z niego odpowiedź.

– Na swoją obronę mam tylko jedno – powiedział w końcu. – Wtedy piłaś.

Czekałam, aż to nabierze jakiegoś sensu.

– Miałem przeczucie, że to nieodpowiednia chwila, żeby ci wyznawać prawdę. Wtedy, w piwnicy. I... – Kane westchnął – nie chciałem cię wystraszyć.

Jego słowa miały dokładnie przeciwny efekt, bo strach zebrał się w moich trzewiach, ale starałam się zachować naturalny wyraz twarzy.

– Pamiętasz ten bunt przeciwko królowi Fae? – zaczął, a ja przytaknęłam. – Został zorganizowany przez małą grupę, która chciała uratować tę krainę. Zburzyć nieprzeniknione mury i uwolnić znajdujących się w środku mieszkańców. Ta próba... została podjęta przez syna Lazarusa.

– Syn króla Fae próbował obalić własnego ojca?

– W zasadzie obaj jego synowie. Ale tak, bunt poprowadził młodszy.

Cienki, ostry pazur strachu przesunął się delikatnie po moim kręgosłupie.

– A co to ma wspólnego z tym, co widziałam?

Kane zacisnął zęby, w jego oczach błysnął wstyd.

– To byłem ja. Jestem synem Lazarusa, Arwen.

Nie słyszałam go przez ryk w uszach.

– Arwen? – rzucił Kane, przyglądając się mojej twarzy.

Kane był *Fae*?

Istotą, których bałam się jako dziecko? Istotą z historii opowiadanych przy ogniskach, by przestraszyć i zszokować. Rzeczy, które byłam pewna – tak bardzo pewna – że nie istniały aż do chwili sprzed dwóch dni. A teraz stał tuż przede mną?

– Walczyłeś przeciwko własnemu ojcu? – Słowa same wypadły mi z ust.

Kane patrzył mi zaciekle w oczy, jakby czegoś w nich szukał.

– Próbowałem. Ale zawiodłem.

Jego mina była nieodgadniona. Zacisnęłam drżące palce na materiale luźnej spódnicy.

– To był największy błąd w moim życiu. Kosztował mnie i moich najbliższych wszystko, na czym nam zależało. Większość z nich przypłaciła to życiem.

Jego zgorzknienie, gniew, wylewały się jak atrament do wody.

Mówił, że skrzywdził tych, których kochał, ale to... To było...

– Nienawidzę Lazarusa bardziej zajadle, niż możesz sobie wyobrazić. Pomszczę tych, których straciliśmy, i ocale ten śmiertelny kontynent, Arwen. Muszę. Nie chodzi tutaj o „czy”, tylko „kiedy”.

Pochyliłam głowę w skinieniu. Wierzyłam mu – jak mogłoby być inaczej? Nigdy nie widziałam kogoś bardziej nieugiętego w jakiegokolwiek sprawie, ale czułam się też ciągle całkowicie wstrząśnięta.

– Czy twoi ludzie wiedzą, czym jesteś? A co z twoim królestwem?

Wziął drżący oddech, jakby chciał się uspokoić, zanim pokręcił głową.

– Więc to, co widziałam, kiedy byłam... – Przełknęłam słowo „umierająca”. – To była świetlistość?

– Tak. Każdy Fae posiada inną odmianę, więc nie zawsze będzie tak wyglądała. Jest coś mrocznego... w moim wnętrzu. Coś, co odziedziczyłem z wiedźmiej części rodziny od strony matki. Staram się używać mocy tak rzadko, jak to możliwe. – Twarz Kane’a ledwo ukrywała jego odrazę.

– Ale użyłeś jej wczorajszej nocy. Na mnie – powiedziałam.

– Żeby stłumić twój ból, twoje cierpienie. Tak. – Spojrzał na mnie, jego wzrok był ostry i czujny. – I zrobiłbym to ponownie. Nawet sto razy.

– Dziękuję – wyszeptałam.

W odpowiedzi tylko skinął głową.

Potałam opuszkami skronie i spojrzałam przed siebie, na rozciągające się krzewy. Lekki, letni wietrzyk załopotał spódnicą wokół moich kostek.

Właśnie docierało do mnie, że Kane miał zapewne ponad sto lat. Zalew informacji z ostatnich kilku dni w połączeniu z delikatnym stanem psychicznym popychał mnie w stronę załamania nerwowego.

– Przyjmujesz to wszystko zaskakująco dobrze – stwierdził.

Odwróciłam się do niego, oglądając uważnie tę młodą twarz, gładką skórę, ostro zarysowaną szczękę.

– Ile masz lat?

Zakrył uśmiechnięte usta dłonią i potarł zarost.

– Jakies dwieście piętnaście – odparł, a mnie opadła szczeka. – Prawdę mówiąc, zdążyłem stracić rachubę.

Potrząsnęłam głową, starając się pozbierać myśli.

– Kiedy odbył się bunt? Jak długo władasz już Królestwem Onyksu?

– Opuściłem Krainę Fae wraz z tymi kilkoma, których udało mi się wydostać, pięćdziesiąt lat temu. Wtedy też przejąłem od tutejszego władcy Onyks, był on starszym monarchą bez żyjących dziedziców. Część tej „osobowości”, jak ją

nazwałaś... tajemniczość, złe uczynki, stworzyłem wraz z najbliższymi doradcami z tego właśnie powodu.

– Tak, żeby nikt nie wiedział, jak wyglądasz, i nie zauważył, jak się zmieniasz.

– Dokładnie – odparł.

– A co z twoimi sprzymierzeńcami? Król Eryx i księżniczka Amelia?

– Wiedzą. Zarówno dzięki mojemu pochodzeniu, jak i za sprawą Lazarusa. Planują walczyć przeciwko niemu. Dla Evendell.

Przypomnienie o groźbie wiszącej nad całym kontynentem było niczym lodowata woda w moich żyłach. Naprawdę nie było dokąd uciec. Nie istniał sposób, żeby uratować wszystkich.

Niezależnie, co się stanie i kto wygra, tak wielu zostanie skazanych na śmierć.

Skrzywił się, jakby podążał ścieżką moich myśli.

– Nie zostało wiele czasu. Najemnicy z krainy Fae już po mnie idą, podczas gdy Lazarus przygotowuje się do wojny. – Kane przełknął. – To właśnie jeden z jego ludzi zaatakował cię w lesie.

Zamarłam w pół kroku.

– Wilk był... najemnikiem Fae? – Sama myśl, że zabiłam Fae wydawała się chorym żartem. – To niemożliwe.

– Bardzo potężni Faerie posiadają zdolność zmiany kształtu. Jest niezwykle rzadka i wykorzystuje ogromną ilość świetlistości. Wyobrażam sobie, jak zdruzgotany jest Lazarus z powodu straty jednego z tak potężnych. Z pewnością w swojej armii nie ma ich więcej niż setkę.

Zastanawiałam się, czy to duma błyszczała w oczach Kane'a.

– Właśnie to zabiło twoich ludzi w Lesie Cieni. Kiedy zabrałeś mnie z sobą.

– Tak i również to mnie „skubnęło”, jak powiedziałaś tamtego dnia w szpitalu. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Najemnicy mojego ojca starają się dopaść mnie już od miesiący.

Wszystkie te tajemnicze rany, których pochodzenia nikt nie chciał mi wyjaśnić... ugryzienie Lance'a, rana Barneya tamtej pierwszej nocy, to wszystko nabierało sensu.

– Zabijamy tylu, ilu zdołamy, żeby powstrzymać ich przed donoszeniem o miejscu mojego pobytu, ale nie zdołamy utrzymać ich wiecznie w ryzach.

Na myśl, że chcę dopaść Kane'a, wszystkie kolory odpłynęły mi z twarzy.

– Obawiam się, że jest coraz gorzej – dodał cicho.

Przygotowałam się i zadałam pytanie:

– Skąd mogę wiedzieć, co nadchodzi?

– Królestwo Bursztynu podbiło Granat.

Cały ogród zamarł wraz z moim sercem. Moi najbliżsi – przecież oni tam byli.

– Moja rodzina popłynęła do Granatu. Przynajmniej tam właśnie planowali się udać. Musisz mnie tam zabrać. Żeby ich znaleźć.

Wyraz twarzy Kane'a złagodniał.

– Moi szpiedzy są blisko. Kiedy tylko znajdą twoją rodzinę, zabiorę cię do nich. Ale obawiam się, że Lazarus może być na tyle pewny siebie, że zaatakuje teraz. Ma dwie armie śmiertelników. – Kane chwycił mnie za ramię.

Nie wzdrygnęłam się pod jego dotykiem, a on wydawał się to zauważyć, bo jego spojrzenie stało się cieplejsze. Jego szerokie dłonie przekazywały ten żar do mojego ciała.

– Nie możesz tu zostać ani dnia dłużej, Arwen. Warownia nie jest już bezpieczna dla ciebie ani dla nikogo innego. On po mnie idzie. Nadejdzie lada dzień, jestem tego pewien.

Przełknęłam z trudem. Lazarus nie mógł dopaść Kane'a – wszystkie inne myśli uciekły mi z głowy, poza tą. *Nie mógł go dopaść.*

– Ale jak wiesz, Perydot i Onyks zawarły przymierze. Musisz wyjechać dzisiaj wieczorem do stolicy Perydotu, Zatoki Syren, gdzie będziesz bezpieczna. Griffin cię zabierze.

– Griffin? – Żołądek mi się ścisnął. – Co z tobą?

– Dołączę do ciebie, kiedy będę mógł.

I wtedy mnie puścił, a ja zatęskniłam za jego dotykiem jak za ciepłem w mroźną zimę.

– Dokąd się wybierasz?

– Myślę, że już dość szczerości na dzisiaj. – Próbował się uśmiechnąć, ale nie sięgnęło to jego oczu.

– Ale teraz już powiedziałaś mi wszystko? Żadnych więcej sekretów? Nie mogę już tak żyć, Kane. Zwłaszcza teraz. Muszę wiedzieć, że to wszystko.

Pocałował mnie delikatnie w czoło. Aromaty drzewa cedrowego i orzeźwiającej mięty wypełniły moje zmysły.

– Tak.

Ciężar, z którego nie zdawałam sobie sprawy, spadł mi z piersi. Kilka tygodni temu powiedział, że nie pozwala sobie na ufanie innym i że nie mógł zaufać mnie. A jednak powoli, boleśnie powoli, dopuścił mnie do siebie. Wiedząc, że zmienił zdanie tylko dla mnie – pozwolił mi na dzielenie z nim tego brzemienia – całkowicie się otworzyłam.

Westchnęłam tak głęboko, że płuca mnie zaboląły.

Kiedy okrążyliśmy te same krzewy co wcześniej, zauważyłam, że czekała na nas grupa żołnierzy. Griffin stał na ich czele z poważną miną.

– Teraz? – Znajomy przypływ paniki skrzył mi żołądek. Byłam przerażona wyjazdem. Ogrom moich uczuć do Kane'a był jak rwący strumień. Prawie upadłam na ziemię – przez cały ten czas sądziłam, że nie byłam zdolna do takich uczuć. Myślałam, że Powell zniszczył mnie tak dogłębnie, że nigdy nie będę w stanie poczuć czegoś takiego. A jednak...

– Tak, teraz – odparł Kane z bólem na mój błagalny ton i zmarszczył brwi

– Czekaj. – Musiałam zapanować nad pędzącym sercem. – Proszę, czy Mari może jechać ze mną? – Nie mogłam jej tu zostawić, skoro zamek został zagrożony atakiem.

– Griffin po nią pośle.

Przyglądał mi się uważnie, ze zmarszczonymi brwiami, w jego twarzy dostrzegłam, że toczy wewnętrzną walkę. Już nie obchodziło mnie, jak żałośnie zabrzmie. Jaka wydam się słaba czy przestraszona. Jak nedorzecznie było zakochać się w śmiertelnościami, zapierającym dech w piersi królu Fae.

– Zobaczę cię ponownie? – zapytałam. Czułam, że lada chwila mogłam się rozpłakać.

– Mam taką nadzieję, ptaszyno. – Kane wyglądał tak, jakby słyszał moje pękające serce.

Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć ciemnego zarostu pokrywającego jego szczękę i szyję. Lekkie worki pod oczami. Za późno uświadomiłam sobie, że był wrakiem.

Ostrożnie, jakbym była dzikim zwierzęciem, pogłaskał mnie po policzku. Byłam niejasno świadoma obecności grupy żołnierzy, którzy nagle uznali swoje buty za wyjątkowo interesujące.

– Muszę powiedzieć ci jeszcze jedno. – Nie spuszczał wzroku z mojej twarzy. – Myliłem się tego dnia, kiedy powiedziałem, że uznałaś swoje życie za mniej ważne niż życie brata. Dokonałaś heroicznego wyboru tej nocy, kiedy tu przyjechałaś. To wymagało ogromnej odwagi. Jestem królem od dawna, ale widzę coś takiego rzadko, jeśli w ogóle, nawet wśród moich najwspanialszych wojowników.

Spojrzałam mu w oczy przez łzy.

– Wykazałaś się odwagą, chociaż nie miałaś nadziei, że to cię ocali. Niezależnie, czy o tym wiesz, czy nie, Arwen, jest w tobie dzika siła. Nie potrzebujesz Rydera ani Dagona, ani mnie, nikogo, żeby się tobą zajął. Zapamiętaj to. Jesteś wystarczająca.

Jego słowa były jak modlitwa, druzgocące i wzmacniające zarazem. Znajdowaliśmy się zaledwie centymetry od siebie i czułam łaskotanie jego oddechu na wargach, jego palce przeczesujące moje wciąż wilgotne włosy. Kane przyglądał mi się uważnie,

ściągnął brwi i z czułością objął mnie drugą ręką w tali. Ponownie spojrzał mi w oczy, jakby chciał się upewnić, bez cienia wątpliwości, że też tego chciałam. Miałam nadzieję, że widział, że nigdy niczego nie pragnęłam bardziej w życiu niż tego mężczyzny.

Wypuścił drżący oddech i z niespodziewaną delikatnością opuścił usta na moje.

Gdy moje wargi musnęły jego, wypuścił ochryple westchnienie, jakby wstrzymywał oddech od wielu dni. Może lat. Jakby czekał na ten konkretny moment. Potrafiłam to zrozumieć – kiedy poczułam, jak jego usta objęły moje, gdy wziął mnie w ramiona, wiedząc, że czuł to samo – to było lepsze, niż mogłam wyśnić.

Jego wargi były miękkie, wilgotne i badawcze. Nie spieszył się, smakował i delikatnie mnie pieścił, wysyłając dreszcze do każdego zakończenia nerwowego w moim ciele. Gdy jego uścisk w moich włosach zacieśnił się na tyle, by przyciągnąć mnie bliżej, jęknęłam, a moje palce przesunęły się delikatnie, czule, wręcz boleśnie na jego szyję i wtedy on jęknął. Chwyciłam zębami jego dolną wargę i zassałam – chciałam kolejny raz usłyszeć ten niski, dudniący męski odgłos. Pragnęłam tego bardziej niż powietrza w płucach.

Jakby wyczuł moją potrzebę, pogłębił pocałunek, jego opanowanie przeszło z delikatności w coś bardziej głodnego i desperackiego. Przeniósł dłoń z mojej talii na policzek, przyciągnął głowę bliżej i penetrował moje usta językiem, aż nie mogłam powstrzymać westchnienia i mogłabym przysiąc, że wyczułam nikczemny śmiech w jego piersi, przyciśniętej do mojej.

I wtedy wszystko się skończyło.

Odsunął się, usta miał nabrzmiące i rozchylone, a jego pierś unosiła się ciężko. Spojrzał na mnie tylko raz, ale z wystarczającą tęsknotą, by sprawić, że moje już drżące kolana osłabły. Poczułam jego nieobecność tak, jakby ktoś wyciągnął spode mnie krzesło. Zachwiałam się z powodu utraty kontaktu i patrzyłam, jak odchodzi. O wiele za szybko.

## DWUDZIESTY CZWARTY

Gotowałam się żywcem. Lato w Onyksie było bezwzględne,, a ciepło potęgował jeszcze tłok w powozie. Mari i ja zostałyśmy zapewnione przez Griffina i czterech pozostałych żołnierzy, że droga do Perydotu zajmie tylko tydzień, ale już drugiego dnia wydawało się, że wyprawa ciągnie się w nieskończoność.

Kiedy zapytałam Griffina, dlaczego tym razem nie podróżowaliśmy smokiem, w charakterystyczny dla siebie oschły sposób powiedział, że smok był „symbolem potęgi Onyksu, a nie środkiem transportu”.

Ale mimo wszystko na smoku byłoby mniej gorąco.

Mari spała, a ja obserwowałam, jak krajobraz Onyksu zmieniał się za oknami powozu. Byłam zszokowana, gdy odkryłam, że zatęskniłam za Shadowhold. Może to stale obecny zapach lilii w powietrzu albo gotycka biblioteka z jej kutymi, żelaznymi zyrandolami. Gardenie na kamieniach. Welwetowe krzesła i uśmiech Kane’a.

Tęskniłam za pracą w aptece i wszystkimi twarzami, których prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczę. Nawet za zmarszczonymi brwiami Dagona. Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak walczyłam ze stworzeniem Fae i wygrałam, używając wszystkiego, czego mnie nauczył. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę mogła opowiedzieć mu o walce. Byłby taki dumny. Nawet nie zdążyłam się pożegnać.

Chwile po odejściu Kane’a rozmyły się w mojej pamięci. Griffin posłał ze mną żołnierzy, żebym spakowała do worka te kilka rzeczy, które posiadałam. Wirowałam po pokoju niczym tornado. Korzeń jamisty pozostawał bezpiecznie schowany w mojej torbie, zdążyłam jeszcze zabrać z apteki składniki potrzebne do sporządzenia mikstury, zanim zostaliśmy wyprowadzeni z warowni na dobre.

Podczas pierwszej nocy w powozie wyznałam wszystko Mari, która po mistrzowsku załapała każdy szczegół. Przerobiłyśmy nadchodzącą zagładę kontynentu, lekcję historii Fae, okropną ranę po walce z wilkiem, nieśmiertelność Kane’a i ogólne nieczłowieczeństwo, a także głęboko niepoprawne zakamarki mojego umysłu, który pomimo tego wszystkiego chciał rozebrać go do naga i wylizać od stóp do głów.

Mari oczywiście nie była jak zwykle promykiem słońca. Po usłyszeniu wieści o postępie wojny – szczegóły związane z Fae pozostawały sekretem – jej ojciec pojechał do małego miasteczka niedaleko stolicy, żeby zabrać jej siostrę i sześcioro

jej dzieci. Mari nie wiedziała, czy spotkają się w Perydocie i starała się całkowicie odsuwać tę myśl od siebie.

Głównie tęskniłam za Kane'em. Minęły dopiero dwa dni i wiedziałam, że tęsknota w obecnej chwili to nic w porównaniu do tego, co miało nastąpić. Nie wydawało się prawdopodobne, że przyjedzie, żeby ukrywać się razem ze mną w Perydocie w najbliższej przyszłości, skoro na horyzoncie majaczyła wojna z jego ojcem. W moim sercu otwarła się otchłań i czułam, że w niej tonęłam.

Powóz zatrzymał się, wrywając mnie z zamyślenia, a Mari ze snu. Słońce zaszło, a my stanęliśmy przed dziwną, koślawą tawerną z krytym strzechą dachem.

– Gdzie jesteśmy? – zawołałam przed okno.

– W Serpent Spring i ucisz się – powiedział Griffin, uwiązał swojego konia i skierował się do środka.

– Ależ on się rządzi – stwierdziła Mari, potrząsając rudymi puklami. Sterczały jej lekko od snu i wyglądała, jakby trochę zbzikowała. – Podasz mi moje książki? I płaszcz? Chodź, pospiesz się – dodała, wysiadając z powozu na wieczorne upalne powietrze.

Przewróciłam oczami.

\*\*\*

Tawerna była parna i zaskakująco pusta. Griffin, Mari i ja zjedliśmy późną kolację przy chybottliwym, drewnianym stole. Byliśmy sami, nie licząc pochrapującego, starszego mężczyzny z podkreconymi wąsami i dwóch hałaśliwych, lokalnych chłopaków, wypijających właśnie piątego tej nocy drinka.

– W tej znalazłam kilka wzmianek o społeczności Fae, ale nic o źródle mocy – ciągnęła Mari, pochylając się nad oprawionym w skórę tomem leżącym na stole obok jej gulaszu. Była wniebowzięta, bo zyskała nowy wgląd w historię Fae i kolejne godziny podróży spędziła na przeszukiwaniu ksiąg.

– Ciszej, proszę. – Griffin zacisnął zęby i potarł skronie.

Wydawało się, że nie był fanem Mari. A nawet moim po tym, jak potrzebując kilku odpowiedzi na temat Fae, przyznałyśmy się mu, że wiedziała o Lazarusie i Krainie Fae. Zastanawiałam się, czy już nienawidził niańczenia obiektu zainteresowania króla i jego najlepszej przyjaciółki, kiedy zbliżała się tak decydująca bitwa.

– Wiem, wiem, sam koncept książki jest dla ciebie taki trudny – powiedziała Mari. – Przecież są w niej słowa – wypowiedziała to powoli, zanim odwróciła się do mnie. Ukryłam prychnięcie śmiechem, biorąc kęs ziemniaków.

– Proszę tylko o dyskrecję. Nie powinnaś wiedzieć żadnej z tych rzeczy. – Griffin posłał mi znaczące spojrzenie. – I nigdy nie wiadomo, kto może słuchać.



Mari przytaknęła, udając szczerość, jej brązowe oczy stały się wielkie i pełne niewinności.

– Masz rację. Myślę, że Śpioch za nami pracuje dla wroga. Dobre oko, komandorze.

Griffin zapatrzył się w swój gulasz, prawdopodobnie rozważając wszystkie swoje życiowe wybory. Posłałam mu swój najlepszy uśmiech mówiący „dziękuję, że ją zabrałeś”. Wstał od stołu, zostawiając swoją kolację.

– Mari, dlaczego zrażasz go do siebie?

Przyjaciółka wróciła spojrzeniem do swojej książki, wkładając do ust łyżkę jedzenia.

– Nie mam takiego zamiaru.

Spojrzałam na nią ze złością.

– Tak czy inaczej – ciągnęła, zniżając głos – nie jestem pewna, dlaczego świetlistość interesuje cię najbardziej ze wszystkich rzeczy, które powiedział ci Kane. Nie ma tu nic o tym.

*Cholera.*

– W tym cały problem. Nawet jeśli w jakiś nieprawdopodobny sposób pokonamy króla...

– Czego sobie nie wyobrażam – przerwała mi, na co ponownie spiorunowałam ją wzrokiem. – Wybacz – dodała.

– Nawet gdybyśmy to zrobili, dziesiątki tysięcy śmiertelników i Fae mieszkają w tej przeklętej krainie. To nie w porządku. A my nie możemy ocalić ich ziemi ani sprowadzić ich tutaj, nie wiedząc więcej o świetlistości. – Odsunęłam od siebie talerz. Rozbolał mnie żołądek i nagle nic nie wydawało się gorsze niż ta wstrętna, ziarnista papka.

Mari przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Od kiedy tak się przejmujesz? O krainę, o której dowiedziałas się zaledwie pięć dni temu?

Nie potrafiłam jej dokładnie odpowiedzieć. Nie byłam pewna. Uczucie bezradności było aż nazbyt znajome. Doświadczałam go każdego dnia swojego życia, odkąd trafiłam do Onyksu. Ale nauczyłam się żyć bez rodziny, walczyć mieczem, być śmiała, przetrwałam atak najemnika Fae. A teraz Kane na mnie polegał, zawierzył mi – nazywał to nieugiętą pozytywnością, ale pomimo całej bezradności, kiełkowało we mnie inne uczucie.

Możliwe, że była to nadzieja.

\*\*\*

Koc drapał mi skórę, a łóżko pachniało kulkami na mole i zatęchłym praniem. Odwróciłam się na drugi bok, żeby sprawdzić, czy taka pozycja okaże się wygodniejsza.

Nie okazała się.

Poduszka grzała mnie w policzek niezależnie, jak ją przekręciłam, a zastałe powietrze w tawernie mnie dusiło. Włożyłam buty i zeszłam po schodach, zanim pojęłam, co robiłam.

Na zewnątrz powiew chłodnego powietrza na moim policzku był jak pieszczota. Zaciągnęłam się aromatami obsydianowej pszenicy i ściętej trawy. Trochę zakochałam się w surowym krajobrazie Onyksu. Trawa cytrynowa, bez, lawenda. Lepkie, słodkie zapachy mojego dzieciństwa teraz wydawały mi się przesłodzone.

Nabrałam dłońmi wody z wiadra zawieszzonego nad studnią i ochlapałam twarz. Odgłos metalu uderzającego o metal zaskoczył mnie, więc się odwróciłam, by zobaczyć dwóch mężczyzn, walczących w oddali. Kiedy jeden zawołał o łaskę, moje nogi zaczęły poruszać się jakby własnym rytmem.

Nie nastał jeszcze ranek, więc potarłam oczy i zmrużyłam je w przyćmionym świetle, szukając jakiejś broni, żeby ich powstrzymać. Zobaczyłam tylko długi kawałek drewna.

To będzie musiało wystarczyć.

Podbiegłam do mężczyzn, przygotowując się na przerwanie walki, kiedy usłyszałam głęboką salwę męskiego śmiechu.

Oddech, który z siebie wypuściłam, był prawie komiczny.

Griffin nie miał na sobie koszuli i ociekał potem. Blond włosy przykleiły mu się do czoła. Naprzeciwko niego pochylał się kudłaty, młody żołnierz, który podróżował z nami. Griffin sparował cios znad głowy z łatwością, a potem trafił go w głowę rękojęścią.

– Auć!

– Mniej gadania, więcej skupienia na zachowaniu dystansu. Za bardzo się zbliżasz – powiedział Griffin. Uniósł brwi, kiedy mnie zobaczył. – Dzień dobry, uzdrowicielko.

– Uchylił się przed następnym ciosem i trafił chłopaka drugą ręką w brzuch. – Gdybym miał swój sztylet, Rolph, byłbyś martwy.

Rolph opuścił miecz i opadł na pobliską belę siana.

– W porządku. Nie żyję.

– Co to ma być za podejście? – zapytał komandor, ale Rolph już odszedł w stronę studni, zapewne po wodę i żeby zająć się swoim nadszarpniętym ego.

– Mogłeś być dla niego trochę delikatniejszy – powiedziałam, podnosząc jego porzuconą broń.

– I czego by się wtedy nauczył?

– Mógłbyś przynajmniej odpuścić trochę Mari. – Obróciłam miecz w dłoniach.

– Powiedziała tak? Że traktowałam ją ostro? – Rozrywkowa energia Griffina zmieniła się w coś innego.

– Nie, ja to mówię. – Pokręciłam głową.

Griffin tylko coś mruknął.

Tęskniłam za dotykiem stali w dłoniach. Siłą, którą czułam, dzierżąc miecz.

– Masz ochotę na walkę?

Griffin uniósł spoconą brew.

– Spędzałaś za dużo czasu z naszym królem – powiedział, a po chwili dodał: – Spróbuj ze mną.

– Jeśli uda mi się ciebie trafić chociaż raz, będziesz musiał powiedzieć coś miłego Mari. Szczery komplement.

– Kim my jesteśmy, uczniami? – Przewrócił oczami.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– W porządku, ale jeśli nie zdołasz, co z tego będę miał?

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Griffin, chyba kompletnie nic o tobie nie wiem. Zupełnie. Czego byś chciał?

– Kolacji w ciszy dzisiaj wieczorem. Jeśli muszę nianńczyć was obie, aż dotrzemy do Zatoki Syren, niech to przynajmniej będzie znośne.

– Jesteś okropny. I nudny.

– To tylko detale. – Teraz to on się uśmiechnął.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, ruszył na mnie, wymachując mieczem. Sparowałam tyle uderzeń, ile mogłam, ale kilka trafiło mnie w ramię, brzuch i plecy. Griffin miał doświadczenie w uczeniu, bo każdy cios był wyważony w taki sposób, że chociaż zbliżał się do mnie z pełną prędkością, to trafiał tylko lekkim ukłuciem. Styl Griffina był dużo szybszy i bardziej chaotyczny niż Dagana, mężczyzna przerzucał miecz z lewej do prawej ręki i przeskakiwał moje próby niskich ciosów.

Dziesięć minut później ledwo mogłam ustać na nogach.

– Dobra, dobra – dyszałam. – Dość już.

Griffin posłał mi doprowadzający do szału uśmieszek. Zdmuchnęłam włos z czoła jak rozdrażniony koń, na co mój przeciwnik się zaśmiał.

– Nie bądź taka ponura. Jesteś dużo lepsza, niż się spodziewałem. Staruszek dobrze cię wyszkolił.

– Kane ci powiedział?

Griffin przytaknął, ale w jego oczach dostrzegłam coś, czego nie potrafiłam określić.

– Umyj się. Wyruszamy za godzinę.

Sapnęłam. To by było na tyle w kwestii silnej, potężnej, pokonującej Fae Arwen.

– Mogłabyś stać się w tym przyzwoita, pod warunkiem, że odrobinę byś potrenowała. Daj znać, czy chcesz dalej nad tym pracować.

Zatrzymałam się.

– Myślałam, że mnie nienawidzisz.

Wyraz twarzy Griffina ledwo uległ zmianie, ale spojrzenie stało się poważne.

– Nie, uzdrowicielko. Nie nienawidzę cię. – Westchnął głośno i usiadł na beli siana obok mnie.

Słońce właśnie zaczynało wschodzić, a promienie podkreśliły złote pasma w jego włosach.

Naszła mnie myśl, coś nad czym zastanawiałam się od kilku miesięcy.

– Griffin, dlaczego ścigałeś Kane'a tamtego dnia w szpitalu? Przecież w rzeczywistości nie był zbiegłym więźniem.

Smutny uśmiech zagościł na twarzy komandora. Nadal dziwnie było widzieć, że się uśmiechał.

– Musiał zostać uzdrowiony, ale nie chciał ci jeszcze powiedzieć, kim był. Pokłóciliśmy się o to. – Zacisnął zęby na to wspomnienie. – Wymknął mi się.

– I go ścigałeś? – Wyrwało mi się parsknięcie.

Jednak uśmiech Griffina zniknął.

– Moim zadaniem jest chronić mojego króla. Ty jesteś... – Podrapał się po brodzie, próbując znaleźć odpowiednie słowa. – Niebezpieczna dla niego.

Prychnęłam.

– Jasne. Wielki Kane Ravenwood obalony przez Arwen z Abbington. Jestem przerażona.

Griffin wstał.

– Nie ma się z czego śmiać. On nie może mieć żadnej słabości, kiedy wystąpi przeciwko Lazarusowi, a jednak właśnie się nią dla niego stałaś. Nic nie może być bardziej niebezpieczne dla Evendell.

\*\*\*

Tamtej nocy, po kolejnej, duszącej przejażdżce powozem, zasiedliśmy w innej małej tawernie. Ta należała do uroczej, pulchnej rodziny i mocno pachniało tu wieprzowiną.

Kolacja była niezręcznym wydarzeniem. Podczas gdy pozostali strażnicy, z którymi podróżowaliśmy, zasiedli wokół wewnętrznego paleniska – choć było o wiele za ciepło na chociaż jeden płomień – pijąc piwo i opowiadając historie, nasza

trójka siedziała w agresywnej ciszy, trącając jedzenie widelcami. Mari była delikatnie mówiąc niezadowolona, w związku z moim układem dotyczącym cichej kolacji. Musiałam przekupić ją obietnicą trzech nowych książek po przybyciu do Perydotu.

Cisza była ogłuszająca, ale spojrzenia pomiędzy moimi towarzyszami okazały się jeszcze gorsze. Mari spoglądała na Griffina z furią przemoczonego kota. Griffin stanowił ucieleśnienie szelmowskiego spokoju, co tylko bardziej denerwowało Mari.

Minuty mijały boleśnie powoli. Jadłam tak szybko, jak mogłam. Mari wpatrywała się w Griffina, aż jej złość wydawała się przekształcić w zupełnie coś innego. Jej wzrok zmienił się, a jego spokój przeszedł w podejrzliwość.

Nie miałam odwagi zapytać, co się działo.

Nagle Mari zrobiła się cała czerwona i spuściła wzrok na jedzenie. Wydawało się, że słabo ugotowana wołowina stała się wyjątkowo fascynująca w ciągu ostatniej minuty. Spojrzałam na jej danie, a potem na swoje, ale nie zauważyłam niczego szczególnego.

Zerknęłam na Griffina. Przyglądał się czekoladowym oczom Mari z czymś na kształt skruchy.

– Twoje włosy są promienne. Jak słońce po burzy. – Odchrząknął.

Mari opadła szczęką, a Griffin wstał gwałtownie, jego zbyt długie nogi uderzyły w stół aż sztucce podskoczyły. Odszedł od stołu wcześniej drugi wieczór z rzędu.

– Co... to było? – zapytałam ją. Wyglądała na jeszcze bardziej zszokowana ode mnie.

– Nie mam pojęcia. – Powiedziała to po raz pierwszy, odkąd ją znałam.

Możliwe, że nawet w całym życiu. Leniwie przesunęła palcami po swoich lokach i wróciła do jedzenia.

## DWUDZIESTY PIĄTY

Wiedziałam, że dotarliśmy do wybrzeża, zanim jeszcze otworzyłam oczy. Słona bryza przepłynęła przez nasz powóz, a temperatura znacznie spadła.

– Och, dzięki Kamieniom – wymamrotałam, choć usta nadal miałam zdrętwiałe od snu.

– Arwen, wstawaj! – Głos Mari brzmiał odległe.

Otworzyłam oko i zobaczyłam ją przyciśniętą do boku powozu, z głową za oknem i oczami zmrużonymi w jasnym słońcu.

– Jest tak pięknie – powiedziała.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, zanim wcisnęłam się obok niej.

Serce rozbłysło mi dziwną energią w piersi na ten widok, dopasowując się do jasnego światła na zewnątrz.

Perydot bujniej porastała zieleń i bardziej zapierał dech w piersi, niż mogłam sobie wyobrazić. Po raz kolejny świadomość, jak mało Evendell doświadczyłam, okazała się dla mnie jak cios w brzuch.

Zamek, który rozciągał się przed nami na szczycie najwyższego wzniesienia, przywodził na myśl ranczo. Bambusowe płoty, ogromna, kryta strzechą brama i całe kilometry egzotycznych, wielokolorowych pól rozciągało się w każdym kierunku. Dotarł do mnie zapach słonej wody i plumerii, dostrzegałam krowy, konie i owce. Jasnozielone zbocza ciągnęły się od bram zamku jak morskie fale, wszystko usiane tropikalnymi kwiatami. Teraz będę musiała poszukać ich nazw.

Samo miasto rozciągało się poniżej fortecy, wplecione pomiędzy drzewa i zbocza, coraz gęściej, aż musiałam zmrużyć oczy, żeby cokolwiek zobaczyć. Jakby Zatoka Syren była chroniona przez warownię króla, a nie na odwrót. Z tego, co widziałam, miasto bardziej przypominało Abbington niż gwarną stolicę, którą sobie wyobrażałam. Dym unosił się nad słomianymi dachami, wokół kury gdakały, a konie rżały, obok nich kręciły się całe rodziny, dzieci, kobiety noszące wiadra i kosze.

Ale bardziej oniemiający widok znajdował się o wiele bliżej, tuż za powozem po mojej prawej. Kilka kilometrów w dół od królewskiego domu była plaża.

Doki w Abbington były co najwyżej podejrzanym, śmierdzącym rybami miejscem pełnym dryfujących desek i żerujących pelikanów. Łodzie i statki wszelkich kształtów i rozmiarów tłoczyły się w porcie, a prawie bezzębni rybacy zajmowali miejsce, które pozostało. Wraz z rodzeństwem szliśmy czterdzieści minut w dół, żeby zanurzyć się

w chłodnej wodzie, a o zmierzchu wracaliśmy w promieniach słońca zachodzącego nad mariną, z obolałymi, opalonymi i śmierdzącymi rybą nogami.

To, co widziałam było czymś całkowicie innym. Zatokę w kształcie półksiężyca, osłoniętą kamiennymi klifami wypełniały szmaragdowe fale, odbijające się od plaży z jasnoróżowym piaskiem. Gęsty las deszczowy rósł pod klifami, pełen strzelistych drzew, których wcześniej nie widziałam. Chłodna, przesycona wilgocią bryza połaskotała moją skórę. Chciałam wgrzyźć się w tę atmosferę.

– Chodź – powiedziała Mari, wyciągając mnie z powozu, kiedy tylko się zatrzymał. Podążyliśmy za żołnierzami w stronę bram zamku.

Byłam mniej zadowolona na widok księżniczki Amelii, niż się spodziewałam. Jej białe włosy spływały na luźne ubrania. Pojedynczy, beżowy pas materiału zakrywał pierś, ale odsłaniał płaski, opalony brzuch. Spódnica z tej samej zwiewnej tkaniny spływała od jej bioder aż na ziemię.

Miała niesamowite ciało, a przezroczysta dzianina zapewniała, że wszyscy w obrębie pięciu kilometrów o tym wiedzieli. Gdzieś pomiędzy patrzeniem, jak flirtowała sobie drogę do sojuszu, a uczuciem języka Kane'a w moich ustach stwierdziłam, że była moją nemezis. A może to coś nieco mniej dramatycznego. Ale tylko odrobinę.

Obok niej stał jej ojciec, król Eryx. Miał takie same białe włosy, ale dużo jaśniejszą skórę i oczy w kolorze jasnego, ciepłego bursztynu. Jak słoneczniki – zupełnie jak jego córki.

– Witaj, komandorze Griffin – zagrzmiął władca.

Griffin uklonił się, a wszyscy pozostali podążyli za jego przykładem.

– Komandorze – Amelia przywitała mężczyznę ciepło.

Uklonił się ponownie, ujął jej dłoń i ucałował. Eryx wydawał się zadowolony z tej interakcji.

– Nadal zwlekasz z wzięciem żony, mój drogi komandorze?

Amelia przewróciła oczami z tak wielkim jadem, że sama stchórzyłam. Ale Griffin, opanowany jak zwykle, nawet się nie zarumienił.

– Mam dość sporo zajęć w obecnych okolicznościach, wasza wysokość.

Eryx posłał im ciepły uśmiech i zaśmiał się chytrze.

– Zrozumiano. Myślę, że wypowiem się za wszystkich, gdy oświadczę, że jestem wdzięczny za twoje oddanie. Kiedy już pokonamy te kanale z Bursztynu, zapewniam cię, że moja urocza Amelia nadal będzie tu czekać. Jak zawsze.

Prawie zwichnęłam sobie gałki oczne, powstrzymując potrzebę, by przewrócić oczami. Nie przepadałam za Amelią, ale nie podobało mi się, że ojciec wystawiał ją jak sztukę bydła.

– Może i jest przebiegła, ale założę się, że tytuł księcia Perydotu jest całkiem kuszący? – Jego mokry rechot zmienił się w kaszel, a mdły uśmiech nie dotarł do oczu.

Zerknęłam na Mari kątem oka, miała spięty wyraz twarzy. Bez kolejnych uprzejmości – jeśli tak można nazwać nietaktowną propozycję Eryksa – zostaliśmy wprowadzeni do przewiewnego pałacu, a Griffin podążył za królem do innego korytarza.

Księżniczka nie przywitała się ani z Mari, ani ze mną, zanim zniknęła.

– Jest irytująca, prawda? – mruknęła Mari pod nosem.

– Nawet nie masz pojęcia.

\*\*\*

Każde z nas zostało zaprowadzone do pokoju, który miał służyć nam podczas nieokreślonego w czasie pobytu. Nie mogłam powstrzymać wytrzeszczenia oczu na widok ciepłego, przestrzennego pomieszczenia, wyłożonych drewnem tekowym podłóg i łóżka z baldachimem. Bryza wpadająca przez ogromne okna z widokiem na błyszczącą, turkusową zatokę, poruszyła moimi włosami. Egzotyczny ptak ze skrzydłami w kolorze jasnego szkarłatu przysiadł na parapecie.

Wyciągnęłam się na łóżku, na białej, bawełnianej pościeli i zamruczałam z ulgi. Żadnych więcej tawern ani nieznośnego skwaru. Może w końcu porządnie się wyśpię.

Ale nie mogłam jeszcze odpocząć. Obiecałam Mari trzy książki i zamierzałam dotrzymać słowa. Do tego czułam podekscytowanie możliwością zobaczenia biblioteki Perydotu. Ta w Shadowhold była znakomita, a to przecież tylko warownia armii. Tu miałam przed sobą pałac w stolicy Perydotu, Zatoce Syren. Może ich biblioteka znajdowała się w lagunie.

Ruszyłam przez zamek. Każdy fragment został ozdobiony winoroślą, poduszkami albo delikatnymi koralikami. Zapytałam jednego ze służących, który odkurzał płócienny szezlong, o drogę do biblioteki. Czułam się dziwnie, przez całe życie mieszkałam w małym miasteczku, jeszcze kilka miesięcy temu byłam więźniem, a teraz stałam się gościem w pałacu królewskim.

Odgłos fal rozbijających się o zatokę podążył za mną wszędzie, gdzie poszłam, jak upragniona kołysanka. Otworzyłam bambusowe drzwi do biblioteki i minęłam kilku żołnierzy bez koszul, ubranych tylko w spodnie i hełmy. Ich torsy i przedramiona pokrywały misterne wzory tatuaży, które pasowały do długich włóczni.

Biblioteka była prosta, wypełniona kolorowymi książkami i zwojami, na środku pomieszczenia znajdowało się dające ciepło palenisko otoczone białymi



poduszkami. Ale przytulny kominek i kilku siedzących przy nim czytelników, nie stanowili głównej atrakcji – okazał się nią rozległy balkon wychodzący na nieskazitelną zatokę. Spokojna, krystalicznie czysta woda obmywała brzeg. Po lewej znajdowało się przynajmniej piętnaście masywnych statków z zielonym symbolem Perydotu na żaglach. Słońce wisiało nisko na niebie, a jego promienie odbijały się od fal.

Nie wiedziałam, jak udało mi się przetrwać dwadzieścia lat bez takiego widoku oceanu ani jak kiedykolwiek przeżyję kolejny dzień bez niego. Migoczące słońce, kolory, faktura i fale, ledwo mogłam uwierzyć, że były prawdziwe. Coś w przebywaniu na skraju kontynentu okazało się zarówno wyzwalające, jak i kompletnie przerażające. Bałam się, ale nie ogarniała mnie ta aż nazbyt znajoma panika.

Oderwanie się od tego widoku przypominało rozplątywanie winorośli rosnącej na słupie. W końcu zmusiłam się, by przejść do sekcji oznaczonej tabliczką „Wiedza Ludowa” i wyjęłam z niej trzy książki: jedna o mitologii Fae, jedna księga czarów i jedna o różnych rodzajach hybrydowych stworzeń i ich diecie. Znałam moją przyjaciółkę.

Do tego po wszystkim, co powiedział mi Kane, sama też chciałam dowiedzieć się więcej o Faerie. Jeśli mój król miał w jakiś sposób pokonać ojca, potrzebował wszelkich informacji, jakie mógł zdobyć. Starłam się nie myśleć o jego szansach na pokonanie ostatniego żyjącego Fae pełnej krwi, skoro tak sromotnie przegrał pięćdziesiąt lat temu.

W drodze powrotnej zawróciłam do sekcji o nazwie „Ogrodnictwo” i zabrałam książkę zatytułowaną *Flora Evendell Według Królestw*. Ta była tylko dla mnie.

Zostawiłam książki przed pokojem Mari, pamiętając, że zamierzała uciąć sobie drzemkę przed kolacją, i wróciłam do siebie. Pukanie do drzwi kazało mi zawrócić, zanim zdążyłam wpełznąć pod kołdrę i sama udać się na drzemkę.

– Proszę.

Księżniczka Amelia weszła do środka i usiadła na łóżku. Podpełzłam, żeby uprzejmie usiąść obok niej, a potem spróbowałam się uklonić. Nie wyglądało to ładnie.

Spojrzała na mnie z litością.

– Nie ma potrzeby robić... tego czegoś, co usiłowałaś. Przyniosłam ci ubrania na dzisiejszą kolację. – Podała mi podobną sukienkę do tej, którą sama miała na sobie. Bardzo przezroczysty, jasnoniebieski materiał. Wyglądał, jakby nie zakrywał zbyt wiele czegokolwiek. – Te okropnie ciemne i ciężkie ubrania Onyksu nie będą ci tutaj pasować.

– Dziękuję, wasza wysokość – powiedziałam. – Muszę jednak zapytać, czy księżniczka zawsze dostarcza ubrania gościom? – Nie wiedziałam, dlaczego byłam taka złośliwa. Nie ufałam tej kobiecie w normalnych okolicznościach, a jeszcze mniej, kiedy była dla mnie miła.

Posłała mi wymuszony uśmiech, który nie sięgał oczu.

– Wiem, że uważasz mnie za swojego wroga, Arwen. Myślisz, że próbuję przespać się z twoim królem, zabrać ci go czy jakie tam są twoje małe problemy. Nie mogłabyś bardziej się mylić. W zasadzie chcę dać ci pewną radę. Jak kobieta kobiecie.

Jak upomniane dziecko wpatrywałam się w swoje splecione palce. Nie śmiałam przyznać, że wiedziałam o jej pobycie w łóżku króla i to niejednokrotnie. Nie byłam pewna, dla kogo ta rozmowa była bardziej nieprzyjemna, dla mnie czy dla niej. Wsunęła długi palec ozdobiony klejnotami pod mój podbródek i uniosła moją twarz.

– Kane Ravenwood nie był z tobą całkowicie szczerzy.

Zamrugałam dwa razy.

– Radzę ci nie kierować się tylko sercem – ciągnęła. – A raczej umysłem i duszą. Wydajesz się bystrą, młodą kobietą. Nie daj się tak łatwo zwieść jego urokowi.

Zanim zdążyłam jej powiedzieć, że byłam bardziej zaznajomiona z jego sekretami, niż sądziła, wstała i wyszła z pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Zacisnęłam usta, gdy zaczęła ogarniać mnie irytacja.

Nie mogła się bardziej mylić. Jeszcze kilka dni temu zgodziłabym się z nią w całej rozciągłości. Ale w końcu dopuścił mnie do siebie – zdradził mi najmroczniejsze sekrety, tak jak ja jemu. Może przez Amelię przemawiała zazdrość, a może szczerze starała się pomóc. Tak czy inaczej to nie miało znaczenia. Nie miałam pojęcia, kiedy i czy jeszcze go zobaczę, więc dopóki byliśmy z dala od siebie, nie zamierzałam pozwolić, żeby moja wiara w niego została zachwiana.

Spojrzałam na kawałki materiału, które księżniczka nazwała „ubraniami”. Nie byłam tak szczupła jak ona i nie miałam ochoty pokazywać tak dużo ciała. Rozebrałam się całkiem i nałożyłam niebieską tkaninę. Pasma błyszczącego, przezroczystego materiału zatrzymały się nisko na szyi i talii, pozostawiając odkryty brzuch i plecy, zanim opadły do podłogi jak stopiony krem. Nigdy wcześniej nie miałam na sobie tak mało ubrań poza sypialnią.

Spojrzałam w lustro, spodziewając się przerażającego widoku, ale zamiast tego poczułam przepływającą przeze mnie falę mocy; w zasadzie wyglądałam całkiem ładnie.

Zebrałam włosy na czubku głowy i związałam je czarną wstążką. Można wyrwać dziewczynę z Onyksu, ale nie da się wyrwać Onyksu z...

Drzwi zaskrzypiały i odwróciłam się, podejrzewając, że to Mari albo znowu Amelia.

Zamiast tego stanęłam twarzą w twarz z oszołomionym Kane'em.

– Kurwa – burknął.

Byłam tak zszokowana jego widokiem, że wykazałam się jeszcze mniejszą elokwencją.

– Co?

Kane odchrząknął.

– Cześć – powiedział, rumieniąc się. – Wyglądasz tak... to znaczy, bardzo... cześć.

– Zmarszczył brwi, jakby sam nie wiedział, co wydobywało się z jego ust.

Był tutaj.

W Perydocie.

Żył i cieszył się na mój widok. Poczułam, że zapiekły mnie policzki.

– Ciebie też miło widzieć. – Wciągnęłam go przez drzwi do mojego pokoju, wspięłam się na palce i pocałowałam go w policzek. Ogolił się, a jego gładka skóra była gorąca pod moimi wargami. – Kiedy przyjechałeś? – zapytałam, nie rozpoznając własnego ochrypłego głosu.

Złapał mnie pewnie za biodra, ale przytrzymał, zachowując dystans.

– Chwilę temu. Muszę coś ci pokazać.

Mina mi zrzędała.

– W tej chwili?

– Jeśli możesz w to uwierzyć, tak. – Kane wyglądał, jakby mógł przegryzać skały.

Złapał mnie za rękę i pociągnął w dół drewnianych schodów do wielkiej sali.

W pomieszczeniu pachniało świeżo grillowanymi rybami i cytrusami. Zaburczało mi w brzuchu. Otaczała nas szlachta Perydotu i dowódcy wojsk. Pomyślałam z roztargnieniem, że pewnie powinnam puścić rękę króla.

Ale wtedy ich zobaczyłam i wszystkie inne myśli uleciały mi z głowy.

## DWUDZIESTY SZÓSTY

Tylko odrobinę gorzej ubrana w rzeczy z Granatu, których nie potrafiłam do nich w żaden sposób dopasować, tkwiła przede mną moja rodzina. Matka, Leigh i Ryder siedzieli przy drewnianym stole z Griffinem i Mari, śmiejąc się i jedząc. Skrzywiłam się i nie mogłam powstrzymać łez, które popłynęły mi po twarzy.

Podbiegłam do nich i najpierw rzuciłam się na Leigh.

– Co do... – Ale kiedy uświadomiła sobie, że to ja, pisnęła.

Owinęła drobne ramiona wokół mnie, a to sprawiło, że zaczęłam płakać jeszcze mocniej. Później zajęłam się oglądaniem każdego fragmentu jej ciała, od czubka głowy aż po palce rąk i nóg, żeby udowodnić samej sobie, że nic jej się nie stało.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam. I kocham cię, ale nie mogę oddychać!

Puściłam ją, ale tylko po to, żeby przyjrzeć się uważnie jej twarzy. Była szczuplejsza, niż kiedy widziałam ją ostatnio, ale uśmiechała się do mnie szeroko, co rozświetliło jej zapadnięte policzki.

Spojrzałam na Rydera, a on podszedł czym prędzej i wziął mnie w ramiona.

Kiedy mnie puścił, przyjrzał się mojemu przezroczystemu strojowi i wykrzywił twarz.

– Wyglądasz nienormalnie.

Zaśmiałam się mimo łez szczypiących pod powiekami i przyciągnęłam go jeszcze bliżej.

– Dziękuję. – Odsunęłam się, ale nadal mówiłam ściszym głosem. – Zapewniłeś im bezpieczeństwo.

– Oczywiście, że tak. A co ty zrobiłaś?

– To bardzo długa historia.

Potem podeszłam do matki. Nie wyglądała tak dobrze jak Leigh czy Ryder. Postarzała się w ciągu tych miesięcy, wydawała się krucha i zmęczona. Przykucnęłam, by ją objąć.

– Nie mogę w to uwierzyć. Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę – wydyszała.

Serce urosło mi w piersi jak słońce pojawiające się po burzy. Jasne, błyszczące i czyste. Przytuliłam ją jeszcze mocniej.

– Wiem – powiedziałam. – Przepraszam.

Tkwiłyśmy tak, nie wiem, jak długo. Kiedy zaczęły boleć mnie plecy, puściłam ją i usiadłam przy stole.

Rozejrzałam się za Kane'em i stwierdziłam, że wchodził w jakiś korytarz z Amelią i Eryksem. Pobiegłam za nimi, radość i niedowierzenie dodały mi śmiałości.

– Hej! Zaczekaj! – Podbiegłam do niego i pociągnęłam za koszulę, ocierając oczy drugą dłonią. – Dokąd idziesz?

Amelia spojrzała na mnie z cynicznym zainteresowaniem, stojąc obok ojca, ale nie przeszkadzało mi to. Nie dzisiaj. Nie kiedy Kane patrzył na mnie z taką czułością, aż policzki zaczęły mnie boleć od uśmiechania się.

– Pomyślałem, że zechcesz pobyć z nimi sam na sam. Mam kilka rzeczy do zrobienia, zanim wyjadę.

– Mamy wojnę do zaplanowania, lady Arwen – wtrąciła Amelia, z jej głosu i kamiennego wyrazu twarzy aż biła protekcyjność.

– Och, oczywiście. – Odwróciłam się z powrotem do Kane'a. – Dziękuję za to, że mi ich zwróciłeś. Nigdy nie zdołam wyrazić w pełni swojej wdzięczności.

– Mówiłem, że to zrobię – przypomniał z błyskiem w oku.

– Jak dotarłeś tu tak szybko? Z Granatu?

Przechylił głowę na bok, jakby przygotowywał się do odpowiedzi na moje pytanie kolejnym.

– Smok? – zapytałam, jakby to było dla mnie całkiem normalne.

– Tak. – Uśmiechnął się lekko a potem dodał, odsuwając się lekko od naszych gospodarzy: – Nie wiem, kto był bardziej podekscytowany, twoja matka czy ta mała.

– A Ryder?

– Wydaje mi się, że wymiotował.

Zaśmiałam się trochę zbyt głośno, a oczy Kane'a zabłyszczały na widok mojej radości.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytałam.

– Jutro rano. – Odchylił się nieco w stronę Eryksa.

– No tak – odparłam. – Cóż, nawet zapracowani królowie, którzy prowadzą wojny, muszą jeść. Chcesz do nas dołączyć? To zapewne będzie największy szok w życiu mojej matki. – Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

Jego zwykły wilczy urok chwilowo zniknął, ale król nie wydawał się też smutny. Może zrezygnowany, co miało sens. Rozumiałam powagę sytuacji, ale w tej chwili nic nie mogło odebrać mi radości z powodu spotkania z rodziną.

Zerknął na Amelię i Eryksa, których twarze wyglądały jak bliźniacze maski irytacji. A potem jego wzrok przeniósł się na oświetlony świecami stół, przy którym siedziała moja rodzina, Mari i jego komandor.

– Jasne – odpowiedział.

Kolacja była fascynująca.

Podaliśmy matce miksturę z korzeniem jamistym, którą uwarzyłam w drodze tutaj, i chociaż nie była zachwycona smakiem, jej twarz pojaśniała już w trakcie kolacji.

Pomimo początkowego niepokoju mojej rodziny związanego z obecnością mrocznego króla, Kane zachowywał się nieskazitelnie, więc ulegli jego urokowi jedno po drugim. Najpierw oczywiście Leigh – ta dziewczyna była naprawdę odważna. Potem matka, która miała do władcy Onyksu wiele pytań. „Jak to jest nosić brzemię całego królestwa na własnych ramionach?”, „Czy śmierci, które spowodowałeś, ciąży ci każdego dnia?”. Niezbyt swobodna rozmowa przy kolacji. Staralam się przekazać swoje niezadowolenie przez surowe spojrzenia.

Przynajmniej jej podejście było lepsze niż Rydera. Przyglądał się, jak wracaliśmy do stołu, dziwnym wzrokiem i nie przestał, dopóki nie usiedliśmy. Przerwał kolejne pytanie matki do Kane'a własnym.

– Wiec, królu Ravenwoodzie – zaczął, trzymając w dłoni bułkę – jak to się stało, że zaprzyjaźniłeś się z moją siostrą?

Zerknęłam na niego wkurzonym wzrokiem. Nie obchodził mnie nacisk, jaki położył na słowo „zaprzyjaźniłeś”.

Kane posłał mu swój firmowy, wilczy uśmiech. Moja twarz przybrała przynajmniej osiem odcieni czerwieni w oczekiwaniu.

– Zaproponowała, że zostanie uzdrowicielką w mojej warowni w zamian za pieniądze, które ukradłeś. To jej powinieneś dziękować.

Teraz to Ryder spłonął rumieńcem.

– Wasza wysokość, to był prosty scenariusz, życie albo śmierć. Zrobiłbyś to samo dla swojej rodziny, nieprawdaż?

– Nie mam rodziny, więc tego nie wiem – oznajmił Kane bezceremonialnie.

Smutek ścisnął moje serce na te słowa. Musiał zauważyć wyraz mojej twarzy, bo dodał:

– Ale uwierzę ci na słowo.

– Przekłete Kamienie – wymamrotał Ryder pod nosem, kurcząc się w sobie.

– Język! – syknęła na niego matka.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Tęskniłam nawet za jej nedorzeczną pruderyjnością.

Mari też miała wiele pytań, głównie o Abbington i o błędne przekonania, jakie ludzie mieli na temat Onyksu. Leigh od razu ją pokochała. We dwie były jak dwie połówki przedstawienia komediowego – dokańczały zdania jedna za drugą i śmiały się histerycznie z czegoś, co nikomu innemu przy stole nie wydawało się zabawne.

– W zasadzie to nasuwa mi kolejną myśl – odezwała się Mari do mojej matki. – Co to było...

– Przez ciebie ta kobieta udusi się swoim miecznikiem. Daj jej zjeść w spokoju. – Ton Griffina był dość uprzejmy, ale Mari posłała mu miażdżące spojrzenie.

– Wybacz, komandorze. Zapomniałam, jak wspaniale potrafisz prowadzić rozmowy. Chciałbyś może skomplementować jej włosy? – zapytała.

Wstrząsnął mną niekontrolowany śmiech i prawie oplułam papają cały stół. Złapałam za rękę siedzącego obok mnie Kane'a pomiędzy salwami śmiechu, a król, widząc mnie, musiał przygryźć wargę, żeby powstrzymać śmiech. Kątem oka zauważyłam, że Ryder zmarszczył brwi, widząc naszą poufałość. Szybko zabrałam dłoń z rękawa władcy.

– Nie przejmuj się tym, Ruda. Myślę, że mama lubi takie przesłuchania. Prawda? – powiedział Ryder.

Moja matka uśmiechnęła się i zaczęła mówić, ale Griffin jej przerwał.

– No nie wiem, Ruda, coś mi się wydaje, że dzieciak po prostu stara się być miły.

Mari prychnęła, a Ryder uśmiechnął się szeroko do Griffina, ale uśmiech nie sięgnął jego oczu.

– Skoro ja jestem dzieciakiem, to kim jesteś ty, komandorze?

– Mężczyznę – odparł, patrząc na swoje jedzenie, już znudzony tą wymianą zdań.

– Łatwo się pomylić – zaszcebiotał Ryder, wywołując u mnie i Mari kolejną salwę śmiechu.

Spojrzałam w lewo i zobaczyłam Kane'a i Leigh pogrążonych w rozmowie. Wyjaśniała mu coś, gestykulując zawzięcie. Trzeba oddać Kane'owi, że skupiał się intensywnie na całej opowieści, opierając brodę na pięści i co jakiś czas kiwając głową.

Przyjrzałam się tej dziwnej grupie wokół mnie i poczułam, jakby moje serce mogło wybuchnąć. Gdy miałam ich wszystkich przy sobie, było lepiej, niż mogłam sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Kiedy kolacja dobiegła końca i wszystkich przepełniał rum i węglowodany, podeszłam do krzesła matki i pomogłam jej wstać. Ku mojemu niedowierzaniu, podniosła się z łatwością.

– Mamo! – wykrzyknęłam, nie starając się nawet ukryć szoku.

Z początku poruszała się powoli, ale znalazła równowagę i już po chwili chodziła tak jak kiedyś. Wolno, ale świadomie. Wręcz elegancko. Leigh i Ryder patrzyli w zachwycie, a ja poczułam, że łzy znowu napłynęły mi do oczu. Dzisiejszy wieczór to jakiś rekord w płakaniu ze szczęścia.

– Arwen... brak mi słów.

– Mnie również. Jak się czujesz?

– Lepiej. Mój umysł wydaje się mniej zamglony.

– Czyli to nie było majaczenie w gorączce – powiedział Kane.

Odwróciłam się do niego, jego oczy przypominały gwiazdy.

– Nie – wyszeptałam. To, co zrobiłam tamtej nocy w lesie było niewiarygodnie głupie. Ale nic nie mogłoby być tego bardziej warte niż wyraz twarzy mojej matki dzisiaj.

– O czym on mówi? – zapytała, unosząc brew.

– O niczym, pozwól, że odprowadzę cię do pokoju na noc. – Odwróciłam się do Kane’a, ale on już wiedział, o czym myślałam.

– Przyjdę do ciebie, zanim wyjadę. Naciesz się dzisiaj rodziną.

Skinęłam w podziękowaniu.

W połowie schodów matka odwróciła się do mnie.

– Więc sypiasz z królem. To coś nowego!

– Mamo! – sapnęłam, ale nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.

– Tylko sobie żartuję. Ale wyraźnie widać, że jest tobą bardzo zainteresowany. – Zaśmiała się pod nosem.

Poczułam znajomy ucisk w sercu.

– Z pewnością nie robimy nic z tych rzeczy. – Wsunęłam jej rękę pod swoje ramię i poprowadziłam oświetlonym pochodniami korytarzem. – Ale ja też go lubię. Był dla mnie bardzo miły, odkąd pojawiłam się w Onyksie. Pomimo wszystkiego, co się działo, co leży na szali. Cóż – zastanowiłam się nad swoim stwierdzeniem – przynajmniej miły jak na siebie.

Moja matka zacmokała, klepiąc mnie po rękę.

– Wydaje się bardzo troskliwy pod całą tą złowrogą skorupą. – Teraz to ja się zaśmiałam. Kane’owi by się to spodobało.

– Te miesiące nie okazały się łatwe, ale pojawiło się kilka jasnych stron. Pokochałabyś kwiaty w ogrodach Shadowhold. Mają najdziwniejsze kolory, jakie widziałam w życiu.

Posłała mi słaby uśmiech, zanim zatrzymała się zaledwie kilka kroków od pokoju.

– Arwen, kiedy Ryder po ciebie wrócił i zobaczył... krew, pomyśleliśmy o najgorszym. Nie mogłam spać, wiedząc, że pozwoliliśmy ci zawrócić. – Ujęła moją dłoń w swoje. – Ale jestem z ciebie tak bardzo dumna, Arwen.

– Dlaczego? – Ścisnęłam jej dłoń i zmarszczyłam brwi.

– Kiedy król odnalazł nas w Granacie, powiedział nam, co zrobiłaś dla Rydera. Dla nas wszystkich. Ilu ludzi uleczyłaś w Królestwie Onyksu. Nie miałam pojęcia, dokąd trafiłaś. I czy wciąż żyłaś, ale jakaś część mnie wiedziała cały czas, że sama świetnie



sobie poradzisz. Że może to było konieczne. Obawiam się, że za bardzo cię chroniłam. Po prostu wiem, jak mrocznym miejscem potrafi być świat.

Moje myśli wróciły do Berta, wilkobestii i kłamstw Haldena.

– Jestem wdzięczna. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, może nigdy nie dałabym sobie szansy na odnalezienie odwagi.

Matka pokręciła głową i wzięła mnie w ramiona.

– Mam ogromne szczęście, że jesteś moją córką. Świat jest lepszym miejscem, kiedy patrzy się na niego twoimi oczami.

Czułam się jak w domu, opierając głowę o jej ramię i czując kojący dotyk jej dłoni na plecach.

– Wszystko to mam po tobie – wymamrotałam.

– Moja kochana dziewczynka. Nie pozwól, żeby ktokolwiek ci to odebrał. To światło, które w sobie nosisz.

Skinęłam w zagłębienie pomiędzy jej szyją a ramieniem. Nocne brzęczenie cykad i koników polnych było jak kokon dla naszego uścisku. Przy wszystkim, co miało się wydarzyć – rozumiejąc, że zapewne nie zobaczę Kane'a przez kolejne miesiące, a może nawet lata, przy rosnącym konflikcie z królem Fae – nie byłam świadoma, jak bardzo po prostu potrzebowałam mamy. Nigdy nie chciałam jej puścić.

Ścisnęła mnie mocniej i powiedziała:

– Myślę, że jutro chciałabym popływać w zatoce. Co ty na to?

Pojedyncza łza spłynęła po moim policzku na jej sukienkę.

– Myślę, że to brzmi wspaniale. Przyłączę się do ciebie.

## DWUDZIESTY SIÓDMY

Czekałam tak długo, że nie mogłam już utrzymać ciężkich powiek w górze. Świece, które zapaliłam na wizytę Kane'a, już dawno się stopiły, pochłaniając knoty i spowijając pokój w niebieskich i czarnych cieniach. Miałam nadzieję, że Kane przyjdzie zobaczyć się ze mną przed porannym wyjazdem, ale nie zrobił tego, a ja przygotowałam się na kłujący ból. Nie mogłam zachowywać się jak dziecko, on był królem zmierzającym na wojnę większą, niż kiedykolwiek mogłabym sobie wyobrazić, a najgorsze miało dopiero nadejść.

Miał na głowie ważniejsze rzeczy, niż żegnanie się ze swoją... ze mną.

Nie wiedziałam, kim dla niego byłam.

Zdecydowanie nie kochanką, ale jednak kimś więcej niż przyjaciółką.

Włożyłam koszulę nocną i wpełzłam pod kołdrę. Sen był mile widzianym lekiem, wciągającym mnie w mgłę odpoczynku, z dala od emocjonalnie skomplikowanych myśli.

Przebudziła mnie znajoma woń jodły, a zaskoczenie zmieniło się w ciepło, rozchodzące się po moim wnętrzu, gdy wtuliłam twarz w pierś Kane'a.

Był tutaj – w moim łóżku.

Wcisnęłam twarz jeszcze mocniej.

Wcześniej nigdy się nie przytulaliśmy, może poza tą chwilą, kiedy umierałam, co – jeśli dobrze pamiętałam – nie było zbyt romantyczne. Przez chwilę napawałam się dotykiem jego silnych dłoni na plecach, przyciskających mnie do niego.

– Dobrze mi – wymamrotałam.

W odpowiedzi mruknął mi do ucha i delikatnie pogłaskał po plecach. Sutki stwardniały mi pod jego dotykiem, piersi nabrzmiały pod jedwabnym materiałem koszulki nocnej.

Kiedy jego palec musnął moją kość ogonową, zadrżałam, a w jego piersi zawibrował mroczny śmiech. Odsunęłam się nieznacznie i podniosłam na niego wzrok. Jego ciało wydawało się ospałe przy moim, ale oddychał tak ciężko jak ja, pragnienie wypełniało jego oczy.

– Myślałam, że nie przyjdiesz – powiedziałam.

– Nie przegapiłbym tego za nic. – Odsunął kilka kosmyków z mojej twarzy i przesunął dłonią po nagim udzie, jego dłoń była szorstka i ciepła, rozpałała mnie

do czerwoności. Chciałam go pochłonąć – poczuć wszędzie. Pragnęłam go od tak dawna, każda minuta, w której oboje byliśmy w pełni ubrani, wydawała się tragedią.

A jego nadzwyczajna delikatność mnie zabijała.

Skupiłam wzrok na jego pełnych ustach i rozchyliłam swoje, nie mogąc zaczerpnąć tchu.

Pochylił się, a jego dłoń przesuwająca się leniwie w górę i w dół mojego uda, delikatnie podciągając mi koszulkę. Jego wargi były blisko...

Tak blisko...

Ale kiedy wbił palce w moje biodro, odsunął się, zacisnął zęby, a jego oczy zapłonęły.

– O co chodzi – zapytałam.

– Ty... nie masz nic pod koszulą nocną.

– Nie. – Zarumieniłam się, moja twarz jakimś cudem zrobiła się jeszcze gorętsza niż dotąd.

– Dlaczego?

– Zwykle w niczym nie śpię. Nie wiem. Mam coś założyć? – Zaśmiałam się, widząc jego zaskoczenie.

Prychnął krótko i mrocznie, a potem przetoczył się na plecy z głębokim, zbolałym westchnieniem, kładąc przedramię na oczach.

– Wszystko w porządku? – zapytałam jednym tchem, zdezorientowana zmianą nastroju.

– Ani odrobinę. W zasadzie mam wrażenie, że trochę tracę rozum.

Podciągnęłam się bliżej niego, wciąż miałam nierówny oddech, i pocałowałam go delikatnie w szyję. Aromaty drzewa balsamowego i skóry wypełniły moje zmysły, aż mruknęłam cicho przy jego ciele.

Jęk, gardłowy i surowy, wyrwał się z jego gardła. Kane wstał i zszedł z łóżka.

Usiadłam, unosząc brew w milczącym pytaniu.

– Naprawdę tego nie chcesz? – zapytałam, nieco zmieszana.

– Wiesz, że chcę – mruknął przez zaciśnięte zęby. – Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

– Więc nie wolałbyś, żebym przespała się z kimś innym?

Tylko żartowałam, ale on podszedł bliżej, z błyskiem w oku. Wyglądał, jakby chciał rozbijać góry. Przygryzłam język.

– Arwen, nie jesteś... – Walczył o odpowiednie słowa, choć wyglądało to tak, jakby wypowiedzenie ich sprawiało mu fizyczny ból. – Nie jesteś moja. Nie należysz do mnie. Możesz spędzać czas, z kimkolwiek chcesz. Mam tylko nadzieję, że będzie

traktował cię z szacunkiem, na jaki zasługujesz, a ja każdego dnia zamierzam się starać, żeby nie wyrwać mu serca z piersi.

Starałam się ukryć uśmiech. Uwielbiałam wyobrażać sobie zazdrość Kane'a. To pokręcone, ale jego ledwo powstrzymywana furia sprawiała, że czułam dreszcze.

Głupiutki król – jakby mógł istnieć ktokolwiek inny.

– Myślałeś kiedyś o tym?

– O tobie z innym mężczyzną? Wolałbym wydłubać sobie oczy. – Uniósł brew.

– Nie, o tym jakby to było. Między nami... – Zaśmiałam się w głos.

– A, oczywiście. – Jego głos zmienił się w ciche warknięcie.

To był najbardziej erotyczny dźwięk, jaki w życiu słyszałam.

Podszedł jeszcze bliżej.

– Od tamtego dnia, kiedy wracaliśmy razem konno z lasu, ledwo byłem w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Każdej nocy robię sobie dobrze, myśląc o twoich długich nogach, idealnych piersiach i uroczym śmiechu. – Uniósł jedno pasmo moich włosów i potarł je między palcami. – Wyobrażam sobie, jak mnie dosiadasz, i dochodzę szybciej, niż chciałbym przyznać.

Teraz już otwarcie dyszałam, walcząc z potrzebą wsunięcia dłoni między nogi, żeby uwolnić nieco budującego się we mnie napięcia. Musiał wyczytać w moich oczach to rozpustne pragnienie, bo westchnął głośno, wypuścił moje włosy i wycofał się do krzesła po drugiej stronie pokoju.

Wyglądał żałośnie. Był naprawdę zmęczony.

– Arwen, przyszedłem się pożegnać. – Powiedział to tak, jakby przekonywał siebie, nie mnie.

– Wiem.

– A to – wskazał na łóżko za mną – nie byłoby uczciwe pożegnanie.

– Nie bądź taki protekcyjny. Jestem dorosłą kobietą. Potrafię sama podejmować takie decyzje. – Sapnęłam i skrzyżowałam ręce na piersi.

– Chodziło mi o mnie. Jestem samolubnym skurczybykiem, pamiętasz? Gdybym cię wziął, a potem... zostawił, to by mnie zabiło. – Przerwał i przeczesał włosy palcami.

– Och – odparłam trochę głupio. – A może to wcale nie musi być pożegnanie?

– Nasz układ został wypełniony. Jesteś teraz bezpieczna, masz swoją rodzinę. Twoja matka zdrowieje. Nie mogłem liczyć na więcej. Mogę dać ci dość pieniędzy, żebyś wiodła długie, spokojne życie z nimi tutaj. Ja tylko naraziłbym cię na niebezpieczeństwo.

Wiedziałam, że miał rację. Mogliśmy mieć normalne życie tutaj, w Zatoce Syren – szczęśliwe życie. Potrafiłam wyobrazić je sobie z idealną klarownością – Leigh

miałyby kury i krowy, matka, w końcu zdrowa, zaczęłyby znowu gotować i tańczyć w kuchni jak kiedyś. Ryder mógłby kontynuować swoją pracę stolarską. Ja wciąż zajmowałabym się leczeniem, ale może pewnego dnia otworzyłabym sklep z tropikalnymi roślinami. Może Kane odwiedzałby mnie co kilka lat. Moglibyśmy wtedy spędzać noce takie jak ta, spleceni potajemnie z sobą w świetle księżyca, aż odszedłby z pierwszymi promieniami słońca, odpowiadając na wezwanie swojego królestwa. Aż pewnego dnia stworzyłabym sobie życie z kimś nowym. Kimś innym...

Jak mogłabym chcieć czegoś więcej? Więcej niż bezpieczeństwa dla siebie i swojej rodziny? A jednak chciałam. Pragnęłam jego. Całego. Przez cały czas. Najchętniej na zawsze. Świadomość moich uczuć do tego mężczyzny uderzyła we mnie niczym fala pływowa, prawie wrywając mi powietrze z płuc.

– Nasz układ – powtórzyłam jego słowa. – Dlaczego chciałeś, żebym została? Nie chodziło tylko o uzdrawianie żołnierzy czy spłatę długu. Chciałeś po prostu mieć mnie blisko?

– To teraz nie ma znaczenia. – Kane potarł oczy i wstał, żeby wyjść.

Poczułam falę nieubłaganej paniki. Czy to moja ostatnia chwila z nim? To nie mogło się tak skończyć.

Zerwałam się z łóżka i podbiegłam, żeby stanąć przed nim, zanim dotarł do drzwi, słyszałam łomot własnego serca.

– Nie odchodź – wyszeptałam.

– Arwen, nie możemy. – Jego wzrok był karcący. Ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby przejść obok mnie, więc wspięłam się na palce i delikatnie ujęłam jego twarz w dłonie.

– Wiem, powiedziałeś, że nie jestem twoja. Ale... chcę być. – Przełknęłam z trudem. – Chcę być twoja, Kane.

W jego oczach zawirował żar i udręka. Zanim zdołałam zaprotestować, chwycił moje zaskoczony wargi swoimi. Jęknął w moje usta i dosłownie zatoczył się na mnie, jakby ulga wywołana naszym pocałunkiem zwała go z nóg. Stłumiłam jęk i zacisnęłam dłonie na jego szerokich ramionach, wyczułam delikatne włoski na jego karku. Jego oddech był chrapliwy i urywany, gdy zassał moją dolną wargę, dziki, niespokojny i wygłodniały.

W końcu, w końcu, w końcu...

Jego dłonie, te które wcześniej były tak delikatne, gdy droczył się ze mną, dotykając moich ud w łóżku, teraz łapały całe moje ciało. Przez to robiłam się rozgrzana i spragniona, wiedząc, że jego palce znajdowały się tak blisko wszystkich miejsc, w których chciałam je czuć.

A jego smak, jego usta – jak słodka whisky i mięta prosto z ziemi – były bardziej niż odurzające. Pochłaniały. W niczym nie przypominały tych delikatnych, niewinnym pocałunków w ogrodzie. Tamte były badawcze, ostrożne, uważne. Te...

Przesunął jednym palcem po nabrzmiałym sutku, wyrywając z moich ust delikatny syk, który szybko zmienił się w drżenie, kiedy przesunął opuszkę w dół, muskając zaledwie linię talii, ale nie niżej.

*Więcej, proszę...*

Szarpnęłam go za koszulę. Musiałam poczuć jego skórę, posmakować jej. Przerwał pocałunek i zerwał ubranie przez głowę jednym płynnym ruchem. Zapatrzyłam się na niego bezwstydnie, oddech wyrywał się ze mnie. Nawet w blasku księżyca jego opalona skóra pokrywająca wyrzeźbione mięśnie błyszczała.

– Jesteś piękny – wymruczałam. Nawet się tego nie wstydziłam. To cała prawda.

– I kto to mówi. – Wpatrywał się we mnie z czcią, zanim jego spojrzenie stało się całkowicie dzikie. Złapał mnie za tyłek i podciągnął w górę, dopadając jednocześnie ust w dzikim pocałunku. Przycisnął nas do ściany za łóżkiem, uważając, by ochronić dłonią tył mojej głowy. Natychmiast poczułam całą jego długość przy swoim centrum. Twardy jak skała przyciskał się do mnie gwałtownie przez spodnie. Wbiłam paznokcie w jego plecy, szyję, szczękę, jakby moje palce miały własny rozum.

Ale nadal potrzebowałam więcej.

Chciałam zostać zgnieciona pomiędzy jego ciałem a tapetą za mną. Ściśnięta jak jeden z kwiatów w moich książkach pod jego cudownym ciężarem. Byłam spragniona i obolała, ocierałam się o niego jak kotka w rui.

Wypuścił moje usta i zaczął obsypywać delikatnymi pocałunkami szyję, a ja wplotłam palce w jego jedwabiste włosy, wyrywając mu z gardła przyjemne warknięcie. Na sam ten dźwięk moje piersi nabrzmiały i zaczęły boleć, wbiłam biodra w jego imponującą długość i jeszcze ciaśniej owinęłam go nogami. Zsunął jedno ramię z mojej koszuli nocnej i wbił zęby w ramię.

– Więcej – błagałam.

– Nie kuś mnie – zamruczał przy moim obojczyku, skubiąc i przygryzając, aż dotarł do piersi i musnął ją przez delikatny materiał. Odsunął się i z ogromną czcią przesunął palcem po bliźnie.

– Goi się bardzo szybko.

– Czasem tak mam – wydyszałam, ale Kane'a zajmowały własne myśli.

– Myślałem – jego głos się załamał, a moje serce zgubiło na chwilę rytm – że cię straciłem. Nie mogłem jeść. Spać. Poruszać się. – Na jego ustach zamajaczył smutny uśmiech. – Golić się. – Przyjrzał mi się, dostrzegłam w jego oczach coś na kształt nabożnej czci. – Nie chciałem żyć w świecie, w którym nie byłoby ciebie.

Poczułam, że energia w pokoju zmieniła się po jego słowach. Krążyliśmy wokół tej chemii i emocji między nami tak długo, że przyznanie się do uczuć wydawało się nieprawdopodobne. Jego oczy błyszcząły jak gwiazdy i jedyne, co przez chwilę słyszałam, to nasze urywane oddechy.

Ale oszczędził mi konieczności wypowiedzenia słów, które siedziały mi w gardle, składając pojedynczy pocałunek na mojej nowej bliźnie tak ostrożnie, że miałam ochotę się rozpłakać. Jego wargi przesuwają się po mojej klatce piersiowej, wzdłuż linii koszuli nocnej, aż przez materiał objął ustami nabrzmiąły sutek. Jego zęby były ostre, a jednak delikatne przy wrażliwym pączku, a z mojego gardła wyrwało się dzikie miauknięcie.

– Właśnie tak – powiedział, ujął w dłoń drugą pierś i zaczął ją delikatnie masować.

Odrzuciłam głowę w tył, prawie dostałam zęza od tych doznań, ale starałam się nie wydawać z siebie już innych dziwnych odgłosów. Pulsowanie między nogami balansowało na granicy bólu.

Ponownie chwycił moje usta swoimi i zaniósł nas do łóżka, położył mnie i wspiął się na moje ciało. Próbował spowolnić nasz pocałunek, czcić każdy fragment mojej zuchwy, szyi, ale ja całowałam go z bardziej zajadłym pragnieniem, niż kiedykolwiek czułam, spragniona, nieokiełznana i zdesperowana, niewykluczone, że uszkodziłam mu wargę.

Ośmielona rosnącym pragnieniem, zarzuciłam nogę na jego biodro i przetoczyłam nas tak, że go dosiadłam. Westchnął w moje usta i zacisnął wielkie dłonie na mojej talii. Był taki duży, jego kciuki prawie dotykały dołu mojego brzucha. Uniósł jedną dłoń, by objąć moją pierś i potarł delikatnie sutek, a ja zaskomlałam, siedząc na nim.

Czułam się jak migocący płomień.

– Nie ułatwiasz mi tego za bardzo, a chciałem się tobą rozkoszować – zażartował, głos miał zachrypnięty, a w spojrzeniu przebijała dzikość.

Ignorując go, składałam delikatne pocałunki na jego piersi, upajając się jego słono-słodką skórą.

Smakował jak czysty blask księżycyca – mroczny i zmysłowy, aż nazbyt kuszący.

Kiedy dotarłam do brzegu spodni i złapałam za ich sznurki, Kane jęknął. Ten ochrypły dźwięk sprawił, że zacisnęłam uda.

– W porządku. Żadnego rozkoszowania się. – Zatrzymał mnie, łapiąc za rękę.

Zanim zdążyłam zaprotestować, odwrócił mnie tyłem do siebie z nikczemnym uśmiechem i przycisnął do swojej piersi, moje plecy przywierały ściśle do jego przodu. Wsunął jedną dłoń pode mnie, owinął ramię wokół brzucha, trzymał mnie mocno przy sobie. Kiedy druga dłoń wsunęła się pod cienki materiał i odnalazła delikatną skórę piersi, oboje wygięliśmy się jeszcze bardziej ku sobie.

Kane zaklął i przycisnął usta do mojej szyi.

– Jesteś jeszcze lepsza, niż mogłem sobie wyobrazić. Wszystkie te miesiące, gdy myślałem, że nigdy z tobą nie będę, były najgorszą torturą, jaka przychodziła mi do głowy. Chcę zatopić usta pomiędzy twoimi ślicznymi udami.

Jego słowa uwalniały mnie. Ociekałam wilgocią i kołysałam się przy nim rytmicznie. Potrzebowałam jego dłoni niżej.

Sprośna myśl wpadła mi do głowy.

– Wiesz – udało mi się wydyszeć – nie tylko ty miałeś nieprzyzwoite myśli po naszej wspólnej przejażdżce konnej.

Kane zamarł za mną, po czym wypuścił drżący oddech. Jego dłoń nadal zaciskała się na mojej piersi pod koszulą, a ja zakołysałam się przy nim, choć sama zaskomlałam przez to z pragnienia.

– Będiesz przeklęta, jeśli nie dokończysz tej myśli.

Na moich ustach zagrał uśmieszek i znowu poruszyłam się przy nim. Jęknął – ten dźwięk zabrzmiał brutalnie i sprośnie, po czym przesunął dłoń, by podciągnąć moją koszulkę nocną.

– Pamiętasz, kiedy wpadłeś do mnie, a ja leżałam w wannie?

Zaśmiał się cicho.

– Nigdy nie mógłbym tego zapomnieć. Byłaś taka urocza z tym świecznikiem zamiast broni. – Zatoczył leniwe kółko na moim biodrze, jednocześnie liżąc i ssąc szyję. – Być tak blisko ciebie, wiedzieć, że byłaś naga i błyszcząca od wody... To była prawdziwa agonია – wyszeptał, podciągając materiał koszulki aż na brzuch.

– Cóż – wyznałam, bez tchu – dotykałam się, zanim wtargnąłeś. W zasadzie właśnie miałam dojsć.

Warknął z satysfakcją, słysząc moje słowa i wbił biodra w mój tyłek.

Uwielbiałam to, jaka potężna czułam się w jego ramionach.

– Proszę, nie przerywaj. – Jego głos był zaledwie szeptem. Rozsunął mi nogi i powoli przesunął palcami po wewnętrznej stronie ud, zatrzymał się, kiedy wyczuł zbierającą się tam wilgoć. – O, kurwa. Jesteś taka mokra dla mnie. O czym wtedy myślałaś, moja śliczna ptaszyno?

– O tobie – wydyszałam. – Pieprzącym mnie.

To wystarczyło, żeby stracił kontrolę. Odwrócił mnie twarzą do siebie i pocałował ostro, jego język penetrował moje usta powoli i mocno. Wydawało się, że gdyby nie pocałował mnie jeszcze głębiej, mógł utonąć. Jakbym była tlenem. W końcu przesunął delikatnie palcami po miejscu, w którym tak bardzo go pragnęłam, a ja zobaczyłam przed oczami gwiazdy. Jego delikatny dotyk sprawiał, że drżałam i zaciskałam się z całych sił.



Wypuścił powietrze w moje usta, jakby się krztusił. Ale jego palce były bezlitosne – drażniły i masowały, grał na mnie jak na instrumencie i sprawiał, że śpiewałam. Byłam tak blisko, a on nawet nie...

W końcu wsunął we mnie jeden palec, a ja zaskomlałam cicho, gdy jego kciuk dalej zataczał kółka. Oboje westchnęliśmy na to doznanie, pocałowałam go mocniej, wbijając paznokcie w mięśnie jego piersi, gdy wsuwał i wysuwał ze mnie palec.

Powolne, kontrolowane pchnięcia, tak ciasno, tak pełno...

– Dasz radę przyjąć więcej? – zapytał, gdy mruknęłam cicho z pragnienia.

*Tak, tak, proszę, tak. Więcej.*

Kiedy wsunął we mnie drugi, zaczęłam wic się na jego dłoni i zadrżałam z jękiem, gdy wypełnił mnie jeszcze bardziej – wbijał we mnie palce, wyrrywając mi z ust oddechy i westchnienia.

– Arwen – warknął.

Prawie doprowadził mnie do zguby. Jęczałam i szarpałam się, oddawałam mu się całkowicie, niecierpliwie czekając na spełnienie, którego tak bardzo pragnęłam.

Huk armat wyrwał nas gwałtownie z tej intymnej chwili. Podniosłam wzrok na Kane'a, a on zeskoczył z łóżka i z zawrotną prędkością dopadł do okna.

– Ubieraj się – wykrztusił. – Już.

Zarumieniona i z wciąż drżącymi kolanami zeszłam z łóżka. Miałam przeczucie, że nie chodziło mu o błękitne szaty Perydotu, więc wyjęłam swój skórzany strój i zsunęłam z siebie koszulę, która opadła wokół moich stóp. Sznurki zaplątały mi się między palcami, kiedy kolejny wybuch wstrząsnął fortecą.

Król przeszedł przez pokój i narzucił na siebie koszulę, rysy jego twarzy się wyostrzyły i stały się mroczniejsze, niż kiedykolwiek widziałam.

Wiedziałam, jeszcze zanim zapytałam.

– Co się dzieje?

– Zamek został zaatakowany.

I wtedy rozległy się krzyki.

## DWUDZIESTY ÓSMY

Wybuchy zakołysały pokojem jak statkiem na wzburzonym morzu. Krzyki przerażenia niosły się echem z korytarzy, gdy okruchy pyłu i gruzów spadały z sufitu.

– Chodź – powiedział Kane. – Trzymaj się blisko.

Wyszłam za nim na ciemny korytarz, powietrze ledwo dochodziło do moich płuc. Strażnicy Onyksu czekali za drzwiami na króla i wyciągnęli nas przez ruiny.

Ledwo mogłam oddychać, a co dopiero się poruszać. Musiałam dostać się do mojej rodziny.

– Musimy...

– Wiem! – zawołał, przekrzykując dochodzące zewsząd paniczne wrzaski. – Są zaraz za rogiem.

Migoczące światła zadrżały od wybuchów, rzucając na ściany groteskowe cienie. Widziałam tylko służących i szlachtę przemykających od pokoju do pokoju. Uspokajający zapach kokosów i soli morskiej kłócił się ze strachem płynącym w moich żyłach.

To nigdy nie powinno się tutaj stać.

Uderzyło we mnie spóźnione przerażenie, wyrwałam dłoń z uścisku Kane'a i przycisnęłam ją do ust. Strażnicy za nami zatrzymali się gwałtownie, wpadając jeden na drugiego.

– Jesteś ranna? – Mężczyzna ujął moją twarz w dłonie, szukając źródła nagłej zmiany zachowania.

– To moja wina – powiedziałam, nie mogąc się poruszyć.

– O czym ty mówisz?

– Powiedziałam Haldenowi, że wyprawiałeś bankiet na cześć króla Eryksa. Że miałeś nadzieję na sojusz z nim.

Dosłownie skazałam tych wszystkich ludzi na śmierć. Ogrom mojego błędu...

Kane pokręcił głową.

– Posłuchaj mnie, to nie twoja wina. Winić należy ludzi stojących za armatami. Musimy iść dalej.

Wiedziałam, że miał rację. Musieliśmy znaleźć moją rodzinę, ale poczucie winy stawało się obezwładniające. Kiedy spojrzałam na przerażone twarze, wsączyło się jeszcze głębiej w moje kości. Otaczał nas zapach dymu. Przez okna widać było

strzeliste drzewa pożerane przez płomienie. Przeszywający krzyk rozległ się obok mnie i prawie roztrzaskał mi bębniaki w uszach.

– Musimy pomóc tym ludziom – powiedziałam, gdy bieглиśmy przez drżące korytarze.

– Pomożemy.

– Skąd Bursztyn wziął taką potęgę? Żeby podpalić cały zamek? To niemożliwe.

– Nie mają jej, ale Granat tak.

– Możemy powstrzymać armaty?

– Nie armat się obawiam, a salamander. – Kane aż płonął żądzą mordy.

Zatrzymałam się i skierowałam do okna, by po raz pierwszy spojrzeć na to, co spowijało las płomieniami. Ogromne, wyposażone w kły jaszczury pełzły po plaży. Z tymi długimi szyjami wyglądały jak węże, ale na masywnych nogach poruszały się jak jaszczurki, każda z pazurami mogącymi rozerwać człowieka jak mokry papier. Kierowane przez żołnierzy zarówno z Granatu, jak i z Bursztynu zmierzały w stronę zamku. Przy każdym oddechu wypuszczały z siebie wiązkę ognia, który pochłaniał wszystko na ich drodze.

Żołnierze Perydotu stali pewnie na obrzeżach, ale ich włócznie nie mogły równać się z pełznącymi, ziejącymi ogniem stworzeniami. Kolejne gorące, tańczące kule ognia przeleciały nad ludźmi Perydotu w stronę zamku.

Właśnie to wstrząsało jego murami – uderzenia salamander. Zostaliśmy uwięzieni i przypalani. Spalą nas żywcem.

– Przeklęte Kamienie – wyszeptałam.

– Arwen, chodź. – Kane złapał mnie za rękę i pociągnął.

Pobiegliśmy, ile sił w stronę innych pokoi. Najpierw dotarliśmy do sypialni Rydera. Kane załomotał w drzwi.

– Otwieraj, to my!

Kiedy nic nie usłyszeliśmy, niepokój zalał moje zmysły.

– Otwieraj. Już! – ponagliłam.

Kane uderzył całym ciałem w drewniane drzwi z większą siłą, niż kiedykolwiek u kogoś widziałam. Siłą Fae. Drzwi wyskoczyły z zawiasów i upadły na podłogę z łoskotem.

W środku moja matka i Ryder ukrywali się za zbroją.

– Dzięki Kamieniom – westchnęłam, podbiegając do nich. – Dlaczego nie otworzyliście? – Kiedy przyjrzałam się poznaczonej łzami twarzy matki, w mojej piersi urosła panika. – Co się dzieje?

– Leigh nie ma w pokoju – odparła.

Odwróciłam się do Rydera.

– Znajdziemy ją, ale nie ma jej na tym piętrze. – Wydawał się spokojny, ale znałam brata. Zbyt szeroko otwarte oczy zdradzały przerażenie.

Kane położył dłoń na moim ramieniu i lekko ścisnął.

– Musimy zabrać wszystkich do sali tronowej. Tam będziecie najbezpieczniejsi. Nie opuścimy tego miejsca bez małej. – Spojrzał na moją matkę. – Przysięgam.

Ruszyliśmy tam z zawrotną prędkością. Byłam zdumiona tym, jak sprawnie poruszała się matka. Po tych wszystkich latach znalazło się dla niej lekarstwo.

Sala tronowa była ściśle strzeżona przez żołnierzy Perydotu. Kiedy tylko podeszliśmy, otworzyli drzwi dla Kane'a. W środku znaleźliśmy króla Eryksa, księżniczkę Amelię i wszystkich pozostałych dygnitarzy, zarówno z Perydotu, jak i Onyksu. Komandorzy, generałowie i pułkownicy przemieszczali się po pomieszczeniu w dzikim tańcu, wywarkując rozkazy do żołnierzy i strażników. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, a mnie wirowało w głowie.

*Gdzie, na Kamienie, podziła się Leigh?*

Mari siedziała w rogu z kolanami podciągniętymi do piersi, a Griffin rozmawiał z komandorem Perydotu kilka kroków dalej.

Podbiegłam do niej i opadłam na podłogę.

– Och, Święte Kamienie, nic ci nie jest! – Objęła mnie ramionami.

Zaciągnęłam się jej cynamonowym zapachem i starałam się nie rozpłakać. Gdybym zaczęła teraz, nie byłabym w stanie przestać.

Obok Griffina stał postawny mężczyzna, którego od razu rozpoznałam – Barney, w nadal odrobinę za ciasnym mundurze, tkwił tam jak posąg. Skinęłam mu głową, a on odpowiedział tym samym, na jego twarzy malowało się zmartwienie.

Potrzebowałam tylko broni i mogłam iść szukać siostry. Delikatny, długi miecz błyszczał na prowizorycznym stole, który wyraźnie został tutaj wniesiony zaledwie kilka minut temu i zarzucony mapami, latarniami i bronią.

Zanim zdążyłam wstać i do niego podejść, głos króla Eryksa poniósł się echem przez salę do Kane'a.

– Jest tak, jak się obawialiśmy. Granat i Bursztyn dołączyły do Lazarusa. Opanują królestwo przed świtem.

Widziałam atak na własne oczy zaledwie kilka chwil temu. A i tak prawdziwy strach – czysty i obezwładniający – zasnuł mi wzrok.

Pomarszczony generał Perydotu odezwał się jako następny:

– Jedyna droga wyjścia to jaskinie pod nami. Tak możemy dotrzeć do plaży. – Odwrócił się do Kane'a i jego ludzi z Onyksu. – Forteca w Zatoce Syren została zbudowana na rozbudowanej sieci jaskiń graniczących z zatoką. Nasze statki są

zaczumowane tam, gdzie klify spotykają się z piaskiem, a jaskinie to najszybsza droga wyjścia.

– Wyjścia? Nie zostajemy, żeby walczyć? – zapytała księżniczka Amelia.

Król Eryx posłał jej stanowcze spojrzenie.

– Nie mamy ostrza, a nie ma sensu walczyć z Lazarusem bez niego. Nie zdołamy zwyciężyć.

– Nie dotrzemy do plaży, mają tam swoje stanowiska – wtrącił chudy żołnierz Perydotu.

– Cóż, właśnie tam są nasze statki. Nigdy nie uda nam się wydostać wszystkich konno czy pieszo. Palmy, które otaczają zamek, stoją w ogniu – stwierdził generał.

– Jak udało im się przedostać przez zatokę? – warknęła na nich Amelia. – Gdzie byli wasi strażnicy?

– Wasza wysokość – odezwał się chudy. – Zatopili wszystkie statki naszej straży. Podpalili wszystkie wieże strażnicze. Mieli większą siłę rażenia, niż mogliśmy kiedykolwiek przypuszczać.

To świetlistość Fae – tak to zrobili. I Amelia o tym wiedziała.

Nawet gdyby Perydot miał całe miesiące na przygotowania, a nie kilka minut, nie mogli stawać w szranki z Granatem, Bursztynem i na dodatek Lazarusem.

Amelia spojrzała na Eryksa z odrazą.

– To są nasi ludzie, ojciec. Jedynym naszym celem na tym kontynencie jest zapewnienie im bezpieczeństwa.

Eryx po prostu odwrócił się do Kane'a.

– Rób, co musisz, ale Amelia i ja znajdziemy się na naszym statku w ciągu godziny. Nie zamierzam zostać tu i patrzeć, jak moja jedyna rodzina płonie żywcem.

– Ojciec!

– Cisza, Amelio! – ryknął, aż ślina prysnęła z jego ust, a twarz mu poczerwieniała.

– To już nie podlega dyskusji.

Nie mogłam tego słuchać ani minuty dłużej, musiałam odnaleźć Leigh.

Wstałam z sercem w gardle, ignorując protesty Mari.

Rozwścieczony wzrok Kane'a natychmiast napotkał mój.

– Griffin – przerwał dyskusję, zanim Amelia zaczęła dalej protestować. – Idź z Eryksem, Amelią i ich ludźmi. Zabierz z sobą każdego, kogo zdołasz. Zaprowadź ich do statków. Znajdę Leigh i spotkamy się na miejscu.

– Jesteś moim królem i nie zostawię cię tutaj. – Spojrzenie jasnozielonych oczu Griffina stało się twarde jak skała. Na ułamek sekundy spoczęło na Mari, zanim wróciły do Kane'a.

– Zrobisz, co ci każę – naciskał król, zanim odwrócił się do pozostałych strażników w sali tronowej. – Wszyscy zrobicie. Nikt nie idzie ze mną. A teraz ruszajcie.

– Cóż, ja idę z tobą – powiedziałam, podążając za nim, po drodze wzięłam ze stołu długi miecz.

– Absolutnie nie. – Zaśmiał się mrocznie.

– Nigdy nie znajdziesz jej beze mnie. Znam ją lepiej niż ktokolwiek inny.

Moja matka trzymała się mocno Rydera, który milczał w trakcie całej rozmowy.

Kane przyjrzał mi się uważnie, jego oczy płonęły jak otaczający nas ogień.

– Nie, Arwen, Jeśli coś ci się stanie...

– Nie pozwolisz na to. – Spojrzałam w dół na miecz w mojej dłoni. – I ja też nie.

Nie dając mu chwili na kłótnię, szybko uściskałam matkę, Rydera i Mari.

– Trzymajcie się Griffina. Dotrzyjcie na statki. Zaraz do was dołączymy. – I wtedy wyszłam z sali tronowej, a Kane podążał tuż za mną.

– Gdzie powinniśmy zacząć? – zapytał, przechodząc pod przewróconym posągami.

Nie mogłam pozwolić sobie wierzyć, że ktoś ją zabrał albo stało się coś jeszcze gorszego. Wypchnęłam te myśli z głowy.

– Gdyby uciekła, poszłaby w górę. Sprytny z niej wspinacz.

Popędziliśmy wąską klatką schodową w stronę krytego strzechą dachu fortecy.

– Leigh! – zawołałam.

Kane zrobił to samo. Przeczesywaliśmy piętra, każdy pokój, każdy zakamarek. Mijały długie minuty i nie znaleźliśmy po niej śladu. Otaczało nas tylko zniszczenie, rozpacz i śmierć.

Zamek zaczynał wypełniać się dymem. Kiedy przedzieraliśmy się przez powoli zapadający się salon, zakaszlałam i potarłam oczy.

Czułam, że Kane mnie obserwował.

– Nawet nie zaczynaj – uprzedziłam go.

– Powinnaś udać się na statek. Zabiorę cię tam i wrócę po nią – odparł.

– Nie...

Zwęglona deska oderwała się z sufitu nad nami i spadła z szokującą szybkością. Odskoczyłam z drogi i złapałam się za serce, wciągnęłam powietrze w płuca i zakaszlałam ostro. To nie powietrze, a dym.

– Arwen! – ryknął. – Nie zdołasz ocalić ani jej, ani nikogo innego, jeśli będziesz martwa.

Tylko o to prosił mnie od samego początku. Zamknęłam oczy i starałam się nie skrzywić. Nie mogłam się teraz załamać. *Proszę*, błagałam Kamienie. *Proszę, nie Leigh.*

– Sprawdźmy jeszcze stajnie. Ona kocha zwierzęta. Może spróbowała uciec konno? – zaproponowałam.

– Nie – warknął. – Nie możesz opuścić murów zamku. Na zewnątrz roi się od żołnierzy i salamander.

– Pójdę tam, z tobą czy bez ciebie – rzuciłam. – Myślę, że będę dużo bezpieczniejsza z Fae takim jak ty niż sama. Nie sądzisz?

Przeczesał włosy palcami, miał znękaną minę. Nasze głowy pokrywał popiół, który spadał wszędzie wkoło. Chyba zgodził się ze mną, bo tylko skinął lekko, złapał mnie za rękę i pobiegliśmy w stronę tylnej części zamku.

Kojącą noc wypełniała kakofonia przerażenia i zniszczenia. Żołnierze Bursztynu, Perydotu, Onyksu i Granatu tłoczyli się na dziedzińcu, miotając się jak mrówki na rozlanym miodzie. Pobiegliśmy w stronę wzgórz ze stajniami, a ja starałam się nie myśleć o wszystkich pozostałych ludziach, którzy szukali swoich rodzin – i tracili je. I że to wszystko moja wina.

Kiedy zobaczyłam zarys budynków, ruszyłam sprintem.

– Arwen! – Głos Kane’a niósł się w ciepłym powietrzu, ale ja poruszałam się tak szybko, jak mogły ponieść mnie stopy. W okolicy nie było żołnierzy, w ogóle ludzi. Panowała aż nazbyt dojmująca cisza.

Zajrzałam do każdego boks, pod każdą bramkę.

Stajnie były puste.

– Gdzie są wszystkie konie? – wydyszałam.

Kane dogonił mnie, łapiąc oddech i rozejrzał się wkoło.

– Może stajenny je uwolnił, kiedy zobaczył ogień.

– Nie, ja to zrobiłam – dobiegł nas cichy głos z rogu.

Ulga była tak intensywna, że prawie zwała mnie z nóg. Przełknęłam szloch. Leigh wystawiła głowę zza snopka siana i podbiegła do mnie, cała drżała z emocji. Starałam się powstrzymać swoje ze względu na nią, ale łzy i tak popłynęły mi po policzkach.

– Co ty tutaj robiłaś?

Spojrzała na mnie nieśmiało. Otarłam łzy z twarzy i odgarnęłam jej miodowe włosy.

– Nie mogłam spać. Szukałam smoka.

Odgłos kroków sprawił, że po plecach i karku przeszedł mi dreszcz.

– Chodź – szepnęłam, wciągając Leigh za drewniany boks.

Kane ukrył się za tym naprzeciwko naszego.

Samotny żołnierz w zbroi Bursztynu szedł ścieżką pomiędzy boksami. Zacisnęłam powieki i trzymałam Leigh przy piersi, starając się uciszyć oddech.

– Halden! – sapnęła Leigh, wyrwała się z moich ramion i rzuciła prosto do niego.



## DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Przekłete Kamienie.

Halden przytrzymał Leigh na długość ramienia, w jego oczach błyszczało niedowierzenie.

– Leigh? Co ty tutaj robisz? – zapytał szybko, ale zbyt szybko ułożył sobie wszystko w głowie i zaczął rozglądać się po stajni za mną. Nie było sensu się ukrywać. Wyłoniłam się z boksu.

– Arwen. – Jego twarz spoważniała.

Leigh spojrzała między nami i zrzęda jej mina. Zawsze była bardzo spostrzegawcza.

Cofnęła się powoli i stanęła za mną. Wiedziałam, że będę musiała błagać.

– Proszę. Po prostu daj nam odejść.

Pokręcił głową, jakby obawiał się tego tak bardzo jak ja.

– Dlaczego nie spotkałaś się ze mną? To przez niego...

– Halden...

– Jest tutaj, prawda? – zaczął drążyć.

– Nie – skłamałam. Kiedy tylko to słowo wyszło z moich ust, wiedziałam, że nie brzmiało przekonująco. Poprawiłam się w kłamaniu, ale nie na tyle, żeby zmylić kogoś, kto znał mnie przez całe życie.

– Nigdy by cię nie zostawił – odparł.

Żołądek mi się skręcił i podszedł do gardła. Halden zbliżył się do mnie, a ja wyciągnęłam miecz. Leigh sapnęła z przerażenia.

– Masz rację. – Zimny, jedwabisty głos Kane'a rozległ się w ciemności. – Bystry dzieciak. – Król wyszedł powoli, wyciągając otwarte dłonie w stronę Haldena.

Nie, nie, *nie*.

Nie mogłam pozwolić, żeby mój dawny przyjaciel zabrał go do Lazarusa. Halden sięgnął po miecz, ale Kane pokręcił głową.

– Nie chcę z tobą walczyć.

– Błagam cię. Halden. Nikt się nie dowie. Po prostu nas wypuść. – Zacisnęłam dłoń na swoim mieczu.

– Nie mogę tego zrobić.

W cieniu nie potrafiłam dostrzec, czy wykazywał jakąś skruchę.

– Więc weź mnie – zaproponował Kane. – Wypuść je. Pójdę do mojego ojca z własnej woli.

Zadrżałam, ale się nie odzywałam. Kane’owi nic nie będzie, przecież to Fae. Przesząpił z nogi na nogę, na chwilę zaległa cisza, a potem chłopak, któremu pomogłam uciec, wypalił:

– Tego też nie mogę zrobić.

Kane przytaknął, a na jego twarzy pojawiła się przerażająca determinacja.

– Więc on wie.

– Co wie? – zapytałam. Mój głos brzmiał piskliwie i jak nie ja.

Zanim którykolwiek z nich zdążył odpowiedzieć, Kane rzucił się na Haldena z ochryplym warknięciem. Gwałtownie polecieli na snopki siana za nami. Leigh pisnęła, a ja zaczęłam uciekać, ciągnąc ją za sobą. Ale kiedy wybiegłyśmy ze stajni, zatrzymałam się, a siostra wpadła na mnie.

Gromada żołnierzy przechodziła obok, zmierzając w stronę zamku, teraz stanowiącego ogromne ognisko pomiędzy palmami. Leigh zerknęła na mnie, w jej oczach widać było więcej strachu, niż kiedykolwiek widziałam.

– Ćśś – szepnęłam. I powoli cofnęłyśmy się do stajni.

W środku było jeszcze gorzej.

Batalion Haldena go odnalazł i teraz Kane klęczał, osaczony i przytrzymywany przez sześciu żołnierzy.

Usłyszałam, jak moje serce pęka, kiedy zobaczyłam jego pobitą twarz. Uświadamiając sobie, że nie miałam dokąd uciec, Halden zaszedł mnie od tyłu i złapał za ramiona, a mój miecz spadł z brzękiem na ziemię. Leigh krzyknęła, kiedy dwaj żołnierze odciągnęli ją ode mnie.

– Nie! – krzyknęłam.

– Nigdy nie sądziłem, że nasz ostatni uścisk będzie tak wyglądał – powiedział Halden przy mojej szyi.

Poczułam, że kwas z żołądka podszedł mi do gardła.

– Jak możesz to zrobić? Co się z tobą stało?

– Nie wiem, chyba nigdy...

Napędzana czystą wściekłością i z zerowym zainteresowaniem, co miał do powiedzenia, uderzyłam tyłem głowy w jego nos z całą siłą, jaką miałam.

Satysfakcjonujący chrzęst rozszedł się po mojej czaszce i wbiłam obcas buta w jego stopę. Mężczyzna zakwiczał i mnie puścił, więc rzuciłam się po miecz.

Jęknął i złapał się za twarz, po której płynął strumień krwi, sącząc się między jego palcami.

A ja się tym napawałam. Każdą czerwoną kroplą.

Skoczyłam w stronę żołnierza, który trzymał prawe ramię Kane'a, unikając innego, próbującego mnie złapać. Byłam szybsza – zamachnęłam się mieczem na zbrojnego, zmuszając go, by puścił króla i uchylił się, w innym wypadku straciłby głowę.

Z szeroko otwartymi oczami wybrał to pierwsze i uwolnił rękę Kane'a tylko na ułamek sekundy, żeby uniknąć mojego ciosu.

Dopadło mnie dwóch innych żołnierzy, złapali za włosy, ramiona i w talii, po czym rzucili na zakurzoną, pokrytą sianem podłogę stajni.

Ale Kane'owi to wystarczyło.

Zaskomlałam, kolano wbite w plecy niemal zmiądzdziło mi żebra i płuca, ale patrzyłam, jak Kane z tylko jedną wolną ręką z łatwością i przerażającą rozkoszą rozkładał na łopatki pozostałych mężczyzn, którzy go trzymali. Odgłosy pęknięcia, miażdżenia i chlupotania niosły się po drewnianej stajni, a kiedy wyswobodziłam się na krótką chwilę, jedyne, co zobaczyłam, to sterta nieprzytomnych ciał ludzi Bursztynu.

Kane bez wysiłku ściągnął ze mnie dwóch z nich i każdego rzucił na ścianę za nami z mdlącym łoskotem. Wbiłam miecz w udo trzeciego i podbiegłam do Haldena.

– Arwen... – błagał z ziemi.

Kopnęłam go w skroń zakurzonym butem na tyle mocno, że stracił przytomność. Krew dudniła mi w uszach, miałam nadzieję, że już nigdy nie usłyszę, jak wypowiada moje imię.

Kane dobiegł do Leigh przede mną, a dwaj mężczyźni, którzy ją trzymali, puścili natychmiast, odsuwając się od jego ogromnej, przerażającej sylwetki.

– Mądrze – warknął wściekle, biorąc moją siostrę na rękę. – Bardzo mądrze. – A potem rzucił do mnie: – Chodź.

Rzuciłam ostatnie spojrzenie na nieprzytomnego Haldena i pobiegłam za Kanem.

Popędziliśmy w stronę zamku, ale...

On... zniknął.

Gardło mi się ścisnęło, kiedy wciągnęłam do płuc popiół i zakaszlałam.

Cała forteca płonęła i zapadała się. Kłębiące się czarny dym i popiół były jak chmura burzowa wśród wzgórz. Trzaski z lasu niosły się przez noc.

Ale nie mieliśmy czasu patrzeć.

Dwie salamandry pełzły groźnie w naszą stronę. Na ich grzbietach siedzieli żołnierze Granatu, kierując je w naszą stronę.

– Tędy – rzucił Kane.

Pocąc się i kaszłąc, odwróciłam się, żeby zawrócić.

Błąd.

Kolejna grupa żołnierzy, tym razem w mundurach Bursztynu, zmierzała do nas zza stajni. Musieli nas zauważyć, kiedy tylko zostawiliśmy Haldena i jego ludzi. Otoczeni przez przynajmniej pięćdziesięciu następnych, wpadliśmy w pułapkę.

Szloch wyrwał mi się z gardła. Wiedziałam, że musieliśmy uciekać, ale nie mieliśmy dokąd.

*Cholera, cholera, cholera.*

Kane spojrział w nocne niebo z czymś na kształt akceptacji na twarzy. Wypuścił długi oddech.

– Przepraszam. – Tylko tyle powiedział.

Jedną ręką nadal przytrzymując Leigh przy sobie, wyciągnął drugą w stronę żołnierzy i zamknął oczy.

Trudno było zobaczyć coś w ciemności, a kłębiący się dym zasłonił światło księżycy, które mogło oświetlić scenę przede mną. A jednak patrzyłam, jak pojedyncza kruczoczarna wiązka cienia, jakby posiadająca własny rozum, przepłynęła przez armię maszerującą w naszą stronę. Rozszczepiła się na czarne wstęgi i każdy żołnierz przed nami został po cichu uduszony przez ciemne, poskręcane widmo. Pełne agonii wołania o łaskę przeszły noc, ale Kane się nie cofnął. Skupił się jeszcze mocniej, przywołując ciemność, ciernie, cienie i pył. Krztusząc się i plując, mężczyźni padali jeden po drugim. Władca Onyksu nie poruszył żadnym mięśniem, ale miał zaciśnięte zęby, a jego oczy lśniły bezwzględnością.

Zmroziło mi krew, a gardło zacisnęło się ze zduszonym westchnieniem. Wiedziałam, kim był. Wiedziałam, do czego musiał być zdolny.

A jednak nic nie mogło przygotować mnie na potworność jego drapieżnej, śmiercionośnej mocy – nagła śmierć tak wielu ludzi.

Odsunęłam się instynktownie.

– Uciekaj – rzucił, opuszczając Leigh na ziemię, żeby mógł używać obu rąk. – Biegnijcie na plażę.

Wiedziałam, czym był. Zaakceptowałam to.

Ale potworne, cierniste wiązki wyrwały się z samej ziemi i zniszczyły – nie, zdziesiątkowały i zrównały z ziemią – każdego człowieka. W jednej chwili zmierzali ku nam żywi, rozwścieczeni, gotowi zabijać, w następnej stawali się tylko kupką popiołu rozsyanego przez wiatr.

To wystarczyło, żeby wyrwać mi powietrze z płuc i zmienić mój żołądek w kałużę wody.

– Idźcie! – ryknął na nas.

Musiałam się ruszyć. Obie musiałyśmy.

Odwróciłam się, ujęłam dłoń Leigh i zrobiłam to, co powiedział – uciekłam jak najdalej od niego, w nadziei na bezpieczne schronienie. Salamandry nadal blokowały nam drogę w stronę zamku, a przez to do jaskiń prowadzących na plażę, ale kolejna fala atramentowej ciemności dotarła do stworzeń przed nami, zalewając je duszącą chmurą cienia. Salamandry pluły ogniem w odwecie, więc uchyliłam się, ochraniając Leigh własnym ciałem, ale płomienie nas nie dosięgły. Zamiast tego ogień zmieniał się w popiół po drodze i pokrywał trawiaste zbocza niczym ohydny śnieg, oświetlany blaskiem księżyca, ciemnością i śmiercią.

Biegłyśmy dalej, przez dym kłębiący się od strony spalonego zamku, w stronę plaży.

Żołnierze Bursztynu i Granatu byli wszędzie, zabawiając się wśród krzyków, wyciągali błagających ludzi ze zbrojowni i od kowala. Krew zbierała się w kałużach na trawie i piasku, nasze stopy rozchlapwały ją jak w deszczowy dzień.

Robiliśmy uniki wśród wrzeszczących ludzi i płonących budowli, mijałyśmy walczących zbrojnych, stawałyśmy się świadkami rozlewu krwi, którego nigdy nie będę w stanie pozbyć się z głowy, nie mówiąc już o Leigh.

Kiedy miałyśmy minąć rozczłonkowane ciało, szepnęłam do niej, żeby zamknęła oczy. Ale wiedziałam, że tego nie zrobi.

Wszystko to sprawka króla Fae. Zniszczył tę spokojną stolicę ziemi, kwiatów i słonej wody. Zmienił ją w zakrwawione, spalone zgliszcza.

Musiał umrzeć.

Musiał, za to, co zrobił.

Kane się tym zajmie.

W końcu dotarliśmy do kamiennej wychodni, która osłaniała plażę.

– Za mną – szepnęłam do Leigh z sercem w gardle, kiedy zaczęłyśmy brnąć przez jaskinie otaczające zatokę. Miałyśmy zmarznięte stopy. Kostki swędziały od słonej wody i szorstkiego piasku. Tylko odgłosy rozbijających się o brzeg fal i słabe bitewne krzyki docierały do wnętrza. To i nasze urywane, desperackie oddechy.

Na końcu jednej z pieczar zauważyłam plażę. Żołnierze walczyli na piasku, ostry dźwięk metalu uderzającego o metal był jak gwałtowny chór łomoczący w mojej czaszce. W najdalszym końcu jaskini wrogowie zbudowali swego rodzaju obozowisko, otoczone armatami i ziejącymi ogniem bestiami, za którymi stał szereg żołnierzy.

Gdyby udało nam się ich minąć, dotarłybyśmy do w pełni ożaglowanych statków, zakotwiczonych na płytszych wodach niedaleko klifów. Tylko że... jedynie statki z liściastym herbem Bursztynu wypełniały zatokę. Gdzie były te należące do Perydotu?

– Musieli zatopić pozostałych – powiedział Kane.

Prawie rozbiłam sobie głowę o skały za mną, w takim byłam szoku.

Skąd on się wziął?

Impuls, by objąć go ramionami i cieszyć się, że był bezpieczny, został stłumiony przez wspomnienie jego dziwnej mocy. Cofnęłam się o krok. Leigh wydawała się czuć to samo, bo wsunęła się za mnie nieznacznie.

– Boisz się mnie – powiedział to z mrocznym wyrazem twarzy. Nie było to pytanie, ale i tak nie potrafiłam zdobyć się na odpowiedź. Przełknął głośno. – Będziemy musieli wziąć jeden z ich statków.

– A co z pozostałymi?

– Jestem pewien, że też o tym myślą.

*Jeśli udało im się dotrzeć tak daleko.* Nie musiał tego mówić.

Skrzywiłam się w ciemności. Księżyc był bladym, błyszczącym odbiciem w zmarszczonej falami powierzchni oceanu i stanowił dziwny kontrast do krwi wsiąkającej w piasek przed nami. Kątem oka dostrzegłam ruch niedaleko morza.

Nie chaos bitwy, ale kotwicę wynurzającą się z oceanu, jakby poruszała się samodzielnie.

– Tam. – Wskazałam to miejsce. – To na pewno robota Mari.

Uniósł na mnie brew.

– Ruda jest wiedźmą?

*Uch.* To nie był dobry moment na taką rozmowę.

– Tak, a amuletu Briar Creighton nie ma już w twoim gabinecie. I prawie zabiłyśmy twojego striksa.

Szok na twarzy Kane'a przyniósłby mi niesłychaną radość w każdej innej sytuacji.

– Że co? – Pokręcił głową. – Acorn? On nigdy nikogo nie skrzywdził.

Naprawdę chciałam powiedzieć mu kilka rzeczy o utrzymywaniu sekretów, ale dostanie się w bezpieczne miejsce było priorytetem. Lekcje na temat hipokryzji odbędą się później.

Przesunął dłonią po twarzy.

– Amulet Briar nie ma w sobie jej magii. To tylko mit.

– Więc czym jest?

– Całkiem ładną i bardzo drogą ozdobą.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Więc cała ta magia, którą posługiwała się Mari...

– To wszystko ona sama. – Pochylił się, żeby podnieść Leigh. – W porządku, chodź. Idziemy.

Ale ona się odsunęła, więc stanęłam przed nią.

– Wezmę ją.

Kane zacisnął zęby, ale wzrok miał skupiony.

– W porządku, będę tuż za wami.

Wzięłam głęboki wdech.

– Jeszcze jedno – powiedział łagodnym głosem. – Starajcie się oczyścić umysł. Obie. Nie skupiajcie się na niczym.

– Dlaczego? – Niepokojące podejrzenie zacisnęło mi żołądek.

– Nie jestem pewny, czy tu jest, ale jeśli tak, Lazarus może dostać się do waszych myśli. Nie dawajcie mu sposobu, żeby was znalazł.

*Wspaniale.* Zadrżałam z paniki, strachu i furii.

Musieliśmy tylko dotrzeć do statku.

Niosłam Leigh na rękach i poruszałam się powoli, unikając kamieni, klifów i gałęzi. Zbliżyliśmy się do baraków oraz do uzbrojonych mężczyzn w srebrnych zbrojach, których wcześniej nie widziałam. Strach zagnieździł się w moim żołądku.

Oczyściłam umysł.

*Chmury, pusta przestrzeń. Nic. Nikt. Cisza.*

Byliśmy blisko. Kilka metrów przed nami błysk rudych włosów za palmą wypełnił moje serce nadzieją. Jeszcze tylko kilka kroków.

– Wybieracie się dokądś? – Głos jak jedwab nasiąknięty jadem i dużo bardziej śmierniowski, rozbrzmiał z osobliwym spokojem.

## TRZYDZIESTY

W ciemności otaczający nas srebrni żołnierze wyglądali jak mityczne olbrzymy, górując nad nami na końskich grzbietach. Przyciągnęłam Leigh bliżej siebie i próbowałam zignorować to, jak jej drzenie rozrywało mi serce na kawałki.

Zanim zdołałam wyjąć miecz, jeden z odzianych w srebro mężczyzn odciągnął mi rękę w tył, na co zaczęłam walczyć, kopiąc i rzucając się, żeby utrzymać przy sobie Leigh.

– Nie waż się tknąć jej choć jednym pieprzonym palcem – warknął Kane na żołnierzy za mną, ale oni już rzucili go na kolana lawiną ciosów, a ja krzywiłam się i krztusiłam, słysząc odgłosy pękania.

Leigh została wyrwana z moich ramion, kopiąc i krzycząc, obie byłyśmy przytrzymywane przez kolejnych żołnierzy w srebrnych zbrojach. Mieli ogromną przewagę liczebną.

Szedł do nas przez piasek i patrzył z góry – starszy, szokująco przystojny mężczyzna. Znajomo wyrzeźbiona żuchwa, kości policzkowe, które mogłyby ciąć szkło, i stalowoszare oczy – podobieństwo było zadziwiające. Głęboko w duszy wiedziałam. Dokładnie wiedziałam, kim był.

Wzrok mi się zamazał. Przełknęłam mdłości.

Odwrócił się do Kane'a, który splunął krwią na piasek.

– Żadnych listów? Żadnych odwiedzin? Gdybym nie wiedział lepiej, mógłbym pomyśleć, że w ogóle za mną nie tęskniłeś.

Przerażenie spłynęło po moim kręgosłupie jak krew.

Lazarus Ravenwood. Król Fae.

Pogromca nas wszystkich.

Kane wpatrywał się w ojca, ale nie powiedział nic.

Furia rozkwitła w moim sercu, w żołądku, zastępując lodowaty szok i przerażenie. Roztopiony i bezlitosny gniew rozgrzewał moją krew, gdy napierałam na żołnierza Fae, który mnie przytrzymywał.

Jeśli Kane nie zabije tego mężczyzny, ja to zrobię.

Wściekle palące słońce, które wzniesie się niebawem nad mrocznym morzem za nami odzwierciedlało moją rozkwitającą nienawiść. Teraz na jego miejscu wisiał księżyc, a jego promienie oświetlały oczy Kane'a i po raz pierwszy zobaczyłam w źrenicach mężczyzny szczerzy strach. Dłonie mu drżały, więc zacisnął je w pięści po



bokach. Mój umysł wypełniła mgła strachu tak miazdząca, że ledwo mogłam myśleć o czymkolwiek innym.

Lazarus zwrócił swoją uwagę na mnie. Miał przyprószone siwizną włosy, gładką opaloną skórę i szaty mieniące się i falujące, wykonane z materiału nie z tego świata. Król był wysoki jak jego syn, ale starszy i smuklejszy. Wyraźnie był prastary, ale po jego twarzy widać było tylko wyrafinowane, dojrzałe piękno. Wyrzeźbiony, czarujący i starzejący się jak dobre wino. Lecz jego oczy... były bezdenne i pełne nienawiści.

Zbliżył się do mnie powoli, wyciągnął jeden palec w stronę mojej twarzy i przesunął nim po policzku. Żołądek mi się skurczył, a Leigh zaskomlała przy moim boku.

Zamierzałam obedrzeć tego mężczyznę ze skóry.

– Zdziorna, co? A nawet mnie nie znasz.

– Nie dotykaj jej – warknął Kane.

– Zawsze taki temperamentny – powiedział Lazarus do syna, drwiąco. – Nie moja wina, że zakochałeś się w mojej morderczyni.

Że w kim?

Zmusiłam się, żeby wygładzić zmarszczone brwi, ale nie dość szybko.

– Nie byłeś zbyt szczery ze swoją przyjaciółką, mój chłopcze?

Zamarłam całkowicie.

Morderczyni? Jak to możliwe, że między nami wisiało jeszcze *więcej* kłamstw? *Więcej* rzeczy, których nie rozumiałam?

Nie. To niemożliwe. Kłamał – próbował nas poróżnić.

A jednak nie mogłam się zmusić, żeby spojrzeć na Kane'a.

– Dobrze myślisz, moja droga. Pierwszy instynkt cię nie mylił.

Musiłam zablokować umysł.

– Przestań – syknęłam.

Król Fae ponownie odwrócił się do Kane'a.

– Rozumiem zauroczenie, synu. Jest wspaniała. Po wszystkich tych latach poszukiwań jest dokładnie taka, jak sobie wyobrażałem.

Mój żołądek zapadł się jak kamień w głębiny morza. *Co to miało znaczyć?*

Król Onyksu rzucił się w jego stronę z morderczym zamiarem, ale żołnierze Fae pchnęli go z powrotem na kolana.

– Stop! – Ruszyłam w ich stronę, ale kolejni zbrojni otoczyli mnie, odciągnęli mi ręce w tył i przytrzymali głowę.

Szarpałam się i wiłam, starając się ze wszystkich sił, by poruszyć chociaż jednym mięśniem, ale byli silniejsi niż wszystko, co kiedykolwiek czułam. Ich ramiona

i dłonie były jak stalowe kajdany. Lazarus tylko się uśmiechnął i przyjrzał mojej unieruchomionej sylwetce.

Przesunął po mnie wzrokiem, drapieźnym i przesiąkniętym ciekawością.

– Jeśli spadnie jej chociaż jeden włos z głowy – warknął Kane przyciśnięty do ziemi. – Zmienię cię w pieprzony pył. Raz oszczędziłem ci życie. Nie zrobię tego ponownie.

Lazarus nie mógłby być mniej zainteresowany groźbą Kane’a.

– Tak to zapamiętałeś, synu? – zapytał, odwracając się do jednego ze swoich ludzi, który podał mu coś, czego nie potrafiłam rozpoznać.

Wysiliłam się, żeby zobaczyć, co trzymał, i wtedy całe powietrze wyleciało mi z płuc w zduszonym westchnieniu.

W jego dłoni błyszczał srebrny sztylet.

Kane zaczął się miotać – *miotać* w uścisku trzymających go mężczyzn. Ogarnęło mnie przerażenie. Nie mogłam spojrzeć mu w oczy. Nie chciałam widzieć jego strachu. Ja...

– Mój syn nigdy nie powiedział ci o przepowiedni proroka? Jestem zszokowany – powiedział Król, podchodząc do mnie powoli, jakbym była wściekłym zwierzęciem. – Musisz wiedzieć, że tylko do tego cię potrzebował. Jako narzędzie, żeby pokonać swojego staruszka raz na zawsze.

Wyrwałam głowę z uścisku żołnierza i odwróciłam się do Kane’a.

– O czym on mówi? Czego jeszcze mi nie powiedziałaś? – W moim głosie pobrzmiwał czysty strach. Był zawodzeniem. Krzykiem. Błaganiem.

– Tak mi przykro, Arwen. Tak mi przykro...

Potrząsnęłam głową, jakbym mogła w ten sposób wrzucić te informacje na miejsce. Nic, co mówili, nie miało sensu. Szloch i panika narastały we mnie, zdrada paliła w policzki. Król Fae zamknął oczy i wyrecytował przepowiednię z pamięci:

*Świat świetlistości pobłogosławiony przez kamienie,*

*Król skazany na upadek z ręki drugiego syna.*

*Miasto obrócone w pył i kości,*

*Spadająca gwiazda zwiastuje ponowne rozpoczęcie wojny.*

*Ostatnia Fae pełnej krwi w końcu narodzona,*

*Odnajdzie Sztylet Słońca w swoim sercu.*

*Ojciec i dziecko spotkają się na wojnie ponownie, gdy pół wieku minie,*

*I z powstaniem feniksa rozpocznie się ostateczna bitwa.*

*Król, który swój koniec może spotkać tylko z jej ręki,*

*Dziewczyna, która wie, co musi wybrać,*

*Poświęcenie, aby uratować obie udręczone krainy,*

*Bez niego cały świat upadnie.*

*To tragedia dla obojga czystych Fae, bo każde polegnie,*

*Niestety, cenę tę trzeba zapłacić, by ocalić ich wszystkich.*

W jego oczach zatańczyło rozbawienie.

– Dość żałosne, co? „Każde polegnie?” Szkoda. Myślę, że mogliśmy zostać wspaniałymi przyjaciółmi.

Ledwo byłam w stanie sformułować myśl. Wirowało mi w głowie, skręcał się żołądek. Ja...

Okłamał mnie. Po tym wszystkim.

Przepowiednia...

Chłód i spokój wypełniły mi żyły, gdy w końcu, *w końcu* wszystko zrozumiałam z idealną klarownością. Ta jedna rzecz, której Kane nigdy mi nie powiedział, zawsze spowijała ją tajemnica, odsuwał to, ukrywał.

Ten jeden powód, dla którego Bert sprowadził mnie do Shadowhold. Dla którego Kane mnie tu trzymał.

Moce, których nigdy nie rozumiałam...

Ale Kane tak.

Moim przeznaczeniem było zniszczyć mężczyznę stojącego przede mną. Króla Fae.

Bo to *ja* byłam ostatnią Fae pełnej krwi.

I miałam umrzeć.

Lazarus uniósł srebrny sztylet w moją stronę.

– Niedługo wszystko dobiegnie końca, Arwen. Postaraj się nie szarpać.

Zaczęłam się miotać w uścisku mężczyzn, którzy przytrzymywali Leigh i mnie. Jej szloch rozrywały mnie od środka.

– Nie! – ryknął Kane.

Podmuch mrocznej, kłębiącej się mocy wyrwał się z ziemi i odepchnął żołnierzy Fae od Kane’a z mocą gwałtownej burzy. Odziani w srebro mężczyźni próbowali dotrzeć do niego, ale żadna z ich mocy – rzeki ognia, gwałtowne światło czy błyszczące lustra – nie mogła równać się z czarnymi cieniami. Kane uwolnił się od nich i rzucił na ojca z czystą, bezkresną i trującą czernią cieni.

Śmiercionośny, czarny dym wydobywał się z jego dłoni i spłynął z jego pleców jak skrzydła, prawie docierając do króla Fae.

*Prawie.*

Ale Lazarus obrócił się, machnął ręką i snop lodu pojawił się znikąd, trafiając w pierś Kane’a, zmuszając jego nogi do ugięcia się. Mężczyzna uderzył w piasek

z ohydnyim stęknieniem.

– Kane! – krzyknęłam, choć głos nie przypominał mojego.

Jęknął w agonii, lepka, ciemna krew spływała z jego dłoni, kiedy próbował bezskutecznie wyrwać sobie lód z mostka. Szarpałam się ze swoimi oprawcami, szlochając zbyt mocno, żeby krzyczeć. Moc aż mrowiła mnie w dłonie, mogłam go uleczyć, ocalić, mogłam...

Ale nie byłam w stanie ruszyć się ani o centymetr. Nie mogłam nawet na niego spojrzeć, ponieważ żołnierze siłą odwrócili moją głowę od niego w stronę Lazarusza.

Nie chciałam, żeby Leigh to widziała. Potrząsnęłam głową, nie mogąc myśleć ani oddychać...

– Proszę – błagałam.

– Arwen... – Kane jęknął w ciemności, skąpany we własnej krwi, żołnierze znowu do niego dopadli. Oczy wypełniała mu bezbrzeżna, czysta wściekłość. I agonია.

I żal.

Tyle żalu, że czułam, jakby rozrywał mnie na pół.

Wyciągnął ręce w moją stronę, ale przytrzymało go zbyt wielu, a na dodatek krwawił. *Wykrwawiał się, wstęgi krwi...*

Lazarus stał teraz przede mną z błyszczącym, srebrnym sztyletem. Przygotowałam się na nieunikniony przeszywający ból.

Ostry podmuch wiatru i dźwięk iskrzenia metalu zwałił mnie z nóg i poleciałam do tyłu na Leigh i żołnierzy, którzy nas trzymali.

Opanowałam swoją ulgę...

Wolni. Byliśmy wolni.

Kiedy usiadłam, ze wzrokiem wciąż zamazanym od siły uderzenia, Kane zniknął.

Na jego miejscu, na piasku, obok trzech *wypatroszonych* żołnierzy, którzy jeszcze przed chwilą go trzymali...

Stał smok, ten sam, co pierwszej nocy, gdy przyleciałam do Onyksu.

Szczupły, czarny i z błyszczącymi łuskami – wydawało się niedorzeczne, że nie wiedziałam tego już od początku. Kane w postaci smoka był taki sam. To niewyobrażalnie piękne, przerażające stworzenie o nikczemnej mocy.

Moje serce zamarło.

I wtedy, bez wahania, Lazarus również się zmienił.

Siła jego transformacji zasypała mi oczy piaskiem, zakaszlałam, czując gryzący smak świetlistości na języku, osłaniając Leigh własnym ciałem.

Lazarus przybrał postać odrażającej wywerny o szarych łuskach. Większej od smoka Kane'a o ponad połowę i dwukrotnie bardziej przerażającej. Podczas gdy po

zmianie w Kane pozostało trochę ciepła, ludzki pierwiastek, Lazarus był po prostu potworem. Nic poza zimnym, nieczułym pragnieniem szerzenia przemocy.

Strzeliste łuski ciągnące się wzdłuż jego kręgosłupa i ogona mieniły się w jasnym słońcu, a poszarpana, różowa blizna znaczyła pokrytą łuskami pierś. Rzędy zębów błyszczały jak stalagmity w zdradzieckiej jaskini. Spojrzenie jego jasnoczerwonych jak świeża krew oczu, spoczęło na mnie tylko raz, zanim rzucił się na Kane'a. Pazury rozorały powietrze, gdy złapał smoczą formę Kane'a w paszczę i wystrzelił w powietrze.

Skrzywiłam się we wczesnoporannym świetle nad pogrążoną w bitwie plażą. Jak w potwornym efekcie domino grupa żołnierzy wokół nas również zmieniła postać i wystrzeliła w powietrze za tamtą dwójką.

Sfinksy, hydry, harpie.

Wszyscy najemnicy Fae, jak nazwał ich Kane, ruszyli za swoim królem.

Kane nie miał szans.

Trwała odrażająca i oszałamiająca podniebna bitwa nad nami wśród blasku gwiazd mieszającym się z bladym światłem. Nie czekałam, żeby zobaczyć, co mogło nastąpić potem.

Złapałam swój miecz i zamachnęłam się na żołnierzy otaczających Leigh i mnie. Wiedziałam, że mieli przewagę liczebną, ale i tak musiałam spróbować.

– Zostań ze mną – rzuciłam do siostry, gdy wbiłam miecz w szyję żołnierza Fae.

Parowałam i blokowałam, przechodząc od jednego zbrojnego do drugiego.

Ale coś było nie tak.

Dlaczego nikt nawet mnie nie tknął?

Nie byłam aż taka dobra. To żołnierze Fae, prawdopodobnie najbardziej śmiercionośni, jacy istnieli, wyszkoleni do walki.

– Co ty robisz? – zapytała Leigh cicho.

– Nauczono mnie władać mieczem. To długa historia.

– Nie mówię o tym.

I wtedy to zobaczyłam.

Gdy szłyśmy, piasek pod naszymi stopami, zapadał się do środka. Każdy żołnierz, który próbował nas dotknąć, zostawał odrzucony przez cienki jak szkło ochronny promień światła.

– Niemożliwe, że to ja – powiedziałam, ale mój głos był cichszy od szeptu. *Ostatnia Fae pełnej krwi w końcu narodzona.* Moje myśli wypełniło wspomnienie ciepłego błysku i siły, którą czułam, kiedy walczyłam z wilkobestią. – Ale nie zostawajmy tutaj zbyt długo, żeby to sprawdzić.

Schowałam miecz i popędziłam w stronę statku, niosąc Leigh w ramionach. Złoty łuk wokół nas był jak drugie słońce w słabym, niebieskim świetle na plaży, ustępującym porankowi.

– A co z królem? – krzyknęła Leigh, gdy zwałałyśmy z nóg żołnierzy wszystkich królestw.

– Którym?

– Twoim królem! – wykrzyknęła.

– Zostaw go. – Na myśl o Kanie mój umysł spowiła burzowa chmura furii. Okłamywał mnie od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy.

*Wykorzystał mnie.*

Jeśli przeżyję, zamierzam sama wydusić z niego życie.

Kiedy dotarłyśmy do statku. Leigh wbiegła na trap.

Byli tam.

Moja matka i Ryder, widziałam ich pełne ulgi twarze.

Leigh padła im w ramiona, a maleńka część mojego roztrzaskanego serca uleczyła się.

– Dzięki Kamieniom – powiedziała mama, przyciskając Leigh do piersi.

Pokład był zasłany ciałami poległych żołnierzy Bursztynu – Griffin i Eryx musieli przejąć statek, kiedy nas przetrzymywał Lazarus. Wypełniło mnie uczucie triumfu z powodu ich sukcesu.

Ale żołnierze Perydotu i Onyksu ledwo powstrzymywali ludzi króla Fae przed wejściem na statek. Amelia i Mari pomagały rozwiązać liny i rozłożyć żagle wśród dźwięku uderzających o siebie mieczy i krzyków ludzi. Wściekłe ryki sygnalizowały, że nadchodziły salamandry.

Nasza stal nie będzie mogła równać się z ich ogniem.

– Musisz ruszać, już! – zawołałam do żołnierza Onyksu, dowodzącego statkiem.

Słońce właśnie wznosiło się nad morzem, więc traciliśmy możliwość odpłynięcia w ciemności tak, żeby za nami nie podążyli. Pomogłam wciągnąć kotwicę na pokład jednemu z żołnierzy Perydotu, ubranemu w spodnie od zbroi i pokrytemu tatuażami. Griffin dał sygnał kapitanowi, statek poruszył się, a ja popędziłam w dół trapu, ignorując błagania mojej rodziny.

Niezależnie, jak bardzo ich głosy miażdżyły mi serce. Rozdzierały je na pół.

Musiałam pomóc, musiałam coś zrobić. Zbiegłam na dół, na płyciznę, wbiłam stopy w piasek obok żołnierza Onyksu i uniosłam miecz.

Dwie zakończone pazurami stopy wylądowały obok mnie.

Zamachnęłam się mieczem w dłoni, żeby zaatakować, ale od razu rozpoznałam te morskie oczy.

– Gryf? Serio?

Wielka, opierzona bestia przytaknęła.

– Moi rodzice nie byli zbyt kreatywni.

Griffin ruszył pierwszy, zmiatając rząd żołnierzy swoimi śmiercionośnymi skrzydłami i odrywając głowy lwimi kłami. Krew ochlapała mi twarz, ale nie obchodziło mnie to. Rozkoszowałam się nią, kiedy patrzyłam na tę rzeź – ciała, rozrzucone zwłoki pokrytych łuskami bestii i na to, co zrobili ze spokojnym miastem, jakim była Zatoka Syren.

Zamierzałam zabić *wszystkich i każdego z osobna*.

Parowałam i wyprowadzałam ciosy, ale poruszanie się w płytkiej wodzie spowalniało mnie i ugiinałam się pod siłą potężniejszych przeciwników. Nad nami usłyszałam ryk smoka Kane'a, gdy zalał walczących z nami żołnierzy falą ognia, szara wywerna podążała tuż za nim. Zapach palonych ciał groził, że pozbędę się zawartości żołądka na piasek pod nami. Żadna ilość czasu spędzona w szpitalu nie mogła przygotować mnie na zwęglone ludzkie szczątki.

A jednak całe hordy wciąż nadchodziły.

Dźgałam i stękałam, unikając ostrzy, płomieni i pięści. Byłam wdzięczna za blade światło. Nie chciałam się zastanawiać ani widzieć, jak czerwony stał się ocean, w którym brodziliśmy. Żołnierz Granatu doskoczył do mnie i uderzył mieczem w mój. Zablokowałam go i okręciłam się, ale przemknął przez moją gardę, a ja kątem oka ledwo zauważyłam Barneya, który poderżnął żołnierzowi gardło, zanim ten mnie dźgnął.

– Dziękuję – wydyszałam.

W odpowiedzi pchnął mnie do płytkiej wody i nakrył moje ciało swoim.

– Hej!

– Musisz wejść na statek, lady Arwen.

– Nie możemy zostawić tych ludzi na śmierć. – Stęknęłam pod jego ciężarem.

– Nie mamy wyboru.

Wiedziałam, że Barney miał rację.

Było ich zbyt wielu. Do tego bestie. I Fae. A przecież jeszcze nawet nie używali świetlistości – ich miecze, strzały i działa wystarczyły, by zrównać połowę Zatoki Syren z ziemią. Barney stoczył się ze mnie i gwizdnął w niebo, a niecałą minutę później zakrzywione pazury uniosły mnie i Barneya, by zanieść nas przez morze do płynącego statku. Wiatr uderzał w moją twarz i wylądowaliśmy z łoskotem, siła skrzydeł Griffina zwała kilku żołnierzy Perydotu z nóg.

Spojrzałam na brzeg. Część żołnierzy wciąż walczyła, stojąc po łydki w wodzie, ale wydawało się, że większość naszych wrogów wycofywała się. Przez chwilę

zastanawiałam się z dziecięcym optymizmem, czy po prostu nas wypuszczą. Czy zabranie mnie z domu, potem z warowni, a teraz z pałacu, utrata najstarszego przyjaciela i zniszczenie tego, co mogło być między mną a Kane'em, mogło wystarczyć mi do końca życia.

Zamiast tego patrzyłam z milczącym przerażeniem, jak salamandry podpałały strzały wrogów, a ognisty deszcz przeszywającego metalu poszybował w stronę statku. Wszyscy na pokładzie zaczęli się ukrywać. Ryder i ja doskoczyliśmy do Leigh i matki i ruszyliśmy, żeby wejść pod pokład.

Z łoskotem wpadliśmy do kajuty kapitana.

Wciągnęłam w płuca ogromny haust zatęchłego powietrza.

– Całe, kurwa, szczęście – powiedział Ryder, sprawdzając, czy był w jednym kawałku. Kiedy upewnił się, że nie stracił żadnej kończyny, opadł na podłogę i zaczął oddychać łapczywie.

– Przekłete Kamienie – wydyszała Leigh, wyswobadzając się z moich objęć.

Czekałam, aż matka upomni nas za niepoprawne wyrażanie się.

Z pewnością nawet bliskość śmierci nie powstrzymałaby jej odruchowej reprimendy...

Która nigdy nie nadeszła.

Najmroczniejszy chłód – czyste przerażenie – ledwo połaskotał mnie po karku.

Odwróciłam się i podniosłam z wytartej podłogi pode mną.

Moja matka leżała na brzuchu, ze strzałą wbitą w serce.

– Nie! – wrzasnęłam.

Nie, nie, nie, nie, nie...

Wzięłam ją w ramiona, drżąc i krzycząc, huk pulsu w moich uszach był za głośny, aż cała drżałam...

– Arwen, możesz to naprawić, prawda? – Ryder podpełzł do matki z drugiej strony.

– Mamo, mamo! Zostań z nami.

– Mamo? – Leigh złapała ją mocno, a moje serce przestało bić.

Wiedziałam, kiedy tylko ja objęłam. Skręciło mnie w żołądku, a wzrok się rozmazał, nie mogłam oddychać. Nie mogłam *oddychać*.

Moje umiejętności nigdy nie działały na mamę.

Spróbowałam mimo to, wciskając dłonie w jej przesiąkniętą krwią bluzkę. Wlałam w nią całą energię, jaką miałam. Jak nauczył mnie Dagan, pomyślałam o niebie, powietrzu i atmosferze wokół. Starłam się wciągnąć wszystko w siebie, jakbym po raz ostatni chciała zaczerpnąć tchu. Serce mi waliło, ciało bolało, pulsowało w głowie i czekałam. Czekałam, aż za sprawą mojej mocy jej ścięgna, mięśnie i ciało zaczną się



zasklepić wokół strzały. Moje nerwy wibrowały, a zęby zaciskały się z wysiłku, ale jej krew nadal wylewała się strumieniem i nic się nie wydarzyło.

– Tak bardzo mi przykro. Nie mogę... Nigdy nie... – Zaszlochałam.

– Arwen – powiedziała, choć jej głos był ledwo szeptem. – Wiem.

Zapłakałam mocniej, nie będąc w stanie znaleźć w sobie siły, odwagi czy nadziei. Jej rana była zbyt poważna. Ryder zmarszczył brwi. Przytulił Leigh mocno, ale zrobiła się śmiertelnie blada i nieruchoma, łzy w oczach były jedynym wyrazem przerażenia.

– Ja to zrobiłam. To moja wina – zapłakałam.

– Nie. Nie, Arwen. – Przełknęła mokry kaszel. – Zawsze wiedziałam, kim jesteś, i kochałam cię tak samo.

Dezorientacja i szok walczyły z wirującymi myślami.

Jak mogła wiedzieć? Pytanie zatrzymało się w moim gardle, gdy ponownie zakaszła.

Zostało jej tak niewiele czasu.

– Jestem z ciebie dumna, Arwen. Zawsze byłam i zawsze będę. Gdziekolwiek się znajdę.

Ukryłam twarz w jej szyi. Nie było większego bólu, większego cierpienia niż wyraz twarzy Leigh i Rydera.

– Moje piękne dzieci – wyszeptała. – Zaopiekujcie się sobą nawzajem. Będzie...

Zrobiła się bezwładna, zanim zdołała dokończyć zdanie.

Potem pozostał już tylko odgłos naszych szlochów.

Moja matka umarła.

Zawiodłam ją całkowicie.

Słońce wyzierało zza pastelowych chmur. Lekko wzburzona woda kołysała się pod nami w spokojnym, równym rytmie.

A moja matka umarła.

Nie mogłam tego znieść. Nie byłam dość silna.

Zmarszczona twarz Rydera zawisała nad jej nieruchomym ciałem, a Leigh tylko patrzyła zszokowana. Jej łzy i nierówne oddechy były jedynym znakiem, że zachowała przytomność.

Chciałam objąć ich oboje. Przycisnąć do siebie. Powiedzieć im, że będzie dobrze. Ale ledwo mogłam myśleć, a co dopiero mówić.

Nie wspominając już o kłamaniu.

Chociaż nie czułam, że nogi uginały się pode mną, wstałam. Moje serce pracowało monotonicznie, umysł był czysty. Możliwe, że słyszałam za sobą, jak Ryder mnie wzywał. Ale nie byłam w stanie stwierdzić tego na pewno.

Opuściłam kajutę kapitana w oszołomieniu i stanęłam na rufie statku, patrząc w stronę brzegu. Strzały wciąż opadały na pokład, nie trafiając w tych, którzy chowali głowy, ale żadna nie przebiła mojej skóry. Statki Granatu i Bursztynu płynęły za nami. Salamandry cofały się z plaży, zostawiając za sobą pozostałości masakry. Fragmenty zbroi, porzucona broń, piasek nasiąknięty krwią. Ciemne niebo nad nami było wypełnione purpurowymi chmurami, wśród wschodu słońca zapowiadającego deszcz. Powietrzne stworzenia walczyły, szpony i łuski zderzały się z sobą we mgle.

Czysty, rozgrzany do białości gniew mnie pochłaniał. Wypełniał od stóp po dłonie. Wibrowałam z furii i żalu.

Ale nie strachu.

Silny prąd surowej, brutalnej mocy wyrwał się z mojej duszy, wypływając oczami, dłońmi i sercem. Czułam, że płynął przeze mnie, jakby pękła tama. Krzyknęłam, nie mogąc jej kontrolować, moje płuca płonęły z wysiłku.

Białe światło i łomoczący wiatr tak ostry jak sztylety przecięły morze i przetrzebiły szeregi żołnierzy. Bursztyn i Granat, bataliony na brzegu i na statkach, wszyscy rozbłyśli złocistym, gorącym, lśniącem światłem. Ich krzyki były dla mnie paliwem. Ich cierpienia moją duszą. Piłam, piłam i piłam.

Wzniosłam ramiona ku niebu, pobrałam energię z powietrza wokół mnie. Wywołany deszczem eter, błyskawice i chmury. Wypełniły moje żyły, płuca i oczy. Strąciłam do morza pozostałe upiorne skrzydlate stworzenia nade mną, jedno po drugim, aż słona woda zrobiła się czerwona, a fale skłębiły się od ich krwi. Czułam, jak prerażenie promieniowało z tych wokół mnie, na pokładzie. Usłyszałam krzyki, nawet z ust tych, których kochałam.

Ale nie miałam mocy, by to powstrzymać.

Pomyślałam o wszystkich tych niewinnych mieszkańcach Zatoki Syren. Martwych, rannych, pozbawionych domów. niesprawiedliwość tego wszystkiego mnie poraziła.

Pomyślałam o Leigh i Ryderze pozbawionych matki. Prerażające rzeczy, których musieli być świadkami przez chciwość króla. Koszmary nocne i przepłakane dni, które ich czekały.

Pomyślałam o Powellu. Mdlącym zapachu jego ubrań. Ciasnocie i odosobnieniu jego szopy. Agonii, jaką był każdy cios, zarówno pasem, jak i słowny. Wszystkim, co jego gnębienie mnie kosztowało. O żalonym życiu pod kloszem.

Pomyślałam o mojej matce. O słodkich dzieciach, które wychowała niemal zupełnie sama. Skromnym życiu, które wiodła, całym wypełnionym bólem i cierpieniem. Jedynej szansie na zdrowie – zmarnowanej. Jak jej własna córka,

posiadająca dar uzdrawiania, nigdy nie była w stanie jej wyleczyć. I o pozbawionym godności, potwornym, przypadkowym sposobie, w jaki umarła.

I wtedy pomyślałam o sobie. O każdym razie, gdy zostałam wykorzystana, zmanipulowana, uderzona, obrzucona obelgą. Wszystkim, co ukształtowało moje dzieciństwo i kilka ostatnich lat. Życiu zmarnowanym na strach, ukrywanie się przed tym, co znajdowało się na zewnątrz, strachu przed byciem samą, a jednak ciągłym uczuciem samotności. Zdrada jedynej osoby, która pokazała mi, jak mogło być inaczej. Przepowiedni, która zwiastowała moją śmierć.

Wreszcie zyskałam wnikliwe zrozumienie celu mojego życia na tym świecie, a była nim śmierć.

Zawyłam, oczyszczając się...

Wyrzuciłam z siebie ból, który wylewał się z moich palców, serca, ust...

Moc wstrząsała mną, dziesiątkująca, niszcząca, bezkresna. Wykrzyczałam swoje cierpienie w niebo i skierowałam bezlitosny grad ognia na wrogich żołnierzy.

Świat był zbyt okrutny.

Nikt nie zasłużył, by żyć i ujrzeć kolejny dzień.

Unicestwię ich wszystkich...

Zrobię...

„Wykazałaś się niezwykłą odwagą, choć nie miałaś nadziei, że to cię uratuje”.

„To, co nazywasz strachem, w rzeczywistości jest siłą, a ty możesz osiągnąć ją na dobre”.

„Nie chciałem żyć w świecie, w którym nie byłoby ciebie”.

„Jesteś jasnym światłem, Arwen”.

„Zawsze wiedziałam, kim jesteś i kochałam cię tak samo”.

Opadłam na pokład i zwinęłam się w kłębek, szlochając i starając się wciągnąć powietrze do płuc.

## TRZYDZIESTY PIERWSZY

Następne, co pamiętałam, to chłodny kompres na czole. Wściekłe, poranne słońce ogrzewało mi ramiona, aż mrowiła skóra.

– Oto i ona – rozległ się cichy, znajomy głos.

Powieki miałam ciężkie od snu i żalu. Zamrugałam, patrząc na miłą, choć ponurą twarz Mari, burza jej rudych loków wisiała nade mną. Usiadłam powoli, w głowie mi huczało i uświadomiłam sobie, że nadal znajdowaliśmy się na pokładzie statku. Po pozycji słońca na niebie zgadywałam, że byłam nieprzytomna przez kilka godzin.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na morze, pozwalając, by słona woda opryskała mi twarz. Perydot znajdował się daleko za nami. W promieniu kilometrów nie dostrzegałam żadnego lądu.

A ja...

Nie mogłam nawet o tym myśleć. O tym co zrobiłam.

Co straciłam.

– Nikt za nami nie płynie – powiedziała. – Po twoim... występie... – przerwała, jakby starała się znaleźć właściwe słowa – nie został nikt, kto mógłby za nami płynąć. Nie ma tutaj żadnej z wież z zamku króla Ravenwooda, więc znalazłam zakłęcie, żeby ukryć statek. Kiedy zbiorą armię z powrotem, przynajmniej będziemy nie do wyśledzenia.

Przytaknęłam, odrętwiała.

Nie zamierzałam pytać o Kane'a. Czy był na statku, czy...

– Więc – podjęła, zdejmując chłodny kompres, by ponownie go nasączyć. – Jesteś Faerie. Mogłaś mi powiedzieć, wiesz. – Słyszałam zranienie w jej głosie.

– Nie wiedziała.

Podniosłam wzrok, krzywiąc się od słońca. Głos należał do Rydera, który trzymał Leigh za rękę. Siostra miała kamienny wyraz twarzy.

Nigdy nie widziałam jej tak zimnej.

– Jak to możliwe, że jesteś prawdziwą Fae, a żadne z nas nie jest? Mieliśmy tę samą matkę – zapytał. On również był poważniejszy, niż kiedykolwiek miałam okazję zobaczyć. To niekończące się światło, które z niego emanowało niezależnie od okoliczności, zniknęło.

– Nie wiem – odparłam. Zabrzmiało to jak prośba.

Wstałam z pomocą Mari i powoli do niego podeszłam. Kiedy wiedziałam już, że żadne się nie wzdrygnie, przytuliłam oboje.

Staliśmy tak przez dłuższą chwilę.

Chociaż mieliśmy różnych ojców, nigdy nie czułam, że byli moim przyrodnim rodzeństwem.

Nigdy nie poznałam swojego ojca, a matka nie mówiła o nim, kiedy byłam dzieckiem. W końcu udało mi się to z niej wyciągnąć zaledwie dwa lata temu. Powiedziała mi, że poznała mężczyznę z innego królestwa, choć nie pamiętała z którego, w tawernie niedaleko Abbington.

Topiła smutki z powodu niedawnej straty własnej matki, a on poprawił jej humor i zabrał na tańce. Następnego ranka obudziła się w chatce, a on zniknął.

Nigdy więcej go nie widziała.

Nie chciałam myśleć o ojcu w taki sposób, więc starałam się nie myśleć wcale.

Chociaż wysilałam umysł, wiedziałam, że to niemożliwe, by tamten mężczyzna był odpowiedzialny za to, kim się okazałam.

Byłam ostatnią Fae *czystej krwi*. Oboje moi rodzice musieli być Fae *czystej krwi*. A to oznaczało, że albo moja matka ukrywała swoją naturę Fae przed nami przez całe swoje życie, albo w rzeczywistości nie była moją matką.

Rodzeństwo to teraz moja jedyna żyjąca rodzina, najbliżsi ludzie, jakich miałam, a istniało prawdopodobieństwo, że w ogóle nie łączyły nas więzy krwi. To razem z dziurą ziejącą głęboko w moim sercu z powodu straty matki i świadomości, że nie była w rzeczywistości kobietą, która mnie urodziła, wystarczyło, by złamać we mnie resztkę ducha, jaka mi pozostała.

Pomimo trwania z nimi w uścisku nigdy nie czułam się bardziej odległa od nich, a przecież właśnie spędziliśmy kilka miesięcy oddzielnie. Nienawidziłam tego, czym teraz wiedziałam, że byłam, tak obca i odległa, że prawie nie czułam się już sobą.

Ale najbardziej nienawidziłam Kane'a. Nie miałam pewności, gdzie był – wmówiłam sobie, że nie obchodziło mnie, czy przeżył walkę z ojcem.

Dlaczego miałoby obchodzić?

Odsunęłam się od rodzeństwa i rozejrzałam po nazbyt jasnym pokładzie. Kilku żołnierzy zajmowało się rannymi, ale wydawało się, że wszyscy inni siedzieli na dole.

Kroki drobnych stóp poniosły się po pokładzie od strony kajuty kapitana, wrywając mnie z ponurych myśli.

– Okropni tchórze, tym właśnie jesteśmy!

Odwróciłam się i zobaczyłam Amelię, Eryksa, Griffina i Barneya rzędem wchodzących na pokład.

Bez Kane'a.

Nie byłam pewna, czy to rozpacz, strach, czy ulga ścisnęły mi żołądek.

Każdy skupił wzrok na mnie. Amelia zimna jak lód, Król Eryx z niejasnym zainteresowaniem, Barney z współczuciem, a Griffina nie dało się odczytać, jak zwykle. Iskra wstydu rozbłysła w mojej piersi pod ich badawczymi spojrzeniami, ale byłam zbyt odrętwiała, zbyt wyczerpana, żeby naprawdę to poczuć.

– Amelio, nie mieliśmy wyboru. – Król Eryx zwrócił się do córki. – Musieliśmy przetrwać.

Księżniczka odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– Zostawiliśmy naszych ludzi na pastwę losu. – Praktycznie wypluła te słowa.

– Udało się zabrać część na drugim statku, oni...

– To ja ich wydostałam, Ty uciekłeś jak...

– Co najważniejsze – stwierdził, przerywając jej. – Przeżyliśmy, by dalej walczyć.

– A dokąd się teraz udamy? Będziemy uciekać dalej? – zapytała, jej głos był zgorzkniały.

Król Eryx spojrział na Griffina, ale ten nie odpowiedział. Zamiast tego komandor odwrócił się do dziobu statku.

Jak mroczny, mściwy demon śmierci Kane wyłonił się z cieni.

– Płyniemy do Królestwa Cytrynu.

Żył.

Wydawało mi się, że słyszałam, jak pękło mi serce.

Wyglądał na wycieńczonego. Rany pokrywały jego ramiona i szyję, jedno oko było podbite i spuchnięte, a usta miał rozchylone. Rana na piersi została prowizorycznie owinięta pod rozchyłoną koszulą, ale jasnoczerwona krew sączyła się spod tej namiastki bandaża.

Kane od razu skupił się na mnie. Jego oczy zabłyszczały zmartwieniem.

Odwróciłam od niego wzrok i zapatrzyłam się na słoń, bezkresną wodę przede mną.

– Nie mamy możliwości wysłać kruków, żeby powiadomić mieszkańców Cytrynu o naszym przybyciu, królu Ravenwoodzie – powiedział do niego król Eryx.

– Będziemy po prostu musieli mieć nadzieję, że powitają nas z otwartymi ramionami.

Na to stwierdzenie mroczny śmiech wyrwał się z ust Griffina.

– Nie powitają.

– Wiem – odparł Kane ze śmiertelnym spokojem.

Minął grupę i ostrożnie zbliżył się do mnie. Kiedy już dłużej nie mogłam unikać jego spojrzenia, odwróciłam się do niego.

– Jak się czujesz, ptaszyno? – Jego twarz przypominała maskę wykutą z żalu, ale głos był jak alkohol. Przez chwilę dawał ulgę, nawet przyjemność, zanim stawał się gorzki na języku.

– Nie odzywaj się do mnie – powiedziałam. Nawet jeśli to nie była całkowicie jego wina, czułam się tak emocjonalnie zniszczona, że na kogoś musiało to spaść. Wydawało się, że zasłużył bardziej niż pozostali.

Ryder stanął przede mną w obronnym geście, z ramionami założonymi na piersi.

– Daj nam chwilę, Ryder. – Kane naprawdę wyglądał, jakby miał ochotę zrobić komuś krzywdę.

Ryder spojrzał na mnie, a ja gwałtownie pokręciłam głową. Nie chciałam znajdować się w pobliżu tego mężczyzny.

– Nie sądzę, wasza wysokość – odparł mój brat, z całą uprzejmością, do jakiej zdołał się zmusić.

Kane zatrzymał się i skinął ze zrozumieniem.

– Bardzo mi przykro z powodu waszej straty – powiedział do całej naszej trójki.

Leigh nawet nie spojrzała mu w oczy.

Poszedł w stronę lewej części pokładu. Spojrzałam na Rydera, a potem na Mari. Żadne nie patrzyło mi w oczy. Wiedziałam, co myśleli. W końcu musiałam z nim porozmawiać. Statek miał ograniczoną powierzchnię.

– Wejźmy do środka, muszę coś zjeść – oświadczyła Mari.

Ryder ruszył za nią, oglądając się na mnie tylko raz.

Pocałowałam Leigh w głowę i zebrałam w sobie tę resztkę siły, jaka mi pozostała.

– Zaraz do was dołączę.

Griffin, Eryx, Amelia oraz pozostali strażnicy i żołnierze przeszli na dziób statku, żeby kontynuować kłótnię.

Może wyczuli przyływ napięcia między mną a Kane'em i nie chcieli znajdować się w pobliżu. Nie winiałam ich za to. Poza kilkoma spóźnialskimi, ja i nikczemny król pozostaliśmy sami przy lewej burcie. Podeszłam do miejsca, w którym stał, wiatr rozwiewał mu włosy. Zamykał oczy w słońcu.

Wyczuł moją obecność i odwrócił się, ale ja mogłam tylko wpatrywać się w ocean poniżej. Słony zapach pasował do mojego pochmurnego nastroju. Staliśmy w ciszy, o wiele za długo słuchając fal rozbijających się o statek.

– Jestem ostatnią Fae czystej krwi – oznajmiłam.

Zamarł, ale odpowiedział:

– Tak.

Serce załomotało mi gwałtownie. Wiedziałam, że to prawda, ale i tak usłyszenie jego potwierdzenia wstrząsnęło mną do szpiku kości.

– Griffin też jest Fae.

– Jest.

Policzki mi zapłonęły. Griffin, Dagan, Amelia – ilu z nich wiedziało, kim byłam, zanim sama się dowiedziałam?

– I obaj jesteście Fae, którzy potrafią się przemieniać – powiedziałam. – Ty jesteś smokiem, na którym przyleciałam do Shadowhold tej pierwszej nocy?

– Tak – odparł z twarzą nadal zwróconą w stronę kłębiącego się oceanu.

– A Sztylet Słońca? Z przepowiedni?

Odwrócił się do mnie. Jego wzrok zalało coś... czy to cierpienie? Pałący żal? Ale ukrył to tak szybko, że ledwo zdążyłam zauważyć; zacisnął zęby.

– To coś, czego Halden chciał, a co zostało już skradzione z mojego skarbca lata temu. Jedyna broń, która może zabić Lazarusa, dzierzona przez ciebie. – Przełknął z trudem. – Prawdopodobnie przybył do Shadowhold, żeby zabić zdrajców Fae, ale usłyszał gdzieś, że sztylet był w moim posiadaniu. Prawda jest taka, że może znajdować się wszędzie.

Puls łomotał mi w uszach.

– Myślałam, że jest „w moim sercu”? Tak mówiła przepowiednia.

– Większość uczonych, z którymi się konsultowałam, uważa, że nie należy tego interpretować dosłownie. Ale nie dyskutujmy o tym z Amelią. Jest tak zaaferowana, że gotowa cię pokroić, żeby sprawdzić. – Miał morderczy wyraz twarzy i widziałam, że nie żartował.

– Więc jestem prawdziwą Fae, jak powiedziałaś. – Te słowa nadal wydawały mi się szalone. – Jak to możliwe, że taki niziołek jak ty ma świetlistość?

– Nie jestem niziołkiem. Niziołki to śmiertelnicy, którzy mają wśród przodków ślad rodu Fae. Jest ledwo dostrzegalny, jeśli wiesz, czego szukasz. Zwykle są uderzająco piękni, bardzo silni albo żyją nienaturalnie długo. Są tylko dwa rodzaje Faerie. Fae – Griffin, ja, wszyscy ci żołnierze i pozostali uwięzieni w Krainie Fae. Wszyscy mamy częściowo śmiertelne pochodzenie po wiekach krzyżowania. Drugi rodzaj to Prawdziwi Fae albo Fae czystej krwi – tylko ty i Lazarus.

– Ale jak? Urodziłam się w Abbington, moja matka była śmiertelniczką – paplałam. – Moje rodzeństwo jest całkowicie...

– Nie jesteśmy pewni.

Uderzyło we mnie przerażenie.

– Czy ty i ja możemy być... spokrewnieni.

Ponury uśmiech zamajaczył na jego twarzy.

– Nie, ptaszyno. Urodziłaś się długo po tym, jak ostatnia kobieta Fae czystej krwi umarła. Twoje narodziny to... cóż, to cud. Taki, którego nawet mój ojciec nie



rozumie.

- Więc Halden... jego misja nie polegała na wytropieniu jakiegoś Fae, on szukał...
- Ciebie, tak. Fae z przepowiedni.

Przerażenie trafiło we mnie jak policzek.

Halden.

*Halden.*

Zabiłby mnie w tamtej stajni.

Kane podszedł bliżej, a ja się przygotowałam.

– Arwen, tak bardzo, bardzo cię przepraszam. Za wszystko. Każdą rzecz, którą przed tobą ukrywałem. Za to, że pozwoliłem, by cię znalazł. – Zbolały grymas na jego twarzy powiedział mi, że wiedział, co mogło wydarzyć się na plaży, gdyby nie przemienił się na czas.

Ścisnęło mnie w piersi. Powietrze uwięzione w płucach paliło. Przypomniałam sobie, że muszę oddychać.

– Może powinnam była wiedzieć przez cały czas – powiedziałam. – Nigdy nie rozumiałam swoich umiejętności ani tego, dlaczego zanikały, gdy użyłam ich zbyt dużo. – Pomyślałam o tej nocy, kiedy nie mogłam sama się uleczyć po tym, jak pomogłam chimerze. – Dagan. Prosiłeś go, żeby mnie trenował?

– Jako młody mężczyzna był moim głównym gwardzistą jeszcze w Krainie Fae aż do rebelii. Kiedy przybyliśmy do Onyksu, przeszedł na emeryturę. Ale nie ma na tym kontynencie nikogo lepszego do trenowania cię, zarówno w użyciu miecza, jak i świetlistości.

Dagan wiedział o moich umiejętnościach i o tym, skąd mogłam pobierać moc. On też mnie okłamał. Walczyły we mnie złość, poniżenie i bezradność. Jak mogłam być taka ślepa przez cały czas? Amelia miała rację. Okazałam się taka głupia.

– Mówiłeś, że nigdy mnie nie okłamałeś. Przysiękałeś, że powiedziałeś mi wszystko. – Nie mogłam się powstrzymać i odwróciłam się w jego stronę. Patrzyłam w jego stalowoszare oczy, wypełniające się udręką. – Zasługiwałam, żeby wiedzieć, Kane.

Wyglądał, jakby dzieliła go chwila od załamania. Wyciągnął do mnie rękę, ale zastanowił się i wsunął dłoń z powrotem do kieszeni.

– Nie mogłem ryzykować, że ktoś jeszcze się dowie. Że ktoś znajdzie kolejny powód, żeby cię skrzywdzić. Przez prawie wiek cała armia Lazarusa szukała ostatniej Fae czystej krwi, która mogła sprowadzić na niego śmierć.

– Gówna prawda. Chciałeś użyć mnie jako broń. Wiedziłeś, że gdybyś powiedział mi to wszystko, co pokonanie Lazarusa oznaczało dla mnie, dla mojego... –

Przełknęłam. – Mojego przeznaczenia, nigdy nie pomogłoby ci to w osiągnięciu swojej zemsty.

„Zemsta”. To słowo miało gorzki posmak na języku. Kane miał czelność wyglądać na wstrząśniętego, ale nic nie powiedział.

Nienawiść płynęła przeze mnie. Nie zobaczy moich łez.

Zacisnęłam drżące dłonie w pięści.

– Jak długo wiedziałeś, kim byłam, zanim sama się dowiedziałam? – zapytałam, mój głos był ochrypły i cichy.

Przeczesał włosy palcami.

– Bert uświadomił sobie, że byłaś tym, kogo szukaliśmy, tej nocy, kiedy uleczyłaś Barneya. Gdy lecieliśmy do mojej warowni, widziałem w tobie światło, które nie mogło oznaczać niczego innego, tylko bycie Fae.

Przypomniałam sobie tamtą podróż. Dziwne połączenie, jakie czułam z nim, kiedy był w smoczej formie.

– Przez prawie sto lat budziłem się każdego ranka z jedną myślą. Tylko jedną. Znaleźć ostatnią Fae czystej krwi. Wypełnić przepowiednię. Zabić mojego ojca. Straciłem z jego rąk ludzi, którzy znaczyli dla mnie najwięcej. Dagan i Griffin też. Tego dnia, kiedy wystąpiliśmy przeciwko niemu, zawiodłem ich i wszyscy przez to cierpieliśmy.

Moje serce zamarło na chwilę. Rodzina Dagana? To Lazarus ich zabił?

– Jeśli nie skończę tego, co zaczęliśmy, żadne z ich poświęceń nie będzie nic warte. Nawet dzisiaj przez niego miliony żyją w niewoli na pustkowiu. Myślałaś, że wiesz, jak wygląda okrutny król, ale nie masz pojęcia, Arwen. Żadnego. Każdy śmiertelnik na tym kontynencie umrze bezsensowną śmiercią, jeśli on nie zostanie powstrzymany. A jednak, nawet wiedząc to wszystko, tego dnia, kiedy się ścigaliśmy – na jego twarzy pojawił się uśmiech pełen żalu – byłaś jak gazela. Byłem tobą tak bardzo oczarowany. Nigdy wcześniej nie poznałem kogoś takiego jak ty. Tej nocy, kiedy zostałaś zaatakowana...

Odwróciłam się do niego, nie mogąc dłużej utrzymać wzroku z dala od jego oczu.

– Wiedziałem już, że nie mogę tego dłużej ciągnąć. Nawet dla dobra całego Evendell. Sprowadziłem ciebie i twoją rodzinę tutaj, żebyście przeżyli resztę życia bezpieczne.

Moje serce drżało.

– Słyszysz mnie? – Nie mogąc powstrzymać się już ani chwili dłużej, Kane w końcu wyciągnął do mnie rękę. – Chciałem poświęcić cały świat, żebyś żyła.

– Nie dotykaj mnie. – Odsunęłam się i odwróciłam do bezwzględного oceanu pod nami. Chociaż obiecywałam sobie opanowanie, pojedyncza łza spłynęła mi po

policzku.

– Staralem się zabrać ten wybór z twoich barków i za to przepraszam. Ale prędeż umrę, niż pozwolę, żeby mój ojciec cię dopadł. Musisz o tym wiedzieć.

Moc popłynęła z niego falami, gdy składał tę przysięgę. Ale nie bałam się tego mężczyzny. Bałam się siebie. Bałam się umrzeć. Bałam się żyć. Bałam się kłębiącej się we mnie mocy. Gęsta mgła desperacji ogarniała wszystkie zmysły – dusiła mnie. Więziła w tej nowej rzeczywistości.

Przez *niego*.

Mogłam przeżyć całe życie i nigdy nie poznać swojego losu. Nie musiałam umierać.

Ale teraz wiedziałam, że byłam jedyną osobą, posiadającą moc zabicia Lazarusza, a jeśli on umrze, ja razem z nim. To informacje, bez których mogłam przeżyć całe życie.

Ale teraz nie było innego wyboru.

– Pomogę ci zakończyć tę wojnę. Odnajdziemy Sztylet Słońca i wbiję go w jego serce. Ocalimy wszystkich ludzi, których Lazarus zamierza zabić, uratujemy krainę Fae, pomścimy tych, których straciłeś ty, Dagan, Griffin, wszyscy. Dokończymy to, co zacząłeś, Kane.

– Nie – zaprotestował łamiącym się głosem. – Nie chcę cię stracić. Ja...

– To nie twój wybór.

– Arwen...

– Podjąłeś za mnie już wystarczająco dużo decyzji.

Podmuch wiatru zmiotł włosy z jego idealnie wyrzeźbionej twarzy – wyglądał na bezbronny w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Prawie go przytuliłam. *Prawie*.

Ale zamiast tego cofnęłam się o krok.

Wzięłam głęboki wdech słonego, przesiąkniętego wilgocią powietrza.

– Może kiedyś ustąpiłabym. Wybaczyłabym ci ze strachu przed samotnością. Zrobiła wszystko, co byś mi kazał. Czułabym, że cię potrzebuję, zwłaszcza wiedząc, jakie potworności miały nadejść. Ale teraz... Okłamałeś mnie. Wykorzystałeś mnie. Ty... – Przygotowałam się. – Nie mogę być z tobą w ten sposób, Kane. Już nie.

– Proszę – powiedział, choć jego głos był ledwie szeptem.

Pokręciłam głową. Załamalam się, rozpadałam. Moja matka zginęła, a mężczyzna, którego...

Teraz to już nie miało znaczenia.

Otarł oczy.

– Jak sobie życzysz. – Po tych słowach przeszedł przez pokład i zniknął pod nim.

Odwróciłam się z powrotem do fal poruszających powierzchnią oceanu. Gwałtowna, błękitna woda była żywiołem, za którym nie mogłam nadążyć, chaotycznym i zmiennym – kołysała się w dziwnym tańcu pod dziobem statku. Widok był piękniejszy, niż sobie wyobrażałam.

Myliłam się wcześniej. Ten świat nie był okrutny.

A może był, ale miał w sobie też wspaniałość.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy widziałam więcej piękna, radości i nadziei, niż sądziłam, że istniało. A było tego jeszcze o wiele więcej. Istniało tylu ludzi, tyle miłości, tyle możliwości. Nie mogłam pozwolić, by to wszystko zostało zniszczone przez jedną osobę, Fae czy kogokolwiek innego.

Mogłam to zrobić dla Evendell. Dla mojej rodziny. Dla Mari. Dla wszystkich niewinnych śmiertelników i Fae. Mogłam znaleźć to ostrze. Stoczyć tę walkę ramieniem z mężczyzną, który całkowicie roztrzaskał moje serce. Mogłam być silna.

To świat, który musiałam uratować, nawet jeśli nie dożyję, by go zobaczyć.

**KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ**

# PODZIĘKOWANIA

Nie ma innego sposobu na rozpoczęcie, niż dziękując mojemu genialnemu, wspierającemu i bezgranicznie cierpliwemu partnerowi Jackowi. Podczas naszej podróży na dziesiątą rocznicę, wśród poparzeń słonecznych, oglądania wielorybów i picia drinków z palemką nad basenem pomogłeś mi odkryć historię Arwen i Kane'a. Budziłeś się każdego ranka i zamiast uderzać wprost do bufetu śniadaniowego, który oboje tak uwielbiamy, pozwalałeś mi siedzieć na naszym balkonie i stukać w klawisze laptopa, zatracać się w Królestwie Onyksu do czasu, aż południowy skwar zapędzał mnie do basenu. A po podróży pozwalałeś mi podrzucać ci pomysły, naprawiałeś dziury w fabule, wymyśliłeś zdecydowanie mniej głupie nazwy dla wszystkich moich miast i nawet przeczytałeś pierwszą wersję w rekordowym czasie. A potem zapytałeś: „Kiedy będę mógł przeczytać drugą część?” Przez cały czas nie narzekałeś, że nie na to się pisałeś, że to w żadnym stopniu *nie* była kariera, którą budowałam przez ostatnie siedem lat i że dwadzieścia osiem lat to trochę późny etap życia, by decydować, że chcę zostać autorką romansów fantastycznych. Jestem ci tak bardzo wdzięczna, że nie sposób wyrazić tego słowami. Przedarłabym się dla ciebie przez sto Lasów Cieni.

W procesie wydania mojej pierwszej powieści pojawiło się tak wiele wspinających, pomocnych osób, którym również chciałabym podziękować. Mojej kreatywnej, twórczej mamie, która nauczyła mnie wszystkiego, co wiem o pisaniu historii (i ogólnie o ludziach). Moim troskliwym czytelnikom beta, którzy przekonali mnie, że to historia, którą warto podzielić się z innymi. Mojej genialnej redaktorce, Natalie, która przypominała mi, żebym dała sobie czas i budowała, budowała, *budowała* napięcie. Moim kochanym korektorkom tekstu, Naomi i Danni, które ulepszyły całą powieść, dzięki ich bystrym oczom. Lojalnej (i przezabawnej) społeczności TikToka, która uważnie śledziła tę książkę i jej wydanie – nic z tego nie wydarzyłoby się bez waszej pasji. I w końcu mojemu drogiemu Milo, najlepszemu psu, jakiego można sobie wyobrazić. Dziękuję, że siedziałeś przy mnie przez całe weekendy, kiedy pisałam i nigdy nie narzekałeś, gdy znienacka nawrzeszczałam na komputer bez powodu. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

## O AUTORCE

Kate Golden mieszka w Los Angeles, gdzie pracuje na pełen etat w przemyśle filmowym, ulepszając historie we współpracy ze scenarzystami i twórcami filmów. Świt Onyksu to jej debiutancka powieść, pierwsza część trylogii „Świętych Kamieni”. W wolnym czasie jest zapaloną czytelniczką, fanką filmów i fanatyczką puzzli. Choć może to żenująco banalne w LA, lubi piesze wędrówki, późne śniadania oraz wypadki na pchli targ z narzeczonym i psem.